

Hunter Madeline

Tajniki uległości

Piękna Roselyn Longworth wiezie skromne życie w wiejskiej posiadłości z dala od londyńskiego wielkiego świata. Obdarza jednak uczuciem nieodpowiedniego człowieka, a on rujnuje jej reputację, odbierając spokój i poczucie bezpieczeństwa. Jedynym ratunkiem jest dla Roselyn nieoczekiwana propozycja przystojnego Kyle'a Bradwella, który z sobie tylko wiadomych powodów chce uratować jej honor...

1

Roselyn Longworth zrozumiała, że piekło to nie ogień i siarka, tylko bezlitosna świadomość. W piekle dowiadujesz się prawdy o sobie. Stajesz twarzą w twarz z kłamstwami, które powtarzałaś sobie w duchu, by usprawiedliwić swoje występki.

Piekło to wieczyste upokorzenie. Takie jak to, którego właśnie doświadczała podczas przyjęcia w wiejskiej rezydencji.

Wokół niej goście lorda Norbury śmiali się i bawili, czekając na zaanonsowanie kolacji. Gdy wczoraj przyjechała powozem gospodarza, odkryła, że lista zaproszonych nie jest taka, jak się spodziewała. Mężczyźni należeli do wyższych sfer, ale kobiety...

Głośny okrzyk przerwał jej rozmyślenia. Kobieta w jaskrawej szafirowej sukni droczyła się z mężczyzną, który ją pochwyił. Pozostali mężczyźni zachęcali go do działania. Nawet Norbury nie pozostał obojętny. Schwytana kobieta przez chwilę się opierała, a potem pozwoliła się ścisnąć i całować.

Roselyn obserwowała umalowane twarze i wyzywające stroje kobiet. Ci mężczyźni nie przywieźli ze sobą żon, ani nawet oficjalnych kochanek, tylko zwykłe ładacznice z londyńskich burdeli.

A ona znalazła się między nimi.

Taka była brutalna prawda. Ci mężczyźni przywieźli swoje dziwki, a lord Norbury sprowadził swoją.

Jak mogła tak błędnie zinterpretować wydarzenia ostatniego miesiąca? Spróbowała wrócić pamięcią do dnia, w którym lord

1

Norbury po raz pierwszy zaczął się do niej zalecać i prawić komplementy, ale tamto wspomnienie znikło, spalone na popiół w bezlitosnym ogniu faktów z ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Jej kochanek przeciskał się między gośćmi, kierując się ku niej. Z każdym krokiem oczy jego jaśniały coraz bardziej. Dawniej myślała, że to płomień miłości i namiętności. Teraz widziała, że to tylko odbłysek lodu.

Była niewiarygodnie głupia.

- Rose, jesteś dziś taka cicha. Milczysz cały dzień. - Stał obok, pochylając się nad nią. Jeszcze wczoraj ucieszyłyby się z tego, uznałyby to za takie romantyczne.

Głupia, głupia, głupia.

- Błagałam, byś pozwolił mi odjechać. Jestem w tym salonie tylko dlatego, że zażądałeś, bym zeszła na kolację. Nie podoba mi się to towarzystwo, jego zbyt swobodne zachowanie.

Para w kącie obściskała się, nie zwracając uwagi na obecnych.

- Och, ależ ty jesteś dumna. O wiele bardziej niż należy. - W jego słowach było coś takiego, że poczuła mrowienie na karku.

Lordowi Norbury nie chodziło tylko o jej brak aprobaty dla urządzonej przez niego zabawy. Ostatniej nocy odmówiła mu pewnych rzeczy. Z początku wręcz nie rozumiała, czego on chce, i nie kryła wzburzenia, gdy jej wyjaśnił.

W ciągu kilku minut czuły, wspaniałomyślny kochanek stał się rozgniewanym, zimnym panem, który zapłacił za coś więcej, niż otrzymał.

Na wspomnienie obrzydliwej sceny w jej sypialni, która rozegrała się, zanim nareszcie wyszedł, zaczęły ją piec policzki. Myślała, że jest jego ukochaną. Dał jednak jasno do zrozumienia, że uważają za zwykłą ładacznicę. Jego zjadliwe słowa pozbawiły ją iluzji, zrodzonej z samotności i poczucia beznadziejności.

- Jeśli jestem zbyt dumna, wezwij powóz i pozwól mi wyjechać. Okaż mi łaskę, pozwalając zachować tę odrobinę dumy, która jeszcze mi została.

- Bez damskiego towarzystwa we własnym domu wyszedłbym na głupca.

- Powiesz, że poczułam się źle. Albo że...

Oparł rękę na jej ramieniu, by ją uciszyć. Chwycił mocno, boleśnie. Próbowwała opanować dreszcz obrzydzenia, czując jego dotyk.

- Nic nie powiem i nigdzie nie pojedziesz. Oczekuję, że nadal będziesz mi okazywać wdzięczność za moją hojność. Jeśli mnie zadowolisz, nasz układ może zostać zachowany. Rose, lubisz piękne suknie i błyskotki. Pragniesz wygod i przyjemności, których pozbawiła cię ruina twojej rodziny.

Poczuła dławienie w gardle. Zamrugła, by powstrzymać pierwsze dnia łzy.

- Źle mnie zrozumiałeś.

- Oddałaś mi swoją nie pierwszej świeżości cnotę i swoje względy. Przyjęłaś ode mnie prezenty. Zrozumiałem cię doskonale.

Pochylił się, aż jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy. Walczyła z odruchem, by odsunąć się od tego mężczyzny z poczerwieniałą cerą, wyblakłymi oczyma i płowymi włosami, którego kiedyś szanowała. Wmówiła sobie nawet, że jest przystojny.

- Rozumiemy się, prawda? Dzisiejszej nocy nie będzie żadnych dziecinnych wymówek.

Żołądek podszedł jej do gardła.

- Zbyt wiele było nieporozumień i nic się nie zmieniło. Przez cały dzień prosiłam, byś pozwolił mi wyjechać.

Zacisnął usta i boleśnie uszczypnął ją w ramię. Całe szczęście, że nie byli sami w salonie.

- Rose, doprawdy wystawiasz moją cierpliwość na próbę.

Znów poczuła mrowienie na karku, które spłynęło jej dreszczem po plecach. Szukała w wyrazie jego twarzy śladów tamtego miłego mężczyzny, który, jak jeszcze niedawno jej się wydawało, ją kochał. Nie znalazła. Oczywiście, że nie. Ten człowiek nigdy nie istniał.

W tym momencie podszedł do nich lokaj. Norbury sięgnął po wizytówkę przyniesioną na srebrnej tacy. Przeczytał nazwisko i odszedł.

Otworzył drzwi prowadzące do biblioteki. Zanim drzwi się zamknęły, Rose zobaczyła czekającego tam wysokiego, ciemnowłosego dżentelmena.

Niepokój ścisnął jej żołądek. Starła się opanować ogarniającą ją panikę.

Po raz kolejny uświadomiła sobie, jaka jest głupia. Głupia i ślepa. To, co zносиła do tej pory, było drobnostką.

Dzisiejsza noc będzie prawdziwym zstąpieniem do piekła.

Gdy Norbury pojawił się w bibliotece, wydawał się rozgniewany. Zanim drzwi się zamknęły, Kyle Bradwell zobaczył fragment salonu.

- Bradwell, spodziewałem się ciebie wcześniej.

- Mierniczy zabrali więcej czasu, niż przewidywałem. - Kyle wskazał w kierunku salonu. - Pan ma gości. Mogę wrócić jutro.

- Nonsens. Skoro już tu jesteś, zobaczmy, co tam masz. - Twarz Norbury'ego zmarszczyła się w uśmiechu, który uchodził za dobroduszny.

Kyle uznał, że rozdrażnienie lorda nie było spowodowane późną porą jego wizyty. Jak większość mężczyzn o jego pozycji, Norbury, syn hrabiego Cottingtona nie znosił sprzeciwu. Oczekiwał, by wszyscy akceptowali to, co czyni. Najwyraźniej ktoś w salonie nie podporządkował się tej zasadzie.

Kyle rozwinął na biurku duży rulon papieru. Norbury pochylił się nad nim. Uważnie obejrzał mapę, potem wskazał palcem białą plamę przy strumieniu.

- Dlaczego zostawiłeś puste miejsce? Tu się zmieści jeszcze jeden dom. I to całkiem spory.

- Pański ojciec nie chce, by z okien na tyłach rezydencji było widać jakiś dom. Tu jest strumień, więc nie da się na tej działce postawić domu tak, by...

- On nie jest dostatecznie zdrowy na ciele i na umyśle, by podejmować takie decyzje. Dobrze o tym wiesz. Dlatego przekazał mi kierowanie swoimi interesami.

- To nadal jego ziemia i tak właśnie kazał mi postąpić. Norbury nie krył gniewu.

- Zgodził się podzielić jeden z naszych majątków na małe działki dla parweniuszy takich jak ty, a teraz martwi się o widok z okien starej rezydencji. Nigdy z niej nie korzystaliśmy, więc co go to obchodzi? Mówię ci, byś wstawił tu jeszcze jeden dom. Będzie z nich najlepszy i uzyska najwyższą cenę.

Kyle nie lubił się spierać, ale Norbury nie znał się na klasyfikacji gruntów. Nie umiał oszacować, który dom jest najlepszy, jaką cenę osiągnie. Jego rodzina daje ziemię, na której dobrze zarobi. Całe ryzyko ponosił Kyle i pozostali inwestorzy ze spółki, która miała tu zbudować domy i drogi.

- Życzenia pańskiego ojca mogą się panu wydać nierozsądne, ale spełniając je, nic nie tracimy. Nabywcy nie będą patrzeć na rezydencję, tak samo jak pańska rodzina nie chce mieć ich przed oczyma. Co więcej, by zbudować tę działkę, musielibyśmy pociągnąć dalej drogę, która przetnie pozostałe parcele i obniży ich wartość.

Norbury patrzył na palec Kyle'a, przesuwał się po mapie. Nie lubił nie mieć racji. Nikt tego nie lubi.

- Cóż, Kyle, mniemam, że będzie musiało zostać tak, jak jest - powiedział w końcu.

Zabrzmiało to jak akceptacja, jednak Kyle wiedział, że każde słowo zostało wybrane z rozmysłem. „Tak, jak jest” sugerowało, że mogłoby być lepiej. „Mniemam” wyrażało niechętną aprobatę. A „Kyle” było bardzo protekcjonalnym zwrotem.

Znali się bardzo dobrze. Od czasów dzieciństwa często się widywali. Nawet gdyby się lubili, a tak nie było, ogromna różnica pozycji i konflikt z przeszłości uniemożliwiały jakkolwiek przyjaźń. Norbury robił wszystko, by nie pozostawiać co do tego żadnych wątpliwości. Forma, w jakiej zwracał się do Kyle'a, miała pokazać parweniuszowi, gdzie jest jego miejsce.

- Spójrzmy na plany domów - rzucił rozkazująco Norbury. Kyle rozwinął kilka rysunków technicznych. Biorąc pod uwagę nastrój Norbury'ego, doszedł do wniosku, że jego podejrzenia były słuszne. Ktoś w salonie uraził dumę pana domu.

Norbury na ogół był miły, choć czasami kaprysił. Nie należał też do szczególnie bystrych. Czasem trzeba było mu wyjaśniać rzeczy oczywiste, tak jak teraz problem z zabudową tej pustej parceli. Norbury potrafił być jednak groźny, gdy zorientował się, że wytknięto mu głupotę lub zrobiono z niego durnia.

Atmosfera zrobiła się bardziej przyjazna, gdy zaczęli omawiać rozkład pokoi w domach i liczbę niezbędnych pomieszczeń dla służby. Kyle udawał, że akceptuje zdanie Norbury'ego, iż bez kilkunastu służących nie da się żyć na przyzwoitym poziomie.

- Zazdroszczę ci tej umiejętności. - Norbury westchnął, wskazując jeden z rysunków. - Szkoda, że nie studiowałem takich rzeczy. Gdyby nie moje wysokie urodzenie, kto wie, świat może zyskałby następnego Wrena. Ale cóż, *noblesse oblige...*

Kyle uśmiechnął się niezobowiązująco, zwijając rysunki w rulon.

- Spotkam się z panem w Londynie, jak to zostało ustalone. Przyniosę ostateczne plany.

- Zapowiada się długie popołudnie. Powinniśmy już wtedy mieć z Francji jakieś wieści o Longworcie. Spotkamy się wszyscy głównie po to, by zdecydować, co robimy dalej.

- Mam nadzieję, że szybko się z tym uporamy. To tylko zabiera czas.

- Nie obawiaj się, sprawiedliwości stanie się zadość. Wszyscy to przysięgliśmy. - W geście dobrej woli, na który czasem sobie pozwalał, Norbury pomógł związać rysunki.

Kyle chciał skierować się do wyjścia, zauważył jednak, że gospodarz bacznie mu się przygląda.

- Twój surdut wygląda całkiem nieźle, biorąc pod uwagę, że pracowałeś dziś na dworze.

- Nie sadiłem żywołotu.

- Całkiem przyzwoity surdut.
- Staram się, jak mogę.
- Miałem na myśli to, że prezentuje się na tyle dobrze, byś mógł usiąść z nami do kolacji. - Kiwnął głową w kierunku salonu. - Powiedziałem lokajowi, by poprosił towarzystwo do stołu, a ja przyjdę, gdy skończymy.
Norbury ruszył do drzwi jak człowiek, który oczekuje posłuszeństwa od innych.
- Zobaczysz, że będziesz się dobrze bawić.
Jako człowiek interesu, Kyle nigdy nie rezygnował z okazji, by znaleźć się w gronie ludzi bogatych i dobrze urodzonych. Arystokracja nie miała nic przeciwko temu, by się z nim spotykać. Pieniądze były ważniejsze niż pochodzenie, a on potrafił czynić ludzi bogatych jeszcze bogatszymi.
Ruszył za Norburym do jadalni. Gdy otworzyły się drzwi, stłumione dźwięki wesołej zabawy buchnęły głośną wrzawą.
Kyle w mgnieniu oka ocenił, że dzisiejszego wieczoru nie nawiąże żadnych kontaktów przydatnych w interesach. Mężczyźni zapewne należeli do wyższych sfer, ale kobiety były zwykłymi prostytutkami, wyzywająco umalowanymi i wulgarnymi, już wstawionymi, co wykluczało jakąkolwiek powściągliwość.
Wszystkie z wyjątkiem jednej.
Jasnowłosa kobieta zdumiewająco piękna i elegancka siedziała w milczeniu przy najdalszym końcu stołu. Zdawało się, że nie zauważa pozostałych gości. Patrzyła wprost przed siebie z obojętnym wyrazem twarzy.
Począwszy od skromnych piór w koafiurze i różowej sukni, aż po maniery pełne wytworności i godności, wszystko wyraźnie różniło ją od tych ludzi, którzy pozbyli się jakichkolwiek zahamowań.
Rozpoznał ją. Kiedyś, dwa lata temu, ujrzał ją w teatrze. A potem nie zwracał już uwagi na to, co się działo na scenie.
Spojrzał na Norbury'ego.
- Co tu robi siostra Timothy'ego Longwortha?

- Uwiodłem ją. Nawet nie musiałem się zbytnio starać. Zdaje się, że cała ta rodzina to nic dobrego. Miałem przyjemność wymierzyć już trochę sprawiedliwości, czekając, aż zobaczę tego łobuza na szubienicy. Roselyn miała nadzieję, że ów dżentelmen przywiózł wieści o jakiejś katastrofie, co skłoni lorda Norbury do wyjazdu na wiele dni.

Zrobiło się jej niedobrze, gdy Norbury powrócił do gości. Wzdrygnęła się, gdy przeszedł obok niej.

Ten wysoki, ciemnowłosy dżentelmen z biblioteki, który wszedł razem z Norburym, gdy zajął miejsce na drugim końcu stołu, spojrzał w jej kierunku i niewątpliwie zauważył ogarniające ją obrzydzenie.

Kobieta o imieniu Kąty, siedząca naprzeciwko, też to zauważyła. Zerknęła na zbliżającego się Norbury'ego, a potem ze zrozumieniem popatrzyła Rose prosto w oczy.

Rose spodziewała się z jej strony satysfakcji, że oto dumna dama została tak bardzo poniżona. Katy jednak uśmiechnęła się współczująco. Otaczający je mężczyźni byli zajęci rozmową, więc przechyliła się do niej dyskretnie.

- Nie układa ci się, prawda?

Było to tak nedorzeczne pytanie, że Rose omal się nie roześmiała.

- Całkiem się nie układa. Katy pokręciła głową z irytacją.

- Nie ustaliłaś warunków, co? Trzeba to robić zaraz na początku, bo inaczej sprawy źle się ułożą.

- Na to wygląda.

Norbury zatrzymał się, by pogawędzić z przyjacielem, ale z pewnością zaraz usiądzie na krześle obok niej.

- Widzisz, oni są jak mali chłopcy. Jeśli mama mówi, że nie wolno im jeść cukierków, to wiedzą, że nie będzie cukierków. Zawsze jednak znajdują się tacy, którzy będą wiedzieli, dokąd

pójść, by dostać to, co chcą. Nie ma potrzeby krzywdzić dziewczyny, jeśli inna zrobi to z ochotą za tę samą cenę, prawda?

Rose nie mogła zakwestionować doświadczenia i logiki Katy. Czuła, że Norbury już się zbliża.

Katy spojrzała na suknię i pióra we włosach Rose.

- Jeśli chcesz, możemy się zamienić. Ten George jest miły, a ja nie mam nic przeciwko takim jak twój lord, jeśli dobrze zapłacą.

- Dziękuję, ale nie chcę George'a. Nie chcę żadnego. Chcę tylko...

- Widzę, że wreszcie raczyłaś przemówić. - Lord Norbury usiadł koło niej. - Cieszę się. Nie powinnaś psuć atmosfery tego przyjęcia.

W oczach Katy Rose nadal rozważała propozycję. Spojrzała na George'a. Korpulentny brat barona zauważył to i się uśmiechnął.

Katy uznała to za zgodę. Zaczęła bezwstydnie flirtować z lordem Norbury. Rose rozpaczliwie próbowała wymyślić jakiś plan, na wypadek gdyby faktycznie doszło do zamiany.

Skierowała uwagę na nowego gościa, który wszedł razem z Norburym. Wydawał się wyższy i silniejszy od wstawionych dżentelmenów, ale może to tylko jego trzeźwość wywołała takie wrażenie. Od czasu do czasu zamieniał kilka słów z siedzącą obok niego kobietą, głównie jednak obserwował innych i jadł.

Nie miał w sobie nic wytwornego, ale można by go uznać za dość przystojnego. Nie był ubrany w strój wieczorowy, ale nie miało to tutaj znaczenia. Jego ubiór nie budził najmniejszych zastrzeżeń. Ten człowiek wyglądał, jakby przyszedł wprost od krawca.

Katy najwyraźniej czyniła postępy w uwodzeniu lorda Norbury. Ten jednak, nawet reagując na niedwuznaczne sugestie Katy, raz po raz zerkał na Rose. Na próżno starała się odgadnąć jego myśli. Coś knuł, to było oczywiste.

Wstał, by zwrócić się do gości. Powoli zapadła cisza.

- Pewnie niektórzy nie znają jeszcze jednej z obecnych tu osób - powiedział. - Chciałbym wam ułatwić zapoznanie się z nią bliżej.

Rose spodziewała się, że przedstawi nowo przybyłego mężczyznę z końca stołu. Tymczasem on wyciągnął rękę do niej.

- Wstań, moja droga.

Nie miała innego wyboru i musiała wstać. Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.

- Piękne panie, pewnie się zastanawiacie, dlaczego znalazła się wśród was ta wyniosła dama - powiedział Norbury. - Panna Longworth jest siostrą człowieka, który uciekł, zostawiając po sobie długi, a były one znaczne. Jest dobrze urodzona, ale nie dość dobrze. Jej majątek dawno zniknął, a krewni są zbyt daleko, by mieli coś do powiedzenia. Jej ostateczny upadek przypieczętowało to, że trafiła do mojego łóżka. Wolalała prezenty zamiast pieniędzy, by móc udawać, że jest inaczej, niż było. Snuła romantyczne wizje, gdy ja sugerowałem tylko zwykłą wymianę handlową. Rose zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć i nie wybuchnąć płaczem. Wszyscy patrzyli i śmiali się. Nawet Katy. Ladaczniczki kiwały głowami. Tak, panna Longworth to jedna z tych dam, które lubią udawać. One nigdy nie udawały, więc miały dla niej niewiele współczucia.

Nie, nie wszyscy patrzyli. Ten nowy gość zdawał się niczego nie słyszeć. Pił wino jakby nieświadom rozgrywającego się dramatu.

- Oto jak się sprawy mają - powiedział Norbury. - To ta kobieta. Już się nią znudziłem. Żałuję swej przychylności dla niej i prezentów, dzięki którym tak pięknie się tutaj prezentuje. Teraz wpadła mi w oko inna. - Uśmiechnął się lubieżnie do Katy, która próbowała zrobić zdumioną i zawstydzoną minę. - George myśli, że szykuje się prosta wymiana. Nie zaprzeczaj, George, widziałem, jak z nią flirtowałeś. Ja jednak myślę, że może sobie powetuje wydatki na tę suknię i całą resztę. Co wy na to, panowie? Może wystawić pannę Longworth na licytację?

Uznano, że będzie to cudowna zabawa. Śmiechom i radosnym okrzykiem nie było końca.

Rose nie potrafiła ukryć doznanego wstrząsu, co dodatkowo usatysfakcjonowało Norbury'ego.

- Nie zniosę tej zniewagi. - Odsunęła krzesło i odwróciła się, by wyjść. Norbury chwycił ją za ramię i powstrzymał.
- Panowie, ona ma charakterek i wymaga okiełznania. Już to jest warte kilku szylingów. - Ścisnął mocno. Mimo śmiechu jego spojrzenie zawierało groźbę.

Kilku mężczyzn wyprostowało się na krzesłach i spojrzęło na nią z zainteresowaniem. Rose pomyślała, że jej opór stanowi dla nich dodatkową atrakcję.

- Chwileczkę, niech pomyślę, chyba powinienem ją jakoś pozachwalać, prawda? - Norbury udał, że się zastanawia. Chciała go uderzyć. Nie, chciała go zabić. Próbowwała wyrwać rękę, ale tylko mocniej zacisnęła palce.

- Nie zrobisz tego. Zignorował ją.

- Hm, jak wszyscy widzicie, jest bardzo piękna. Zawsze uważałem ją za jedną z najpiękniejszych kobiet w Londynie.

- Ta uroda nie starczy na długo - zauważyła któraś prostytutka. - Zdaje się, że ona jest starsza ode mnie o kilka lat.

- To prawda, że jest już nie pierwszej młodości, ale mężczyzna, który ją wygra, pozbędzie się jej, zanim zblednie jej uroda. - Norbury podrapał się w głowę. - Gwoli uczciwości, powinienem również przedstawić wady, prawda? Jak by to ująć delikatnie? Nie, do licha, chyba się nie da. Honor nakazuje mi ujawnić, że nie jest szczególnie gorącą kobietą.

Roselyn ze wszystkich sił starała się nie zemdleć. Twarze wirowały wokół niej, miała wrażenie, że znalazła się na szafocie otoczona setkami obleśnie uśmiechniętych masek.

- Jestem też zmuszony dodać, że z powodu późnej inicjacji nadal wymaga porządnej tresury.

Dobry Boże.

- Mogę jej udzielić kilku lekcji - zaofiarowała się zuchwale któraś z kobiet.

Norbury skłonił się przed nią.

- Moja droga, w księdze wiedzy cielesnej ty piszesz rozdział dwudziesty, a panna Longworth nie poznała jeszcze rozdziału drugiego. Są tu mężczyźni, którzy uwielbiają występować w roli nauczycieli, i to oni powinni sięgnąć do sakiewek.

Rose nie reagowała. Zainteresowanie mężczyzn nagle wzrosło. Norbury jeszcze mocniej zacisnął palce, aż ręka jej zdrętwiała.

- Mogę też wymienić kilka rzeczy na jej korzyść - powiedział. - Po pierwsze, nie jest chciwa. Po drugie, dla tych, którzy jak ja ucierpieli z powodu ruiny finansowej jej brata, względy panny Rose będą pewnym zadośćuczynieniem...

Zszokowana, nie potrafiła zachować pozorów obojętności. Odwróciła się i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Nie miała pojęcia, że dotknęła go ta sprawa.

Pomyliła się o wiele bardziej, niż jej się wydawało. On z rozmysłem ją osaczył i uwiódł, by się zemścić.

Łajdak.

- ...i po trzecie, jak na tak jasnowłosą kobietę, ma wyjątkowo ponętne, ciemne sutki.

Wszyscy wręcz oszaleli. Pośród wrzawy rozległy się żądania pokazania wdzięków, które Norbury właśnie opisał.

Odezwała się tak, by tylko on mógł usłyszeć.

- Niech ci nawet na myśl nie przyjdzie, by ulec tej sugestii i jeszcze bardziej mnie poniżyć. Jeśli choćby spróbujesz, zabiję cię i z przyjemnością zawisnę za to na szubienicy.

Uśmiešek na jego twarzy na chwilę przygasł. Norbury rozpoczął licytację.

- Dwadzieścia pięć funtów - zaproponował George.

- Trzydzieści!

- Trzydzieści pięć - skontrolował George po chwili namysłu.

- Pięćdziesiąt!

- Sześćdziesiąt - włączył się dżentelmen o chytrym spojrzeniu. Rose został przedstawiony jako sir Maurice Fenwick.

Jego

12

zainteresowanie ją przeraziło. Wyglądało na to, że dla tego człowieka jej opór czy zgoda nie mają żadnego znaczenia.

- Sześćdziesiąt pięć - powiedział George stanowczo.

- Siedemdziesiąt.

- Siedemdziesiąt pięć - odparł natychmiast sir Maurice.

- Dziewięćset pięćdziesiąt funtów - cicha, spokojna propozycja padła nie wiadomo skąd.

Na długą chwilę zapadła pełna zdumienia cisza, a potem po sali rozszedł się szmer. Wszyscy rozejrzeli się dookoła, by zobaczyć, który z pijanych dżentelmenów stracił resztki rozsądku.

Roselyn była tak samo zdumiona jak pozostali. I poważnie zaniepokojona. Człowiek, który zapłacił dziewięćset pięćdziesiąt funtów, na pewno zażąda odpowiedniego rozrachunku.

Uwaga zebranych skupiła na nowo przybyłym gościu, który właśnie upił łyk wina.

Lord Norbury spojrział na niego, marszcząc brwi.

- Dziewięćset pięćdziesiąt? Bradwell, chyba się przejęczyłeś. Bradwell skinął na lokaja i coś do niego szeptnął, a potem

spojrział zupełnie trzeźwo.

- Bynajmniej. Proszę się nie kępować i kontynuować licytację.

Norbury rozejrzał się wokół, ale tak wysoka stawka odebrała gościom ochotę do dalszej zabawy. Bradwell czekał jak ktoś, komu się nie spieszy. Wyglądało na to, że jest bardziej zainteresowany podziwianiem kandelabru na stole niż przebiegiem gry, w którą właśnie się włączył.

Gdy cisza przeciągała się, wstał i przeszedł przez pokój.

Rose oceniła jego wygląd. Czuła, że lepiej by jej było z korpulentnym, jowialnym George'em czy nawet niebezpiecznym sir Maurice'em. Może byłoby jej lepiej nawet z lordem Norbury, który, jak się przekonała, wierzył, że jest zdolna do gwałtownych czynów.

W panu Bradwellu nie było nic niestosownego. Jego bardzo porządne ubranie i dobrze ostrzyżone, ciemne, kręcone włosy świadczyły o tym, może nawet bardziej niż wymieniona przez

niego suma, że jest człowiekiem majątnym. W świetle świec jego twarz wydawała się szorstka. Był przystojny, ale dla pełnego obrazu należałoby dodać „na swój sposób”.

Karnację miał ciemniejszą niż inni obecni tutaj mężczyźni, jakby dużo czasu przebywał na świeżym powietrzu. Krój surduta zdradzał, że uprawia jakiś sport. W jego wysokiej sylwetce i pewnych, płynnych ruchach widać było siłę. Rose nie zauważyła w nim nic szczególnie groźnego, a jednak ją zaniepokoił. Miała wrażenie, że powietrze rozstępuje się przed nim. Niemal czuła jego powiew i pragnęła, by uniósł ją gdzieś daleko. Obudziła się w niej czujność, jakiej się doświadcza, spotykając obce psy na drodze. Instynkt podpowiadał jej, by trzymać się od niego z daleka.

Stanął przy Norburym. Światło świec ukazało jego twarz. Miał bardzo niebieskie oczy, jakich Roselyn nigdy dotąd nie widziała. Skierował je na mężczyznę, który nadal trzymał jej ramię jak w imadle.

- To wszystko? - spytał cicho Bradwell. - Czy czuje się pan w obowiązku jeszcze uderzyć?

Wprawdzie „uderzyć” odnosiło się do stuknięcia młotkiem na zakończenie licytacji, jednak lord Norbury najwyraźniej inaczej zinterpretował to słowo. Zaczerwienił się.

- Jesteś głupcem, płacąc taką sumę.

- Być może, ale jeśli mężczyzna nie może zrobić z siebie głupca dla pięknej kobiety, to na co mu jego pieniądze?

- Zrobiłeś to tylko po to... - Norbury opanował się, zanim zdążył dokończyć niedorzeczne oskarżenie. W oczach zapłonęły mu lodowate błyski.

- Rosie, zobacz, do czego doprowadziła cię twoja duma. Od wicehrabiego do mężczyzny pochodzącego z dołów Durham. To chyba największy upadek w historii nierządu.

Bradwell nie zareagował na obelgę.

- Może ją pan już puścić. Zabieram ją ze sobą. W ciągu dwóch dni dostarczę pieniądze na pański adres w Londynie.

Norbury puścił ją. Rose zobaczyła na ręce ślady jego palców. Bradwell też je zauważył. Na jego spokojnej twarzy pojawił się przebłysk gniewu. Na chwilę dała o sobie znać okiełznana dzika energia. Ten człowiek nie lubił, gdy ktoś niszczył jego własność.

- Niecierpliwy, co? - rzucił głośno Norbury, by inni mogli się pośmiać.

- W samej rzeczy - odparł Bradwell. - Proszę ze mną, panno Longworth.

Nie chciała z nim iść. Obawiała się, że gdy zostaną sami, on przestanie się zachowywać jak dżentelmen. Żołądek ścisnął się jej gwałtownie na myśl, co ją może spotkać.

Pochylił się do niej. Boże, on zamierzał ją pocałować! Tutaj, na oczach wszystkich!

Pocałunek był zaledwie muśnięciem ust, ale i tak cała jadalnia zagrzmiała oklaskami i pohukiwaniami. Przysunął usta do jej ucha i szepnął:

- Nie opieraj się. Dostyc już mieli zabawy twoim kosztem. Na pewno nie masz ochoty na więcej.

Nie miała wyjścia, musiała się zgodzić na jego towarzystwo. W przeciwnym razie on spełni swoją groźbę i dostarczy im więcej rozrywki. Gotując się do czekającej ją wkrótce walki, wyszła z jadalni w towarzystwie mężczyzny, który ją kupił.

2

Panna Longworth kroczyła obok niego niczym królowa. Ryle podziwiał, jak dobrze udało się jej ukryć upokorzenie.

Nikt oprócz niego nie zauważył łez w jej oczach.

Omali się nie załamała, gdy zamknęły się za nimi drzwi. Długie wahanie przed kolejnym krokiem, jeden głęboki oddech i ruszyła dalej.

Udawała, że go nie widzi. To naturalne. Znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Oboje wiedzieli, że była zdana na jego łaskę i niełaskę. Suma, którą za nią zapłacił, dawała jej poważny powód do obaw.

Dziewięćset pięćdziesiąt funtów. Idiota. Jednak w innym wypadku ta aukcja trwałaby nadal. Dobroduszny George zresztą i tak by jej nie wygrał.

Sir Maurice Fenwick był zdecydowany zdobyć Roselyn, a sposób, w jaki ją oglądał, nie wróżył niczego dobrego. Sir Maurice był znany z dziwnych skłonności.

- Wezwałem mój powóz - powiedział Kyle. - Proszę iść z tym lokajem i spakować swoje rzeczy. On pomoże pani znieść bagaż.

Wyprostowała się jeszcze bardziej.

- Nie muszę się pakować. Wszystko, co tu jest, zostało uzyskane w haniebnym sposobie. Nie chcę mieć pamiątek po mężczyźnie, który mi je dał.

- Drogo zapłaciła pani za każdą suknię i każdy klejnot. Byłaby pani niemądra, zostawiając je tutaj.

Piękna twarz Roselyn pozostała idealnie spokojna, jednak błyski w jej oczach rzucały mu wyzwanie, gdyby próbował jeszcze bardziej pogorszyć sprawę.

- Jak pani chce.

Zdjął surdut i okrył jej ramiona. Skinął głową, by szła za nim.

- Nie pojedę z panem.

- Pojedzie pani. I to natychmiast, zanim Norbury zreflektuje się, że na to pozwolił.

Wbiła wzrok w punkt tuż przy jego głowie. Jakby próbowała ominąć spojrzeniem jakiś duży, zasłaniający widok mebel.

Podziwiał jej dumę. Teraz jednak była ona nie na miejscu. Czy Roselyn Longworth zdaje sobie sprawę, w jakim niebezpieczeństwie się znalazła tam, w jadalni?

- Panie Bradwell, pan z pewnością wie, że nie wyraziłam zgody na wzięcie udziału w tym przedstawieniu.

- Nie? Do diabła! Czuję się rozczarowany!
 - Ma pan specyficzne poczucie humoru.
 - A pani wybrała sobie kiepską porę na tę konwersację. Nie ustępowała.
 - Jeśli z panem pojedę, dokąd mnie pan zabierze?
 - Może do burdelu, by mogła pani odpracować to, co mam zapłacić lordowi Norbury. Byłoby przecież nie w porządku, gdybym został pozbawiony zarówno pieniędzy, jak i nagrody, prawda?
- Skupiła całą uwagę na jego twarzy. Starła się nadać swemu spojrzeniu wyraz pogardy, ale z jej oczu wycierał strach. Kyle pożałował swej okrutnej odpowiedzi.
- Panno Longworth, musimy ruszać. Obiecuję, że będzie pani ze mną bezpieczna. - Zmusił ją do działania, kładąc jej rękę na plecach i popychając do wyjścia.
- Dotarli aż do drzwi powozu, zanim zaczęła się opierać. Zatrzymała się i wpatrywała w ciemne wnętrze. Zmusił się, by zachować spokój.
- Nagle surdut uderzył go w twarz. Odsunął go i zobaczył, że panna Longworth odchodzi aleją w noc. Jej jasne włosy i suknia sprawiły, że wydawała się znikającą senną zjawą.
- Pewnie powinien dać jej spokój. Ale przecież nie miała dokąd wrócić, zwłaszcza w tych lekkich pantofelkach, które kobiety wkładają na przyjęcia. Najbliższy dom był oddalony o wiele mil. Gdyby coś jej się stało...
- Wrzucił surdut do powozu, polecił stangretowi, by jechał jego śladem i ruszył za nią.
- Panno Longworth, nie mogę zostawić pani samej. Już ciemno, droga nie jest bezpieczna. - Nie podniósł głosu, ale usłyszała go. Odwróciła głowę, by ocenić, jak blisko niej się znajduje.
 - Przysięgam, będzie pani ze mną bezpieczna. - Przyspieszył kroku. Ona też. Skręciła w stronę lasu przy drodze. - Niech mi pani wybaczy mój grubiański żart. Proszę wrócić i wsiąść do powozu.

Rzuciła się biegiem w stronę lasu. Jeśli do niego dotrze, będzie jej szukał godzinami. Gęsto rosnące drzewa nie przepuszczają zbyt wiele światła księżyca.

Zaczął ją gonić. Gdy usłyszała, że się do niej zbliża, jeszcze przyspieszyła. W zimnym powietrzu czuł zapach jej strachu.

Krzyknęła, gdy ją schwytał. Jak oszalała zaczęła walczyć, drapać. Dosięgła paznokciami jego twarzy.

Chwyił jej ręce, wykręcił do tyłu i przytrzymał.

Krzyknęła z wściekłości. Dźwięki jej głosu utonęły w mroku. Wiła się i szarpała jak szalona. Wzmocnił uścisk.

- Przestań - rozkazał. - Nie zrobię ci krzywdy. Powiedziałem, że jesteś ze mną bezpieczna.

- Kłamiesz! Jesteś takim samym łajdakiem jak oni!

Nagle znieruchomiała i spojrzała na niego. W jej oczach widać było determinację.

Przywarła do niego całym ciałem. Poczul na torsie jej piersi. To dobrowolne poddanie się zaskoczyło go. Zareagował instynktownie, jak każdy mężczyzna. Na pewno poczuła na brzuchu jego erekcję.

- Widzisz? Jesteś taki sam jak oni - powiedziała. - Byłabym głupia, gdybym ci zaufała.

Prawie jej nie słyszał. W świetle księżyca jej twarz była piękna. Fascynująca. Chwila przeciągała się, aż zapomniał, co doprowadziło do tego uścisku. Czuł tylko miękkość jej ciała. Zaszumiało mu w głowie.

Jej twarz złagodniała. Rozkoszne zdumienie rozszerzyło jej oczy. Lekko rozchyliła wargi. Przestała walczyć i stała się w jego ramionach delikatną, uległą kobietą.

Przysunęła usta do pocałunku. Światło księżyca jeszcze podkreśliło jej niesamowitą urodę.

Nagle ukazało też jej zęby, zbliżające się ku jego twarzy.

W porę cofnął głowę. Panna Longworth spróbowała wykorzystać okazję, by znów się uwolnić.

Przeklinając siebie, że po raz kolejny okazał się głupcem, schylił się, przerzucił ją sobie przez ramię. Okładała go pięściami po plecach. Przez całą drogę do powozu posyłała go do wszystkich diabłów.

Rzucił ją na siedzenie powozu i usiadł naprzeciwko.

- Jeśli jeszcze raz mnie zaatakujesz, to przełożę cię przez kolano i spuszczę ci lanie. Nie zrobię ci krzywdy, ale niech mnie diabli, jeśli pozwolę ci drapać mnie i gryźć, gdy zapłaciłem fortunę, by uratować cię przed ludźmi, którzy rzeczywiście mogliby cię skrzywdzić.

Nie wiedział, czy poskutkowało jego groźba, ale Roselyn Longworth skapitulowała. Powóz ruszył. Znalazł swój surdut wśród rulonów rysunków i podał go jej.

- Włóż to, bo zmarzniesz.

Posłuchała. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

- Dziewięćset pięćdziesiąt funtów to duża suma jako zapłata za nic - odezwała się w końcu.

- A więc miałem pozwolić, aby ktoś zapłacił o wiele mniej za coś? - odparł.

Wydawało się, że skuliła się pod surdudem.

- Dziękuję. - Głos, którym wyraziła wdzięczność, był cienki i drżący.

Nie płakała, choć miała po temu poważne powody. Jej duma, tak godna podziwu pół godziny temu, teraz go irytowała. Pałace zadrapania na twarzy miały z tym zapewne związek.

Zastanawiał się, czy pojmowała konsekwencje tej nocy. Uniknęła krzywdy ze strony tamtych mężczyzn, ale sprawa będzie miała dalszy ciąg, gdy towarzystwo dowie się o tym wieczorze i licytacji. A że na pewno się dowie, w to nie wątpił.

Zapewne teraz, w ciszy po burzy, tak samo jak on, szacowała straty. Norbury był rozwścieczony jego wtrąceniem się. Nie spodobało mu się, że ktoś zepsuł mu zabawę i uniemożliwił dokonanie zemsty.

- Przepraszam, że straciłam głowę.

- To zrozumiałe po tym, co pani przeszła.

Ciągle się dziwił, że tak dobrze opanował zasady zachowania i umiejętność uprzejmej konwersacji. Jednak czasami jego pierwotna natura nadal się odzywała.

- Miałam ogromne szczęście, że pan się pojawił. Tak się cieszę, że znalazł się tam jeden trzeźwy mężczyzna, zbulwersowany zachowaniem Norbury'ego.

Był zbulwersowany, a jakże, ale czy nie skorzystać z pomysłu Norbury'ego? W głowie pojawiło mu się kilka wizji, co mógłby zrobić ze zdobyczą, którą nabył za takie pieniądze, gdyby nie był tak cholernie porządny.

Było ciemno i Roselyn Longworth na szczęście nie mogła dobrze mu się przyjrzeć. On też jej nie widział. To nawet dobrze. Jej uroda była tak zniewalająca. Nie podobało mu się, że ma nad nim tego rodzaju władzę.

- Mogę panu zadać parę pytań? - Wydawała się już opanowana. Została uratowana z opałów, czego właściwie już nie oczekiwała, ale dzisiejszej nocy będzie mogła spać spokojnie.

- Proszę pytać, o co pani chce.

- Suma, którą pan zalicytował była dziwna. Wystarczyłoby chyba sto funtów.

- Gdybym zaproponował sto, sir Maurice dałby dwieście i doszlibyśmy do o wiele większej kwoty. Być może do kilku tysięcy. Zalicytowałem wysoko, żeby zniechęcić innych.

- Jeśli on gotów był zapłacić tysiące, dlaczego nie zaproponował więcej?

- Przeskoczyć ze stu do dwustu, potem do czterystu i dalej jest łatwo. Co innego przejść od siedemdziesięciu pięciu do tysiąca. Oczywiście to musiałby być tysiąc. Dziewięćset siedemdziesiąt pięć źle by zabrzmiało.

- Tak, rozumiem, o co panu chodzi. Każdy by się zastanowił, zanim tak od razu rzuciłby tysiąc. To wręcz niedorzeczna kwota.

Dziewięćset pięćdziesiąt też, zwłaszcza jeśli w zasadzie nie miało się takich pieniędzy. Rok temu mógłby spokojnie wyłożyć taką sumę. Za rok pewnie również nie będzie stanowiło to problemu. Teraz jednak uregulowanie rachunku z Norbury'm jeszcze bardziej zachwieje jego już i tak niepewnymi finansami.

Nie była to właściwa pora, by ratować damę z opresji. Nie miał jednak innego wyjścia. Chciał wierzyć, że zrobiłby to samo dla każdej kobiety.

Oczywiście to nie była przypadkowa kobieta, tylko Roselyn Longworth. Stała się łatwym łupem dla Norbury'ego, bo popadła w ubóstwo wskutek przestępczych machinacji swego brata. Kyle uznał za ironię losu, że w ten sposób Timothy Longworth zdołał wyjąć mu z kieszeni jeszcze więcej pieniędzy.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nigdy nie będę w stanie zwrócić panu tych dziewięćset pięćdziesięciu funtów. Czy spodziewa się pan, że przystanę na spłatę w jakiś inny sposób? Może oczekuje pan, że przyjmę pańskie niestosowne awanse?

Czy chodzi jej o ten incydent na drodze? Nie myślał o zapłacie. Właściwie o niczym nie myślał. Nie sądził też, że odwzajemniła jego uścisk z obowiązku. Bo przecież go odwzajemniła. Oczywiście zanim spróbowała go ugryźć.

- Panno Longworth, nie mam żadnych oczekiwań ani złudzeń co do tego, że obdarzy mnie pani swoimi względami. No, no, Kyle, aleś ty szlachetny. Idiota, a do tego jeszcze szarmancki.

A jednak wspomnienie tamtego uścisku pozostawało żywe. Zapewne pozwoli sobie jeszcze na kilka fantazji. A ponieważ drogo za nie zapłaci, nie będzie miał wyrzutów sumienia.

- Ale przecież wspomniał pan o burdelu, bym dobrze zapamiętała, że po dzisiejszej nocy do niczego innego się nie nadaję. Jestem tego aż nadto świadoma. Wiem, jak wysoka jest cena tego, co się wydarzyło.

Tak, chyba miała tę świadomość. Ale jej spokój go zastanawiał. Chłopiec z szybów węglowych hrabstwa Durham miał jej

za złe, że odzyskała zimną krew, choć równocześnie ją podziwiał. Kobieta o doszczętnie zrujnowanej reputacji nie może być tak opanowana. Powinna zalewać się łzami, tak jak kobiety w jego wiosce, gdy opłakiwały jakąś stratę.

- Panno Longworth, nie ma między nami żadnych rachunków do wyrównania. Proszę wybaczyć, że tak bezlitośnie z pani zażartowałem. Byłem zdenerwowany, że przyjdzie mi zapłacić tak wysoką cenę.

Pochyliła się do przodu, jakby chciała sprawdzić, czy jest szczery. Nikła poświata księżycy wydobyła z mroku jej rysy, duże oczy, pełne usta i piękną twarz. Nawet tak niewyraźny obraz jej urody zapał mu dech w piersiach.

- Panie Bradwell, jest pan dobry i szlachetny. Jeśli chce mnie pan zbesztać, wytykając mi, że sama przyczyniłam się do swego upadku, to przynajmniej powinnam okazać wdzięczność i pana wysłuchać.

Nie zbeształ jej. W ogóle niewiele się odzywał. Wolałaby, żeby coś mówił. Dzięki rozmowie nie czułaby się tak niezręcznie. W ciszy pozostawała sama ze swoimi troskami, a jego obecność zaczynała ją przytłaczać.

Nie mogła się odsunąć dalej. Stos dużych rulonów papieru zajmował prawie pół powozu. Zastanawiała się, co to jest. Pozostawała czujna na każdy ruch z jego strony. Wiedziała, że znalazła się na łasce i niełasce tego mężczyzny. On też był tego świadom, a to, co stało się tam, w alei, dodatkowo komplikowało sprawę.

Odsunęła od siebie to wspomnienie. Nie chciała myśleć o tym, jak łatwo przez głupotę znów opacznie zrozumiała intencje mężczyzny. Nie chciała pamiętać, jak szybko poczuła podniecenie, co nie przystoi przyzwoitej kobiecie.

Wspomniał o kosztach, które będzie musiał ponieść. Zastanawiała się, co to mogło znaczyć. Jego nazwisko będzie wymieniane w plotkach o tym przyjęciu, ale nie zniszczy mu to reputa-

cji, jako że jest mężczyzną. W niektórych kręgach będzie wręcz uważany za bardziej atrakcyjnego.

A może nie miał pieniędzy, by uregulować to dziwne zobowiązanie?

Jeśli nie zapłaci, będzie skończony we wpływowych kręgach. A pewnie nawet tam, w kopalniach Durham.

Rose zastanawiała się, co Norbury miał na myśli, mówiąc o slumsach. Sposób mówienia i manieri pana Bradwella nie wskazywały na to, że pochodzi z nizin społecznych.

- Jeśli nie zabiera mnie pan do burdelu w Londynie, to dokąd jedziemy?

- Do pani kuzynki. W lokalnej gazecie przeczytałem, że przebywa w posiadłości swego męża w Kent.

Ten człowiek nie przestawał ją zadziwiać. Był nawet zorientowany w sprawach jej kuzynki Alexii.

- Nie miałam pojęcia, że przyjechała z Londynu. Szkoda, że nie wiedziałam. Mogłam uciec dzisiaj rano i dotrzeć tam pieszo.

- To przynajmniej godzina drogi powozem. Nie dałaby pani rady dojść. Podejrzewam też, że nie udałoby się pani uciec.

- Wie pan może, czy jest tu sama?

- W gazecie wspomniano, że przyjechała z rodziną.

To prawdopodobnie oznaczało, że była z nią Irenę. Przynajmniej zobaczy siostrę, zanim... Łzy napłynęły jej do oczu. Zagryzła wargę tak mocno, że poczuła smak krwi. Myśl o zobaczeniu Alexii i Irenę rozstroiła ją całkowicie.

- Przypuszczam, że jest z nią lord Hayden - powiedziała łamiącym się głosem. Sylwetka Bradwella zamazała się jej przed oczami. - Błagam, nie jedźmy tam.

- Nie mogę zatrzymać się z panią w zajeździe.

- Dlaczego? Moja reputacja i tak jest już doszczętnie zrujnowana.

- Ale moja nie.

- Tak. Oczywiście. Rozumiem. Przepraszam. Nie chcę narażać pana na jeszcze większy skandal. Chodzi o to, że lord

Hayden był już dla mnie aż nadto łaskawy, a ja w przeszłości okazałam niewdzięczność. Jeśli teraz pojawię się na jego progu z tą okropną, beznadziejną...

Wyrwał jej się z gardła szloch, który zdławił słowa. Znów mocno zagryzła wargę. Tym razem to nie pomogło.

Ujął jej dłoń i wcisnął w nią chusteczkę. Ten dotyk palił jej skórę. Nie był bolesny, jak dotyk Norbury'ego.

Przypominał tamten uścisk w alei.

Tak dotykać może tylko przyjaciel. Nagle opuścił ją lęk. Wreszcie z całą pewnością wiedziała, że jest bezpieczna.

Opuściło ją też opanowanie. Jej wybawca nie wysiłał się, by ją pocieszyć. Rozumiał, że nic nie może zmienić tego, co się wydarzyło.

Jej opanowanie go irytowało. A teraz jej łkanie wprawiło go w zakłopotanie.

Walczył z odruchem, by wziąć ją w ramiona, utulić. Mógłby ją przerazić. Wiedział, że Roselyn Longworth nadal ma co do niego wątpliwości. Tam w alei przekonała się, że on jej pożąda, dlatego też mogła kwestionować jego intencje.

Nadal płakała. Odsunął rysunki i plany i usiadł obok niej. Objął ją ostrożnie, gotów się szybko cofnąć, gdyby chciała pozostać sama ze swoim nieszczęściem.

Nie chciała. Płakała na jego ramieniu. Obejmował Roselyn, starając się ignorować to, że czuje ją wszystkimi zmysłami. Przełknął cisnące mu się na usta słowa fałszywych zapewnień. Domyślał się, że z miejsca by je odrzuciła.

Podejrzewał, że panna Longworth już nigdy siebie nie okłamie w żadnej sprawie.

Powóz skręcił z drogi. Roselyn zrozumiała, że podróż dobiega końca. Dzielnie starała się powstrzymać łzy. Bradwell nakazał stangretowi zwolnić, by dać jej więcej czasu.

Odzyskała panowanie nad sobą, zanim dotarli na miejsce. Nie zrobiła nic, by się wysunąć z jego ramion. Obejmował ją, dopóki powóz się nie zatrzymał.

Wysiadł i podał jej rękę.

Spojrzała na dom. Pionowe linie klasycznych kolumn i szeroka fasada przypominały świątynię.

- Jest środek nocy. Wszyscy już śpią - powiedziała.

- Przy drzwiach na pewno jest jakiś służący. Chodźmy.

Wzięła go za rękę. Był to miękki, ciepły dotyk. Wysiadła z powozu. Chwila namysłu, jeden głęboki oddech i ruszyła z nim do drzwi. Trzymała się go jak przestraszone dziecko.

W końcu służący odpowiedział na pukanie.

- To panna Longworth, kuzynka lady Alexii - wyjaśnił Kyle. - Proszę zapytać lorda Hayden, jeśli jest w domu, czy nas przyjmie.

Służący wprowadził ich do biblioteki. Kyle przyjrzał się doskonałym proporcjom tego pomieszczenia.

Doświadczonym okiem ocenił, że nawet rzeźbione drewniane doryckie kolumny, zdobione regały z książkami, były wierne antycznym proporcjom. Lord Hayden wolał czysty klasycyzm, oparty raczej na greckim, niż rzymskim porządku.

Panna Longworth nie chciała usiąść. Oddała mu surdut i zaczęła chodzić wokół pokoju, mnąc jego chusteczkę w rękach.

- Panie Bradwell, niech pan zostanie, gdy będę wszystko wyjaśniać. Lord Hayden to dobry człowiek, ale... po tym wszystkim... Ta historia wyprowadziłaby z równowagi nawet anioła. Jego miłość do mojej kuzynki może nie wystarczyć, aby oszczędził mi gniewu.

Kyle spotkał lorda Hayden tylko raz. Wydał mu się surowym człowiekiem. Wiedział też, co panna Longworth miała na myśli, mówiąc o „tym wszystkim”. Może jednak lord Hayden był tak zakochany w swojej żonie, że zapominał o surowości, gdy spotykał się z jej krewnymi?

Panna Longworth stała w obliczu całkowitej ruiny, jednak Kyle zakładał, że lord Hayden na pewno nie dopuści, by głodowała wykluczona z rodziny i towarzystwa.

- Jeśli pani sobie życzy, zostanę, dopóki pani wszystkiego nie wyjaśni.

Lordowi Hayden, gdy się pojawił, towarzyszyła jego żona. Oboje byli w dezabilu, on w bonzurce z ciemnoniebieskiego brokatu, ona w bladożółtym szlafroku i obszytym koronką czepku, który prawie w całości zakrywał jej ciemne włosy. Kyle nigdy nie został przedstawiony lady Alexii. Wydawała się miłą kobietą, mniej więcej w wieku panny Longworth. Pewnie miała dwadzieścia kilka lat. W jej szarofiołkowych oczach widoczny był wyraźny niepokój o kuzynkę.

Lord Hayden wydawał się zrezygnowany, jakby nie spodziewał się niczego dobrego, skoro został zerwany z łóżka przez kogoś z rodziny Longworthów. Jego bystremu spojrzeniu nie umknęła suknia panny Longworth, poplamiona przy próbie ucieczki. Dłuższy czas przypatrywał się twarzy Kyle'a, oceniając zadrapania najwyraźniej będące dziełem kobiety.

Panie uściśniły się na powitanie. Panna Longworth dokonała prezentacji. Lord Hayden w milczeniu kiwnął głową na znak, że nie jest to potrzebne, bo on i Kyle już się kiedyś spotkali.

- Pan Bradwell pomógł mi uciec ze spotkania w domu lorda Norbury - oznajmiła panna Longworth.

Lord Hayden rzucił żonie wymowne spojrzenie. Spojrzenie mężczyzny, który wiedział o tym romansie i od początku nie spodziewał się po nim niczego dobrego.

- Obawiam się... - dodała panna Longworth po niezręcznej pauzie. - Podczas tego spotkania wydarzyło -się coś niewymownie skandalicznego, co za kilka dni będzie wiadome całemu światu. Pan Bradwell przywiózł mnie tutaj, ponieważ nie było w pobliżu innego odpowiedniego miejsca, jednak jutro, z samego rana, poproszę o umożliwienie mi podróży z powrotem do Oxfordshire.

- Co dokładnie się wydarzyło? - spytał lord Hayden. Opowiedziała im. Z brutalną szczerością. Bynajmniej siebie nie oszczędzała. Wzięła na siebie całą winę za doprowadzenie do obecnej sytuacji, co Kyle uznał za trochę zbyt surowe. Włączenie jej do grona ładacznic, sprzedaż na licytacji, jej głupota w opacz-

nym zrozumieniu względów Norbury'ego. Wszystko było jasne, szczegółowe i szczerze. Bezlitośnie szczerze.

- Jutro wrócę do Oxfordshire - zakończyła. - Jeśli zniknę z tego świata, jeśli zerwiemy wszelkie kontakty towarzyskie, być może zbytnio nie dotkną was konsekwencje mojego zachowania.

- Nie działaj pochopnie - zawołała lady Alexia. - Na pewno nie jest tak źle, jak mówisz. Haydenie, powiedz jej, że nie musi zrywać z nami kontaktów. Jeśli my...

- Nie, Alexio - przerwała jej panna Longworth. - Wiem, jak musi być. Ty też to wiesz. Nie zmuszaj swojego męża, by ci to nakazał.

Lady Alexia wydawała się bliska łez. Panna Longworth panowała nad sobą. Kyle uklonił się im obu i cofnął o krok, nie chcąc być świadkiem tego rodzinnego nieszczęścia.

Panna Longworth spojrzała mu w oczy.

- Przepraszam, że panu nie ufałam. Bardzo przepraszam za te zadrapania. Dziękuję panu za jego dobroć.

Nie znalazł słów, by jej odpowiedzieć. Wyszedł z biblioteki. Zauważył, że lord Hayden ruszył jego śladem.

- Bradwell, niech pan mi powie... Czy to było tak plugawe, jak ona mówi? Czy też jest jakaś nadzieja, że może... - Wzruszył ramionami, niezdolny wymyślić, co by to mogło być.

- Lordzie Hayden, czy faktycznie chce pan znać prawdę? Hayden się zawahał.

- Tak, chyba tak.

- On publicznie okazał, że uważają za zwykłą ladacznicę, i tak ją właśnie traktował w obecności kilkunastu mężczyzn, których widuje pan codziennie w swoich klubach. Jest mi jej szczerze żal, ale akurat tego członka rodziny Longworthów pańskie pieniądze i opieka nie mogą ocalić.

Na tę aluzję w ciemnych oczach lorda Hayden pojawił się gniew, który jednak szybko minął. Jego miejsce zajęła smutna rezygnacja.

- Bradwell, jestem panu wdzięczny, że wkroczył pan, by ją obronić, i zaofiarował jej opiekę. W sali pełnej dżentelmenów tylko pan zachował się, jak na dżentelmena przystało.

- Skoro byłem tam jedynym mężczyzną spoza towarzystwa, chyba raczej to powinno wywołać prawdziwy skandal, nie sądzi pan?

Kyle opuścił dom, w którym już wkrótce zapanuje żalobny nastrój.

Poszedł do powozu, czując chłód nocy. Zapach panny Long-worth pozostał na jego surducie. Wypełniał mu nozdrza, opanowywał jego umysł.

Lord Hayden upewnił się, że powóz będzie gotów wczesnym rankiem, pożegnał się i poszedł się położyć. Alexia pociągnęła Rose na kanapę i kazała jej usiąść.

- Dziękuję Bogu, że pan Bradwell zainterweniował, by cię obronić.

- To bardzo przyzwoite z jego strony. Aja w podzięcie podrapałam mu twarz.

- Byłaś wzburzona. Jestem pewna, że to zrozumiał. Tak, wszystko zrozumiał.

Przypomniała sobie, jak wyglądał, gdy szedł do niej po licytacji. Żaden z mężczyzn nie śmiał zaprotestować. Nawet lord Norbury. Ci pijani głupcy zobaczyli w nim człowieka lepszego od nich.

Pomyślała o jego delikatnym uścisku tam w powozie, gdy zalewała się łzami. Jego siła dała jej ukojenie. Rose żałowała, że już nigdy nie będzie mogła się na niej wesprzeć. Wspomnienie jego zapachu, dotyku jego kamizelki i koszuli powróciło do niej żywe i wyraźne, dając jej kilka chwil wytchnienia.

Cały czas myślała o tym, jak mocno ją chwycił, gdy próbowała uciekać. Powinna być przerażona jego obcesowym traktowaniem, a jednak jego ramiona wydały się jej bezpiecznym schronieniem. Przycisnęła się do niego mocniej, by zmylić jego czujność, a tymczasem sama przeżyła zaskoczenie.

Na chwilę zapomniała o strachu przed nim, nawet gdy zobaczyła pożądanie w jego twarzy i poczuła je na brzuchu. Szczerze mówiąc, zareagowała jak ladacznica, za którą uznał ją Norbury. W jej żyłach zaczęło pulsować podniecenie. To nią wstrząsnęło i doprowadziło do ostatniej, rozpaczliwej próby ucieczki.

- Cóż za koszmar przeżyłaś. Norbury postąpił wobec ciebie w sposób wyjątkowo niegodziwy. - Szloch przerwał słowa Alexii. Rose poczuła łzy pod powiekami. Objęła Alexię.

- Proszę, uspokój się. Norbury to łajdak, ale ja też byłam głupia. Powinnam wiedzieć, że nie ożeni się ze mną. Nie po tym, co zrobił Tim. Uległam złudzeniu, że znaczę dla niego coś więcej, ale teraz wiem, że jego słowa miłości były tylko częścią gry.

Alexia zamrugła, by powstrzymać łzy.

- Mówiłaś o całkowitym zerwaniu kontaktów z nami. Ze będziesz dla mnie jak umarła. Chyba nie zamierzasz... Rose, nie zniosę myśli, że mogłabyś przechodzić z rąk do rąk. Proszę, obiecaj mi, że przynajmniej przyjmiesz od nas pieniądze, byś nigdy nie znalazła się w tak rozpaczliwej sytuacji, aby zostać czyjąś utrzymanką.

- Nie obawiaj się. Odkryłam, że jestem bardzo złą kochanką, a jako kurtyzana byłabym jeszcze gorsza. Po pierwsze, podobno żądam za mało klejnotów, a po drugie, mój kochanek nie odczuwałby dostatecznej rozkoszy.

- Przyjmiesz więc w końcu pieniądze?

To od dawna była kość niezgody między nimi. Z początku, po finansowej ruinie Timothy'ego, duma kazała Rose odrzucić pomoc lorda Hayden. Duma, a także gniew, płynący z przeświadczenia, że to Hayden był winny upadku Tima. Potem, gdy odkryła, że lord Hayden w rzeczywistości ochronił Timothy'ego, duma ustąpiła miejsca rozgoryczeniu i zażenowaniu.

- On spłacił wszystkie długi. Uratował naszą posiadłość w Oxfordshire. Przyjął jeszcze więcej byłoby...

- Musisz. Rose, nie zadawaj mi bólu. Wystarczy już, że cię stracę. Czy mam jeszcze zamartwiać się, że jesteś sama, głodna i chora w pustym domu?

- Nie będę głodować. Pieniądze z dzierżawy zapewnią mi chleb i opał. Muszę cię prosić o pomoc w innej sprawie. Irene... - Wzmianka o siostrze tak ją poruszyła, że nie mogła mówić dalej.

- Oczywiście pozostanie z nami - uspokoiła ją Alexia. - Pobyt u nas przez ostatni miesiąc bardzo się jej podobał. Rose wysłała Irene z domu, by nie dowiedziała się o jej romansie z Norburyem. Teraz jej siostra dotkliwie ucierpi z powodu skandalu, który ten romans wywołał.

- Czy jest u was szczęśliwa? - spytała.

- Woli być w Londynie, ale znalazła przyjaciół również tu, na wsi.

- Będą wygadywać różne rzeczy i unikać jej. O wszystkim się dowie. Znienawidzi mnie.

- Rose, ona wydorosłała. Już nie jest tak skupiona na sobie. Nawet przeprosiła Haydena za to, co mówiła zeszłej wiosny. Przetrwa plotki.

Rose wyobraziła sobie, jak Irene będzie próbowała przetrwać, co zasmuciło ją jeszcze bardziej.

- Alexio, myślisz, że jest dla niej jeszcze jakaś nadzieja na przyszłość?

- Hayden i jego bracia będą ją traktować jak członka rodziny, więc zostanie jej oszczędzone najgorsze. Ma też te pięć tysięcy od twojego brata, choć teraz żałuję, że poprosiłaś Haydena, by oddał je w zarząd powierniczy na jej rzecz. Tobie chyba bardziej by się przydały.

- Alexio, to zyski z przestępstwa. Nie mogłabym ich tknąć. A Irene nie będzie wiedziała, skąd pochodzą.

Alexia pogładziła dłoń Rose, jak matka uspokajająca dziecko. Rose nagle poczuła się całkowicie wyczerpana, zbrukana. Była mądrzejsza niż sześć miesięcy temu, ale tamta naiwność wydawała jej się teraz rajem.

- Alexio, jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę dzisiaj spać u Irene. Wyjadę o świcie, ale przedtem wszystko jej wyjaśnię, by wiedziała, dlaczego już do mnie nie wróci.

Ani teraz, ani nigdy. Przy pożegnaniu z Ireneę pewnie pięknie jej serce.

Przytuliła się do Alexii i oparła głowę na jej ramieniu.

- Obejmij mnie na chwilę, moja najdroższa przyjaciółko. Już wkrótce będę dla was obu jak umarła. Nie mogę się z tym pogodzić.

3

Jordan niósł list przez pokój, jakby krocząc w takt niesłyszalnych fanfar. Jego cienki, spiczasty nos był uniesiony wyżej niż zwykle, przez co niemodny kucyk z siwiejących włosów opadał mu na plecy.

- Sir, to zostało dostarczone osobiście. Przed chwilą. Przez posłańca. Posłańca w liberii.

Kyle zrozumiał zachowanie swego służącego, gdy spojrzał na list. Papier musiał kosztować przynajmniej pięć funtów za ryzę. Pieczęć dodatkowo podkreślała wysoki status nadawcy.

Rozpoznał herb markiza Easterbrook.

No, no.

- Jordan, powiedz mi, czy można tak po prostu złamać pieczęć, czy też najpierw trzeba odprawić jakiś rytuał?

Jordan ściągnął usta i zmarszczył brwi. Uważał się przecież za znawcę, do którego syn górnika może się zwrócić o radę dotyczącą subtelności zasad w wyższych sferach.

- Rytuał? Nie wydaje mi się... Ach, pan żartuje. Cha, cha, nie, nie słyszałem o żadnym rytuale.

- Hm, jeśli jednak dowiesz się, że jakiś jest, to nie mów nikomu, że go pominęliśmy.

Kyle złamał pieczęć. Jordan wyciągnął szyję, mając nadzieję, że zdoła podpatrzeć kilka słów.

- Zostałem zaproszony do markiza Easterbrook - powiedział Kyle. - Chociaż bardziej wygląda to na wezwanie.

31

- Co tam jest napisane?
- Ze Easterbrook chętnie przyjmie mnie dziś po południu.
- To zwykłe zaproszenie.
- Świetnie. W takim razie mogę je odrzucić. Odpiszę, że żałuję, ale jestem już umówiony.
- Och, dobry Boże, nie! - zawołał Jordan. - Gdy markiz zaprasza pana, to pan musi iść.

Kyle wiedział, jak to się odbywa. Nieraz już dostawał podobne zaproszenia. Spoglądał na list, pozwalając, by Jordan trochę się podenerwował.

Podobno Easterbrook w ogóle rzadko kogokolwiek przyjmował, a już zwłaszcza ludzi takich jak Kyle Bradwell. Christian Rothwell, markiz Easterbrook, był starszym bratem lorda Hay-den Rothwella. Niewątpliwie usłyszał o tym przykrym epizodzie z panną Longworth cztery dni temu. Prawdopodobnie chciał się upewnić, że jej wybawiciel nie będzie tą historią rozweselał towarzystwa albo w inny sposób nie wykorzysta upadku jego krewnej.

Kyle zdecydował, że odpowie na wezwanie, ale z własnych powodów. W trakcie rozmowy mógłby się dowiedzieć, jak się powodzi pannie Longworth. Przez te ostatnie dni często o niej myślał.

- Jeśli pan sobie życzy, przygotuję odpowiedni ubiór - powiedział Jordan.
- Świetnie, ale nie przesadzaj. To nie audiencja u króla. Odłożył „zaproszenie” na bok. Spotkanie z Easterbrookiem będzie bez wątpienia krótkie. Pogróżki nie zajmą markizowi wiele czasu.

Kyle nigdy nie był wewnątrz domu na Grosvenor Square. Choćby z tego powodu wizyta u markiza była interesująca. Przyglądał się budynkowi i umeblowaniu, gdy służący prowadził go do salonu.

Wielki salon został urządony bardzo luksusowo. Wystrój wnętrza w stylu, który już nieco wyszedł z mody, nadal robił

wrażenie dzięki gustownemu dobraniu bogatych ozdób i mebli. Każdy element, od dywanów po stiuki, od kinkietów po sznury przy zasłonach, był w najlepszym gatunku.

Kyle musiał długo czekać na przyjęcie tak wspaniałomyślnie mu zaofiarowane. Zajął się więc studiowaniem obrazów wypełniających ściany. Starał się odgadnąć nazwiska malarzy.

- Ten jest przypisywany zarówno Ghirlandaio, jak i Verrocchio. Co pan o tym sądzi?

Słyszac pytanie, Kyle się odwrócił. Trzy jardy od niego stał ciemnowłosy mężczyzna. Markiz, jak się domyślił. Nie tylko ze względu na jego podobieństwo do lorda Hayden. Żaden służący nie ubrałby się w ten sposób, bez kamizelki i krawata, i nie nosiłby długich włosów, rozpuszczonych na ramiona.

- Nie wiem - odparł Kyle.

- Patrzył pan na obrazy tak, jakby je pan rozpoznawał. Kyle wzruszył ramionami.

- Potrafię odróżnić Rafaela od Botticellego.

- To i tak więcej niż inni. - Markiz wskazał krzesła i otomanę. - Usiądźmy tutaj. Zaraz przyniosą nam coś... Zapewne kawę.

Kyle usiadł na krzesle, Easterbrook na otomanie. Markiz zmierzył gościa długim, uważnym spojrzeniem. Kyle odwzajemnił się tym samym. Czas mijał w milczeniu, gdy tak się nawzajem taksowali.

- Panie Bradwell, wydaje mi się pan interesującym człowiekiem. - Mimo krytycznego wzroku na ustach markiza pojawił się lekki uśmiech. - Wcale nie jest pan skrepowany. Niewątpliwie patronat Cottingtona pozwolił panu oswoić się z ludźmi z mojej sfery. Być może zrodził w panu również pogardę do nas.

Wyglądało na to, że Easterbrook postarał się zasięgnąć o nim informacji, zanim wysłał list.

- Nie czuję pogardy do ludzi takich jak pan. Gdyby tak było, nie znalazłbym się tutaj. Po prostu czekam, by dowiedzieć się, dlaczego chciał się pan ze mną spotkać.

- Czekając, bardzo śmiało mi się pan przygląda. Co pan myśli?

- Zastanawiam się, jak bogatym musiałbym być, by nie ścisnąć sobie szyi krawatem.
- Tak bogatym, by nie przejmować się opinią innych. Obaj wiedzieli, że pieniądze nie mają z tym nic wspólnego.
- A gdy pan patrzy na mnie, co pan myśli? Easterbrook jeszcze raz uważnie obrzucił go spojrzeniem.
- Myślę, że widzę przyszłość.

Weszli służący, niosąc tace z dzbankami kawy i herbaty, karafkami i ciastkami. Wyglądało na to, że służba aż nadto sumiennie postanowiła spełnić polecenie Easterbrooka.

Minał kwadrans, w czasie którego służący podawali napoje. W końcu markiz machnięciem ręki odprawił ich wszystkich z salonu.

- Zdaje się, że parę dni temu został pan przedstawiony mojemu bratu - odezwał się Easterbrook.

Wreszcie przechodzili do rzeczy.

- W zasadzie poznałem lorda Hayden już wcześniej. Prawdą jest jednak, że spotkaliśmy się kilka dni temu w Kent.

- Wrócił właśnie do Londynu. Przywiózł ze sobą Alexię. Słyszałem, że jest nieutulona w żalu z powodu swojej kuzynki. Bardzo lubię moją bratową. Spodziewa się dziecka i jej stan psychiczny bardzo mnie niepokoi.

- Przykro mi słyszeć, że jest tak zrozpaczona. Ma pan może jakieś wieści o jej kuzynce? Czy ma się dobrze?

- Nic nie wiem na temat samopoczucia panny Longworth. - Najwyraźniej to pytanie z jakiegoś powodu wydało się gospodarzowi interesujące. - Mój brat przyjechał do miasta, by upewnić się, czy już wszyscy wiedzą o tym, że przywiózł pan pannę Longworth do ich domu w Kent zaledwie godzinę po zabraniu jej ze spotkania u Norbury'ego. Wieść o skandalu rozchodziła się szybko coraz szerzej, ściągając na Kyle'a więcej uwagi, niżby sobie życzył. Jego służący, Jordan, został zaczepiony na ulicy przez jakiegoś typa z bruko-

wej gazety, który spytał go, czy panna Longworth mieszka teraz u pana Bradwella.

Easterbrook wstał. Chodził bez celu, zajęty swoimi myślami.

Nie, nie bez celu. Ciągle krążył wokół Kyle'a.

- Zabiegi Haydena uratują pańską reputację. Przypuszczalnie zostanie pan uznany za tak porządnego, że niewiele już pan będzie miał radości z życia - rzucił Easterbrook. - Moje pytanie brzmi: czy można coś zrobić, by uratować również pannę Longworth, aby Alexia nie była tak nieszczęśliwa.

- Ile czasu panna Longworth spędziła w moim towarzystwie to najmniejszy problem - odparł Kyle.

- Proszę mi opowiedzieć wszystko. Służba przynosi mi tylko jakieś strzępy plotek, a mój brat powtarza w kółko, że panna Longworth jest stracona.

Kyle opisał tamten wieczór tak, jak go widział. Easterbrook krążył wokół niego i słuchał. Zadał parę pytań, by wyjaśnić szczegóły.

- Wygląda na to, że panna Longworth wdała się w romans z Norburym, bo myślała, że ją kocha, a on z rozmysłem ją zniszczył. Zadaję sobie pytanie, czy miał po temu jakiś powód. Zakładam, że tak. Chyba chodzi ojej przekłętą brata.

Kyle wymownie pozostawił ten wniosek bez komentarza. W duchu przyznał, że Easterbrook rozumie ludzkie motywacje lepiej niż inni.

Markiz nagle przerwał posępne rozmyślenia. Usiadł na otomanie, tym razem bliżej Kyle'a. Nastąpiła kolejna dłuższa obserwacja.

- Zalicytował pan bardzo dużą sumę. Sprytne posunięcie, ale dosyć kosztowne.

Po raz pierwszy od chwili, gdy wszedł do tego domu, Kyle poczuł się nieswojo. Nie podobało mu się to, w jaki sposób markiz na niego teraz patrzył. Instynkt podpowiadał mu, że otwarta groźba byłaby lepsza od tego, co knuł ten człowiek.

- Zapłacenie tej kwoty musiało poważnie nadszarpnąć pańskie finanse.

- Jakoś sobie poradziłem.

Z trudem. Dwa dni temu podpisał kolejne weksle, o których wolał nie myśleć.

Easterbrook rozparł się na otomanie.

- Panna Longworth to bardzo piękna kobieta. Nie sądzi pan?

- Bardzo piękna.

Dlaczego odniósł wrażenie, że przytakując, właśnie ustąpił pola w bitwie?

- Wydaje mi się, że panna Longworth nie musi być stracona dla mojej bratowej. Moim zdaniem przy odrobinie wysiłku możemy zatuszować to, co najgorsze, a wtedy będzie miała jakąś przyszłość. Możemy ją uratować.

Do diaska, kogo miał na myśli, mówiąc: „możemy”?

- Podobno rzadko opuszcza pan ten dom, więc może zapomniał pan, jak to wszystko się odbywa. Nie uda się ocalić nawet strzępka jej reputacji. Pański brat to wie. Wie to nawet sama panna Longworth.

- To dlatego, że mój brat i panna Longworth zaakceptowali scenariusz Norbury'ego. Jednak w rękach innego reżysera te wszystkie sceny mogą się ukazać widowni w innym świetle. Należy tylko zmienić zakończenie. - Markiz machnął od niechcienia ręką, jakby to była drobnostka.

Kyle z trudem opanował ironiczny śmiech. Easterbrook myślał, że może zmienić przeszłość i los człowieka.

- Bradwell, pozwoli pan, że pokażę mu, jak można inaczej spojrzeć na tę historię. W moim scenariuszu cnotliwa kobieta zostaje zwabiona przez libertyna na tajemną imprezę. Tam odkrywa, że jego zamiary nie są uczciwe. Gdy mu się opiera, on dokonuje zemsty i publicznie ją upokarza w sposób, który niewątpliwie doprowadzi do jej upadku. To przekonująca opowieść, prawda?

Kyle wzruszył ramionami. Opowieść była przekonująca, zgodna z faktami. Jednak rozmijała się z prawdą w najważniej-

szym punkcie. Panna Longworth straciła cnotę, jeszcze zanim pojawiła się na owym spotkaniu. Uległa uwodzicielowi bez względu na jego motywacje.

- Nikt nie ma co do tego całkowitej pewności. - Easterbrook zdawał się czytać mu w myślach, co było piekielnie irytujące. -Mają na to tylko słowo łotra. W mojej wersji Norbury'emu psuje szyki szlachetny rycerz. Mężczyzna, po którym najmniej by się tego spodziewano, ryzykuje na tamtej kolacji majątek, by ocalić niewinne biedactwo od losu gorszego niż śmierć.

- Popada pan w melodramat.

- Widownia uwielbia melodramaty, a romanse kocha jeszcze bardziej niż skandale. Pora więc na nowy finał. Rycerz nie wykorzystuje pięknej damy, choć mógłby domagać się dowodów wdzięczności. Zamiast tego zapewnia jej opiekę i odwozi ją do jej rodziny. - Znów to machnięcie od niechcenia. - A potem się z nią żeni.

Żeni się.

Kyle spojrział Easterbrookowi w oczy. Do diaska, ten człowiek nie żartował.

- Pan oszalał.

- To idealne rozwiązanie.

- To niech pan sam się z nią ożeni.

- Ja nie jestem owym rycerzem. Poza tym ona się nie nadaje na żonę dla mnie. Jest tak piękna, że przez chwilę zastanawiałem się, czy nie uczynić jej moją kochanką, ale ponieważ jest kuzynką mojej bratowej, to cóż...

Do diabła, markiz wcale nie był lepszy od Norbury'ego.

- Ma pan rację. Bywają chwile, gdy czuję pogardę dla ludzi takich jak pan.

- Powiedziałem, że się nad tym zastanawiałem, a nie, że się do niej zalecałem. - Easterbrook wcale nie był urażony. -

Rozumiem jednak, dlaczego moje przyznanie się mogło urazić pana poczucie przyzwoitości. Biedna panna Longworth, tak bezbronna wskutek rodzinnej ruiny i własnego ubóstwa, przyciąga te wszystkie arystokratyczne sępy...

37

- Niech pana diabli!

Wypowiedziane przekleństwo zawisło w powietrzu. Kyle zacisnął zęby, walcząc z nagłym przyływem gniewu.

- W obecnej sytuacji przyszłość panny Longworth prawdopodobnie ogranicza się do łóżek owych sępów. Jeśli jednak wyjdzie za mąż, ma szansę na przyzwoite życie - rzucił Easter-brook. - Dziś rano zastanawiałem się, ile by mnie kosztowało, żeby pana do tego przekonać. Zważywszy pana oburzenie, może nie tak dużo, jak myślałem.

- Niech pan kupi kogoś ze swojej sfery. Mężczyznę bardziej odpowiedniego do jej pozycji. Na pewno znajdzie się na sprzedaż jakiś piąty syn barona.

- To by nie pasowało do mojego scenariusza. Jeśli pan się z nią ożeni, ta licytacja będzie romantycznym początkiem, a nie plugawym finałem.

Easterbrook cały czas patrzył na niego z piekielną arogancją. Kyle miał ochotę uderzyć pięścią w tę pełną zadowolenia twarz. Zamiast tego wstał i ruszył do drzwi.

Easterbrook jakby nigdy nic mówił dalej za jego plecami:

- Małżeństwo z nią poprawi pana pozycję. Ma pan pieniądze i wykształcenie. Nauczył się pan stosownie ubierać i zachowywać, ale sam nigdy pan nie otworzy niektórych drzwi. Natomiast jeśli pana żoną będzie Roselyn Longworth, ja i moja rodzina przyjmiemy pana. A wtedy inni pójdą w nasze ślady.

- Nie obchodzi mnie, czy otworzę te cholerne drzwi.

- Teraz, gdy pana poznałem, wierzę panu. Ale pańskie dzieci... Kyle zatrzymał się o kilka kroków od drzwi. Sprytny diabeł

z tego Easterbrooka. Piekielnie przenikliwy. Wiedział, że grać kartami, które przydzielił ci los, to jedno, ale pozbawić swoje dzieci lepszych kart, to już coś zupełnie innego.

Syn czy córka urodzeni do życia, które zbudował Kyle, będą boleśnie świadomi, czego pozbawiło ich jego pochodzenie. Do diaska, rodowód jednak się liczył. Były ważniejsze drzwi od tych na salony, które dla jego dzieci pozostaną zamknięte.

Matka ze szlacheckiej rodziny nie zmieni całkowicie tej sytuacji, ale stanowczo ją poprawi. Zwłaszcza jeśli ta matka byłaby przez małżeństwo skoligacona z markizem i bywałaby w jego domu, a także obracałaby się w kręgu lady Alexii.

- Może pan nie dbać o koneksje towarzyskie, ale chyba nie miałby pan nic przeciwko dobrym kontaktom w interesach. Mój brat Hayden zajmuje się finansami rodziny i jest znany z sukcesów w inwestycjach. Jako swego rodzaju krewny, będzie pan w nie włączony. - Easterbrook nadal mówił do pleców Kyle'a, ale jego ton wskazywał na to, że najwyraźniej zaczęli negocjacje.

Kyle się odwrócił.

- Ostatnio nie było żadnych inwestycji.

Wiedział dlaczego. Zastanawiał się jednak, czy markiz wie.

- Oszalał na punkcie swojej niedawno poślubionej żony. Proszę mi wierzyć, wzbogaci się pan bardziej, niż się panu kiedykolwiek śniło. Słyszałem, że ma pan sukcesy w inwestycjach, ale nikt tutaj nie dorówna mojemu bratu.

Kyle podejrzewał, że markiz mógł to uczynić, gdyby choć trochę przyłożył się do pracy. Jeśli chodzi o lorda Hayden, to w tej chwili musiał ograniczyć wydatki, ale z pewnością wkrótce stanie na nogi.

- Piękna żona ze szlacheckiej rodziny, szansa na niewyobrażalne bogactwo... zaraz, co ja tam jeszcze przygotowałem w tej próbie perswazji? Ach, tak. Pięć tysięcy, by odbudować nadwątlone zasoby finansowe.

- Dziesięć.

Easterbrook uśmiechnął się leniwie.

- Spodziewałem się, że zażąda pan dwudziestu.

- Gdyby był pan gotów zapłacić dwadzieścia, zaproponowałby pan więcej na początek.

Easterbrook wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

- Czy mogę przyjąć, że doszliśmy do porozumienia? Jestem pewien, że Alexia chętnie pomówi ze swoją kuzynką.

- Nie wyraziłem jeszcze zgody. - Kyle znów ruszył do drzwi. - Jeśli się na to zdecyduje, sam pomówię z panną

Longworth.

4

-Roselyn złożyła i zalakowała kartkę papieru. Sięgnęła po list, który otrzymała poprzedniego dnia, i przepisała podany w nim adres.

Zatrzymała spojrzenie na podpisie brata u dołu strony. Na samym końcu pióro zadrżało mu w ręce.

Biedny Tim. Dotknęła plam na liście, gdzie jej łzy rozmazały atrament. Timothy został teraz zupełnie sam. W jego słowach było tyle smutku. Niektórzy powiedzieliby, że dobrze mu tak, że zasługuje na jeszcze większą karę, ale to przecież był jej brat. Źle postąpił, ale nadal go kochała.

Jego list sprawił, że płakała nad stratą jak nigdy dotąd. Nawet pożegnanie z Irene nie pozostawiło w niej takiej pustki i głębokiej świadomości, że jej rodzina się rozpadła, zniszczona przez własne błędy. Wieść od Tima o śmierci jego towarzysza podróży była najnowszym, strasznym szczegółem w łańcuchu nieszczęść.

Wstała i zawiązała kapturek. Wzięła koszyk i wsunęła do niego list. Tim sam nie da sobie rady. Będzie bezradny, samotny i zagubiony w obcym kraju. Napisał, że chciałby wrócić do domu, ale oczywiście było to niemożliwe.

Idąc do wioski, myślami była przy nim. Będzie musiała powiedzieć Alexii o tym, co napisał Tim. Alexia powinna wiedzieć.

Wstąpiła do sklepiku na skraju wsi. Dwie kobiety na jej widok natychmiast wyszły. Właściciel sklepu, pan Preston, nie był zachwycony tym, że jej obecność odstrasza innych klientów.

W milczeniu słuchał listy jej sprawunków i kładł na ladzie mąkę, sól i inne towary. Miesiąc temu, podczas jej wizyty w sklepie, uciębiliby sobie pogawędkę. Pan Preston śmiałyby się dobrodusznie. Teraz jego usta były zaciśnięte w wąską linię, która mówiła, że poza obsłużeniem nie powinna liczyć na nic więcej.

Roselyn wyjęła z torebki kilka monet i zapłaciła. Pan Preston nie powiedział, że nie będzie już sprzedawał jej na kredyt. To jego żona trzy dni temu wyszła za nią na ulicę i dała jej to jasno do zrozumienia.

Tydzień temu wieści o skandalu dotarły do Watlington. Ludzie, którzy byli pomocni i pełni współczucia po ucieczce Tima, przyjaciele, którzy znali ją od dziecka, nagle przestali ją zauważać. Teraz będzie żyła w większej izolacji niż dotąd.

Podawała panu Prestonowi jeszcze jedną monetę i list.

- Czy byłby pan uprzejmy to wysłać? Tu są pieniądze na znaczek.

Zapakowała sprawunki do koszyka i wyszła ze sklepu. Czekala tu już na nią pani Preston.

- Szukał pani jakiś mężczyzna - powiedziała. Rose się zatrzymała.

- Jaki mężczyzna?

- Nie podał nazwiska. Wyglądał na dżentelmena. Przyjechał jakieś pół godziny temu i pytał, gdzie jest pani dom. - Pani Preston bardzo się starała, by na jej okrągłej twarzy nie pojawił się cień przygany i zaciekawienia. Niestety bezskutecznie.

W Rose serce zamarło. Jeszcze tylko tego jej brakowało, by nieznajomy mężczyzna pytał o drogę do jej domu.

Ostatnim dżentelmenem, który ją odwiedził, był lord Norbury i teraz wszyscy już wiedzieli, jak się to skończyło.

Nie zniosłaby tego, żeby ktoś obcy wpraszał się do jej domu, jakby była ladacznicą.

- Pani Preston, nie spodziewam się żadnych gości. Nie życzę też sobie ich odwiedzin. Proszę, by pani i jej mąż nie zaspokajali ciekawości przejezdnych co do miejsca mojego zamieszkania.

- Och, nic mu nie powiedzieliśmy. Nie nasza to rzecz pomagać diabłu. - Pani Preston uniosła głowę i rzuciła okiem na drogę. - O, tam jest, właśnie wychodzi z tawerny.

Rose spojrzała szybko przez ramię. Zauważyła tylko sylwetkę człowieka dosiadającego konia.

Zdecydowała, że jej wizyta u rzeźnika może poczekać do jutra. Zresztą i tak nie bardzo mogła sobie pozwolić na częste kupowanie mięsa. Ruszyła drogą w kierunku domu.

Wiedziała, że tamten mężczyzna ją zauważył. Czuła, że za nią podąża. W końcu usłyszała za sobą zbliżający się stukot końskich kopyt.

- Panno Longworth? To pani? Znała ten głos. Odwróciła się.

- Pan Bradwell, cóż za niespodzianka.

Spojrzał na nią z góry. Jego niezwykle niebieskie oczy ocieniało rondo kapelusza. Tak jak ostatnim razem, gdy go widziała, jego strój w najmniejszym stopniu nie wyróżniał się ekstrawagancją ani oryginalnością. Ciemny płaszcz, beżowe spodnie i wysokie buty zostały dobrane tak, by nie można było im nic zarzucić.

- Panno Longworth, byłem w tej okolicy i pomyślałem, że sprawdzę, jak się pani miewa. - Spojrzał za siebie na wioskę w oddali, potem na drogę przed nimi. - Czy mogę pani towarzyszyć?

Niegrzecznie byłoby odmówić. Zresztą, prawdę mówiąc, nie chciała iść sama.

- Tak, proszę.

Zsiadł z konia. Prowadząc konia za uzdę, ruszył u jej boku. Wziął też od niej koszyk z zakupami.

- Nie byłem pewny, czy dobrze zrozumiałem, gdzie pani mieszka. Wygląda na to, że nikt we wsi pani nie zna.

- Na swój sposób chyba chcieli mnie ochronić. Nikt tutaj nie wie, kim pan jest.

- Oczywiście. Rozumiem.

Właśnie to jej się w nim podobało. Rozumiał ją. Tamtej nocy też. Rozumiał, że oddała się Norbury'emu, choć nie powinna była tego czynić. Rozumiał, że tamta licytacja prawdopodobnie zakończyłaby się jej zgwałceniem.

Rozumiał, że mógł jej oszczędzić tej okropności,- ale pozostałych konsekwencji tamtego wieczoru już nie.

Gdy szli razem, zerkąca na niego od czasu do czasu. Nigdy przedtem nie widziała go za dnia. Rysy jego twarzy nie wydawały się teraz tak ostre. Miał bardzo męską twarz, a jego maniery odzwierciedlały spokojną siłę, która skłoniła go do wystąpienia w roli wybawcy.

Pozostałe wrażenia z owej pamiętnej nocy niewiele się zmieniły w jasnym świetle dnia. Mimo że mówił cicho i uprzejmie, nadal wyczuwała w nim okiełznaną dzikość. Jego wzrost i postura sprawiały wrażenie, że powietrze się rozstępuje, by mógł przejść. Obudził też w niej tę samą elektryzującą czujność.

To nie miało sensu. Nie było powodu, by obawiać się tego człowieka. Dowiódł, że jest nadzwyczaj przyzwoity i godny zaufania. Mając go u boku, czuła się spokojna i bezpieczna. Ale doświadczała też fizycznego podekscytowania. Nie było to nieprzyjemne, ale aż za dobrze zdawała sobie sprawę, jak gwałtownie na niego reaguje, jak żywo pulsuje w niej krew.

- Czy miał pan przykrości w Londynie z powodu tego skandalu? - spytała, by nawiązać konwersację, choć nie wyglądało na to, że tego od niej oczekiwał. Gdy jednak szli tak obok siebie bez słowa, czuła się niezręcznie. Byli przecież sobie zupełnie obcy.

Nie, nie obcy. Istniała między nimi wyczuwalna więź zrodzona z wydarzeń tamtej okropnej nocy. Jej skrępowanie wynikało z poczucia tej więzi z osobą, której prawie nie znała.

- Skandal już przycichł. Niektórzy na moim miejscu pewnie wręcz cieszyliby się z tego zainteresowania. -

Uśmiechnął się do niej współczująco. - Taka jest niesprawiedliwość tego świata, panno Longworth.

- Zachował się pan szlachetnie i nie chciałabym, by oprócz pańskich funduszy ucierpiała także pana reputacja.

Spodziewam się, że moja osoba wystarczy ludziom jako źródło tematów do plotek. Czy nadal mówi się o mnie w mieście, czy też historia mojego upadku interesuje już tylko salony na wsi?

Twarz mu spoważniała.

- Czy nie kontaktowała się z panią kuzynką? Lady Alexia chyba lepiej przekazałaby pani wieści.
 - Alexia napisała dwa razy, mimo że w ogóle nie powinna tego robić. Lord Hayden albo nie wie, że utrzymuje ona ze mną kontakty, ryzykując własne dobre imię, albo nie potrafi jej odmówić. Zwróciłam oba listy nierozpieczętowane.
 - Nikt by się nie dowiedział, że pani je przeczytała.
 - Zdziwiłby się pan, o czym ludzie wiedzą. Nie chcę, żeby ta sprawa zaszkodziła Alexii. Ale... - Pomyślała o liście od Tima. - Panie Bradwell, czy pan wkrótce wraca do Londynu? Jeśli tak, to może mógłby pan przekazać mojej kuzynce wiadomość ode mnie. Są chwile, gdy trzeba się kontaktować z żywymi, nawet jeśli samemu w zasadzie jest się martwym.
 - Wracam dziś po południu. Zrobię to z przyjemnością. Patrzyła, jak jej koszyk kołysze się lekko w rytm jego spokojnych kroków.
 - Może lepiej, żeby pan pomówił nic z nią, ale z lordem Hayden. On jej potem wszystko przekaże. Tak, tak będzie najlepiej.
 - Zrobię, jak pani sobie życzy. Zmusiła się, by mówić bez emocji.
 - Niech pan mu powie, że otrzymałam list od Timothy'ego. Píše, że jego towarzysz podróży zmarł na gorączkę, na którą zapadł pod koniec lata.
 - Nic więcej? Żadnych wieści, jak mu się powodzi, gdzie przebywa?
- Spojrzała na niego i zobaczyła, że ją obserwuje. Jego niebieskie oczy pod rondem kapelusza wydawały się teraz ciemne, zaciekawione i... surowe.
- Powodzi mu się dość dobrze, ale jest samotny i smutny.
 - Pani też wydaje się samotna i smutna. Mam nadzieję, że pani bratu nie wiedzie się lepiej niż pani. To byłoby niesprawiedliwe.
- Pomyślała, że to dosyć dziwna wypowiedź. Zawierała sporą dozę prawdy, ale przecież ten człowiek nie mógł wiedzieć wszystkiego.

- Nie przeszkadza mi, że jestem sama. Mój smutek spowodowany jest listem od brata. Gdyby zjawił się pan tutaj jutro, byłabym w lepszym nastroju.

Doszli do drogi prowadzącej do jej domu. Bradwell skręcił razem z nią.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Pewnie znaczy to, iż plotki o mnie nie cichną i są tak nikczemne, jak się obawiałam - rzuciła.

- Jeśli to panią pocieszy, lord Norbury też nie wychodzi z tej sprawy bez szwanku.

- Na każdą krytyczną uwagę przypadną mu dwa zaproszenia na kolację. Bycie libertynem nigdy nie zaszkodziło reputacji mężczyzny.

Gdy zbliżyli się do domu, drzewa rosnące po obu stronach drogi przerzedziły się i odsłoniły jego fasadę. Bradwell zdjął kapelusz i uważnie przyjrzał się rezydencji. Wyglądało na to, że podoba mu się to, co ma przed sobą.

Zatrzymała się i spojrzała na swój dom, widząc go na nowo oczami tego mężczyzny. Więcej w tym budynku było uroku niż elegancji. Środkowa kamienna bryła i skrzydła boczne w zasadzie nie pasowały do siebie. Budynek miał zaledwie dwa piętra, więc raczej nie górował nad okolicą. Dom, choć niezbyt okazały, był położony w ogrodzie, który wiosną i latem napełniał każdy pokój cudownym zapachem.

- Moja rodzina mieszka tu od pięciu pokoleń. Majątek był kiedyś o wiele większy, ale zostało jeszcze trochę ziemi i sześć niewielkich folwarków.

Bradwell przyjrzał się budynkom, ledwo widocznym za wschodnim skrzydłem.

- Czy macie prawo własności gruntu?

- Tak. Majątek nie podlega majoratowi. Mój dziadek nie pochwałał tego prawa, a ojciec nie ustanowił majoratu przed śmiercią.

- To lekkomyślne.

45 - Tajniki uległości

49

Otworzyła drzwi. Przerażliwa pustka domu powitała ją na progu i czekała, by odbić echem jej samotne kroki.

Podziękowała panu Bradwellowi i wzięła od niego koszyk.

Ku jej zaskoczeniu Bradwell cofnął się o krok i przywiązał konia do słupka.

- Panno Longworth, bardzo interesują mnie budynki. Czy byłaby pani uprzejma pokazać mi wnętrze swego domu?

Cierpliwie czekał na jej odpowiedź. Wysoki. Imponujący. Potężny. Nie było dziś wiatru, ale znów wyczuła falowanie powietrza w przestrzeni między nimi. To absurdalne, podniecające uczucie pulsowało w niej coraz silniej.

Rozejrzała się po pustym podwórzu. Byli zupełnie sami.

- To śmieszne, gdybym miała teraz bawić się w konwenanse, prawda? Zaproszenie pana do środka to tylko drobna niestosowność wobec tego wszystkiego, co łączy się z moją osobą.

- Zrozumiem, jeśli pani odmówi.

Oczywiście, że by zrozumiał. Ale rozumiał też, że jednak byłoby to niedorzeczne. Ten mężczyzna przypuszczalnie nie poprosiłby o to kobiety, której zostałyby choć resztki reputacji. Tak jak jego strój, jego zachowanie byłoby zapewne absolutnie bez zarzutu.

Nie to jednak przesądziło o jej decyzji. Okrutna prawda była taka, że pragnęła usłyszeć jakiś inny głos niż ten, który dźwięczał w jej głowie. Nieoczekiwana wizyta pana Bradwella poprawiła jej nastrój, pomogła uwolnić od smutku wywołanego listem Tima.

- Proszę, niech pan wejdzie i ogląda dom do woli.

Nie skłamał. Był w tej okolicy i przyjechał zobaczyć, jak ona się miewa. Ale nadłożył sporo drogi, a propozycja Easterbrooka od wielu dni zaprzętała mu myśli, gdy nie zajmował się innymi sprawami.

Tam na drodze rozpoznał ją już z daleka. Od tyłu widział zaledwie jej kapturek i pelerynę, ale od razu przyciągnęła jego

wzrok. Gracja, z jaką stawiała kroki, wystarczyła, by miał pewność, że to ona. Nie musiał widzieć jej twarzy. Przyjął zaproszenie, którego przyzwoita kobieta nie powinna była w ogóle wystosować, i przekroczył próg. Cieszył się, że nie bawiła się w konwenanse. Może kiedyś będzie jeszcze coś udawała, ale teraz nie starała się uchodzić za cnotkę.

Był ciekaw tego domu i jej samej. Od razu spostrzegł, że powodzi jej się nie najlepiej. Pokoje były niemal puste. Większość mebli, które kiedyś stanowiły ozdobę tego domu, została sprzedana.

Było oczywiste, że nie ma tu służby. Puste podwórze, ze stajni i ogrodu nie dochodził żaden dźwięk. Dom aż wibrował od ciszy, którą ich obecność zdawała się jeszcze podkreślać.

Zorientowała się, że to wszystko zauważył. Zdjęła pelerynę i odwróciła się, by rozwiązać kapturek.

- Mój brat Timothy popadł w kłopoty finansowe. Poważne kłopoty. Być może słyszał pan o tym zeszłej wiosny.

- Tak, słyszałem. - Kłopoty finansowe, dobre sobie. Łajdak bał się wrócić do Anglii. - Jak to się stało, że posiadłość nie została sprzedana?

- Lord Hayden zadbał o to, byśmy wraz z siostrą nie zostały bez dachu nad głową. Ochronił nas i tę posiadłość. To właśnie miałam na myśli tamtej nocy, gdy mówiłam o jego łaskawości. Spłacił wszystkie długi mego brata.

Oczywiście nigdy nie będę w stanie zwrócić mu tych pieniędzy.

Nie, nie spłacił wszystkich długów, choć bardzo się starał. Przynajmniej jedna osoba odmówiła przyjęcia pieniędzy od kogoś innego niż Timothy Longworth we własnej osobie. Zresztą zwrot pieniędzy i tak nie zadowolili niektórych spośród tych, którzy je przyjęli.

Poprowadziła go do salonu. Pozostały tam jeszcze trzy drewniane krzesła, mały stół i wytarty dywan. Na oknach odartych z jedwabnych zasłon wisiały tylko cienkie, przejrzyste, białe firanki.

- Panie Bradwell, proszę, niech pan usiądzie. Pozwoli pan, że przygotuję mu coś do picia. Odeszła, zanim zdążył odmówić. Wstał i zaczął chodzić po pokoju, oceniając jego wymiary wzrokiem i za pomocą kroków. Obejrzał parapety i sufit, potem przeszedł do jadalni i zrobił to samo. Przyjrzał się bibliotece, potem poszedł na tył domu. Ciche odgłosy zwabiły go do kuchni. Panna Longworth stała przy stole pod oknem. Popołudniowe słońce tak oświetlało jej jasne włosy i profil, że nie ukryłyby się żadne niedoskonałości. Nawet z pewnej odległości, stojąc w progu, dostrzegł delikatny zarys jej twarzy i długie, złociste rzęsy, trzepoczące nad pięknym, porcelanowym policzkiem. Ona jest nie dla niego, nie dla takich jak on. Właśnie to pomyślał tamtego wieczoru, gdy zachwycił się nią w teatrze. Powtarzał to sobie często w ciągu ostatnich kilku dni, gdy kusił go szalony pomysł Easterbrooka. Była piękna, dystygowana i dumna. Pochodziła z rodziny, która od pięciu pokoleń należała do najbardziej szanowanych w hrabstwie. Stanowczo nie dla niego. Roselyn Longworth starannie pokroiła placek, a właściwie jego resztki. Widział za oknami drzewa owocowe, więc chyba sama zebrała jabłka i zrobiła ciasto. Zerknął na skromne zapasy na kuchennych półkach. Ten placek miał jej pewnie wystarczyć na tydzień. Na stole czekały dwie szklanki cydru. Położyła po kawałku placka na dwa talerze.

- Pozwoli pani, że jej pomogę - powiedział.

Na dźwięk jego głosu odwróciła się zgrabnie jak tancerka. Zignorował jej rumieniec, wziął szklanki i poszedł z powrotem do salonu.

- Widzę, że musi pani radzić sobie sama - powiedział po przełknięciu kilku kęsów placka, który właściwie nie nadawał się do jedzenia. Smakował, jakby oszczędzała na cukrze i soli.

- Mój ojciec pozostawił długi, więc po jego śmierci żyliśmy skromnie. Dopiero gdy mój brat kupił udziały w londyńskim banku nasza sytuacja się poprawiła. Przynajmniej na jakiś czas.

- Ma pani na myśli starszego brata, Benjamina? Tego, który zginął w Grecji?

Posmutniała na wzmiankę o tej dawnej stracie. Tak bardzo, że pożałował, iż o tym wspomniał. Przymknęła powieki na znak potwierdzenia.

Zjadła kawałek placka.

- Dzięki tym wcześniejszym latom oszczędnego życia całkiem nieźle radzę sobie w pracach domowych. Nie mam nic przeciwko temu. Dobrze jest mieć jakieś zajęcie.

- Sądziłem, że lord Hayden dopilnuje, by nie mieszkała pani sama w pustym domu.

- Nie przyjąłem jego propozycji. Ale moja siostra mieszka teraz z nimi. Alexia mówi, że jestem zbyt dumna, jednak to nie duma kazała mi odmówić. Mąż Alexii drogo płaci za nie swoje występki. Jestem mu wdzięczna, ale nawet nie biorąc jego pieniędzy, i tak czuję się winna.

Zaczerwieniła się przy słowie „winna”. Kyle nie wiedział, czy chodziło jej o własne, niedawne grzechy, czy też o grzechy jej brata Timothy'ego. Jeśli o te drugie, jej poczucie winy było nieuzasadnione.

Ona też padła ofiarą Timothy'ego Longwortha. Ten drań niewątpliwie liczył, że pieniądze lorda Hayden pomogą jego siostrze utrzymać się na co najmniej przyzwoitym poziomie. Jeśli tak, to pomylił się co do poczucia przyzwoitości członków swojej rodziny.

- Bardzo smaczny placek - powiedział Kyle, przełknąwszy ostatni kęs.

- Tylko tak pan mówi.

Pochwała sprawiła jej jednak przyjemność.

- Wcale nie. Często jem placki z owocami i umiem ocenić, który jest dobry, a który nie. Lubię je tak bardzo, że czasem jem je nawet na śniadanie. Ma pani w swoim ogrodzie jabłoni?

- Tak. Chce pan ją zobaczyć? Pokażę panu ogród i resztę posiadłości.

- Takie rzeczy bardzo mnie interesują.

Doszli do ogrodu, zanim znów się odezwała. Cofnął się, by obejrzeć tył domu z odpowiedniej perspektywy.

- Panie Bradwell, zauważyłam, że ocenia pan z wielkim znawstwem budynki i grunt.

- Interesuję się nimi zawodowo.

- Zajmuje się pan obrotem nieruchomościami?

- Czasami. Przede wszystkim buduję domy i właśnie kradnę pomysły z pani domu.

- Więc jest pan architektem?

- Czasami.

Ściągnęła wargi i lekko zmrużyła oczy.

- A więc jest jednym z tych ludzi, którzy kupują posiadłości i dzielą je na mniejsze parcele, prawda? Tak jak to się teraz powszechnie robi w Middlesex.

Widział, że nie akceptuje ona takiej działalności. Nie ona jedna.

- Właściciele ziemi często sami chcą parcelować. Bez ludzi takich jak ja nie byłoby Mayfair. Ani placów w

Londynie. - Znał wszystkie zarzuty. Odpowiedział na te, które, jak mu się wydawało, pojawiły się w jej głowie. -

Zapewniam panią, że gdyby zobaczyła pani zaprojektowane przeze mnie domy na tych parcelach, nigdy by się pani nie domyśliła, że nie stoją tam od wielu pokoleń. Wspomniałem już, że kradnę pomysły z pani domu. Właśnie w tym celu.

- Czy ludzie, którzy dzierżawią lub sprzedają swój grunt, mogą zażądać, by te nowe domy nie psuły krajobrazu?

- Ponieważ wciąż za mało jest ziemi, by zaspokoić potrzeby, mogą wymagać, czego im się żywnie podoba.

Roselyn Longworth bez słowa ruszyła w głąb ogrodu. Poszedł za nią ścieżką, przy której widać było prostokąty grządek, co wskazywało na to, że w lecie rosły tu warzywa i kwiaty.

- Panie Bradwell, jak dobrze zna się pan na ziemi? Czy potrafi pan jedynie ocenić jej wartość pod budowę nieruchomości, czy jest pan też obeznany z kwestiami uprawy?

- O uprawie też wiem co nieco.

- W takim razie poproszę pana o poradę.

Przez furtkę przy końcu ogrodu wyszli na pole pełne trawy i chwastów. Za lepszych czasów pewnie była tu łąka, gdzie pasły się konie z jej stajni.

Poprowadziła go zboczem, aż znaleźli się na szczycie wzgórza. Rozciągał się stąd ładny widok na okolicę. W bliskiej odległości widać było dachy domów na folwarkach. Zapewne jej dzierżawców. Szybko ocenił wielkość posiadłości. W dali dostrzegł budynki Oksfordu, odległego o ponad czterdzieści mil.

- Myślała pani kiedyś, by sprzedać tę posiadłość? - spytał.

- Nie należy do mnie, więc nie mogę jej sprzedać. Pisał do mnie w tej sprawie pewien człowiek, taki jak pan. Może pan go zna. Nazywa się Harrison.

- Znam go. Niewielka odległość tego majątku od Oksfordu bardzo by mu odpowiadała.

- Przedstawił korzystną ofertę, ale to nasz dom rodzinny. Należy do mojego brata, nie do mnie, Nigdy go nie sprzedam, jeśli będę miała coś do powiedzenia w tej kwestii.

Zeszli ze wzgórza na pole o powierzchni około dwóch hektarów. W głębokich bruzdach widać było resztki słomy.

- To pole należy do jednego z folwarków - wyjaśniła. - Dwa miesiące temu dzierżawca powiedział mi, że odchodzi. A zatem nie z powodu skandalu. Jeśli utrzymywała się z opłat za dzierżawę, utrata dzierżawcy będzie dla niej dotkliwym ciosem.

- Znajdzie się inny na jego miejsce.

- Niekoniecznie. - Czubkiem trzewika pogrzebała w ziemi. - Powiedział, że zbiory były marne, że z roku na rok są coraz gorsze. Twierdzi, że ziemia zrobiła się słaba. Jeśli to prawda, nie

znajdzie się następny dzierżawca. A jeśli nawet, opłata za dzierżawę nie może być tak samo wysoka. Kyle przykucnął i wziął garść ziemi.

- Czy przypomina sobie pani, by to pole leżało kiedyś odłogiem?

- Nie pamiętam, by kiedykolwiek było pozostawione nieob-siane. - Schyliła się, by spojrzeć mu przez ramię, co robi. Odczuł jej bliskość.

Głębiej zanurzył palce i wykopał trochę ziemi. Wsywał ją do kapelusza. Jordan nie będzie z tego zadowolony.

- Znam w Londynie pewnego człowieka, który eksperymentalnie sprawdza stopień wyjąłowienia ziemi. Zawiozę mu tę ziemię i dowiem się, czy to gleba jest problemem. Jeśli nie, być może pani dzierżawca po prostu źle tu gospodarował.

Wstał. Panna Longworth przysunęła się tak blisko, że gdy się wyprostował, znalazła się zaledwie kilka cali od niego. Drgnęła zaskoczona.

Jej uroda i wdzięk obudziły wspomnienia tamtego uścisku w noc licytacji. Kapelusz wypełniony ziemią, cała przestrzeń wokół znikły, gdy patrzył na jej piękną twarz.

Wydawała się teraz bardzo młoda. Nie wyglądała na zaleknioną czy urażoną, a jedynie zaciekawioną. I pełną wyczekiwania, jakby uznała, że on cofnie się o krok, by zachować odpowiedni dystans.

Chciał zrobić coś wręcz przeciwnego. Miała niesamowicie wymowne oczy. Czy zdaje ona sobie sprawę z tego, jak wiele zdradzają? Widać w nich było głęboki smutek, zatroskanie o majątek, samotność, którą musiała teraz znosić. I coś jeszcze. Szczerłość. Akceptację bliskości, zrodzonej między nimi w noc, która nie pozwalała na żadne pozory. Odwróciła głowę i się zarumieniła. Wyciągnął rękę, przesunął dwoma palcami po jej delikatnym policzku i ujął ją pod brodę. Odwrócił jej twarz w swoją stronę.

Gdy patrzyli na siebie, jej duma znikła. Jakby znów znaleźli się na tamtej drodze przy domu Norbury'ego, oświetlonej światłem

księżycyca, tylko teraz był dzień, a ostre promienie słońca wyraźniej ujawniały jej reakcje. Ostrożność. Zdumienie. Zmieszanie. Oczarowały go tak samo jak jej uroda i jeszcze wzmocniły pulsujące w nim wibracje, które wypełniały całą przestrzeń między nimi.

Zaledwie ją dotknął, ale wyczuł jej lekkie drzenie.

Ona nie dla niego, nie dla takich jak on.

Niezaprzeczalna prawda. Nieważne. I tak ją pocałował.

To był bardzo krótki pocałunek, choć Kyle pragnął o wiele więcej. Tak wiele, że nie ufał sam sobie. Miękkość jej warg, ich uległość, ciepło przypomniały mu jego pierwszy pocałunek wiele lat temu.

Zarumieniła się. Niezgrabnie odsunęła o krok, próbując stworzyć dystans.

Tym razem w jej oczach nie było zmieszania, tylko smutna pewność.

- Słyszałam, że nie ma pan żadnych oczekiwań tego rodzaju.

- Powiedziałem, że nie mam żadnych oczekiwań ani złudzeń co do tego, że obdarzy mnie pani swoimi względami z powodu tamtej nocy. Jest jednak pani piękną kobietą i nie byłbym mężczyzną, gdybym tego nie zauważył.

Wyraźnie straciła pewność siebie.

- W obecnej sytuacji nie jest to dla mnie komplementem. Nie mogę się uwolnić od myśli, że mój wielbiciel bierze mnie za taką, jak głoszą to skandaliczne plotki.

- Jestem jedynym mężczyzną w Anglii, który zna fakty. Jednak by oszczędzić pani takich rozmyślań, postaram się być obojętny na pani powaby. Wątpię, czy mi się to uda.

Zaśmiała się. Odwróciła się w stronę domu i ruszyła z powrotem. Wskazała jego kapelusz.

- To miłe z pana strony, że znów mi pan pomaga. Obawiam się, że zniszczy pan sobie kapelusz.

- Kapelusz jest bez znaczenia.

Ruszył u jej boku, niosąc ziemię w rękach. Szła do domu energicznym krokiem. Minę miała nieco zagniewaną, pewnie z powodu myśli, które ją nurtowały.

Już w ogrodzie zatrzymała się pod jabłonią. Domyślił się, że wahała się, czy wpuścić go teraz do domu. Nie była naiwna, zobaczyła i wyczuła żar, który ogarnął go tam na polu.

- Panie Bradwell, jak pan ma na imię? Chyba powinnam znać imię mężczyzny, który skradł mi pocałunek.

Niczego nie skradł i ona o tym wiedziała.

- Kyle.

- Kyle. Podoba mi się to imię. Lord Norbury powiedział, że pochodzi pan z dołów Durham. Co miał na myśli?

- Chodziło mu o to, że urodziłem się w rodzinie górników w wiosce na północy Anglii.

- A teraz jest pan czasem architektem, a czasem zajmuje się obrotem nieruchomościami i zawodowo interesuje się pan budynkami i ziemią. To nadzwyczajna historia.

- Dzięki pewnemu człowiekowi zdobyłem wykształcenie. Posłał mnie do Francji, bym studiował inżynierię i architekturę.

- Do Francji! Pańska historia jest jeszcze bardziej niezwykła, niż myślałam. Spodziewam się, że pana dobroczyńca jest w pełni usatysfakcjonowany, "wszystko wskazuje na to, że odebrał pan bardzo staranną edukację.

Spojrzała na niego z uznaniem.

- Mam nadzieję, że jest zadowolony. Jego dobra opinia wiele dla mnie znaczy.

Jej uśmiech się zmienił. Chciała chyba dodać mu otuchy, ale efekt był nieco protekcyjny. Kyle nie przejął się tym zbyt, bo zauroczyło go ciepło w jej oczach. Dzisiejszego dnia panna Longworth była trochę przygaszona. Ten uśmiech ją ożywił.

- Panno Longworth, pojedę już. Dziękuję za poczęstunek i oprowadzenie mnie po posiadłości. - Uniósł kapelusz wyżej. - Dam pani znać, gdy się czegoś dowiem o ziemi.

Poszedł ścieżką do bocznej furtki w ogrodzie. Jeden z zawiasów był zepsuty, musiał więc ją otworzyć kopnięciem.

Skierował

się do miejsca, gdzie zostawił konia. Zastanawiał się, jak wieźć kapelusz pełny ziemi, siedząc w siodle. Nie chciał rozsypać tej ziemi. Stanowiła pretekst, by znów odwiedzić pannę Longworth.

5

Czekasz na próżno. Nic teraz nie zrobię. Może znajdę czas pod koniec tygodnia.

Jean Pierre mówił w roztargnieniu, odprawiając Kyle'a machnięciem ręki. Całą uwagę skupiał na próbkach i menzurkach, tworzących prawdziwe szklane miasto na stole pomiędzy nimi.

Kucnął i spojrział na aparat, w którym destylował się płyn. Kyle przez pękatą kolbę zobaczył powiększoną twarz Jean Pierre'a. Była szczupła, o ciężkich powiekach, bardzo francuska. Dziwnie łatwo doprowadzała do szaleństwa całkiem rozsądne kobiety.

Ziemia panny Longworth, zsypana do małego, drewnianego pudełka, stała na stole w zagraconym laboratorium na poddaszu, czekając, aż młody chemik raczy znaleźć dla niej czas.

Kyle wiedział, co może opóźnić analizę. Jean Pierre Lacroix uczył się swej sztuki od najświadejszych umysłów Francji, których nazwiska wymieniał bardzo chętnie. Dlatego też nie brakło mu pracy i pieniędzy na finansowanie swych badań i grzesznych słabostek.

Kyle obszedł stół i usiadł na krześle tak, żeby jak najbardziej przeszkadzać Jean Pierre'owi.

- Nie chcę czekać do końca tygodnia. Do tego czasu zupełnie o tym zapomnisz. Kwiat, który obecnie hodujesz, zostanie zerwany za dzień lub dwa, a wtedy nie będzie eksperymentów przez następne dwa tygodnie.

Jean Pierre cmoknął z irytacją. Wyciągnął rękę, by sięgnąć ponad Kyle'em po miseczkę z drobinami zielonkawego metalu. Kyle przesunął się, by mu w tym przeszkodzić.

- **Mon Dieu**, tylko się płaczesz pod nogami. Idź stąd. Kyle wskazał drewniane pudełko.
 - Ziemia. Teraz.
 - Ziemia, ziemia... Co cię obchodzi ziemia? Przecież jej nie uprawiasz, tylko kopiesz pod budowę.
 - To dla zaprzyjaźnionej osoby. Dla pewnej damy.
 - Damy! Wy, Anglicy, nie rzucajcie tego słowa ot, tak sobie. To ziemia tamtej kobiety, która zachowała się nierozważnie, gdy graliśmy w karty w zeszłym tygodniu, co? Ona pije mocne trunki, **mon ami**, to jest bardzo przykre. A jeśli zanudza cię swym zatroskaniem o ziemię... - Jean Pierre wzruszył ramionami.
- Kyle znał ten gest. Od chwili, kiedy spotkał Jean Pierre'a, gdy studiowali w Paryżu, ten zdawkowy ruch oznaczał, że jego przyjaciel ma o wiele więcej do powiedzenia, ale uważa, że szkoda strzępić języka.
- To nie tamta uprawiająca hazard dama, całkiem inna.
- W oczach Jean Pierre'a zapaliła się wesoła iskierka. Wyregulował płomień pod kolbą z destylatem i spojrzał na Kyle'a.
- Inna?
 - Inna.
 - Obawiałem się, że nie rozumiałeś, jaki los wygrałeś na loterii, ale **cest bon**, nie jesteś jednak taki ślepy. Ja tu, jak stary wujaszek, myślę sobie, że jesteś zbyt **bourgeois**, by wykorzystać ten wielki skandal, który wy, Anglicy, robicie z najmniejszych drobiazgów. - Uśmiechnął się szelmowsko i pogroził palcem. - Powinienem był wiedzieć, że jesteś zbyt bystry, by stracić **bonne chance** i...
 - Do diaska, o czym ty mówisz?
 - Ta dama od ziemi. Inne damy. I kolejne, które raczej nie są damami. Tyle kobiet teraz się za tobą ugania. Chcą się dowiedzieć czegoś o mężczyźnie, który zapłacił fortunę, by uratować ladacznice. Wszystkie moje przyjaciółki pytają, jaki jesteś.
 - Westchnął.
 - Ich pytania to dla mnie krzyż pański, tyle ci powiem.

- Chyba nieźle skorzystałeś na tym skandalu.

- One skądś dowiadują się, że cię znam, i obsiadają mnie jak muchy. Niektóre myślą, że jesteś skończonym durniem albo obłudnym prostakiem, ale wiele się w tobie zakochało, jak z pewnością wiesz.

Jean Pierre przyjął rolę giermka. Nic dziwnego, że był teraz tak zajęty. Prawdopodobnie od wielu dni nie stał przy swym stole laboratoryjnym.

Zerknął na Kyle'a.

- Wydajesz się taki zimny. Taki... angielski. Nie mów mi, że nie wykorzystałeś tego skandalu, że odrzuciłeś zaproszenia, którymi cię zasypano, bo wyrzucę cię za drzwi i nigdy już nie napiję się z tobą wina.

Często tak na niego pokrzykiwał, nalegając, by Kyle korzystał z chętnych kobiet, dopóki jest jeszcze młody, wolny i bogaty.

Kyle ignorował te nauki. Układał życie po swojemu. Nie był pustelnikiem, ale ku rozczarowaniu Jean Pierre'a nie był też hulaką. To fakt, że ostatnio przyszło wiele zaproszeń na kolacje. Kyle po prostu nie był zainteresowany niczym, co miało związek z tamtą nocą.

Chyba że to panna Longworth podałyby do stołu.

- Ziemia - powiedział, wskazując palcem. - Przeżyłeś rozkoszne chwile dzięki mojej sławie, a teraz masz się natychmiast zająć tym.

Jean Pierre wznosił oczy do nieba. Chwycił pudełko i rzucił je na blat. Sięgnął po fiołki z odczynnikami.

- Nie mów mi, że kupujesz ziemię, by ją uprawiać. Nie mów, że postanowiłeś zostać dobrodusznym, nudnym angielskim rolnikiem.

- Długa jest lista rzeczy, których mam ci nie mówić. Tak długa, że brak mi słów. Będę więc tylko siedział i patrzył.

- Dobrze. - Jean Pierre nałożył trochę ziemi do kilku długich probówek. Potem zaczął do nich wkraplać płyny z fiolek. - To tylko teoria, rozumiesz? Ale, moim zdaniem, dobrze

sprawdzona. Wiemy, jakie substancje chemiczne musi zawierać ziemia, by rosły w niej rośliny. Teraz sprawdzimy, czy w twojej ich nie brakuje.

Jean Pierre zakorkował wszystkie próbówki, wstrząsnął i ustawił w statywie.

- Teraz czekamy - oświadczył. Otworzył kredens, wyjął butelkę wina, dwie szklanki i podszedł do stołu przy oknie wychodzącym na Cheapside.

Szare, grudniowe chmury wisiały nisko na niebie. W izbie, w kominku nieopodał, wesoło potrzaskiwał ogień. Kute, żeliwne krzesła przypominały te, które widuje się na balkonach i tarasach we Francji. Jean Pierre odtworzył przy tym oknie fragment swej ojczyzny, który w Kyle'u zawsze budził wspomnienia spędzonych tam lat.

Studia w Ecole były trudne, ale dawały wiele satysfakcji. W Paryżu Kyle odebrał też inne nauki. Oczywiście dotyczące obcowania z kobietami. Postarał się o to Jean Pierre. Jednak jeszcze ciekawsze było obserwowanie, jak zmienia się społeczeństwo. Napoleon już nie żył, rewolucja dawno się skończyła, znów rządził król, ale walka o *egalite* na zawsze zmieniła poglądy Francuzów.

Oczywiście nie do końca. Nawet we Francji, gdy chodziło o małżeństwo, pochodzenie było bardzo ważne. Zmiana polegała na tym, że nie musiało to już mieć znaczenia we wszystkich sferach życia.

Czy to dlatego Cottington tam go wysłał? Hrabia nie był radykałem. Prawdopodobnie wybrał Francję z powodu Norbu-ry'ego, którego zaczęło drażnić to, że ojciec nie rezygnuje ze swej roli dobroczyńcy.

- Zastanawiam się, czy się nie ożenić. - Kyle wyciągnął nogi przed siebie i spróbował usiąść wygodniej. Był od Jean Pierre'a o wiele wyższy, więc żeliwne krzesła, choć bardzo dekoracyjne, niemiłosiernie go uwierały. - Jeszcze nie zdecydowałem, czy się oświadczyć, ale to rozważam.

- Ta dama od ziemi?

- Tak.
- Czy naprawdę jest damą?
- Tak, ale podobną do twojej mademoiselle Janette, z czasów, gdy cię poznałem.
- Ach, *oui*. Wysoko urodzona, podli krewni, żadnych pieniędzy. - Jean Pierre uniósł szklanę. - A sądząc po tych próbkach, z kiepską ziemią. Moje gratulacje.
- Zatem nie pochwalasz?
- Do końca życia będzie ci wypominać, że jej nie dorównujesz. Opróżnisz sakiewkę w daremnym wysiłku, by ją zadowolić. Twoje dzieci będą cię uważać za gorszego od nich. Nie, nie pochwalam. Zawsze mógł liczyć na to, że Jean Pierre będzie szczerzy do bólu. Z doświadczeń z Francuzami wiedział, że subtelność to ostatnie słowo, którego ich uczono w obcym języku, często bez powodzenia. Właśnie to był właściwy powód, by nie zgodzić się na wspaniały plan Easterbrooka. Dla markiza pewnie to drobnostka, ale ponieważ żył na szczycie drabiny społecznej, mógł nie rozumieć, jak wielką przeszkodę stanowi to dla innych.
- Kto jest tą damą? - Jean Pierre spojrział na niego spod przymrużonych powiek.
- Panna Longworth.
- Właśnie się zastanawiałem, czy to nie ona. To takie typowe dla was, Anglików. - Pochylił się do przodu, opierając ręce na stole. - Z powodu swej szlachetności czujesz się teraz odpowiedzialny za nią. Ona jest piękna, a jej wdzięczność ci pochlebia. Czujesz się więc zobowiązany, by uratować ją przed resztą konsekwencji. Jean Pierre całkiem nieźle uzupełniał szczegóły sztuki rozpisanej przez markiza i dotykał nawet takich spraw, o których Kyle wolał nie myśleć.
- Pozwól, że ci powiem, jak to naprawdę było z tymi damami w opałach, *mon ami*. W moim kraju zachowały się jeszcze

różne stare pieśni i romanse, więc znamy prawdę. Rycerz ocalił piękną damę, która była mu bardzo wdzięczna. Potem zaciągnął ją na pole przy drodze, rozebrał, wykorzystał, wsiadł z powrotem na konia i odjechał.

Kyle nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Bardzo to podobne do mego wczorajszego snu.

- W snach wiesz, że nie musisz się żenić, jeśli jej pragniesz. Dlaczego miałbyś się żenić z kobietą, o której plotkuje cały kraj?

Właśnie, dlaczego? Głównie dlatego, że jej pragnął. Podobała mu się też myśl, że jest lepszy od takich sępów jak Norbury. A może dlatego, że dziwnym zrządzeniem losu pojawiły się okoliczności, w których ona mogłaby się na to zgodzić.

Mogłoby być też inne rozwiązanie. Roselyn Longworth już raz dała się uwieść, a wizyta u niej przekonała go, że chyba znów by uległa. Zwłaszcza szlachetnemu rycerzowi.

- Będzie miała posag - rzucił Kyle.

- Skąd? Podobno jej brat uciekł, bo narobił długów. To kolejna rzecz, która stanie między wami.

- Nie od jej rodziny. Zaofiarował go ktoś inny.

- W takim razie nie będzie dostatecznie duży. Litościwe dusze nigdy nie są hojne, gdy przychodzi sięgnąć do sakiewki. Prędzej zamówią mszę w twojej intencji i obiecują ci nagrodę w niebie.

- Prawdę mówiąc, to całkiem przyzwoita suma.

- **Vraiment?** Przyzwoita nawet dla ciebie?

- Nawet dla mnie.

Jean Pierre był pod wrażeniem. Nalał jeszcze wina.

- Dlaczego nie powiedziałeś od razu? To oczywiście wszystko zmienia.

Roselyn przeszła przez pole za domem i wspięła się na wzgórze. Nie zważała na niebo zaciągnięte chmurami i wiatr smagający ją po twarzy. Nie widziała zeschniętych liści wirujących wokół nóg. W myślach spacerowała w słońcu, wśród kwitnących kwiatów, które nigdy nie więdną.

Otuliła się peleryną i usiadła na szczycie wzgórza. Odwróciła się plecami do wiatru, twarzą ku otwartej, sięgającej po horyzont przestrzeni. Wydostała spod peleryny dwa listy. Każdy z nich na swój sposób obiecywał wybawienie od dokuczliwej samotności.

Gdy poszła wczoraj do wioski kupić nici, czekały tam na nią. Przeczytała je i w jej smutnym, szarym świecie pojawiło się światelko.

Jeden list nadszedł z Londynu, od kobiety, której Roselyn nigdy nie spotkała. Phaedra Blair niedawno wyszła za Elliota, brata lorda Hayden. Była wyjątkowo *outrew* swoich poglądach, zachowaniu i wyglądzie. Napisała parę słów o sobie i oznajmiła, że wygnanie Roselyn uważa za barbarzyństwo i niesprawiedliwość.

Lady Phaedra nie należała do osób, które tylko narzekają, zamiast działać. Napisała, że jest właścicielką małego domu w pobliżu Aldgate. Roselyn mogłaby z niego skorzystać, gdyby chciała kiedykolwiek przyjechać do Londynu. Dała też jasno do zrozumienia, że zostanie przyjęta przez nią i lorda Elliota, ponieważ oboje nie zgadzają się z hipokryzją towarzystwa.

Zamaszyście napisane, tak stanowcze deklaracje spowodowały, że Rose się roześmiała. Lorda Elliota czeka niezwykle ciekawe życie.

Własny śmiech ją przeraził. Wydawał się taki dziwny. Tak obcy. Kiedy ostatnio się śmiała? Spojrzała na horyzont, zastanawiając się. Wiele tygodni temu. Może miesięcy. Już tak dawno nie czuła się szczęśliwa, że dzisiejsza radość przyprawiła ją o zawrót głowy.

Spojrzała na drugi list, który wywołał ten niespodziewany nastrój.

Tim znów do niej napisał. Zdumiała się, poznając jego charakter pisma. Niemożliwe, by zdążyła do niego dotrzeć jej odpowiedź. Gdy otworzyła list, zrozumiała, że miała rację.

Tim nigdy nie otrzymuje listu, bo opuścił już miasto, z którego wcześniej pisał. Chyba jednak wyczuł jej myśli i pragnienia, bo zaproponował to, co sama zasugerowała. Chciał, by do niego przyjechała. Odezwie się, jak tylko przeniesie się do Włoch.

61 - Tajniki uległości

65

Przeczytała jego błagalne prośby. Tim nie wiedział, że nie musi jej namawiać. Jeszcze się nie dowiedział, że nie ma już dla niej życia w Anglii.

Opisywał podróże i przygody. Obiecywał, że zobaczy góry i morze, Florencję i Rzym. Ostatniej nocy nie mogła zasnąć, podekscytowana tymi wizjami. Tak długo była pozbawiona nadziei, że teraz czuła się nią odurzona.

Położyła się na trawie i spojrzała w niebo. Podobno na kontynencie jest więcej słońca. Już czuła jego ciepło. To wzbudziło w niej szczęście, z którego zrodziło się porywające uczucie swobody.

Cieszyła się, że Tim napisał, zanim dotarł do niego jej list. To znaczyło, że naprawdę chciał, by do niego przyjechała, a nie tylko litował się nad nią. Oboje byli teraz samotni, oboje okryci hańbą. Za granicą czeka wolność. Znów stworzą rodzinę.

Roselyn wstała i ruszyła w stronę domu. Dzisiejszego popołudnia przejrzy garderobę, którą udało się jej ocalić, gdy zrujnowani musieli całą rodziną wyjechać z Londynu. Minie pewnie trochę czasu, zanim dołączy do Tima, ale przynajmniej będzie mogła wypełnić dni planami i marzeniami.

Weszła do ogrodu od tyłu. Gdy mijała jabłoń, jakieś dźwięki zmały jej myśli. Zaintrygowana udała się w ich stronę, aż znalazła się przy bocznej furcie.

W bladym świetle dnia ujrzała białą koszulę, okrywającą szerokie ramiona mężczyzny w beżowych bryczesach. W opalonych rękach trzymał furtkę. Ciemnowłosa głowę miał zwróconą na bok i widać było jego wyrazisty profil. Bradwell nie słyszał, jak podchodziła, zajęty precyzyjnym umieszczeniem furtki na zawiasach. Jeden z nich błyszczał nowością.

Miękkie płótno koszuli i obcisły materiał spodni podkreślały ruchy jego ciała. Wiatr rozwiewał ciemne loki, targając je zalotnie. Mimo kołnierzyka i krawata Bradwell wyglądał jak bardzo pewny siebie, romantyczny hulaka.

Jedno mocne pchnięcie i furtka spoczęła na zawiasach. Bradwell sprawdził, czy dobrze się porusza, a potem zaczął odwijać rękawy.

Zauważył ją. Wcale się nie przejął tym, że zastała go przy pracy. Przywitał się z nią, nie przerywając ubierania się. Podeszła bliżej i obejrzała furtkę, która była zepsuta, odkąd Roselyn sięgała pamięcią.

- Gdy byłem tu ostatnim razem, zauważyłem, że wymaga naprawy - powiedział, sięgając po leżący na trawie surdut.

- Dziękuję. - Zdaje się, że często mu to ostatnio mówiła. - Znów przebywał pan w okolicy, panie Bradwell? Jest pan tu tylko przejazdem?

Włożył surdut i doprowadził strój do porządku. Chyba jednak bardziej podobał się jej przy pracy, z ubraniem w nieładzie.

- Panno Longworth, przyjechałem z Londynu, by się z panią zobaczyć. Przywiozłem informacje o ziemi i wiadomość od pani kuzynki.

Mógł o obu sprawach napisać. Podejrzała, że naprawdę przyjechał z powodu tamtego pocałunku. Zapewne znów spróbuje ją pocałować.

To oczywiste, że jej pożądał. Och, nie uśmiechał się lubieżnie, nie wpatrywał się w nią uporczywie. Pożądanie tylko podkreśliło ostrość jego spojrzenia i przydało tajemnicy energii, którą emanował. Ten mężczyzna umiał doskonale ukrywać własne pragnienia. Nie zdołał jednak opanować napięcia, wywołanego zainteresowaniem jej osobą, które zelektryzowało też atmosferę między nimi. Ją samą zresztą też. Zbyt była dzisiaj szczęśliwa, by się co do tego oszukiwać.

Powinna się czuć urażona. Ale dzisiaj nic nie miało znaczenia. Ani jego zainteresowanie, ani jej reakcja.

Może nawet pozwoli mu się pocałować. Być może nawet nie poczuje się dotknięta, gdy on zaproponuje jakiś układ, co zapewne nastąpi po tym kolejnym pocałunku. Rzuci to jednak cień

na wspomnienia tamtej nocy. Ostatecznie ukaże go jako niezbyt szlachetnego mężczyznę, ale to nie miało już znaczenia.

Wkrótce jej tu nie będzie. Za kilka tygodni Roselyn Longworth zniknie bez śladu.

- Proszę wejść i powiedzieć, co ma pan do przekazania. -Poprowadziła go do domu.

Dzisiaj wydawała się szczęśliwsza. I bardzo piękna. Jak zawsze piękna.

Idąc za nią, Kyle zauważył na jej płaszczu żdźbła trawy. Ponieważ było zimno, prawdopodobnie tam na wzgórzu miała go na sobie, gdy położyła się na ziemi.

Wyobraził ją sobie w jej odosobnieniu, samotną postać wyciągniętą na trawie pod otwartym niebem. Rozumiał, dlaczego chciała mieć bezkresną przestrzeń nad głową. W swym ładnym domu czuła się jak w więzieniu.

- Niestety nie mogę panu dziś zaproponować placka. -Zdjęła płaszcz i otrzepała z trawy. - Szczerze mówiąc, nic nie mogę panu zaoferować.

- Pani kuzynka przysłała trochę rzeczy. Koszyk stoi na zewnątrz przy drzwiach frontowych. Pozwoli pani...

Kiwnęła głową, dorzucając trochę opału do kominka w salonie. Przyniósł koszyk. Usiadła na jednym z drewnianych krzeseł i przejrzała prezenty, wyjmując je po kolei z uśmiechem pełnym zachwyty.

Odłożyła na stolik pudełka z herbatą i ciastkami. Ustawiła w rzędzie torebkę z kawą, butelkę wina i słoik miodu.

- Co tu jest na spodzie? - zapytała, dotykając dużego zawiniątka.

- Chyba pieczony drób. Kaczka lub gęś.

Roześmiała się. Nigdy nie słyszał, żeby się śmiała tak szczerze. To był piękny śmiech. Melodyjny. Anielski.

Kyle stwierdził, że musi uważać, bo wkrótce zacznie pisać marną poezję.

- Jakie to w stylu Alexii. Luksusy, ale praktyczne. Panie Bradwell, musi pan wraz ze mną zjeść ten drób i napić się wina. Urządzimy ucztę.

- Chyba będzie lepiej, jeśli zachowa go pani tylko dla siebie.

- Nonsens. - Odstawiła koszyk na podłogę. - A jakie mi pan przywiózł wieści o mojej ziemi?

Usiadł na krześle po drugiej stronie stolika. Ogień z kominka ogrzewał im plecy.

- Badania, które przeprowadzono, to dosyć nowatorska metoda. Wstępne wnioski dowodzą jednak, że ziemia jest wyjąłowana. Czy pani bracia nie wymagali od dzierżawców stosowania płodozmianu? Podobno jest to bardzo korzystne. Albo przynajmniej należy wymagać, by pola co trzeci rok leżały odłogiem.

- Mój ojciec tylko pobierał opłaty za dzierżawę. Interesowało go życie w mieście, nie tu. Po jego śmierci nikt tak naprawdę nie zarządzał majątkiem. Uznaliśmy, jak widać błędnie, że dzierżawcy będą wiedzieli, jak uprawiać rolę, by nie obniżyć wydajności ziemi.

- Są tacy, którzy wyjąławiają ziemię i przenoszą się gdzie indziej.

Wzruszyła ramionami.

- Najwyraźniej.

To była jej jedyna reakcja. Przywiózł złe wieści, które oznaczały uszczuplenie jej dochodów, a jednak zdawała się o to nie dbać.

Oczy jej zabłyśły, gdy przesuwała palcem po brzegu pudełka z herbatą. Przyglądał się tej bezwiednej pieszczocie i wyobrażał sobie, jak jej palec przesuwa się w dół jego boku. Zacisnął zęby, by opanować reakcję, którą wywołała ta chwilowa wizja.

Cieszył się, że nie jest dzisiaj smutna. Wydawała się niemal pijana szczęściem. Nie łudził się, że to jego wizyta wywołała jej szeroki uśmiech i świetliste spojrzenie.

- Panie Bradwell, kiepski z pana kłamca. To nie Alexia dała panu ten koszyk. Myślę, że pan sam kupił te rzeczy.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Alexia przysłałaby herbatę innej firmy i inne herbatniki. Dołożyłaby też mydło, szpilki do włosów i inne drobiazgi, których potrzebuje kobieta.

Uśmiechnęła się figlarnie. Stanowczo była dzisiaj w dobrym humorze. Ożywiona. Niemal zalotna.

- Panno Longworth, przyłapała mnie pani na kłamstwie. Mówiąc, że kosz jest od pani kuzynki, miałem nadzieję uniknąć niezręczności.

- Czy to prezent z powodu tamtego pocałunku? Tu są rzeczy warte przynajmniej dziesięć szylingów, a pocałunek był wart nie więcej niż jeden. Czy może ma pan nadzieję na dziewięć następnych?

Zachowywała się wręcz lekkomyślnie.

- Kosz nie ma nic wspólnego z pocałunkiem, tylko z moją troską o pani zdrowie i brak wygod. Miał też ewentualnie osłodzić pani smutek z powodu informacji na temat pani ziemi.

- Oczywiście. Przepraszam, że kwestionowałam pana motywy. - Jej spojrzenie kpiło z powagi słów. Zaczęła z powrotem wkładać rzeczy do koszyka. - Zjedźmy razem, a wtedy powody, dla których pan to wszystko przywiózł, przestaną być ważne. Właściwie już nic nie jest ważne.

Gdy wstała, wziął koszyk z jej rąk. Poszedł za nią do kuchni. Jej zachowanie go poruszyło. Pożądanie zapłonęło w nim jak pochodnia.

A jednocześnie się zaniepokoił. Wcale nie dlatego, że mówiła zbyt otwarcie i zrezygnowała z chłodnego dystansu. Zachowywała się jak ktoś, kto podjął decyzję, wobec której przestrzeganie wszelkich konwenansów stało się nieistotne.

Zastanawiał się, o czym myślała, leżąc hen tam, na trawie, pod szarym niebem.

Stał przy stole i obserwował ją, jak wyjmuje jedzenie. Był naprawdę przystojnym mężczyzną. Jakby teraz jeszcze bardziej atrakcyjnym. Zwłaszcza jego oczy zwracały uwagę. Inteligentne.

Bystre. Jak teraz, gdy śledził jej ruchy, chociaż nie robiła nic nadzwyczajnego.

Jego strój bez zarzutu teraz wydał się jej niestosowny. Pan Bradwell chciał uchodzić za statecznego, niczym się nie wyróżniającego bogatego człowieka, ale należało spojrzeć na niego z innej perspektywy.

Ona widziała go przy pracy, bez surduta, w koszuli z podwiniętymi rękawami. Jego mięśnie rysowały się pod białym płótnem, ramiona napinały się pod ciężarem furtki. Energia ducha bardziej była wyczuwalna po zdjęciu szytego na miarę okrycia. To tak, jakby ogiera ubrać w krawat i kamizelkę.

Jego zainteresowanie obudziło w niej owo dziwne podniecenie, które zawsze wywoływał. To radosne ożywienie nawet jej się podobało. Czujność, z którą się łączyło, dziś wydała się jej niepotrzebna. Zbyt była szczęśliwa, by czuć jakąkolwiek obawę.

Roselyn zagotowała wodę na herbatę. Pieczony drób okazał się gęsią. Była jeszcze ciepła. Bradwell musiał ją kupić we wsi lub w pobliskim miasteczku.

- Bardzo spokojnie przyjęła pani informację dotyczącą ziemi - zauważył.

Postawiła jedzenie na nieprzykrytym obrusem stole kuchennym. Obok gęsi położyła chleb i ser.

- Wkrótce ziemia i opłaty za dzierżawę przestaną mieć znaczenie. Nie będę ich już potrzebować. Jednak dziękuję, że dowiedział się pan tego dla mnie.

Zmarszczył lekko brwi, siadając do stołu.

- Nie spytała też pani o wieści od kuzynki.

- Ojej, ma pan rację. Co za niedopatrzenie z mojej strony. Proszę, niech pan powie, co chciała przekazać Alexia.

- Powiedziała, że pęka jej serce z powodu listu od pani brata. Boleje, że nie może być razem z panią. Powiedziała, że dostanie pani list od żony lorda Elliota. Pani kuzynka ma nadzieję, że skorzysta pani z oferowanej przez lady Phaedrę możliwości zamieszkania w mieście.

- Już dostałam ten list. Alexia zamierza wymykać się potajemnie i mnie odwiedzać, jeśli skorzystam z tego domu. Cóż, być może na ostatnie spotkanie... Tak, chyba tak zrobię.

Gdy jedli, pograżył się w zadumie. Nie przeszkadzało jej, że nie musi go zabawiać rozmową. Nie ignorowała go, był przecież jej gościem, zresztą z tym mężczyzną byłoby to niemożliwe. Jednak jego milczenie pozwoliło jej myśleć o słońcu i przygodach, którymi miała nadzieję cieszyć się za kilka miesięcy.

- Panno Longworth, jest dziś pani bardzo szczęśliwa.

- Chyba to dobrze?

- Oczywiście. Jednak pani obojętność co do jej przyszłości, lekceważenie kłopotów z ziemią, brak zaciekawienia wiadomościami od kuzynki... Nie mam prawa się wtrącać, ale pani dzisiejsze zachowanie martwi mnie bardziej niż pani smutek podczas mojej ostatniej wizyty.

- Nie powinien się pan niepokoić. Jeśli wydaję się nieco obojętna na drobiazgi dotyczące mego życia, dzieje się tak dlatego, że wkrótce spodziewam się skończyć z życiem tutaj, skandalem i samotnością. Panie Bradwell, podjęłam decyzję. Wyjadę bardzo daleko, na zawsze.

Mina mu zrzędnęła. Patrzył na nią z obawą, potem na jego twarzy pojawiła się determinacja. Wyprostował się na krześle, skrzyżował ręce na piersi i przeszył ją przenikliwym spojrzeniem.

- Nie wyjedzie pani. Powstrzymam panią.

- Nie może mnie pan powstrzymać. To do mnie należy decyzja.

- To fatalna decyzja. - Nagle ujawniła się jego okiełznana dotąd energia. Uderzyła w nią jak wichur. - Powinienem był się domyślić, co oznacza pani melancholia. Pomówię z pani kuzynką i lordem Hayden. Znajdziemy miejsce, gdzie będzie pani mogła wypocząć, z dala od tej wsi i przeklętych plotek. Za kilka tygodni zrozumie pani...

- Panie Bradwell, proszę.

Uciszyła go gestem. On ją całkowicie źle zrozumiał.

- Panie Bradwell, pana wnioski są zbyt ponure i w dodatku błędne. Nie cierpię na melancholię. Nie targnę się na życie, choć może tak to zabrzmiało. Ja po prostu wyjadę. Na kontynent. Czekam tylko na list od zaprzyjaźnionej osoby, by móc wyruszyć.

Znieruchomiał. Wyjrzał przez okno, rozmyślając nie wiadomo nad czym.

- Na kontynent?

- Tak. Do Włoch.

- Kim jest ta zaprzyjaźniona osoba?

- To chyba nie pańska sprawa.

Nie spodobała mu się jej odpowiedź.

- Opuści pani siostrę? I kuzynkę?

- Już są dla mnie stracone. Tak jak ja dla nich.

- Z czego będzie pani żyć?

- Dam sobie radę. Niech się pan cieszy, że dostałam szansę na nowe życie. To o wiele lepsze, niż być za życia pogrzebaną w tym domu. To właściwa decyzja. Jedyne wybory, które oferuje mi jakaś przyszłość.

Zwrócił na nią spojrzenie. Przepęłniało je dziwne poczucie więzi. Nie było to zwykłe uczucie łączące przyjaciół. On był mężczyzną, a ona kobietą i wiedział o niej o zbyt wiele.

Nagle poczuła podniecenie, które zawsze potrafił w niej wzbudzić. Krew zaczęła w niej szybciej krążyć. Czuli się jak wtedy na polu, zanim ją pocałował. Pełna wyczekiwania, bezbronna i uległa.

- Dwie samotnie podróżujące kobiety? We Włoszech? Ani to bezpieczne, ani rozsądne. Kto paniom zapewni bezpieczeństwo? Czy pani przyjaciółka ma przynajmniej służbę?

Nie odpowiedziała. Jego pomoc tamtej nocy nie dawała mu prawa, by ją w ten sposób przepytawał.

- To nie jest kobieta, prawda? - Na jego twarzy widać było nie tyle przyganę, co troskę. - Kimkolwiek on jest, w końcu panią zostawi. A jeśli stanie się to za granicą? Jeśli zamiary tego mężczyzny są jeszcze gorsze niż lorda Norbury? Na kontynencie nie będzie pani miała nawet swojej kuzynki, by zwrócić się do niej o pomoc.

- To nie kochanek. Nie tego rodzaju przyjaciel.
 - Tak mówi teraz.
 - Znam tego mężczyznę bardzo dobrze. Wiem, że będę bezpieczna. To nie to, co pan przypuszcza. Wpatrywał się w nią tak przenikliwie, że wprowadził ją w zakłopotanie. Wyczuwała jego dezaprobatę.
 - Jeśli nie ma tam pani zapewnionego bezpiecznego domu, pewnej przyszłości, to stanowczo nie jest to właściwy wybór.
 - Lepszy niż to, co mam teraz. - Rozgniewał ją jego uporczywy sceptycyzm. Czowała się dzisiaj tak szczęśliwa, a on wszystko zepsuł litanią bezlitosnych argumentów.
 - To niejedyna droga.
 - Doprawdy? Czyżby przywiózł pan też inne wieści? Rozgrzeszenie od biskupa Canterbury, królowej i matron z klubu Almack's? Może Alexia przekazała też nowinę o spadku, zapisanym mi przez nieznanego bogatego krewnego?
 - Gdybym był iluzjonistą, wszystko to bym dla pani wyczarował. Jednak i bez magii może mieć pani przynajmniej po części lepsze życie. Odzyskać bezpieczeństwo i spokój. Na powrót mieć siostrę i kuzynkę i zrobić pierwszy krok do odzyskania reputacji.
- W noc licytacji nie ofiarował jej fałszywej nadziei. Czowała rozczarowanie, że robił to teraz.
- To, co pan opisuje, stanowczo będzie wymagało czarów. Proszę nie malować ładnych, sentymentalnych pejzaży, by odwieść mnie od mego planu. Pana zapewnienia to okrutne mrzonki.
 - Panno Longworth, nie maluję ładnych pejzaży. Rysuję mapy dróg, po których będą jeździć wozy, oraz plany domów, w których zamieszkają ludzie. To, co odmalowałem, jest w zasięgu pani ręki. Musi pani tylko wyjść za szanowanego, dobrze sytuowanego mężczyznę. - Na jego wargach pojawił się cień uśmiechu. - Na przykład za kogoś takiego jak ja.

6

Roselyn patrzyła się na niego szeroko otwartymi oczami. Rzucił pomysł małżeństwa z niewiarygodnym spokojem, jakby od niechcienia. Niemal jak dygresję, by udowodnić, że jego argumenty mają sens.

Musiała upłynąć dłuższa chwila, by dotarło do niej, że on mówi poważnie. Właśnie się jej oświadczył.

- Panie Bradwell, to lekkomyślność. Po raz drugi podejmuje pan pochopną decyzję z mojego powodu. Myślałam, że poprzednim razem już dostatecznie drogo to pana kosztowało.

- Nigdy nie złożyłbym tej propozycji, gdybym jej dogłębnie nie przemyślał.

Wstrząs mijał, budząc wewnętrzny niepokój. Gdy tak siedziała pod jego spojrzeniem, czuła, że ma on nad nią przewagę. Wstała, ale on też wstał, więc nic to nie pomogło.

- Pan chce być po prostu miły. Niemal niezauważalnie pokręcił głową.

- Nie jestem tak szlachetny.

- Wszyscy będą z pana drwić. Jestem bohaterką największego skandalu tej zimy.

- Jeśli się pobierzemy, wszyscy przemyślą ten skandal od nowa. Upłynie trochę czasu, zanim odzyska pani dawną pozycję w towarzystwie, ale pani kuzynka i rodzina jej męża natychmiast nawiążą z panią stosunki.

Z nim też. Wziął to pod uwagę, gdy rozważał, co może zyskać, a co stracić.

Jej zmieszanie minęło. Wyobraziła sobie te kalkulacje. Wiedziała, co się stało.

- Panie Bradwell, nie jestem już w wieku, w którym zwykle wychodzi się za mąż. Nigdy się pan nie zastanawiał, dlaczego jestem starą panną?

71

- Doszedłem do wniosku, że nie spotkała pani mężczyzny, który by pani odpowiadał. Albo że nie miała pani ochoty na małżeństwo z powodu jakichś własnych planów.

Mylił się, jeśli tak myślał. Mogła poczekać na list od Tima. Mogła wyjechać.

- Gdy byłem młodsza, nikt się o mnie nie starał. Mieszkaliśmy tutaj, a nasza sytuacja finansowa była kiepska. Później, po zainwestowaniu w bank, gdy moi bracia stali się bogaci, było wiele propozycji. Starali się o mnie przeróżni mężczyźni, jednak zawsze bardziej interesował ich mój posag niż ja sama. Wolałam nie wychodzić za mąż tylko po to, by napęlić komuś sakiewkę.

- Rozumiem. Musiała pani znaleźć się w biedzie, by uwierzyć, że zainteresowanie mężczyzny może wypływać z uczucia, a nie z chciwości. To wyjaśnia również, dlaczego oddała się pani Norbury'emu, wcześniej odrzucając bardziej uczciwe propozycje.

Poczuła na twarzy rumieniec. Patrzył na nią ze spokojną pewnością, która sugerowała, że rozumiał więcej, niżby chciała.

- Panno Longworth, teraz nie jest już pani siostrą bogatego bankiera.

- To prawda. Teraz jestem nikim. Istnieje tyle powodów, które powinny pana odwieść od tak pochopnych oświadczeń, że muszę się zastanawiać, dlaczego wyszedł pan z tą propozycją. Mam nadzieję, że nie z litości. Potrzebowała czymś się zająć, by uciszyć nerwowe trzepotanie serca. Zaczęła zawijać i chować to, co pozostało po posiłku. Zniosła talerze do zlewu na drugim końcu kuchni.

On nadal stał przy stole pod oknem, swoją obecnością wypełniając całą przestrzeń.

- Nie z litości - odezwał się w końcu. - Przyznaję się, martwię się o panią, ale nie jest to litość.

Wstawiła talerze do zlewu. Nie najlepiej panowała nad sytuacją. Powinna szczerze z nim porozmawiać.

Przynajmniej to mu się należało.

Odwróciła się do niego. I natychmiast zrozumiała, że to był błąd.

W jego oczach widoczne było rozbawienie, które sugerowało, że spodziewa się walki i nie ma nic przeciwko niej.

- To lord Hayden pana do tego namówił, prawda? Zapewne był to pomysł Alexii, ale to on się do pana zwrócił. Jak duży posag panu obiecał?

- Lord Hayden nic o tym nie wie. Niczego nie obiecywał.

Jego ton sprawił, że niemal mu uwierzyła. Niemal. Jeśli mówił prawdę, a raczej w to wątpiła, był głupcem.

- Zatem oświadcza się pan pogardzanej kobiecie, bo martwi się pan o nią, a także dlatego, że będzie pan przyjęty przez krewnych jej kuzynki? Jak na odnoszącego sukcesy człowieka interesów, który uważnie planuje swoje posunięcia, wybiera pan kiepskie rozwiązanie.

Jego twarz spoważniała.

- Jest pani pewna, że odgadła moje motywy. Ale zapomniała pani o najważniejszym. Oprócz wymienionych przez panią skromnych korzyści dostanę coś jeszcze.

- Nie wiem, co by to mogło być.

- Panią, panno Longworth. Dostanę panią jako matkę moich dzieci i żonę w moim łóżku.

Podszedł do niej. Surdut już nie przesłaniał jego obrazu. Widziała Bradwella tak, jakby nie miał go na sobie, a ciemne włosy i luźną koszulę szarpał mu wiatr. Wyraz jego twarzy oszołomił ją. Mądry. Zdecydowany.

Olśniewający.

Z każdym krokiem pociągał ją coraz silniej. Uchwyciła się krawędzi blatu. Gdy zbliżył się do niej, zaniepokojona odchyliła się do tyłu, aż plecami dotknęła brzegu zlewu.

Odzyskała głos.

- Większość mężczyzn uznałaby, że nie nadaję się na matkę ich dzieci.

- Inni mężczyźni nie znają pani prawdziwego charakteru.

- Większość mężczyzn nie chciałaby żony, która w tak haniebny sposób straciła cnotę. Wymagaliby, by ich oblubienica była nietknięta.

- Ten mężczyzna wymaga jedynie, by od dzisiaj tylko on mógł dotykać swej oblubienicy.

Stał tak blisko, że nie była w stanie się wyprostować, boby jej dotknął. Jego obecność działała na nią nie tylko fizycznie. Tonęła w głębi jego niebieskich oczu. Nie mogła skupić myśli.

Wyczuła w nim pożądanie. Spodziewała się dzisiaj propozycji z jego strony. Jednak nie takiej.

- To nadal kiepski układ - wyjąkała. - Tamtej nocy usłyszał pan, że nie jestem gorącą kobietą. Byłoby z mojej strony nie w porządku zapewniać, że lord Norbury skłamał.

- W tej kwestii nie jestem skłonny polegać na ocenie innego mężczyzny. Sam wyrobię sobie opinię, mam podstawy przypuszczać, że Norbury bardzo się mylił.

Położył dłoń na jej szyi. Drgnęła pod tym dotknięciem. Gładził ją po szyi, aż w końcu delikatnie, ale mocno objął ją za kark.

Słowa zamarły jej na ustach. Nie była w stanie protestować. Pociągnął ją ku sobie.

Ten pocałunek nie przypominał tamtego na polu. Był czuły i delikatny, ale pomyślany tak, by pokonać jej obiekcje. Rozpalił w niej ogień, który wywołał westchnienie w głębi duszy. To takie przyjemne, ekscytujące. Jeszcze trochę, chwilę dłużej.

Drobne dreszcze spłynęły po jej ciele, rozgrzewając ścieżki do miejsc odległych od tego, które całował. Tak, jeszcze dłużej...

Poddała się, nieprzygotowana na mistrzostwo tego łagodnego ataku. W tym długim pocałunku nie było wahania.

Czuła za to delikatność i chęć sprawienia jej rozkoszy. Tak, przynajmniej to może być przyjemne. Bardzo przyjemne...

Wykorzystał jej zdumienie. Lekką pieszczotą skłonił, by rozchyliła wargi.

Gdy w końcu to zrobiła, delikatne wtargnięcie wydawało się nieuniknione. Zastanawiała się chwilę, czy nie zaprotestować,

ale się poddała. Wrażenia pokonały jej opór, który już dawno przestał mieć sens. Zamiast szoku pojawił się zachwyty, że ten pocałunek wzbudził w niej tak rozkoszne doznania.

Była zgubiona i on o tym wiedział. Jeśli zechce, może ją teraz mieć i wie o tym. Po swoim upadku straciła powód, by mu się opierać i o tym on też wie.

Nie zwracała uwagi na ostrzeżenia wysyłane przez umysł. Rozkosz zabrała ją w miejsce odległe od smutnego świata, który był teraz jej udziałem.

Pocałunek jednak się skończył. Otworzyła oczy. Zobaczyła, że Bradwell przygląda się jej poważnie, jakby zastanawiał się, co może oznaczać ten brak oporu. Potem zamknął oczy i pochylił głowę, aż oparł się czołem o jej czoło. Dłonią nadal przytrzymał ją za kark, by się od niego nie odsunęła. Niemal słyszała, jak w myślach walczył z pożądaniem.

- Jak dla mnie dostatecznie ognista. - Czubkami palców musnął jej wargi i lekko się przy tym uśmiechnął. - Choć twierdzenie, że brak pani doświadczenia, jest w jakiejś mierze uzasadnione.

Zdumiało ją, że nawiązał do tamtej nocy. Ze wszystkich mężczyzn ten nigdy nie zapomni o jej poniżeniu.

- Jak pan może mówić o tym tak spokojnie? Pan wie, że ja...

- Nie mówię, że skandal nie ma znaczenia. Nie twierdzę, że mnie nie obchodzi. Ale nie jest aż tak bardzo ważny.

A jednak obchodził go i miał dla niego znaczenie. Oczywiście, że tak. Zachował się wobec niej honorowo, ale nie był święty.

Nie wierzyła, że przyjechał dziś, by zaproponować jej małżeństwo. Nadal podejrzewała, że przedtem wybrał inny sposób, by mieć ją w swoim łóżku. Zrezygnował z niego dopiero, gdy doszedł do wniosku, że zamierzała oddać się komuś innemu.

Myśli te pojawiły się w głowie Rose, jednak tylko na chwilę. Nie była w stanie kierować się rozsądkiem, dopóki on jej dotykał, a ich pocałunek nadal mocno na nią działał.

- Nie oczekuję odpowiedzi dzisiaj. Proszę tylko, by rozważyła pani moją propozycję jako możliwe wyjście z sytuacji. Zdaję sobie sprawę, że musi pani wiele przemyśleć. Wiem, że gdy była pani młodsza, nigdy nie myślała pani o tym, by wyjść za mąż za mężczyznę takiego jak ja, ale teraz wiele się zmieniło. - Poglaskał ją palcami po twarzy, ostrożnie, czule, jak tam, na polu. - Proszę obiecać, że się pani nad tym zastanowi.

To właściwie nie była prośba, a ona nie miała w sobie dość chęci, by odmówić.

Wyjął z kieszeni surduta kartkę papieru.

- To mój adres w Londynie. Gdy się pani zdecyduje, proszę po mnie posłać. Lub, jeśli pani woli, napisać. Gdybym nie otrzymał odpowiedzi w ciągu dziesięciu dni, sam się zgłoszę.

Położył papier obok zlewu. Skierował się do drzwi, a jego kroki rozbrzmiewały głośnym echem w pustym domu. Gdy zmywała naczynia, kilka kropli wody lekko rozmazało adres na kartce. Pochyliła się i odsunęła papier łokciem, by pismo nie rozmyło się do końca.

Upłynęło wiele czasu od wyjścia Bradwella, zanim wreszcie się poruszyła. Minęła godzina, zanim odzyskała nieco opanowania. Rose przypuszczała, że upłynie wiele dni, zanim będzie w stanie jasno pomyśleć o tym, co się dzisiaj wydarzyło.

Skapitulowała zdumiewająco szybko. Tak szybko, że nie będzie mieć do niego żalu, jeśli przewartościuje on ocenę jej charakteru. Nie spodziewała się, że spodoba się jej ten głęboki pocałunek. Biegłość Bradwella była objawieniem, które postawiło ją na z góry przegranej pozycji.

Znaczną rolę odegrała też tutaj jej utracona cnota. Najwyraźniej bardzo łatwo było upaść, jeśli się już raz upadło. Czy nie przed tym właśnie ostrzegały stare matrony?

Ze jest dla niego dostatecznie ognista? Tego nie mógł wiedzieć. Intymne stosunki w małżeństwie to coś więcej niż pocałunki w kuchni.

Gdy była kochanką Norbury'ego, nie podobały się jej fizyczne zbliżenia. Pocałunki owszem, ale reszta... Rose skrzywiła się na wspomnienie wstydu, przykrych doznań i skrepowania. Wiedziała, że niektóre kobiety nie odczuwają rozkoszy, jednak nikt jej nie uprzedził, jak nieprzyjemnie jest pozostać obojętną, gdy kochanek dawał się ponieść żądzy.

Skończyła zmywanie i wytarła dłonie ręcznikiem. W zachodzącym słońcu widziała szorstkość swej skóry. Gdy była nastolatką, smarowała ręce kremem. Później też, dopóki było ją stać na kosmetyki. Jednak w swym życiu tyle się już naprała i naszorowała, że od dawna nie miała rąk jak dama.

Od tamtej pory wiele się zmieniło. Na Boga, to prawda.

W pierwszym odruchu chciała odrzucić te oświadczenia. Wszystkie względy, dla których to małżeństwo mogłoby być koszmarem, dzwięczały jej ostrzegawczo w głowie.

Zapewne zaproponowano mu pieniądze. Wkrótce jednak pieniądze się skończą lub zostaną zapomniane, a oni będą ze sobą związani na zawsze.

W najlepszym razie oświadczył się pod wpływem chwili, by znów ją ocalić. Myślał, że chce wyjechać za granicę z kolejnym łobuzem, więc czuł się w obowiązku, by znów się poświęcić.

Tak czy owak, oświadczył się. To dawało jej jakiś wybór. Byłaby głupia, gdyby z miejsca go odrzuciła. Wątpliwe jednak, czy będzie w stanie spokojnie przeanalizować żale, lęki i uprzedzenia, które już gromadziły się w jej głowie, by ją zniechęcić.

Rose żałowała, że nie ma tu Alexii. Alexia była taka mądra i dociekliwa. Mogłaby jej pomóc przemyśleć ten nieoczekiwany obrót sprawy.

77 - Tajniki uległości

81

7

Wezwanie do domu Norbury'ego nadeszło cztery dni po wizycie Kyle'a u panny Longworth. Ponieważ liścik nie wspominał, czego ma dotyczyć spotkanie, Kyle zastanawiał się, czy wicehrabia przypadkiem nie usłyszał o oświadczeniach.

Ze swojego mieszkania na Piccadilly pojechał do Mayfair konno. Nie widział się z Norburym od chwili licytacji, a już same wypadki tamtej nocy wystarczyłyby, aby zepsuć atmosferę między nimi. Przypuszczał, że jego bezczelność, by zaproponować pannie Longworth małżeństwo, nie obejdzie się bez kilku zjadliwych uwag.

Oczywiście panna Longworth go nie przyjęła. Nawet nic nie napisała. Pewnie nigdy nie napisze.

Nie uśmiechało jej się takie zakończenie dramatu. Kyle wątpił, czy pomyśli o nim cieplej, rozważając możliwości wyboru. Związek z mężczyzną niskiego urodzenia, którego ledwo znała, na pewno wypadnie błado w porównaniu z atrakcjami oferowanymi przez tamtego drugiego człowieka.

Kolejni protektorzy, taki los zwykle czekał upadłe kobiety, które wywołały publiczny skandal. Pewność Easterbrooka w tej kwestii była irytująca przede wszystkim dlatego, że całkowicie miał rację. Widział, w jakich warunkach mieszka panna Longworth, widział jej samotność i beznadziejną przyszłość.

Włochy. Do diabła!

Uznała, że jego oświadczenia były lekkomyślne i pochopne. A jednak wyglądało na to, że zastanawiał się zbyt długo.

Na tyle długo, żeby pannę Longworth zdążył odnaleźć, osaczyć, obłaskawić i skusić jakiś sęp.

Zastanawiał się tak długo, że następnego ranka po wizycie w laboratorium Jean Pierre'a posłaniec w liberii przyniósł kolejny list od markiza. Tym razem na kosztownym papierze nie było słów, tylko wielki, pięknie wyrysowany piórem znak zapytania.

82

Ulica przed domem Norbury'ego roiała się od stajennych. Jeden z nich odprowadzał konia Kyle'a. Wyglądało na to, że nie będzie to rozmowa w cztery oczy.

Jak tylko Kyle wszedł do biblioteki, zorientował się, że zebranych tam mężczyzn coś łączy z panną Longworth.

Wszyscy zostali oszukani przez jej brata Timothy'ego.

To spotkanie przypomniało mu, że choć zastanawiał się nad oświadczeniami tak długo, nadal nie rozstrzygnął największego dylematu. Wkrótce nadejdzie dzień, gdy obecny skandal, wywołany przez pannę Longworth, zblednie w porównaniu z tym, który jeszcze bardziej ją pograży i odbierze resztki dumy.

Norbury chyba nie zauważył przybycia Kyle'a. Kontynuował rozmowę z jakimś mężczyzną. Kyle znalazł wolne krzesło i przyjął od służącego filiżankę kawy.

Norbury zwrócił się do ogółu zgromadzonych.

- Panowie, musimy podjąć decyzję. Pomyślałem, że najlepiej będzie zebrać was wszystkich razem, byśmy mogli sprawę rozstrzygnąć szybko.

Rozmowy ucichły. Oczy zwróciły się na gospodarza.

- Otrzymałem list od Roydsa. Nadszedł dziś rano, został wysłany z Dijon.

- Czy ma już tego łajdaka w garści? - rozległ się niski głos sir Roberta Lillingstona. - Nie rozumiem, dlaczego trwa to tyle czasu.

Cichy chórek przytakujących pomruków poparł tę uwagę.

- Niestety, jeszcze nie. Jednak... Szmerzy przybrały na sile.

- Panowie, pozwólcie mi mówić dalej. Pan Royds napisał, dlaczego tropienie naszej zwierzyny okazało się tak trudne. Wbrew temu, co słyszeliśmy, Longworth nie podróżował sam. Przez cały czas miał towarzysza. Royds dotarł po śladach aż do Dijon, gdzie Longworth mieszkał pod swoim ostatnim nazwiskiem, Goddard. Ten jego towarzysz, człowiek nazwiskiem

Pennilot, zachorował na gorączkę i umarł, a Longworth z tego powodu był zmuszony opóźnić podróż.

- Więc gdzie on teraz jest? - spytał Lillingston. - Nie w Dijon, jak sądzę.

- Nie, nie w Dijon — potwierdził Norbury. — Royds rozminął się z nim o włos. Ma mocne podstawy, by przypuszczać, że Longworth skierował się na południe, a jego celem są Włochy.

Nikommu się to nie spodobało. Wieść o niedoszłym aresztowaniu wywołała liczne komentarze.

Kyle nie odezwał się nawet słowem. Skupił uwagę na ostatnim słowie Norbury'ego.

Włochy. Roselyn Longworth mówiła, że pojedzie tam z zaprzyjaźnioną osobą. Przeanalizował w myślach ich rozmowę. Ona wcale nie twierdziła, że będzie podróżować na kontynent z tym mężczyzną. Mogła planować spotkanie z nim tam, na miejscu. We Włoszech.

Przeklął własną głupotę. Nie oszukiwała się, nie była naiwna, twierdząc, że jej przyjaciel nie miał żadnych niecznych zamiarów. Bynajmniej nie wyobrażała sobie nowego życia w roli czyjejś kochanki. Zamierzała dołączyć do swojego brata złodzieja.

Konsekwencje tego dla niej, dla niego, dla propozycji, którą złożył, pochłonęły większość jego uwagi. Za ledwie jednym uchem słuchał dyskusji w bibliotece.

- Pan Royds pojechał za nim, ale przewiduje znaczne wydatki, jeśli ma kontynuować poszukiwania we Włoszech - wyjaśnił Norbury. - Przy tylu suwerennych państewkach na półwyspie na pewno potrzebne będą liczne łapówki. Muszę napisać do niego na adres w Mediolanie i dać zgodę na ponoszenie dalszych kosztów oraz obietnicę ich zwrotu z naszej strony.

- Royds może utknąć we Włoszech na wiele lat - zaprotestował bogaty kupiec Barston. - Jestem zdania, że należy z tym skończyć. Dzięki lordowi Hayden Rothwellowi nie ponieśliśmy tak wielkiej straty. Tak jak wy wszyscy chcę, żeby ten drań zapłacił za swoje winy, ale wygląda na to, że to polowanie może trwać

całą wieczność. Nie interesuje mnie dochodzenie sprawiedliwości, jeśli kosztuje setki funtów.

Norbury poczerwieniał na twarzy.

- Longworth zrobił z ciebie głupca. Z nas wszystkich. Wkradł się w nasze kręgi i podstępnie skłonił nas, byśmy skorzystali z jego banku. Zrobił z nas idiotów, a potem uciekł z łupem. Na litość boską, miejcie choć trochę dumy.

- Nie wygląda na to, by Royds wiedział, dokąd on pojedzie - zaprotestował Barston.

- Już on go znajdzie. Posłuży się tymi samymi metodami, które doprowadziły go do Dijon.

- Odszukanie tam Longwortha zajęło mu wiele miesięcy. Mogą upłynąć kolejne, zanim Royds, czy ktoś inny, dowie się, dokąd teraz dotarł.

Kyle uświadomił sobie, że ktoś w Anglii już wkrótce będzie wiedział, gdzie jest nowa przystań Timothy'ego Longwortha. Roselyn czekała na jego list, by móc zacząć nowe życie.

Spojrzał na mężczyzn wokół niego. Niektórzy byli dżentelmenami, inni kupcami jak Barston. Jeden był szanowanym finansistą. Jedyne, co ich łączyło, to pragnienie zemsty.

Nie dlatego, że ponieśli wielkie straty. Lord Hayden zwrócił im wszystkim pieniądze. Ta spłata miała powstrzymać ich przed zgłoszeniem przestępstwa. Dowiedzieli się, jak Longworth fałszował dokumenty, by sprzedać papiery wartościowe zdeponowane w jego banku, jednak człowiek, któremu powetowano stratę, szybko zapomina o całej sprawie.

W przypadku większości pokrzywdzonych plan lorda Hayden powiódł się, ale obecni tutaj mężczyźni nie byli usatysfakcjonowani. Rekompensata im nie wystarczyła.

Połączyli siły, by odszukać Longwortha i sprowadzić z powrotem do Anglii.

Norbury rozejrzał się, spodziewając się kolejnych protestów.

- Jestem pewien, że Longworth wkrótce zostanie odnaleziony. Jeśli nawet Royds będzie musiał przetrząsnąć każde miasteczko

we Włoszech, będą to dobrze wydane pieniądze. Longworth niewątpliwie świetnie sobie żyje, śmiejąc się z głupców, których obrabował. Żaden człowiek honoru nie powinien na to przystać.

Ta uwaga ucięła wszelkie dyskusje. Przeprowadzono pospieszne głosowanie. Potem zgromadzeni upoważnili Norbu-ry'ego, by napisał do Roydsa i obiecał potrzebne fundusze.

Wkrótce wszyscy wstali i zaczęli się żegnać. Kyle zwlekał, gdy inni wychodzili. Nadszedł czas, by wysondować Norbury'ego.

Gospodarz przez jakiś czas ignorował go, przekładając papiery. W końcu uniósł głowę i spojrzał na niego bladymi oczami.

- Kyle, nie odzywałeś się dzisiaj. Bardzo rozsądnie.

- Nie miałem nic do powiedzenia.

- Kiedyś miałeś. Pamiętam piękne oskarżycielskie mowy w sprawie biedaków wieszanych co tydzień za drobniejsze występki, bo nie mieli bogatych przyjaciół, którzy wykupiliby ich życie u pokrzywdzonych. Głosiłeś moralną surowość jak pastor albo jakiś przekłety filozof, a przecież nie jesteś ani jednym, ani drugim i twoje opinie są bez znaczenia. - Norbury zmrużył powieki, a w oczach zalśniły mu lodowate błyski. - Chcesz wcielać w życie szlachetne idee, które przejąłeś od nauczycieli i z książek, zapominając o tym, że to bezczelne zuchwalstwo, by tacy jak ty ośmielali się pouczać lepszych od siebie.

- Nikogo nie pouczam.

- Tak, akurat. Twoje zachowanie podczas wieczoru u mnie było bardziej wymowne niż słowa. - Norbury rzucił mu rozdrażnione spojrzenie. - Lord Hayden wychodził z siebie, by dać wszystkim do zrozumienia, że nie pobawiłeś się lalką, którą sobie kupiłeś tamtej nocy. Zrobiłeś to tylko po to, by...

- Co pana obchodzi, dlaczego to zrobiłem? Dostał pan dziesięć razy więcej, niż mógł się wtedy spodziewać, i uwolnił się od niej. Sam pan powiedział, że opinie takich jak ja nie mają znaczenia dla takich jak pan.

Norbury odwrócił wzrok. Wyglądało na to, że trochę się uspokoił. Kyle się pożegnał. Był już przy drzwiach, gdy Norbury odezwał się ponownie.

- Kyle, mam dość twojego zuchwalstwa. Takie prostackie idee byłyby bardziej odpowiednie dla ciemnych, nieokrzesanych górników z twojej wioski. - Jego głos zmienił się w złowrogi pomruk. - Nie waż się więcej wejść mi w drogę.

- Mieszkałam tu prawie dziesięć lat. Dom jest bardzo skromny, ale ulica bezpieczniejsza niż się wydaje.

Lady Phaedra zamaszystym krokiem podeszła do drzwi owego domu. Jej czarna suknia i peleryna zatrzepotały na wietrze, nieoczekiwanie ukazując złocistą podszewkę. Kręcone rude włosy opadły jak kurtyna ognia z jednej strony jej twarzy, gdy pochylili się, by włożyć klucz do zamka.

Rose czekała z walizką w ręce. Ostatnie słowa lady Phaedry nieco ją pocieszyły. Ta ulica niedaleko Aldgate raczej nie wyglądała na bezpieczną. Woźnica lorda Elliota był chyba podobnego zdania, bo siedział czujnie na koźle z batem w pogotowiu.

Domy były stare, ulica wąska. Jakaś żebraczka siedziała niecałe pięć jardów od drzwi Phaedry. Inna kobieta w otwartym oknie po drugiej stronie ulicy z podejrzaną poufałością wołała do przechodzących mężczyzn.

Lady Phaedra zauważyła to i się roześmiała.

- Elliot ostrzegał mnie, że będzie pani skonsternowana. Powiedział, że powinniśmy wynająć lepsze lokum i udawać, że należy do mnie, bo i tak się pani nie dowie prawdy. Jednak Alexia powiedziała, że pani jest zbyt dumna, by przyjąć taką jałmużnę, a ja nie potrafię żyć w zakłamaniu.

- Cieszę się, że pani tego nie zrobiła. Jeśli pani mieszkała tu prawie dziesięć lat, to ja na pewno będę tu szczęśliwa przez kilka tygodni.

Phaedra otworzyła drzwi.

- Musi pani tu przewietrzyć. Dom stał zamknięty przez ponad miesiąc.

Wnętrze było tak nietuzinkowe jak jego właścicielka. Salon służył również jako biblioteka. Jedną ścianę wypełniały wysokie regały, na pozostałych wisiały dziwne obrazy i grafiki. Pod oknem stała stara otomana, przykryta mnóstwem kolorowych szali, które nie do końca ukrywały wytartą tapicerkę.

- Przyślę służącą, by tu z panią mieszkała. Będzie pani spokojniejsza - powiedziała lady Phaedra.

- Nie, dziękuję. Była pani aż nadto hojna i bardzo uprzejma, nie okazując zdumienia, gdy zjawiłam się u niej na progu. Przecież pani mnie nawet nie zna.

- Wiem wszystko o pani, również to, że Alexia bardzo panią kocha. Wiem też, co to znaczy być obiektem plotek i pogardy. Jest jednak wielu ludzi, którzy nie przejmują się zdaniem towarzystwa i przyjmą panią bez uprzedzeń. Rose rozumiała lekcję, której próbowała jej udzielić lady Phaedra. Wiedziała, że istnieją kręgi, rządzące się innymi regułami. Phaedra Blair nie podporządkowała się surowym zasadom etykiety i, według Alexii, zanim zgodziła się wyjść za lorda Elliota, wiodła ciekawe, barwne życie. Wyglądało na to, że w dalszym ciągu nie pasuje do wykwintnego towarzystwa, woląc się wyróżniać.

Rose jednak nie była Phaedrą Blair, nie wyrosła w niekonwencjonalnych, artystycznych kręgach i czułaby się nieswojo, próbując się w nie wtopić. Lady Phaedra próbowała jej pokazać, że ma jeszcze jedną możliwość do wyboru, ale akurat tego rozwiązania Rose nie uważała za realne.

- Na sąsiedniej ulicy można bez trudu znaleźć dorożkę - powiedziała Phaedra, oprowadzając ją po kuchni i jadalni. - Są tam też sklepy.

Rose zaniósła walizkę do jednej z dwóch sypialni na piętrze. Ich okna wychodziły na mały, zaniedbany ogródek.

- Zostawię panią, by mogła pani odpocząć - powiedziała lady Phaedra, gdy zeszły z powrotem na dół. - Długa jazda dyli-

żansem jest zawsze męcząca. Przyjdę jutro, by zobaczyć, jak pani sobie radzi.

Rose przyglądała się, jak Phaedra Blair w czarnej pelerynie wychodzi na ulicę i zmierza do powozu. Zabierze on ją z powrotem do ładnego domu w Mayfair, który dzieliła z lordem Elliotem. Niedaleko stamtąd, na Hill Street, mieszkała Alexia.

Rose wyobraziła sobie Alexię w tamtym domu. Dawniej mieszkali tam całą rodziną. Wtedy był to dom Longworthów.

Od tamtej pory wiele się zmieniło.

Wszystko się zmieniło.

Następnego ranka Rose usłyszała powóz zatrzymujący się przed domem. Zerwała się, by wyrzeć przez okno.

Rozpoznała powóz. Tak jak myślała, Alexia dowiedziała się od Phaedry o jej przyjeździe i postanowiła natychmiast ją odwiedzić.

Serce w niej zamarło, gdy otworzyły się drzwi powozu. Z jego wnętrza wyłonił się wysoki, sztywny mężczyzna.

Odwrócił się i pomógł wsiąść jej kuzynce. Lord Hayden Rothwell postanowił dotrzymać swojej żonie towarzystwa. Właściwie może to i dobrze. Rose chciała mu zadać parę pytań.

Otworzyła drzwi wejściowe akurat wtedy, gdy do nich podeszli. Na jej widok Alexia uśmiechnęła się radośnie. Lord Hayden piorunował wzrokiem żebraka i jakąś ladacznicę, więc był zbyt zajęty, by też się uśmiechnąć.

- Odwiedzałaś Phaedrę w tym miejscu? - Usłyszała jego pytanie. - Sama, zanim pobraliśmy się? A potem?

- Czasami - odparła Alexia, ignorując przerażenie swego męża. Przekroczyła próg i objęła Rose. - Rose, proszę, nie gniewaj się. Gdy zwróciłaś moje listy nierozpieczętowane, dałaś mi jasno do zrozumienia, że nie chcesz mnie narażać. Jednak Hayden zgadza się ze mną, że jest mało prawdopodobne, by ktoś doniósł harpiom z towarzystwa o tym spotkaniu. Mieszkańcy tej okolicy nas nie znają, a już na pewno nie wymieniają ploteczek w wykwinnych salonach.

Rose zaprowadziła ich do dziwacznie urządzonego salonu. Lord Hayden zajął się oglądaniem grafik, wiszących na ścianie.

- Alexio, cieszę się, że przyjechałaś. Pana też miło widzieć, lordzie Hayden. Miałam nadzieję, że się zjawicie. Nie zamierzam zostać tutaj długo, więc wasza dzisiejsza wizyta bardzo mnie cieszy.

Alexia posmutniała.

- Dlaczego chcesz tak szybko wrócić do Oxfordshire? Możesz zostać w mieście na Boże Narodzenie. Miałam nadzieję, że zjemy wtedy razem obiad. A może nawet wcześniej.

- To nie jest rozsądne. Jeśli nawet nie ze względu na ciebie, to z myślą o mojej siostrze musimy się pogodzić z konsekwencjami mojego upadku. - Rose ujęła rękę kuzynki i uściśniła. - Alexio, usiądź. Potrzebuję twojej rady.

Alexia przysiadła na otomanie. Lord Hayden kontynuował oglądanie przedmiotów należących do Phaedry. Podszedł do regału z książkami.

Rose usiadła na krześle, z którego mogła widzieć jego profil. Nie wątpiła, że ani jedno słowo jej rozmowy z kuzynką nie umknie jego uwagi. Nieważne, że z takim skupieniem czytał tytuły na grzbietach.

- Alexio, cztery dni temu wydarzyło się coś naprawdę nieoczekiwanego. Pan Bradwell zaproponował mi małżeństwo.

Alexia nie mogła ukryć zdumienia, a lord Hayden tylko zmrużył oczy.

- Przyjęłaś go? - spytała Alexia.

- Byłam tak zaskoczona, że poprosiłam o czas do namysłu. W pierwszym odruchu chciałam go natychmiast odrzucić. Obawiam się, że on nie rozumie konsekwencji takiego małżeństwa. Doprawdy, nie mogę pojąć, dlaczego zachował się tak nierozsądnie. Chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że ktoś go do tego zachęcił obietnicą posagu. - Zerknęła na lorda Hayden, ale nie zauważyła żadnej reakcji na tę sugestię.

Alexia spojrzała na swego męża.

- Haydenie, czy miałeś w tym jakiś udział? Odwrócił się do nich.

- Nie przekupiłem pana Bradwella.

- Oczywiście - powiedziała Rose. - Jednak posag zwykle nie jest uważany za przekupstwo.

- Dlaczego pani sądzi, że ta propozycja jest wynikiem jakiejś mojej interwencji? Być może pan Bradwell dobrze zrozumiał konsekwencje, może nawet lepiej niż pani. Taki związek jest korzystny dla obu stron. Jeśli chodzi o panią, to małżeństwo przede wszystkim złagodzi wymowę całego skandalu.

Rose musiała przyznać, że lord Hayden jest bardzo inteligentnym człowiekiem, jednak ta krótka przemowa nie najlepiej świadczyła o jego czystym sumieniu. Brzmiała tak, jakby została przygotowana wcześniej. Nie powiedział też wyraźnie, że nie zaoferował posagu.

Mąż i żona wymienili wymowne spojrzenia. Lord Hayden uklonił się i podszedł do drzwi.

- Panno Longworth, jeśli to ta sprawa jest powodem pani przyjazdu do miasta, sądzę, że nastąpią teraz rozmowy i zwierzenia, których nie powinien słyszeć mężczyzna. Pożegnaj więc panią i wróć do powozu.

Rose poczekała, aż zamkną się za nim drzwi.

- Nie jestem pewna, czy mu wierzę.

- Skoro tak mówi, powinnaś mu uwierzyć. Jest bardzo bystry, ale nie potrafi kłamać. - Alexia rozpięła pelerynę i poczekała, aż zsunie się jej z ramion. - Przypuszczam, że nie chcesz przyjąć tej propozycji i szukasz wymówki, by móc ją odrzucić.

- Dlaczego tak myślisz?

- Wiem, że kiedyś gardziłaś propozycjami, które miały podłoże finansowe. Znalazłaś najlepszy powód, żeby odmówić panu Bradwellowi. Jednak nie miałaś racji co do posagu. Jakiej więc wymówki użyjesz teraz?

Alexia czekała na odpowiedź, jakby pewna, że Rose już ją sobie przygotowała.

- Czy muszę wyliczać korzyści, płynące z tego małżeństwa? - spytała Alexia. - Hayden ma rację. Ja też natychmiast to zauważyłam. Jeśli wyjdiesz za pana Bradwella, cały skandal ulegnie przewartościowaniu. On nie jest dżentelmenem, ale jego szlachetna postawa wobec ciebie sprawi, że Norbury tym bardziej wyjdzie na głupca i łotra. Sądzę, że wiele osób dojdzie wręcz do wniosku, że przed tamtym skandalicznym wieczorem nie było żadnego romansu.

Rose analizowała w myślach jej słowa. Pan Bradwell czynił podobne aluzje, ale dopiero zdecydowanie Alexii dodało im wiarygodności.

- A co on w zamian dostanie?

- Twój rodowód i koneksje, Roselyn. Jesteś córką dżentelmena. Twoja kuzynka jest przez małżeństwo spokrewniona z markizem. A poza tym oczywiście będzie miał piękną żonę.

- Uroda wkrótce zblednie, a rodowód został poważnie splamiony. Nie sądzą, by koneksje towarzyskie były dla niego ważne. Czy rozumiesz, dlaczego podejrzliwie traktuję słowa twojego męża? Być może obawia się on, że jeśli poznam prawdę, natychmiast odrzucę tę propozycję, bo to kolejny dług, którego nigdy nie będę mogła spłacić.

- Jeśli masz rację, to ten dług należy do mnie, a między Haydenem i mną nie ma żadnych rachunków. Nie bawimy się w takie dziecinne gierki. - Alexia wstała i skrzyżowała ręce na piersi. Zaczęła ze skupioną miną chodzić po salonie. - Rose, czy ty nie lubisz tego człowieka?

- Bynajmniej. Choć, szczerze mówiąc, nie znam go zbyt dobrze.

- Powiedziałabym, że wiesz o nim najważniejsze rzeczy. Czy czujesz do niego wstręt? - Policzki Alexii się zaróżowiły.

- Nie.

Jednak Rose nie przyznała się Alexii, że myśl o intymnej stronie małżeństwa przejmuje ją chłodem. Alexia była tak namiętnie zakochana, że nie rozumiała tego problemu.

- Masz nadzieję na kogoś lepszego? Innego wybawiciela, bliższego ci urodzeniem?

- Raczej nie.

- Zatem nie rozumiem. Może uważasz, że jestem zbyt praktyczna, ale jeśli masz wybór między ubóstwem i ruiną a bezpieczeństwem i ratunkiem...

- Otrzymałam inną propozycję.

Alexia zatrzymała się w pół kroku. Szeroko otworzyła oczy.

- Inną propozycję? Proszę, nie mów mi, że ubiega się o ciebie kolejny Norbury, że otrzymałaś propozycję, by stać się utrzy-mankajakiegoś dżentelmena.

- To nie jest propozycja tego rodzaju. Dostałam kolejny list od Timothy'ego. Błaga mnie, bym do niego przyjechała i zamieszkała z nim.

Alexia zastygła z twarzą pełną smutku. Zamknęła oczy, by opanować głęboki ból.

- Chciałaś do niego pojechać? - spytała.

- Tak. Podjęłam decyzję przed rozmową z panem Brad-wellem.

Alexia usiadła na otomanie. Jej fiołkowe oczy zamglily się łzami.

- Oczywiście martwisz się o niego. Został sam. On zawsze był z was najslabszy, a teraz... Rose, wiedz, że cię rozumiem. Rozumiem, jakie to musi być kuszące, gdy pojawia się przed tobą perspektywa podróży i nowego życia. Jednak...

- Tak, to jest kuszące. Bardzo kuszące. Przyjmę nowe imię i nazwisko. Nikt nic nie będzie wiedział o mnie, o Norburym, o Timie.

Słyszała gniew i gorycz we własnym głosie. Alexia pochyliła głowę i czekała cierpliwie.

- Ty będziesz wiedzieć, Rose - powiedziała cicho. - Nie chciałaś wziąć tamtych pięciu tysięcy. Nie przyjęłaś pomocy Haydena. A teraz będziesz korzystać z owoców przestępstwa?

- To wcale nie musi tak być. Mogę znaleźć pracę. Tim mógłby zostać czyimś sekretarzem i utrzymywać nas oboje. Mogę go przekonać, by zwrócił pieniądze...

- Nigdy tego nie zrobi. Prawdopodobnie większość już stracił na hazard i alkohol. Od jego ucieczki żyjesz pogrążona w smutku, nie jesteś sobą. Rozumiem cię, ale nie myślisz rozsądnie.

- Wątpię, czy jesteś w stanie zrozumieć.

- Rose, możesz wątpić w moją miłość do ciebie, w to, że rozumiem, dlaczego pragniesz tej ucieczki. Przyznałaś, że okłamywałaś się co do Norbury'ego. Błagam cię, nie okłamuj się teraz w tej kwestii.

Każde słowo wypowiedane przez Alexię dokładało kolejny kamień do muru, otaczającego ciasną przestrzeń, z której nie było wyjścia. Rose chciała wykrzyknąć, że Alexia się myli, że jest zbyt pochłonięta swym szczęściem, by mogła być zdolna do współczucia i zrozumienia, o którym zapewniała.

Roselyn zapragnęła wrócić do domu i pobiec na wzgórze. Chciała znów leżeć pod niebem i czuć radosną nadzieję, która ją przepelniała tamtego dnia.

Jakiś dźwięk wkradł się w jej kołaczące się wściekle myśli. Cichy głos przeniknął do jej świadomości.

- W powozie jest zimno. Lord Hayden powiedział, że mogę przyjść. Alexio, czy powinnam była jeszcze poczekać? Roselyn oczami pełnymi łez spojrzała ku drzwiom.

Stała tam Irene. Jej siostra wyglądała ładnie, była modnie ubrana. Długie, jasne włosy wymykały się spod pięknego kapturka, jasnozielona suknia podróżna podkreślała jej młodość i urodę. Strój był nowy. Zapewne prezent od Alexii.

- Rose, nie patrz tak gniewnie - poprosiła Irene. - Od twojego wyjazdu jestem taka nieszczęśliwa, smucę się, że nie mo-

żemy się już widywać. Alexia powiedziała, że mogę się z tobą dzisiaj zobaczyć. Nawet lord Hayden uznał, że nikt się o tym nie dowie.

- Kochanie, nie gniewam się. Jestem zdumiona, wdzięczna i wzruszona do głębi. - Rose wstała i wyciągnęła rękę. Irene rzuciła się jej w objęcia.

Mocno uściśnęła siostrę. Spojrzała ponad jej ramieniem na Alexię. Zrozumiała, że kuzynka uważa ich dyskusję za zakończoną.

8

Od razu ją zauważył. Stała nad kanałem, w niebieskiej pelerynie. Jej list zawierał szczegółową instrukcję, gdzie mają się spotkać w Regent's Park. O tej porze powinna tu być najwyżej garstka ludzi.

Gdy w końcu nawiązała z nim kontakt, nie wiedział, czego się spodziewać. Nie przypuszczał jednak, że w swym krótkim liście poprosi go o spotkanie tu, w Londynie. W tych kilku zdaniach nie było nic obiecującego.

Podchodząc do niej, zastanawiał się, czy dalej ją przekonywać do swojej propozycji. Wątpił, czy to cokolwiek zmieni. Jeśli zdecydowała się go odrzucić, to na pewno z powodów, na które nie miał argumentów.

Zauważyła go, jak się zbliżał. Słońce zaśniło na złocistym puklu jej włosów, widocznym spod niebieskiego kapturka. Jej uśmiech w najlepszym razie można było nazwać uprzejmym, a i tak zmaćił mu myśli.

Pewnie lepiej na tym wyjdzie, jeśli ona szybko rozprawi się z tym jego szalonym pomysłem.

- Panie Bradwell, dziękuję, że pan przyszedł. Zwłaszcza o tak wczesnej godzinie.

95

- Panno Longworth, zawsze przychodzę do parku o dziewiątej rano, tak więc jest coś, co nas łączy. Nie sądził, by ona kiedykolwiek była w którymś z londyńskich parków o tak wczesnej porze. Teraz jednak potrzebowała prywatności w publicznym miejscu, a rzadko gdzie było to możliwe. Rozejrzał się po pustych ścieżkach i nie zobaczył żadnego powozu poza swoim.
- Jak pani tu dotarła? - spytał.
- Pieszko. Przyjaciółka Alexii użyczyła mi swojego domu, więc przyjechałam do Londynu na kilka dni.
- Czy ma pani już dość spaceru, czy przejdziemy się wzdłuż kanału?
- Zgodziła się na przechadzkę. Rzucił kilka miłych uwag, czekając, aż ona sama wspomni powód ich spotkania.
- Panie Bradwell, miałam nadzieję, że będziemy mogli jeszcze raz porozmawiać o pana wspaniałomyślniej propozycji. Uważam, że jeśli dwoje ludzi choćby tylko rozważy tak nieodwracalny krok, najlepsza jest absolutna szczerść.
- Moim zdaniem absolutna szczerść nigdy nie jest dobrym pomysłem. Mam wrażenie, że świat by tego nie przetrzymał.
- Spojrzała na niego zdumiona. Roześmiał się.
- Zbulwersowałam panią. Czy zadowolili się pani umiarkowaną szczerścią? Niektóre prawdy się zmieniają, a o istnieniu innych nawet nie wiemy.
- Wymagam tylko dostatecznej szczerości, byśmy dobrze się rozumieli, jeśli zdecydujemy się na ten krok. Właśnie ujawniła więcej, niż mogłaby działać absolutna szczerść. Cokolwiek chodziło jej po głowie przez te ostatnie kilka dni, w jakiś sposób szala przechyliła się na jego korzyść.
- Teraz wszystko było w jego rękach.
- Panno Longworth, proszę mówić bez ogródek, a ja postaram się odwzajemnić tym samym.

- Rozumiem, co pan proponuje. Chcę, by pan wiedział, że zdaję sobie sprawę, jaką to ma wartość. Bezpieczeństwo i ochrona są ważne, ale możliwość odzyskania dobrego imienia... Teraz uświadomiłam to sobie w pełni. Proszę mi wybaczyć, jeśli wydaję się sceptyczna. Niech pan mi wierzy, że jestem mu naprawdę wdzięczna. Jednak uważam, że oboje powinniśmy wiedzieć, co dostajemy w tym związku, w realnym i praktycznym wymiarze. Tak będzie najlepiej.

- Bardzo rozsądnie. Zarumieniła się.

- Mówię jak zimny, bezduszny kupiec, prawda? Nie miałam takiego zamiaru. Po prostu nie jestem w stanie tworzyć romantycznych iluzji. Poz byłam się już dziewczęcych złudzeń.

Mimo prośby o szczerość absolutną wołała tę umiarkowaną. Ale i tak usłyszał brutalną prawdę. Jeśli się pobierzemy, nie oczekuję miłości. Pan też nie powinien.

- Panie Bradwell, muszę wiedzieć, czy pan rozumie, że nigdy nie zdołam w pełni odzyskać reputacji. Nigdy nie zmażę wspomnień tego nieszczęsnego romansu z Norburym. Jeśli się pobierzemy, a pan już posiwieje i postarzeje, nadal znajdą się ludzie, którzy będą szeptać za pana plecami. Ponieważ nie jest pan dżentelmenem, będą i tacy, co powiedzą to panu prosto w oczy.

- Jestem synem górnika. Przyzwyczyliłem się do szeptów i obelg rzucanych mi prosto w oczy.

- Może nadejść dzień, gdy jakaś złośliwa osoba zacznie twierdzić, że wdałam się w kolejny romans. Chciałabym wiedzieć, czy będzie pan skłonny w to uwierzyć.

- Rozważyła pani każdą możliwość, prawda? Nie wiem, w co uwierzę. Obiecuję jednak najpierw zapytać panią, czy to prawda, zanim zabiję tego człowieka.

Zatrzymała się pod drzewem. Ostre światło słońca odbijało się w lustrze wody.

- Pan pewnie uważa mnie za podłą i małostkową, że tak skrupulatnie badam pańską ofertę.

93 - Tajniki uległości

97

- Chyba wszystkie rozsądne kobiety analizują propozycje małżeństwa. Niezwykłe jest tylko to, że słyszę wszystkie pani argumenty - odparł.

Spojrzała mu w oczy z niepokojącą przenikliwością. Zmarszczyła brwi, jakby chciała zajrzeć mu w głąb duszy i żałowała, że nie może.

- Tamtego dnia był pan w domu Norbury'ego nie bez powodu. Czy pan się z nim przyjaźni?

- Znam go od wielu lat. Łączą nas różne dawne sprawy. Obecnie obaj jesteśmy zaangażowani w pewien interes.

- Więc będzie się pan z tym człowiekiem widywał.

- Panno Longworth, nie tylko kobiety uważnie analizują propozycje małżeństwa. Zastanawiałem się, na ile to może być krępujące. Obiecuję, że on przy mnie nie będzie o tym wspominał. Nikomu nie pozwolę obrażać mojej żony. - Ujął jej dłoń obiema rękami. Nie oponowała, więc pożałował, że oboje mieli rękawiczki. - Nigdy też nie będę o tym mówił z panią. Popęłniła pani błąd, zadając się z podłym mężczyzną, ale to już skończone.

Patrzyła mu w oczy, jakby próbując się przekonać, czy mówi szczerze.

- Panno Longworth, to mało prawdopodobne, żeby wysunęła pani argument, którego sam bym już nie rozważył.

- Jest jeden, i byłoby nie w porządku, gdybym o nim nie wspomniała. - Z wysiłkiem wyprostowała się dumnie, tak jak tamtej nocy. - Panie Bradwell, może być pan zamieszany w skandal, przy którym obecny wyda się dziecinną igraszka.

Była bardzo poważna, zdeterminowana. Zapewne tak wyglądali męczennicy w dawnych wiekach, zanim wkroczyli na arenę pełną dzikich zwierząt.

- Co to za skandal?

- Nie wie pan wszystkiego o moim bracie. Ukradł pieniądze ludzi, którzy mieli u niego w banku oszczędności i fundusze powiernicze. Obiecał, że zwróci pieniądze, byle tylko nie za-

wiadamiali o przestępstwie, ale potem uciekł, i to lord Hayden spłacił jego długi. - Powiedziała to szybko, jakby wyznanie tego sprawiało jej ból. - Było wielu pokrzywdzonych i wystarczy, by przemówił tylko jeden, a poprzez pokrewieństwo z bratem zostanie shańbiona. Ściągnę też hańbę na mojego męża, jeśli będę mężatką.

Uniósł jej dłoń i pochylił głowę, by ją pocałować.

- Wiem wszystko o pani bracie.

- Wie pan? Jak... Och, czy pan jest jednym z... I mimo to zaproponował pan małżeństwo?

- To jego przestępstwo. Jego grzech. Pani jest niewinna. Pani też jest jedną z ofiar. Pani i jej siostra wiele wycierpiałycie z jego powodu, prawda?

Na wzmiankę o siostrze jej oczy załśniły łzami. Nie był aż tak szlachetny, by tego nie wykorzystać.

- To kolejny powód, by wyjść za mnie. Nasze małżeństwo jasno pokaże, że jest pani osobą niezależną od niego. Nie doda pani jednej hańby do drugiej, a stanie się tak, jeśli nadal będzie pani żyć na wygnaniu w Oxfordshire.

- Nie sądzę, by postrzegano nas jako odrębne osoby. Jestem jego siostrą.

- W oczach świata będzie pani przede wszystkim moją żoną, a dopiero potem jego siostrą. Akurat w przypadku tego skandalu małżeństwo panią osłoni.

- Powiedział pan, że lord Hayden nie obiecał posagu, by skłonić pana do ożenku. Przypuszczam, że otrzyma pan zapłatę w innej postaci.

- Nigdy nie zaprzeczałem, że nie będę miał z tego korzyści.

- Muszą przewyższać te, jakie sobie wyobrażam, jeśli chce pan podjąć takie ryzyko.

- Panno Longworth, niech pani oceni własne zyski i straty i pozwoli, bym ja zważył swoje. Gdybym pani nie pragnął, nic nie skłoniłoby mnie do tego małżeństwa, niezależnie od pani fortuny, rodziny i cnoty.

Zatrzymała się i odwróciła twarzą do niego. Przyjrzała mu się krytycznie, jakby próbując ocenić, czy to jego pragnienie będzie do zniesienia. Nie było słów, które mogłyby ją przekonać.

- Panno Longworth, być może teraz to nie najlepszy moment na podjęcie decyzji. Nie ma pośpiechu. Taka decyzja wymaga od kobiety wielu przemyśleń.

Wyraz jej twarzy złagodniał.

- Dziękuję, panie Bradwell. Przyznaję, że już sama nieodwracalność tego kroku odbiera mi odwagę. Pan jak zwykle jest uprzejmy i delikatny.

Akurat.

Jego powóz jechał za nimi. Dał znak, by stangret się zatrzymał.

- Pozwoli pani, że odwiozę ją z powrotem do domu. Chyba już dość się pani dziś nachodziła.

Poczuła ulgę, że decyzja w sprawie jego oświadczeń odsunie się na inny dzień, więc przyjęła propozycję z wdzięcznością. Z ufnością. Nawet się uśmiechnęła, gdy szli do powozu.

Pomógł jej wsiąść. Nadeszła pora, by zakończyć negocjacje.

Powinna była wiedzieć, że ten miły pan Bradwell nie będzie naciskał. Nie był tego rodzaju mężczyzną. Rozumiał ją. Jak zawsze. Wiedział, że takiego kroku nie należy podejmować pochopnie.

Usiadła w powozie, zajął miejsce naprzeciw niej. Powóz ruszył w kierunku bramy parku.

Bradwell był wysoki i dobrze zbudowany. Miała wrażenie, że wypełnia całą przestrzeń, tak jak tamtej feralnej nocy. Znowu odczuła tę dziwną mieszankę zagrożenia i bezpieczeństwa.

- Nie musi pani podejmować decyzji dzisiaj, ale mam nadzieję, że stanie się to wkrótce - powiedział.

- Oczywiście. Jutro, obiecuję. Nie byłabym tak bezduszna, by pozostawić propozycję bez odpowiedzi. Jestem zażenowana, że zwlekałam tak długo.

- To nieistotne. Rozumiem dlaczego.

Doprawdy? Po raz pierwszy zastanowiła się, czy on naprawdę rozumie. Wątpiła, czy jakikolwiek mężczyzna był w stanie zrozumieć przerażenie, które czuje kobieta, gdy staje wobec oświadczeń i rozważa, co mogą wnieść w jej życie.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli wyjaśnię parę spraw, by mogła pani w pełni ocenić sytuację. - Spojrzał na nią bacznie, co natychmiast wzbudziło w niej czujność.

- Panie Bradwell, niech pan mówi otwarcie.

- Mam rodzinę na północy. Nigdy się jej nie wyrzeknę. Nie będę jej ukrywał, próbował uchodzić za kogoś innego, niż jestem. Nie zrobię tego dla nikogo. Nawet dla pani.

- Uważa mnie pan za tak bezduszną, że mogłabym tego wymagać?

- Nie wiem, czego będzie pani wymagać, więc stawiam sprawę jasno. Poza tym, jak zacznie już pani bywać w towarzystwie, spotka pani osoby, które będą chciały panią przyjmować, jednak okażą wahanie wobec mnie. Chcę, by pani przyjmowała zaproszenia, nie zważając na mnie. Pozostawiam pani ocenę sytuacji w każdym takim wypadku. Uważała to za zbyt szlachetne z jego strony, że nie chciał jej ograniczać. Umożliwił jej odzyskanie reputacji i chciał, by dokonało się to w pełni.

- Wyraziła pani zainteresowanie posagiem, który miałbym otrzymać - ciągnął. - Jednak zapomniała pani zapytać o swoje zabezpieczenie. Jeśli pani mnie przyjmie, omówię sprawy finansowe z lordem Hayden. Czy to pani odpowiada?

- Tak, to mi odpowiada. - Rzeczywiście zapomniała o tej kwestii. To, bardziej niż cokolwiek innego, odzwierciedlało jej obojętność wobec tych oświadczeń. Czy on się tego domyślił? Pewnie tak.

- Jest jeszcze kwestia pani brata.

- Tam w parku powiedział pan, że nie ma dla pana znaczenia.

- Powiedziałem, że jego występki nie kalają pani dobrego imienia. Jednak dla dobra pani i tych członków rodziny, których pani odzyska, ważne jest, by uznała go pani za umarłego.

Uznała za umarłego! Nagle ten miły pan Bradwell stał się surowy, wymagający, nawet zuchwały w swoich żądaniach w kwestii małżeństwa, do którego może nigdy nie dojdzie.

Jego słowa podsyciły w niej opór wobec definitywnego „aż do śmierci”, które ją z nim czekało.

- On jest moim bratem. To nie w porządku, że pan o to prosi.

- Nie proszę, tylko żądam.

- Ofiarowuje mi pan odzyskanie połowy mojej rodziny, a jednocześnie nalega, bym zrezygnowała z jej drugiej części.

- Owszem, jeśli tak pani to widzi. Jest mi łatwiej żądać tego od pani niż od jakiegokolwiek innej kobiety. Widziałem, jak w tamtą noc licytacji wyjaśniała pani lady Alexii, że musi pani pozostać umarła dla niej i dla pani siostry.

Zwróciła pani jej nie-rozpieczętowane listy, by mieć pewność, że nie skala pani jej dobrego imienia. Powiedziała pani, że tak musi być.

Rose poczuła na twarzy ciepło rumieńca. Osaczył ją za pomocą jej słów i czynów.

- Nie uznaję go za umarłego. Nie mogę. Proszę obiecać, że jeśli będzie okazja, by się z nim zobaczyć, pozwoli mi pan na to.

Ultimatum zawisło w powietrzu. Mężczyzna, który chciał zostać jej mężem, pozostawił je bez odpowiedzi i tylko ją obserwował. Spodziewała się, że cofnie oświadczyzny.

Zamiast ulgi ta myśl wywołała w niej panikę.

Pragnęła zerwania z powodów, których nie potrafiła wyjaśnić ani Alexii, ani nawet sobie. Gdy jednak stanęła wobec takiej perspektywy, zobaczyła, że jeśli tak się stanie, nie będzie miała przed sobą żadnej uczciwej drogi życia.

Omamnie odwołała swoich słów. Cichy, pokorny głos wewnętrzny błagał ją, by się poddała. Tak, zrobię, co pan chce.

Zro-

bię wszystko, jeśli mnie pan nakarmi, będzie mi pan schlebiał i udawał, że mu na mnie zależy. Zapomnę, kim jestem, porzucę wszystkie moje pragnienia i będę posłuszna, jeśli tylko kupi mi pan opał, żebym już więcej nie marzła.

Zacisnęła zęby. Gdy ostatnim razem posłuchała tego głosu w swej duszy, skończyła w ramionach łajdaka.

Niemniej jednak jej desperacja rosła, gdy czekała, by odpowiedział. Nienawidziła tego. Nienawidziła, bo dowodziło, że tak naprawdę nie miała innego wyboru niż to małżeństwo. Nienawidziła też Tima i tego, że znów pozostawił ją balansującą na cienkiej granicy między kompletną ruiną a skrajną zależnością.

- Jeśli wróci on do Anglii, może się pani z nim zobaczyć -odezwał się w końcu. - Jednak nie pojedzie pani tam, gdzie on się teraz ukrywa. Czy zostanie pani moją żoną, czy nie, nie pojedzie pani do niego, więc proszę to wyeliminować ze wszelkich rozważań. Proszę nie myśleć, że nie mogę pani powstrzymać. Mogę i zrobię to.

Twarz jej płonęła. On odgadł jej plan, a także to, kim jest jej przyjaciel.

Ten kompromis niewiele jej dawał. Tim nigdy nie wróci do Anglii. Nie odważy się na to. Pan Bradwell wygrał potyczkę, nawet jeśli ustąpił pola.

Zdawało się, że powóz jedzie przez miasto bardzo powoli. Chciała, by przyspieszył. Ta rozmowa ją irytowała. Rose martwiła się, że on zauważył jej desperację, gdy czekała na odpowiedź. Jeśli tak, to będzie ciągnął te wyjaśnienia, aż w proponowanym przez niego małżeństwie pozostanie dla niej tylko rola posłusznego dziecka.

Rozdrażnienie wzięło w niej górę.

- Chyba będę potrzebowała więcej niż jeden dzień, by podjąć decyzję, skoro zachował pan na koniec aż tyle warunków. Czy jest cośjeszcze?

- Tylko jeden szczegół.

99

- Proszę mnie oświecić.

- Nie odpowiada mi rozwiązłość tak łatwo akceptowana w wyższych sferach. Nie mam nic przeciwko temu, by dzielić się tym, co moje, jeśli wyrażę na to zgodę. Nigdy jednak się nie zgodzę dzielić się panią.

- Jednak mimo wszystko zapyta mnie pan, jaka jest prawda, zanim zabije pan człowieka z powodu plotki? Ufam, że to zapewnienie nie było fałszywe.

Uśmiechnął się.

- Nie było.

- Coś jeszcze? Mam nadzieję, że nie. Już i tak pewnie zapomniałam część tej litanii coraz bardziej niepokojących warunków. Powinnam była przynieść papier i ołówek, by móc to wszystko spisać.

Pochylił się ku niej i ujął za rękę. Ten gest sugerował, że ma on prawo zarówno ją pocieszać, jak i nią rozporządzać. Kciukiem lekko głaskał wnętrze jej dłoni. Czują to bardzo wyraźnie przez rękawiczkę. Ten dotyk wywołał mrowienie w całej ręce aż do ramienia.

- Myślę, że żaden z tych warunków tak naprawdę pani nie niepokoi - powiedział. - Jeśli potrzebuje pani więcej czasu na decyzję, to nie z powodu kwestii, które dzisiaj omawialiśmy. Jeśli chce pani pełnego zrozumienia, to powinniśmy porozmawiać szczerze o prawdziwych powodach.

Przedyskutowali wszystko, co miało znaczenie, i całkiem sporo kwestii, których się nie spodziewała.

- Jest pan dzisiaj nie tylko wymagający, ale i wszechwiedzący.

- Wcale nie. Wspomniała pani o tej kwestii, gdy się jej oświadczyłem. - Spojrzał jej w oczy. - Próbuje pani ocenić, czy intymna strona małżeństwa nie będzie dla pani wstrętna.

Czują, że się czerwieni.

- Powiedziałam panu, że nie żywię romantycznych złudzeń. Prawdę mówiąc, nie czuję niepokojów z tym związanych. Już

wcześniej uczciwie ostrzegłam pana, że wiem, jak to będzie wyglądać.

- Gdybym wierzył, że to prawda, znalazłbym sposób, by skłonić panią do odrzucenia mojej propozycji. Panno Longworth, romantyczne uczucia i iluzje nie są potrzebne, by te obowiązki były do zniesienia. Wiara, że są konieczne, może nawet pogorszyć sprawę. Zamiast wyobrażać je sobie jako wyraz dozgonnej, romantycznej miłości, lepiej niech pani pomyśli o takim zbliżeniu jak o dobrym posiłku, który zaspokoi głód.

Nie mogła uwierzyć, że on mówi o tym tak otwarcie. Dżentelmen by tak nie zrobił. Ale też on nie był dżentelmenem. Co gorsza, oczekiwał od niej jakiejś odpowiedzi, poza pełnym oszołomienia zmieszaniem, które wzbudził tak niedwuznaczny obrót rozmowy.

Posiłek, który zaspokoi głód. Nowy, nieco prymitywny sposób myślenia. Z pewnością burzył wyobrażenie o romansie, ale przynajmniej obiecywał coś bardziej satysfakcjonującego niż to, z czym dotąd się spotkała.

- Ten posiłek... Czy będzie to owsianka, czy pieczony bażant? - wykrztusiła.

Roześmiał się cicho. Sam wyglądał teraz na lekko skonsternowanego.

- Widzi pan, nie bardzo mam ochotę na owsiankę. Dość jej się już najadłam - powiedziała.

- Jest wiele dań, całe menu, z którego można wybierać. Jestem pewien, że znajdziemy coś, w czym pani zasmakuje. Jednak odkryjemy, co by to mogło być, dopiero wtedy, gdy zgodzi się pani zasiąść do stołu.

Okrężną drogą doszli do kolejnego warunku. Chciał powiedzieć, że oczekuje, by zaakceptowała go pod tym względem, bez scen i wykrętów.

Wyobraziła sobie, jak leży w łóżku i pojawia się przy niej ten mężczyzna. Spodziewała się nieprzyjemnego wrażenia zniewolenia, którego doświadczyła podczas swego krótkiego romanse.

Zamiast tego ta wizja ją poruszyła. Oczekiwanie niosło ze sobą kuszącą niepewność, która ją podnieciła. Obawa była podszyta nutą rozkoszy.

Patrzył na nią z miną pełną drapieżnego zachwytu, jakby on też widział ją w tym łóżku i wiedział, że oczekiwanie bardziej ekscytuje, niż niepokoi.

Nadal trzymał ją za rękę. Ścisnął mocniej, by nie mogła jej cofnąć. Pociągnął Rose lekko do siebie. Widok za oknem mignął jej przed oczami, gdy całym ciałem przesunęła się ku niemu. Gładkim, zgrabnym ruchem posadził ją sobie na kolanach.

Zaskoczenie ustąpiło miejsca obawie. Nagle wokół nich zapanował półmrok. Rose odwróciła głowę i zobaczyła, że Brad-well zaciąga zasłony.

- Co pan robi? - Przez suknię czuła jego uda. Zaczęła się zsuwać z jego kolan, próbując wstać.

Objął ją wpół, by nie spadła na podłogę, a także by nie mogła się uwolnić. Wyprostowała plecy, żeby nie musiał jej podpierać.

- Co pan robi? - powtórzyła.

Wzrokiem śledził czubki palców, gdy muskał nimi jej policzek. Delikatnie ujął ją pod brodę i pocałował. Lekko, tak jak wtedy, pierwszy raz, na polu. Wargi jej zadrżały, dreszcz spłynął do serca.

- Upewniam się, że oceni pani moją propozycję uczciwie i bez uprzedzeń. - Znow ją pocałował. - Staram się uspokoić pani obawy w jedyny skuteczny sposób.

- Skuteczny sposób? - Sens jego słów wstrząsnął nią. Oparła mu ręce na ramieniu i się odsunęła.

Uśmiechnął się lekko i z powrotem przyciągnął ją do siebie. Tak naprawdę nie opierała się, a on jej zbyt mocno nie przytrzymał.

Jeśli zamierzał ją uwieść, to się przeliczył.

- Dobry Boże, chyba nie myśli pan... że tu, w powozie...

- Nie. Chyba że będzie mnie pani o to błagać. Błagać? Z trudem powstrzymała rozbawienie.

I tak je zauważył.

- Ma pani rację. Lepiej zostawić to na inny dzień.

Zaśmiały się głośno z jego pewności siebie, ale pocałował ją. Nagle jego sugestia przestała być śmieszna.

Tamten pocałunek na polują zaskoczył. Ten w kuchni - pokonał. Natomiast ten - przeraził.

Tym razem podniecenie nie sączyło się w niej cienkim strumykiem. Zalało ją nagłą falą. Jego śmiały pocałunek zburzył barierę, która utrzymywała jej opanowanie. Jej ciało zareagowało błyskawicznie, jakby wiedziało, jaka czeka je cudowna przyjemność, i pragnęło znów jej doświadczyć.

Czułe pocałunki wprawiły ją w oszołomienie. Sprawily, że zabrakło jej tchu. Pocałunki w usta i szyję kusily, podniecały. Krótkie, lekkie kąsanie ucha wywołało pulsowanie krwi. Gdyby małżeństwo oznaczało tylko to, natychmiast przyjęłaby jego oświadczenia.

Jednak oznaczało coś więcej. Jego namiętność narastała, w miarę jak rosło jej podniecenie. Rose wyczuwała, że Bradwell próbuje okiełznać pożądanie. W głębi serca cieszyła się, że on jej pragnie, jednak nie była już taka naiwna. Wiedziała, że rozkosz może się nagle skończyć.

Tym razem nie musiał jej już nakłaniać, by rozchyliła wargi. Podała się, gdy wsunął język do jej ust, bo już wiedziała, że nie będzie to nieprzyjemne. Zdobywał jej usta powoli, z rozmysłem, jakby wiedział, jak wywołać rozkoszny dreszcz, który pulsował i spływał w dół jej ciała. Wkrótce czuła już tylko te gorące ścieżki i pragnęła, by było ich jeszcze więcej.

Pieścił ją dalej, a wiosenny powiew rozkoszy przerodził się w gorący, letni wiatr. Poprzez materiał sukni i gorset poczuła pod peleryną jego rękę. Ciepłą, silną, pewną swego celu. Pochyliła się ku niej całym ciałem, mimo że ta śmiała pieszczota nią wstrząsnęła. Wkrótce zaczął ją drażnić materiał, który oddzielał ją od tego palącego dotyku. Wokół niej zbierały się chmury burzliwego szaleństwa.

Pocałował ją mocno. Jej ciało zareagowało, jakby tylko czekało na jego dotyk.

Odnalazł stwardniałą brodawkę piersi i drażnił ją, aż z ust wydobył się jęk rozkoszy. W jej myślach pojawiły się wizje śmielszych, bardziej intymnych pieszczot.

Doprowadzał ją do szaleństwa. Oszałamiał. Teraz rozumiała, co miał na myśli, mówiąc o głodzie. Rozumiała, że mogłaby go błagać.

Chwyliła się jego ramion, by zachować kontakt z rzeczywistością. Nadal atakował ją pieszczotą. Zaciśnęła zęby, by powstrzymać się od krzyku. Pragnęła zaspokojenia. Pragnęła więcej.

Rozkosz rosła, stawała się intensywna, pełna bolesnego niedosytu i cudownego oszołomienia. I właśnie wtedy, gdy jej ciało ogarnął krzyk, gdy znikło jej opanowanie, gdy do bólu pragnęła zerwać z siebie ubranie, by poczuć na całym ciele jego dotyk, by wypełnić drżącą, bolesną pustkę... właśnie wtedy zatrzymał się.

Nie mogła oddychać. Nie mogła myśleć. Czuli pocałunek, którym zakończył namiętą pieszczotę, wydawał się okrutnym żartem. Zamrugła, usiłując odzyskać świadomość. Zobaczyła ścianę, sufit powozu. I jego.

Patrzył na nią, tak samo niezaspokojony jak ona. Może czekał, by zaczęła go błagać, tak jak to przewidział.

Niewiele brakowało, niech Bóg mają w swej opiece. Położył palce na jej ustach, by powstrzymać ten impuls.

- Roselyn, powiedz teraz, że wyjdiesz za mnie.

Nadal tętniło w niej pożądanie. Rozkoszna udreka nie ustawała. Jednak powoli burza cichła, a Rose ogarniał spokój, radosne poczucie swobody. Unosiła się na fali ożywczego, beztroskiego oszołomienia, przesyconego intymnością jego pocałunków i pieszczot.

Podobnie się czuła, leżąc tamtego dnia na wzgórzu i patrząc w bezkresne niebo.

- Tak. Wyjdę za ciebie.

108

9

Sekretarz wprowadził Kyle'a do spartańsko urządzonego salonu w londyńskim apartamencie, który równie dobrze mógłby należeć do jakiegoś nieznanego prawnika. Kyle domyślił się, że za zamkniętymi drzwiami w drugim końcu pokoju, naprzeciw weneckiego okna, znajduje się sypialnia.

Został zaproszony na spotkanie w tym miejscu w odpowiedzi na list do lorda Hayden. Wyglądało na to, że gospodarz wykorzystywał ten apartament na spotkania w interesach, może też sprowadzał tu kobiety, zanim się ożenił. A może oddawał się tu jakiejś tajemnej pasji, czego efektem były zapiski na kartkach, piętrzących się na pulpicie, stojącym przy oknie.

Lord Hayden przywitał się z nim uprzejmie. Usiedli w głębokich, skórzanych fotelach przy kominku.

Wspomnienie ich ostatniej rozmowy w cztery oczy kładło się cieniem na dzisiejszym spotkaniu. Lord Hayden Rothwell zjawiał się wtedy u niego osobiście z propozycją, która została odrzucona przez Kyle'a.

- Panna Longworth poprosiła, bym pomówił z panem w jej imieniu - odezwał się lord Hayden. - Wspomniała, że sam pan to zasugerował.

- Rozważając moją propozycję, zaniedbała kwestie finansowe.

Lord Hayden rozparł się w fotelu, jakby przyjacielska pogawędka była częścią rytuału omawiania kontraktu małżeńskiego.

- Nie znałem panny Longworth przed aferą jej brata. Obwiniła mnie o nią. Teraz już zna prawdę, jednak stosunki między nami są nadal dosyć chłodne. Bardzo dobrze znałem jej starszego brata.

- Benjamina? Tego, który zginął kilka lat temu?

Twarz lorda Hayden zmieniła się w surową maskę, którą zwykle pokazywał światu.

- Moja żona mówi, że jej kuzynka przez ostatni rok nie była sobą, że romans z Norburym był fatalnym błędem wynikającym z jej stanu ducha. Zaniedbanie przez nią finansowej strony pańskiej propozycji niewątpliwie również o tym świadczy.

- Zatem my omówimy te sprawy za nią. Jednak jeśli chodzi o stan ducha, panna Longworth nie jest pogrążona w rozpacz. Nie wykorzystuję kobiety niezdolnej podejmować rozsądnych decyzji.

- Bynajmniej tego nie sugerowałem. Zresztą nawet gdyby tak było, to szansa, którą jej pan daje.. . Cieszę się, że moja żona zdoła odzyskać swoją kuzynkę.

Lord Hayden nie spieszył się jednak z ustaleniem szczegółów małżeństwa.

- Bradwell, odgrywanie roli jej ojca w rozmowach o kontrakcie małżeńskim nie jest dla mnie zbyt przyjemne.

Niestety jestem zmuszony poruszyć temat inny niż tylko dotyczący pieniędzy na drobne wydatki.

- Ufam, że wierzy pan w uczciwość moich zamiarów.

- Nie tę kwestię mam na myśli i pan chyba o tym wie. Oczywiście, że Kyle wiedział. Nie wiedział tylko, jaką taktykę przyjmie lord Hayden.

- Czy ona powiedziała panu o przestępstwach Timothy'ego? Nie będę jej potępiał, jeśli tego nie zrobiła - powiedział lord Hayden.

- Była bardzo szczera. Uparła się, bym o wszystkim usłyszał.

- To bardzo odważne z jej strony.

- Moim zdaniem doszła do wniosku, że mogę wycofać swoją propozycję, gdy o tym usłyszę, więc rzeczywiście wykazała się dużą odwagą. - Kyle podejrzewał, że Rose wręcz miała nadzieję, że wycofa on propozycję, co oszczędzi jej podejmowania decyzji. Nie ufała już własnemu rozsądkowi, choć była w pełni władz umysłowych.

- Czy był pan z nią tak samo szczery, jak ona z panem?

- Powiedziałem jej, że wiem, co zrobił jej brat, i że znam jedną z jego ofiar.

- Do diabła, pan sam jest jedną z ofiar. Jako nadzorca funduszu też poniósł pan straty.
 - Tylko dlatego, że wziąłem to na siebie. Miałem również inne możliwości.
- Tak naprawdę tylko jedną. Zaproponowaną przez człowieka, z którym teraz rozmawiał. Zamiast uzupełnić fundusz własnymi środkami, mógł pozostawić go bez pokrycia.
- Czy ona wie, że nie przyjął pan ode mnie pieniędzy?
 - Nie. Myśli pan, że powinienem jej powiedzieć?
 - Do diaska, sam już nie wiem. - Lord Hayden zerwał się nagle. Zaciął usta, zmarszczył brwi i zaczął chodzić po pokoju, pewnie rozważając ten sam dylemat, który dręczył Kyle'a od kilku tygodni.
 - Zamierzała udać się do brata - powiedział Kyle. - Dostała od niego kolejny list, w którym prosił, by do niego przyjechała.
 - Niech to diabli. - Lord Hayden pokręcił głową. - Niemniej jednak, choć pan jej nie okłamuje, nie jest też pan z nią do końca szczery.
- Kolejne wezwanie do absolutnej szczerości, jakby taka rzecz była nie tylko czymś możliwym, ale i całkiem normalnym.
- Będzie miał z tym człowiekiem kontakt w przyszłości. Nie chciał, by lord Hayden uważał go za krętacza. Spróbuje się wytłumaczyć, choć na ogół nigdy tego nie robił.
- Wstał i też zaczął chodzić po pokoju, zastanawiając się, co powiedzieć, a co pominąć. Nogi same zaprowadziły go do pulpitu. Zobaczył notatki na kartkach. Całe arkusze pokryte cyframi, równaniami. A zatem tutaj lord Hayden rozwiązywał zagadki matematyczne, które podobno były jego pasją.
- Lordzie Hayden, niech mi pan powie, co pomyślałby świat, gdyby dowiedział się o przestępstwie Longwortha, a jego siostra uciekłaby jego śladem?
 - Świat nie wie o jego przestępstwie.
 - Któraś dnia się dowie. To nieuniknione. Zbyt wielu ludzi się sparzyło, by mogło to pozostać tajemnicą.

Jego pewność w tej kwestii zatrwożyła lorda Hayden.

- Do diabła, przecież straty zostały wszystkim powetowane - wybuchnął i spojrzał na Kyle'a wymownie, jakby chciał powiedzieć: z wyjątkiem pana.

- Straty finansowe, owszem. Ale nie straty moralne. Być może pomylił się pan w swoich rachubach.

Ta myśl nie spodobała się lordowi Hayden. Westchnienie pełne irytacji pokazywało, jak bardzo męczyła go ta rozmowa o Longworthach.

- Jeśli byłaby z nim, gdy wszystko wyszłoby na jaw, przypuszczalnie zostałaby uznana za współniczkę - powiedział.

- Też tak myślę - odparł Kyle. - Czy zatem powinienem jej wszystko powiedzieć? Jeśli to zrobię, jeśli ona się dowie, w jakim stopniu dotyczy mnie ta sprawa, może zmienić zdanie co do tego małżeństwa. Może uciec do brata, by go ratować, spróbować mu pomóc lub po prostu ukryć się przed czekającym ją wstydem. Ona uważa, że ta tajemnica już niedługo wyjdzie na jaw.

Lord Hayden spod przymkniętych powiek uważnie obserwował Kyle'a, prawie tak samo jak wcześniej Easterbrook.

- Czy to dlatego odmówił pan przyjęcia pieniędzy? Z powodu dumy, jak inni, o których pan wspomniał?

- To nie pan popełnił przestępstwo. I tak drogo pan za to zapłacił. Gdybym wziął pańskie pieniądze, wyrównałbym swoją stratę kosztem innego poszkodowanego, i tyle.

- Poszkodowanego na własne życzenie, więc to nie to samo. Myślę, że jednak w grę wchodziła duma.

Arogancja lorda Hayden rozdrażniła Kyle'a. Zatoczył ręką po pokoju.

- Ostatnio nie wymyślił pan tutaj żadnych finansowych strategii. Nie zawiązały się tu żadne spółki inwestorskie.

Nadal mieszka pan w domu skromnym jak na standardy Mayfair. Nawet pana dotknęły trudności związane z wyłożeniem wszystkich tych pieniędzy. Czyja też powinienem był żądać od pana kolej-

nych dwudziestu tysięcy? Zgodzić się na zaproponowany przez pana szantaż?

- Jaki szantaż! Pańskie finanse nie ucierpiałyby z powodu tego przestępstwa, to wszystko.

- Pan nie tylko wyrównywał straty. Wymagał pan też, by wszyscy zapomnieli o kradzieży. Milczenie w zamian za pieniądze to była część umowy. Szkoda, że każdy grzesznik nie ma takiego anioła jak pan, by stawał w jego obronie. Spodziewał się kontrargumentów, nawet gniewu. Jednak lord Hayden potarł tylko czoło i powiedział z rezygnacją:

- Bradwell, a jeśli ta afera wyjdzie na jaw, tak jak pan przewiduje? Sprawiedliwość będzie wymagać, by zapłacił on za to głową. Gdy ten dzień nadejdzie, co pan jej powie?

- Czekają to niezależnie od tego, czy za mnie wyjdzie, czy nie. Gdy nadejdzie ten dzień, będę ją osłaniał i pocieszał najlepiej, jak potrafię.

Lord Hayden długo zastanawiał się nad tymi słowami. Potem podszedł do pulpitu i skinął na Kyle'a, by do niego dołączył.

- Przygotujmy szkic dla notariusza. Byłbym lepiej nastawiony do tego małżeństwa, gdyby pan przyjął ode mnie pieniądze w zamian za milczenie. Ale zostawmy tę sprawę. Ta afera już i tak mocno dała się we znaki siostrze Longworth. Może dzięki temu małżeństwu mniej zaszkodzi w przyszłości Roselyn.

- Panno Irene, ależ pani wyrosła - powiedział pan Preston z szerokim uśmiechem. - Kobiety z wioski będą rozmawiać o tym kapturku przez wiele dni.

Irene rozpromieniła się, a pan Preston wydał Rose resztę i zapakował jej zakupy.

To prawda, wydaje się prawie dorosła. Alexia zaproponowała, żeby w następnym sezonie zaprezentować Irene w towarzystwie. Faktycznie była już w odpowiednim wieku, jednak ze względu na okoliczności trzeba będzie jeszcze poczekać. Nawet małżeństwo Rose z panem Bradwellem nie uciszy skandalu na tyle

109 - Tajniki uległości

113

skutecznie, aby Irenę została przyjęta w towarzystwie już w tym sezonie.

Sama myśl, że Irenę być może czeka lepsza przyszłość, łagodziła nieco zdenerwowanie Rose z powodu zbliżającego się ślubu. Ten nieustanny niepokój dodatkowo się pogłębił z powodu nieobecności Kyle'a przez ostatni tydzień.

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem pojechał do ciotki i wuja, którzy go wychowali.

Jego wyjazd oznaczał, że Rose mogła się skupić na przygotowaniach, jednak z każdym upływającym dniem traciła pewność, czy zna człowieka, którego zamierza poślubić.

- Panno Longworth, już nie możemy się doczekać tego wielkiego dnia - powiedział pan Preston z szerokim uśmiechem. - Niech mi wolno będzie zauważyć, że ci, którzy spotkali pana Bradwella, gdy był we wsi w zeszłym miesiącu, zachwycają się jego wykwintnymi manierami i miłym usposobieniem.

- Dziękuję. Ufam, że pan i pani Preston zaszczyć nas swoją obecnością.

- Moja żona za nic nie pozwoli, by ją to ominęło. Cały czas powtarzała, że ludzie zbyt łatwo podejrzewają innych o najgorsze. Bardzo smuciło ją to, jak niektórzy... - Urwał i spojrzał wymownie na Irenę. Przeprosił wzrokiem, że w jej obecności wspomniał o skandalu.

- Panie Preston, jestem wzruszona, że pańska żona stanęła w mojej obronie. Życzę miłego dnia.

Wyszła z siostrą ze sklepu. Irenę pochyliła ku niej głowę w pięknym, czerwonym kapturku z włoskiego jedwabiu.

- Myślisz, że cała wieś jest tego samego zdania, co pan Preston?

- Mało prawdopodobne, by pani Preston pozwoliła swemu mężowi zachowywać się wobec nas tak przyjaźnie, gdyby większość ludzi w okolicy nie była podobnie nastawiona.

- W takim razie wszystko toczy się zgodnie z oczekiwaniami Alexii.

- Tutaj owszem. Jednak Watlington to nie Londyn.

- Myślę, że w Londynie też nie będzie źle. Na twój ślub przyjedzie Easterbrook. Gdy doniosą o tym gazety, zamknie to usta wszelkim plotkarzom.

- Ponieważ markiz sam dostarcza tematów plotkarzom, nie pokładam zbyt wiele nadziei w jego pomoc pod tym względem.

To był pomysł Kyle'a, nie Alexii, by ślub i wesele odbyły się na wsi. Lord Hayden zaoferował Aylesbury Abbey, położoną niedaleko rezydencję swojego brata, jednak Kyle stwierdził, że woli dom Longworthów. Postarał się o pozwolenie na ślub i odbędzie się on w kościele parafialnym Roselyn, w obecności ludzi, których znała od dziecka. Rose rozumiała teraz sens tego posunięcia. Kyle poznał już mieszkańców wioski. Pieniądze, które rodzina wyda tu na przygotowania i na dostępne dla ogółu przyjęcie weselne, szybciej skłonią do spojrzenia na skandal pobłażliwym okiem niż dziesięć lat przykładowego życia.

Wraz z Irene ruszyły przez wieś, po drodze witając się z sąsiadami. Co jakiś czas zatrzymywały się, by okoliczne dziewczęta mogły podziwiać kapturek Irene. Kupiły jeszcze wstążki i materiał, a potem wróciły pieszo do domu. Czekają tam na nie wielkie zamieszanie. Na podjeździe stały trzy wozy wyładowane meblami. Cała rzesza służących wносиła do domu różne rzeczy pod czujnym okiem Alexii, która stała na straży przy drzwiach z długim arkuszem papieru w ręce.

- To do biblioteki - powiedziała do dwóch mężczyzn, niosących duży, zwinięty dywan.

- Co ty robisz? - spytała Rose, uskakując przed przesuwaną się obok niej wielką szafą.

- Do sypialni od południa - rozkazała Alexia trzem tragarzom uginającym się pod ciężarem szafy. Zerknęła na Rose.

- Nie możesz urządzić wesela w domu bez krzeseł.

- To nie jest krzesło.

- Tylko nie demonstruj mi tu tej swojej dumy. Ani mi się waż. Hayden powiedział, że to właśnie zrobisz. Nie pozwolę,

byś udowodniła, że miał rację. I tak jestem już zirytowana, że przekonał mnie, bym tak długo z tym czekała. Gdyby pogoda się zepsuła, w przyszłym tygodniu urządzałybyś wesele w pustym domu. - Chwiejnym krokiem minął ich człowiek z komodą na plecach. Alexia postukała go papierem po ramieniu. - Dobry człowieku, następnym razem poszukaj pomocnika. Nawet nie widzisz, dokąd idziesz.

- Jestem silny. Dźwigałem o wiele więcej i nic mi się nie stało.

- Z pewnością. Jednak wystarczy jedno potknięcie i zrobi się dziura w ścianie. Nie będzie czasu na położenie nowych tynków. Rose, strychy Aylesbury Abbey są pełne nieużywanych mebli. To grzech, że tak stoją i się marnują. Zresztą nie jest to prezent od Haydena. Dom i jego zawartość nie należą do niego.

Irene przytaknęła:

- Rose, to prawda. To wszystko jest własnością Easter-brooka.

Koło Rose przemaszerował sznur ludzi z krzesłami.

- Alexio, czy markiz dał ci pozwolenie na to, byś obrabowała strychy Aylesbury?

Alexia policzyła krzesła i zajrzała do trzymanej kartki.

- Odkryłam tam te bogactwa dopiero teraz. Jednak gdy widziałam się z nim ostatnim razem, rozmowa zesłała na twój ślub. Wspomniałam, że zamierzam ci pomóc w przygotowaniach, a on powiedział, że jeśli zajdzie potrzeba, mogę dowolnie dysponować służbą z Aylesbury i całą resztą. - Uśmiechnęła się szeroko. - To właśnie jest cała reszta.

Rose wyobraziła sobie markiza goszczącego w jej domu, jak wygłasza ironiczne komentarze, oglądając meble, które wydają mu się dziwnie znajome. Od ślubu Alexii spotkała się z nim tylko dwa razy. Wydał się jej zagadkowym człowiekiem o dosyć dziwnym poczuciu humoru, któremu dobrze by zrobił pobyt na wsi, gdyby tylko zechciał się ruszyć z miasta.

- Markiz oczywiście może zmienić zdanie i nie przyjechać - mruknęła. Właściwie nawet chciała, by tak się stało, mimo że jego obecność pomogłaby jej odzyskać reputację. Mieszkańcy wsi tak się będą przed nim płaszczyć i krygować, że popsuje to całą zabawę.

- Och, na pewno przybędzie - powiedziała Alexia. - Ciotka Henrietta przebąkiwała, że sama nigdzie się nie wybiera, więc on wręcz kazał jej z nim przyjechać. Teraz ruszy się z Londynu choćby tylko po to, by zrobić jej na złość. Irene się skrzywiła.

- Ona też przyjedzie?

Rose włączyła się w tłum ludzi niosących meble.

- Ciekawa jestem, czy ona kiedykolwiek sprawdziła zawartość tych strychów.

- Jestem przekonana, że od wiosny, gdy u niego zamieszkała, Henrietta spisała wszystko, co należy do Easterbrooka, aż do ostatniej serwetki - powiedziała Alexia.

- W takim razie już ją sobie wyobrażam na moim przyjęciu weselnym. Przy każdym kolejnym mijanym stole i krześle jej brwi będą się unosić coraz wyżej, aż w końcu znikną jej we włosach.

Alexia i Irene pospieszyły za nią. Rzeka mebli poniosła je do środka.

Zostawiły służących, by poustawiali meble zgodnie ze szkicami zrobionymi przez Alexię. Rose pociągnęła siostrę i kuzynkę w zacisze swej sypialni.

Drzwi na strych stały otworem. Zajrzała do środka i zobaczyła stos jej mebli. Cofnęła się zaskoczona, bo nie spodziewała się ujrzeć niektórych z nich.

Zamiast wejść do swojego pokoju, skierowała się do sypialni od południa. Była największa w tym domu. Całe stare wyposażenie zostało zastąpione meblami przywiezionymi przez Alexię. Duże łóżko czekało na zawieszenie zasłon, przy jednej ze ścian

połyskiwała lakierem właśnie wniesiona szafa. Komoda czekała na szczotki i osobiste drobiazgi pana domu. Rose spojrzała na Alexię.

- Rose, Bena nie ma tu już od wielu lat - powiedziała Alexia. - Dom będzie miał nowego pana. Zacznie się nowy rozdział jego historii. Ten pokój powinien należeć do twojego męża.

Rose rozejrzała się po sypialni, zmienionej przez obce przedmioty. Wkrótce obejmie ją w posiadanie obcy człowiek. Serce jej się ścisnęło na myśl, że to, co uczyniła Alexia, jest tak nieodwracalne.

Irene zagryzła wargę.

- Rose, Alexia ma rację. Myślę, że za kilka dni przestanie ci to tak przeszkadzać.

Rose objęła Irene.

- Kochanie, już teraz mi to nie przeszkadza. Alexia ma rację. Czas iść do przodu.

Wyprowadziła siostrę z pokoju. Wymieniły spojrzenie z Alexią, tak samo jak wtedy, w domu lady Phaedry.

Czasem naprawdę nie ma wyboru. Pozostaje tylko jedna rzecz do zrobienia, jedna decyzja do podjęcia, jeśli pragnie się mieć choćby cień szansy na spokój i szczęście w życiu.

10

Jordan uparł się, że ubierze swego pana rano w dniu ślubu. Komenderował służbą w gospodzie Knight's Lily w Watlington, wydając rozkazy niczym marszałek polny. Kazał podać śniadanie i kawę, potem przygotować kąpiel, dać więcej ręczników, przynieść jeszcze gorącej wody i przysłać kogoś do pomocy, gdy będzie golił pana brzytwą. Kyle poddał się temu ze spokojną rezygnacją. Zauważył też, że służba w gospodzie nie ma nic przeciwko takiemu rozstawia-

niu po kątach. Pozwoliło jej to uczestniczyć w ślubie, będącym wielkim wydarzeniem dla całej wsi. Podczas golenia Jordan zdawał relację o postępach w przygotowaniu domu w Londynie dla przyszłej pani Bradwell. A potem cofnął się o krok, by przyjrzeć się swemu dziełu.

- Skończone i mamy jeszcze godzinę. Doskonały wybór kamizelki. Szara z lekkim odcieniem ciemnego różu świetnie pasuje do niebieskiego sukna pańskiego fraka.

- Dobrze, że ci się podoba, skoro to ty wybierałeś. Ja jednak uważam, że zwykły szary byłby lepszy.

- To pański ślub. Pewna odświętność stroju jest nie tylko właściwa, ale i wskazana. - Jordan spakował resztę swoich akcesoriów. Ukłonił się na pożegnanie. - Niech mi wolno będzie powiedzieć, że w życiu nie widziałem dżentelmena, który wyglądałby tak wytwornie jak pan. To dla mnie zaszczyt służyć panu w tym szczęśliwym dniu.

Kyle spojrzął w lustro. Już dawno nie czuł się taki wypucowany, wystrojony i elegancki. Przypomniawszy sobie tamten dzień, gdy ciotka wyszorowała go do czysta i po raz pierwszy wysłała do Kirtonlow Hall, na wezwanie hrabiego Cottington. Wtedy też był gotowy godzinę wcześniej i pozostawiony sam sobie pocił się ze strachu, że zaraz się wybrudzi.

Wyjrzał przez okno na drogę, biegnącą przez wieś. Nie zauważył zbyt wielu ludzi. Tak jak on, wszyscy przygotowywali się na ślub i przyjęcie, które zaćmi wszystko, w czym dane im było uczestniczyć od wielu lat. Tamtego dnia, dawno temu, uznał, że w najlepszym wypadku hrabia go zbeszta, a w najgorszym każe wychłostać. A zamiast tego Cottington odmienił jego życie.

Z pewnością na lepsze. Tylko głupiec lub niewdzięcznik by tego nie przyznał. Tyle że teraz, gdy spoglądał przez okno na Watlington, doświadczył niespodziewanej tęsknoty za swoją wioską Teeslow.

Miło byłoby mieć na własnym ślubie jakies znajome twarze wokół siebie, ale wszyscy znajomi byli daleko pod każdym

względem. Hojność Cottingtona wyrwała Kyle'a z własnego świata, a nie znalazł innego, w którym mógłby się zadomowić.

Miał krąg przyjaciół i znajomych, ale to nie było to samo. Tak naprawdę od dłuższego czasu nigdzie nie przynależał. Jego życie przypominało winną latorośl, wijącą się coraz dalej i dalej od własnych korzeni.

To małżeństwo też nie zmieni stanu rzeczy. Znajdzie się na obrzeżu świata Rose, a nie w jego środku. Wybrał sobie żonę w pełni tego świadom. Wiedział, co zyska, a czego nigdy nie osiągnie w kwestiach, których Rose nigdy nie będzie w stanie go zrozumieć.

Spojrzał na walizkę. Leżał w niej list przywieziony przez Jor-dana z Londynu. Hrabia był zbyt chory, by go przyjąć, gdy Kyle pojechał na północ, jednak na tyle odzyskał siły, że napisał list z radami i powinszowaniami z okazji ślubu. Wspomniał też, że jego prawnik dostał polecenie, by przygotować upominek.

Hrabia nie przyjedzie. Ciotka Prudence i wuj Harold też nie. Nie byli w stanie ukryć szoku, gdy podczas odwiedzin na Boże Narodzenie powiedział im, kogo wybrał na żonę. Harold był zbyt chory, by móc podróżować, zresztą i tak nie wybraliby się w styczniu w tak daleką drogę. Nie będą też z nim świętować znajomi z czasów młodości, a z jego obecnego, luźnego kręgu przyjaciół tylko jedna osoba przebywała w Watlington.

Kyle poszedł jej poszukać.

Wszedł do pokoju Jean Pierre'a. Zastał go przed lustrem, gdy właśnie wiązał krawat. Kilka ruchów i Jean Pierre kiwnął głową z zadowoleniem. Odwrócił się, spojrzał na Kyle'a.

- **Mon Dieu**, dlaczego w dniu ślubu mężczyźni zawsze wyglądają tak, jakby szli na ściecie? - Chwycił piersiówkę, stojącą na toaletce, i rzucił przyjacielowi. - Tylko łyk i ani kropli więcej. To byłoby niestosowane, gdybyś się upił, choć pewnie trochę by cię znieczuliło.

Kyle roześmiał się, ale wypił łyk.

Jean Pierre jeszcze odrobinę poprawił krawat.

- Ten Easterbrook nie robi na mnie wrażenia, ale i tak niepotrzebnie się wygłupiam. Powtarzam sobie, że przejmuję się swoim strojem nie ze względu na niego i jego wysoką pozycję. Służba mówi, że twoja narzeczona jest bardzo piękna, i to jej uwagę chcę przyciągnąć, a nie jego.
 - Po co? Przecież to moja narzeczona. Zaśmiał się. Westchnął.
 - Dobrze, że się żenisz. Ta gra nigdy cię nie bawiła. Niektóre z twoich poglądów są... hm, konserwatywne.
 - Bardzo konserwatywne. - Głos Kyle'a zabrzmiał o wiele groźniej, niż zamierzał.
 - Mam nadzieję, że nie będziesz jednym z tych nudnych mężów, którzy złoścą się, gdy ktoś prawi komplementy ich żonie. Mężczyzna nie zrywa każdego kwiatu, który wacha.
 - Praw tyle komplementów, ile tylko chcesz. Ja jednak doskonale wiem, jak sobie poczynasz z kwiatami. Jestem pewien, że masz dość rozsądku, by nie zabawiać się w moim ogródku.
 - Doprawdy, *mon ami*, musisz się pogodzić z tym, że w jej sferach flirt jest czymś naturalnym...
 - Nie potrzebuję twoich rad. Wszystko to wiem. Po prostu mówię ci, że nie będziesz nic zrywał, wachał, ani nawet spacerował przy moim żywopłocie.
 - Zdenerwowanie dzisiaj już maści ci w głowie. Dobrze, że tu jestem, by ci pomóc. Myślę, że przyda się jeszcze jeden łyk alkoholu. Potem aż do ślubu będziemy grać w karty, żebyś odzyskał spokój i przestał gadać od rzeczy.
 - Jestem bardzo spokojny. Ani drgnę. Do diabła, nigdy w życiu nie byłem tak spokojny.
 - Tak, oczywiście. A teraz jeden łyceczek. Ach, *bon*.
 - Przejechał powóz z Aylesbury.
- Tę wieść przyniósł lokaj ustawiony na straży przy drodze. Alexia wstała i uśmiechnęła się wyczekująco do kuzynki.
- Możemy ruszać - powiedziała.

Rose spojrzała na swoją suknię. Nie była nowa. Ukryła ją w szafie rok temu, gdy Tim sprzedawał wszystko, co nawinęło mu się pod rękę. Rozgniewana, ukryła część swoich najlepszych strojów w nadziei, że może jeszcze będzie miała okazję je włożyć. Alexia pomogła jej przerobić suknię, aby nie było widać, że już nieco wyszła z mody. Rose cieszyła się, że ma ją dziś na sobie. Teraz mało co w jej domu należało do niej. Nawet jedzenie, przygotowywane w kuchni przez służbę z Aylesbury, nie było jej, a piwo i wino przysłał Kyle. Czułaby się jeszcze dziwniej, gdyby teraz miała na sobie jedną z sukni Alexii.

Wychodzili po kolei do czekających powozów. Lady Phaedra i lord Elliot dołączyli do jej orszaku, zamiast jechać za Easter-brookiem. Rose wzruszył fakt, że obecna była cała rodzina lorda Hayden. Pokazali światu, że stoją murem za Rose, powodowani miłością do Alexii.

Alexia, Irene i lord Hayden siedzieli razem z nią w otwartym faetonie. Gdy przejeżdżali przez wieś, na ulicach nie było widać nikogo. Wszyscy czekali w kościele. Spory tłum kłębił się też na zewnątrz, gdyż stare średniowieczne mury nie mogły pomieścić ludzi.

Gdy Rose weszła do kościoła, światło i gorąco oszołomiły ją. Zakręciło jej się w głowie. Cała sytuacja wydała się nierealna, niczym sen.

Krew tętniła jej w głowie, przed oczami migwały kolejne obrazy. Uśmiechy, szepty, kobiety podziwiające piękne stroje dam, twarze, które znała od dziecka, odwracające się w jej stronę, długie, niekończące się przejście środkiem kościoła ku pastorowi.

Kyle czekał na nią u stóp ołtarza. Uśmiechnął się do niej lekko, pokrzepiająco. Świat wrócił do równowagi, ale nie całkiem. Wypowiadała słowa, które zdawały się dobiegać z bardzo daleka. Ważne słowa, przysięga i obietnice, które nieodwracalnie ją wiązały.

Gdy uświadomiła sobie, że już po wszystkim, niespodziewanie ogarnęła ją euforia. Niemal frunęła do góry, zdumiona własną odwagą, a jednocześnie przestraszona, że jeśli nie pojawią się aniołowie, by podtrzymać ją w locie, może spaść i roztrzaskać się o ziemię.

Zorientowała się, że znów siedzi w faetonie, tym razem z Ky-le'em u boku. Mieszkańcy wioski ruszyli za nimi pieszo i powozami, kierując się do jej domu.

Kyle ujął jej dłoń. Ten dotyk wyrwał ją z oszołomienia. Znaczenie tego, co się wydarzyło, dotarło do niej z tak przeraźliwą wyrazistością, że niemal nie była w stanie objąć tego umysłem.

Spojrzała na mężczyznę, który był teraz jej mężem i panem. Znała go tylko z dwóch ról: wybawiciela i zalotnika. Reszta, niemal wszystko, było tajemnicą.

Kyle obserwował radosny tłum wypełniający dom Rose. Zasiadł w jadalni do weselnego śniadania. Tymczasem mieszkańcy wioski bawili się w salonie i bibliotece, a także w ogrodzie

1 na podwórzu. Wszyscy tłoczyli się, by złożyć najlepsze życzenia Rose stojącej parę jardów od niego.

Kyle nie spoglądał na nią zbyt często. Nie miał odwagi. Gdy już patrzył, widział szczegóły, od których cały napinał się z pożądania. Niesfornie pasemka jedwabistych włosów na smukłej szyi. Usta, aksamitne w pocałunku, wygięte w łagodnym uśmiechu.

Rose miała na sobie suknię z miękkiego materiału w odcieniu kości słoniowej, na tyle dopasowaną, że przypomniał sobie piersi, które pieścił. Wyobraził sobie, jak wkrótce ta suknia znika, reszta ubrania też, a jej gładka skóra dotyka jego ciała.

Zauważyła jego spojrzenie. Chyba mniej więcej wiedziała, wokół czego krążą jego myśli, choć raczej nie odgadła zmysłowych szczegółów. Zarumieniła się i odwróciła do gościa, z którym rozmawiała.

Zmusił się, by skupić uwagę na przyjęciu, by myśleć o czym innym. Obserwował, jak Easterbrook przyjmuje hołdy przy

kominku. Mieszkańcy wioski podchodzili do niego z szacunkiem i lękiem, nie tylko ze względu na jego tytuł. Jego sposób zachowania nie zachęcał do swobodnej rozmowy. Ekscentryczny wygląd został wprawdzie stonowany, ubranie było zdumiewająco skromne, a długie włosy miał związane w kucyk, patrzył jednak na wszystkich z góry, zadowolony z wyników swej inscenizacji.

Kobięcy chichot zwrócił uwagę Kyle'a. Niedaleko, w kącie salonu, Jean Pierre czarował Caroline, młodą, ładną kuzynkę Easterbrooka. Dziewczyna rumieniła się od jego komplementów.

Jej matka, lady Wallingford, dla rodziny ciotka Henrietta, zachęcała Jean Pierre'a do flirtu. Błada jak jej córka, ustrojona w dziwaczny kapelusz z ogromnym pióropuszem, lady Wallingford z powodu nieobecnego, rozmarzonego spojrzenia sprawiała wrażenie nieco pomyłonej. Według Rose pod tą pozorną niewinnością krył się wyrachowany charakter kobiety zdecydowanej osiąść na stałe w domu Easterbrooka, skoro w końcu udało się jej tam wtargnąć w zeszłym roku. Podobno mieszkający samotnie markiz znosił tę nieustającą obecność ciotki i kuzynki z coraz mniejszą wyrozumiałością.

Jean Pierre pożegnał się z obiema damami i przepchnął przez tłum tam, gdzie stał Kyle.

- Jean Pierre, w kwestii tych kwiatów... Lord Hayden jest opiekunem tego, który właśnie wąchasz. Spójrz na niego. Chcesz, by ten człowiek był twoim wrogiem?

Jean Pierre rzucił okiem na lorda Hayden.

- On się chyba tym nie przejmie - rzucił.

- Z całą pewnością się przejmie - odparł Kyle. - Ona jest dziewicą.

- Nie wącham dziewiczych kwiatów. - Jean Pierre spojrzał na Henriettę i Caroline. - To dziecko mnie nie interesuje. Ale lady Wallingford nie ma chyba więcej niż trzydzieści kilka lat. Ty widzisz w niej matronę, która nosi brzydkie kapelusze. Ja widzę

kobietę pełną ukrytego, czarownego piękna, która, jak mówi mój instynkt, nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli z nią poromansuję.

Nie było sensu próbować odwieść Jean Pierre'a od tego polowania. Kyle miał nadzieję, że lord Hayden nie uzna cnoty swej ciotki za powód do pojedynku.

Nastrój imprezy nagle się zmienił. Gwar przycichł. Zgromadzeni przesunęli się, by zrobić przejście. Markiz ruszył do drzwi, po drodze na prawo i lewo rozdając nieobecne, łaskawe uśmiechy.

- Wreszcie - mruknął Jean Pierre. - Teraz musisz tylko schować piwo i wino i cała reszta też sobie pójdzie. O tak, wreszcie.

Rose dygnęła, gdy Easterbrook się z nią pożegnał. Kyle uklonił się, mając nadzieję, że nic nie zawróci tego człowieka z obranego kursu. Dopóki Easterbrook nie wyjdzie, nikt nie ośmieli się oddalić nawet na krok.

Ciotka markiza czuła się zobowiązana ruszyć za nim. Wkrótce w ich ślady poszli też jego bracia. Przyjęcie dobiegło końca.

Kyle w myślach popędzał ich do wyjścia. Mieszkańców wioski, służących, wszystkich. Z trudem opanował zniecierpliwienie.

Pragnął Rose już przedtem. Jednak teraz, dzisiaj, gdy wiedział, że może ją mieć, to pragnienie stawało się torturą. Rose nie miała służącej od tak dawna, że nie wiedziała, co z nią robić. Na szczęście przysłana przez Alexię pokojówka nie wymagała wskazówek. Ze spuszczoneym wzrokiem, szybko i sprawnie przygotowała Rose do nocy poślubnej.

Dom był teraz niemal pusty. Zostali w nim tylko mąż i żona, pokojówka i lokaj. Wkrótce ci ostatni się wyniosą, znikając w pokojach na górze, które sobie wybrali.

Były to godziny pełne napięcia. Myśl o nocy poślubnej kładła się cieniem na każdej sekundzie i minucie. Ani ona, ani Kyle

nie odezwali się do siebie ani słowem, nawet podczas długiego spaceru, na który poszli, by w tym czasie służba z Aylesbury posprzątała talerze i beczki. Nadchodząca noc jak niewidzialna mgła spowijała każdą chwilę i zmieniała znaczenie każdego spojrzenia i dotknięcia.

Rose odprawiła służącą i spróbowała się uspokoić. Nie bała się. Ani trochę. Była zdenerwowana, zaniepokojona i zaciekawiona, ale naprawdę nie bała się.

Dotknęła wyszczotkowanych, rozpuszczonych włosów. Zerknęła na swą skromną koszulę nocną, z długimi rękawami i kołnierzykiem z falbanką. Spojrzała na posłane, czekające na nią łóżko. Stało w tym samym miejscu odkąd sięgała pamięcią.

Nie była pewna, czy chce, żeby to się stało w tym łóżku. Nie była nawet pewna, czy chce, by to się stało w tym pokoju.

To tu mieszkała jako szczęśliwe dziecko i pełna marzeń dziewczyna. To tu opłakiwała śmierć swoich rodziców i Benjamina, to tu bolała nad ruiną brata, a potem własną. Ten pokój zawierał w sobie całą historię jej życia, dobrą i złą, i nadal rozbrzmiewały w nim echa dziewczęcych, nigdy niespełnionych marzeń.

Jeśli Kyle przyjdzie tu dzisiaj wieczoru, jego obecność w tym pokoju na zawsze przesłoni jej dawne wspomnienia.

Jej życie pod wieloma względami zmieni się teraz. Powinna przynajmniej ten mały zakątek swego starego świata zachować nietknięty.

Narzuciła szal na ramiona. Wzięła świecę i wysliznęła się z pokoju. Nasłuchiwała dźwięków z sypialni od południa, by zorientować się, czy Jordan nadal obsługuje swego pana.

Nie dobiegały stamtąd żadne odgłosy. Uchyliła nieco drzwi i zajrzała do środka.

Jordana nie było. Kyle stał przy kominku, pogrążony w myślach, które nadały jego twarzy gniewny wygląd.

Najwyraźniej tak się zamyślił, że przerwał przygotowania. Rozebrał się do pasa, ale nadal miał na sobie spodnie.

Oszłomił ją ten widok. Żaden dżentelmen, ćwiczący boks i fechtunek przez wiele miesięcy, nie emanowałby tak pierwotną, ujarzmioną siłą, jak ten mężczyzna w tej chwili. Nie był to efekt jego wzrostu i postury. To coś pochodziło z jego wnętrza.

Wiedziała, że zobaczyła coś, co Kyle ukrywał przed światem. Chował to pod poprawną wymową i dobrymi manierami. Wyczuwała to od początku. Jego siła podniecała ją i sprawiała, że czuła się przy nim bezpieczna, a jednocześnie zaniepokojona.

Odwrócił się, jakby usłyszał jakiś dźwięk, choć ona nawet nie westchnęła. Przyjrzał się jej uważnie, szalowi, koszuli nocnej, świecy, włosom.

- Właśnie miałem do ciebie iść - powiedział.

- Pomyślałam, że to ja przyjdę do ciebie. Masz coś przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie.

Podeszła bliżej i postawiła świecę na stoliku przy łóżku.

- Byłeś głęboko pogrążony w myślach. Co cię tak zajęło?

- Wspomnienie z dawnych lat. Tak dawnych, że zupełnie o tym zapomniałem.

- Coś niemiłego?

- Tak.

- W takim razie cieszę się, że ci przeszkodziłam.

Poczula się skrępowana jego spojrzeniem. Skoro to ona przyszła do niego, a nie on do niej, co powinna teraz zrobić?

- Czy on cię skrzywdził?

Spytał tak spokojnie, że dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, o co mu chodzi. Zasmuciło ją, że wspomina Norbury'ego teraz, akurat w tę noc.

- Miałeś nigdy nie mówić o...

- Skrzywdził cię? Pytam z powodu dzisiejszej nocy. Wiem, że jest znacznie gorszy, niż sądzi większość ludzi.

Nie była pewna, o co mu chodzi. Wiedziała tylko, że czyni aluzje do czegoś straszniejszego niż to, czego doświadczyła.

Chociaż... Ostatniej wspólnej nocy Norbury chciał wymusić coś, co byłoby nie tylko szokujące, ale i bolesne. Spojrzała na mężczyznę, który przysiągł się nią opiekować. Widziała w jego spojrzeniu napięcie. Nie sądziła, by spokojnie przyjął to, co chciała mu powiedzieć, nawet gdyby go zapewniła, że do niczego nie doszło.

- Nie, nie zrobił mi krzywdy. Nie w sposób, który chyba masz na myśli.

- Cieszę się.

Naprawdę wydawał się uradowany.

Atmosfera natychmiast się poprawiła. Widmo Norbury'ego i osób z przeszłości, które pojawiły się w tym pokoju, znikły jak smuga dymu ulatująca przez okno.

Rose widziała, że teraz wszystkie myśli i całą uwagę skupił na niej. Gdy tak stała, a on się jej przyglądał, czuła zdenerwowanie i onieśmienie. Ona też mu się przyglądała. Patrzyła na jego ramiona i tors oświetlony ciepłym blaskiem ognia. Zareagowała całym ciałem na oczekiwanie, którym przesycone było powietrze.

- Chodź do mnie, Roselyn.

Oczywiście posłuchała. To stanowiło część jej dzisiejszej przysięgi. Nie była już niewinną dziewczyną, choć tak się czuła.

Stała przed nim. Jego nagi tors znalazł się tuż przy jej twarzy. Ta bliskość ją rozbudziła, zrodziła w niej pragnienie, by całować ciało, które tak ją zachwycało.

On pocałował ją pierwszy. Przytrzymał jej głowę dłońmi i całował delikatnie jak nigdy dotąd. Jakby próbował ją uspokoić. Pomyślała, że to bardzo miłe z jego strony, ale niepotrzebne. Uspokoił ją już wtedy w powozie, tamtego dnia, gdy spotkali się w parku. Wiedziała, że część jej obowiązków małżeńskich mimo wszystko może się okazać przykra, ale wiedziała też, że znajdzie w tym jakąś satysfakcję.

Potwierdziło to jej ciało. Zareagowało na pocałunek silniej, *niż się spodziewała. Zdenerwowanie znikło, narastało podniecenie.

Pociągnął ją bliżej łóżka. Usiadł na krawędzi, by nie przytłaczać jej swoim wzrostem. Teraz mógł ją całować swobodniej. Głębiej. Już nie tak ostrożnie. Położył dłoń na jej piersi. Jego pieszczoty podnieciły ją tak szybko, że aż się zdumiała. Poddała się pragnieniu. Czuła szokujące pulsowanie tam w dole, między nogami.

Kyle przyglądał się swej ręce, jak wygląda materiał koszuli nocnej wokół piersi, uwydatniając jej kształt. Rose wzdychała w duchu za każdym razem, gdy trącał sutek, tak dojmujące były wywołane tym wrażenia.

- Roselyn, jesteś bardzo piękna.

Uroda nie najlepiej się jej przysłużyła. A jednak jego komplement sprawił jej przyjemność.

Spojrzał jej w oczy tak głęboko, że obawiała się, czy nie rozczaruje go to, co w nich wyczyta.

- Często to słyszałaś. Pewnie od dziecka.

- Cieszę się, jeśli dzisiejszej nocy wydaję ci się piękna.

- Zawsze wydawałaś mi się piękna. Pierwszy raz zobaczyłam cię kilka lat temu. W teatrze. Nie wiedziałem, kim jesteś, pomyślałem tylko, że nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej kobiety. Potem zobaczyłem w łóżku również twojego brata i zrozumiałem, że to pewnie ta piękna siostra Longwortha, którą tak wielu podziwiał.

Jego pieszczota zrodziła w niej tyle radości, tyle rozkoszy, że omal nie skarciła go za to, że nie próbował jej poznać, gdy już się zorientował, kim ona jest. Powstrzymała się w porę. Wiedziała, dlaczego tego nie zrobił.

Czy właśnie dlatego się oświadczył? Czy Kyle nie mógł się oprzeć pokusie, by zdobyć coś niedostępnego dla syna górnika?

Ta myśl ją zasmuciła. Pocałowała go w napięte, muskularne ramię.

Jakby zapaliła pochodnię, tak wyraźnie to na niego podziałało, choć natychmiast okiełznał pożądanie. Oczy mu pociemniały.

125 - Tajniki uległości

129

Pomyślała, że jeśli będzie patrzeć zbyt długo, może w nich utonąć.

Pociągnął koniec tasiemki, przytrzymującej koszulę przy szyi. Patrzyła na jego dłoń i tasiemkę, gdy połyskliwe wstążeczki rozluźniły się, rozwiązały i opadły na boki. Wydawało się, że trwa to całą wieczność. Gdzieś w głębi ciała czuła mrowienie i rosnące napięcie, jakby muskał ją niewidzialny język.

Uświadomiła sobie, że on ją zaraz rozbierze. Teraz, tutaj, w świetle świecy płonącej na stoliku. Była absolutnie pewna, że nie tak powinno się to odbyć. Może on o tym nie wie? Mimo to...

W chwili, gdy w jej głowie pojawiły się te myśli, koszula zsunęła się jej z ramion. Po wyrazie jego twarzy poznała, że zauważył jej zaskoczenie. Ale nie przerwał. Opuścił koszulę niżej, aż ukazały się jej piersi, nabrzmiące, o napiętych, pociemniałych sutkach. A potem jeszcze niżej, aż stanęła przed nim całkiem naga.

Nagle ogarnęło ją zawstydzienie. Jeśli jest naga, powinno być ciemno. A przynajmniej półmrok. Powinni leżeć pod kołdrą, niemal anonimowi w akcie, który zaraz się dokona. Spróbowała zakryć się rękami.

- Nie - powiedział.

Chwycił ją za rękę. Przyciągnął bliżej. Językiem leciutko dotknął czubka jej piersi.

Przeszyła ją błyskawica rozkoszy. Mocna i wyrazista. Potem kolejna i jeszcze jedna, rozpraszając jej skrepowanie.

Pragnęła już tylko, by robił to w nieskończoność, by cudowne wrażenie nie ustawało.

Językiem i ustami unosił ją ku niebu. Pieścił ją na całym ciele. Teraz cieszyła się, że zdjął z niej koszulę. Dotyk jego dłoni na jej biodrach i pośladkach, na udach i plecach był tak cudowny. Wirowała oszołomiona coraz silniejszymi zmysłowymi doznaniem, a każda rozkosz rodziła kolejną.

Tak się zatraciła w tym szaleństwie, że nie zdawała sobie sprawy, że ściska go mocno za ramię, dopóki nie odsunął jej palców.

126

Nawet nie zauważyła, kiedy wstał i położył ją na łóżku. W przerwie, która nastąpiła, nieco odzyskała zmysły. W świetle nadal płonącej świecy zobaczyła, że on zdejmuje spodnie.

Zgasła ją, zanim mogłaby zobaczyć jego ciało w pełni, tak jak on widział ją. Kyle stał się sylwetką, mglistym, ciemnym kształtem na tle ognia. Przysunął się do niej na łóżku.

Pocałunek tak głęboki i intymny, że nigdy go nie zapomni. Pieszczota tak wprawna i śmiała, że mogła się jej tylko radośnie poddać. Dotyk tak zdecydowany i pewny, że całe jej ciało zaczęło krzyczeć z przenikliwej, wywołanej nim rozkoszy.

Nie przestawał. Trwała w tym niemym krzyku, w którym były tylko pragnienie i pełne udreki doznania. Straciła panowanie nad sobą, resztką świadomości błagała o więcej, o coś, cokolwiek, o wszystko.

- Poddaj się. Zobaczysz, o co chodzi. Pozwól, niech to się stanie. Otwórz się - powiedział cichym, niskim głosem.

Niemal go nie słyszała. Nie rozumiała. Ale jej ciało na chwilę się rozluźniło. To wystarczyło, by pojawiło się głębokie drzenie, które narastało, wzbierało falami rozkoszy i unosiło ją coraz wyżej. Aż w końcu wybuchło i ogarnęło całe jej ciało, zacierając wszelkie myśli w ulotnej chwili ekstazy.

Kyle uniósł się nad nią. Czowała, jak wsuwa się w nią powoli. Zbyt powoli. Objęła go i uniosła biodra, by wypełnić ją, zanim niesamowite doznania znikną.

Stracił panowanie nad sobą. Uwolniła się w nim okiełznana dotąd siła. Rose nie miała nic przeciwko temu. To wcale nie było przykre. Poddała się chętnie, gdy brał ją w posiadanie, tak jak wcześniej otworzyła się na spełnienie.

Poniosła ją fala cudownego upojenia, którego pchnięcia jeszcze przedłużały.

Kyle obudził się tuż przed świtem. Roselyn nie było przy nim. Pewnie jak tylko zasnął, wróciła do swojej sypialni.

Gdyby to on do niej przyszedł, niewątpliwie oczekiwałyby, że też szybko wyjdzie. Tak to się odbywało w jej sferze.

To całkiem

co innego niż w ciasnych izbach, gdzie mąż i żona dzielili łóżko każdej nocy, przez całą noc. Ogarnęły go wspomnienia cichych pomruków i zmysłowego śmiechu, które dochodziły z pokoju piętro niżej, gdy był chłopcem. Te intymne dźwięki ożywiały dom, a cichy szmer rozmów napełniał noc spokojem. Dziwne, że to wspomnienie pojawiło się teraz, tak żywe, że gdyby zamknął oczy, znów znalazłby się w swoim łóżku z lat chłopięcych. Dziwne, że ten ślub otworzył w jego pamięci tak wiele drzwi do przeszłości. Tylko że widział teraz rzeczy, których jako chłopiec nie był w stanie zrozumieć. Jedne drzwi trudno będzie teraz z powrotem zamknąć. Tej nocy, gdyby nie pojawienie się Roselyn, pewnie godzinami rozmyślałby nad tym, co znów zobaczył przez próg przeszłości. Obrazy cisnęły mu się do głowy. Odsunął je od siebie. Na jakiś czas. Może na zawsze. Pełna prawda, tak jak absolutna szczerłość, nie zawsze wychodziła ludziom na dobre. Zapadł w drzemkę. Nagle obudził się i zerwał gwałtownie. Dzień już dawno się zaczął. To nie była drzemka. Woda do mycia już czekała. Ubranie leżało przygotowane. Jordan wchodził tutaj, ale pozostawił pana młodego w spokoju. Kyle nie wezwał lokaja, sam zaczął się myć i ubierać. Zszedł na dół i wiedziony dźwiękiem głosów trafił do kuchni na tyłach domu. Zastał tam swoją żonę i Jordana. Rose miała na sobie prostą, szarą suknię, odpowiednią dla wieśniaczki. Mimo to wyglądała pięknie. Nie mógł patrzeć na nią i nie widzieć jej ciała w świetle świecy, jej zawstydzenia i drżącego podniecenia. Zgaszenie świecy było chyba mądrym posunięciem, mimo że chciał na nią patrzeć przez całą noc. W ciemności Rose odnalazła swobodę, a on zdołał się na tyle opanować, by nie rzucić się na nią jak szaleniec. . Jej pierwsze spojrzenie w jego kierunku niosło wspomnienie ostatniej nocy. Szybko spuściła wzrok.

Jordan zaczął przygotowywać śniadanie.

- Trochę tu skromnie, jednak widok na ogród jest bardzo piękny. Jeśli pan woli, przeniosę nakrycia do jadalni.
- Tu jest dobrze. - Kyle usiadł do stołu, przy którym jedli z Rose tamtego dnia, kiedy się oświadczył. Jordan szybko i sprawnie podał bardzo spóźnione śniadanie.

Gdy skończył, podeszła Roselyn i postawiła na stole jeszcze jeden talerz.

- To placek z jabłkami - powiedziała. - Podobno tak go lubisz, że czasem jesz go na śniadanie.
- Dobra robota, Jordan.
- To nie on go zrobił, tylko ja.

Jordan dokończył wycierać garnek. Sięgnął po surdut.

- Chciałbym obejrzeć ogród, madame. Jeśli pani pozwoli, chyba mógłbym zaproponować trochę ulepszeń.
- Oczywiście, proszę bardzo.

Rose ukroiła duży kawałek placka i nałożyła Kyle'owi na talerz. Cofnęła się i czekała, aż jej mąż go spróbuje. Ugryzł spory kęs.

Poprzedni placek był niesmaczny. Ten był niejadalny. Nie z powodu braku cukru i soli. Najwyraźniej nie w tym tkwił problem. Roselyn po prostu robiła okropne placki.

Obserwowanie go, jak je, sprawiało jej przyjemność. Wydał z siebie kilka zadowolonych pomruków i uśmiechnął się.

- Wspaniały - powiedział, przełknąwszy ostatni kęs.
- Cieszę się, że ci smakuje. Gdy go robiłam, Jordan denerwował się, że mu przeszkadzam.

Przysunął ją do siebie.

- Nie musisz już gotować. Nie musisz już sama piec.
- Wiem. Jednak dzisiaj rano przypomniałam sobie, jak poczęstowałam cię plackiem, gdy mnie po raz pierwszy odwiedziłeś, jak ci smakował. Pomyślałam, że zrobię go dziś dla ciebie.

Uświadomił sobie, że właśnie mu podziękowała za ostatnią noc.
Pocałował ją i puścił. Nie czuł głodu. A już na pewno nie miał ochoty na ten placek.
Mimo to ukroił sobie jeszcze jeden kawałek.

11

Kyle umieścił zrolowane rysunki w wielkiej płóciennej torbie.
Nie mógł dłużej odwlekać tej sprawy. Zbyt dużo zostało już zainwestowane. Nie miał wyjścia, musiał pójść na to dawno zaplanowane spotkanie z Norburym.
Nasłuchiwał odgłosów z sypialni Rose. Zwykle wstawała wcześniej. Nie miała w zwyczaju leżeć w łóżku do południa, jak niektóre damy. Dziś jednak w tamtej części domu panowała całkowita cisza. Nie był zdziwiony, bo nie dał Rose spać przez większą część nocy.
Nie wyglądało na to, że jej to przeszkadza. W Oxfordshire to ona zawsze przychodziła do niego, jakby chciała udowodnić, że nie będzie się uchylać od małżeńskich obowiązków. Tu, w Londynie, on przychodził do niej. Czasem oznaczało to, jak ostatniej nocy, że nie opuszczał jej zbyt szybko.
Nie protestowała, ale też po cichu tak zaaranżowała ten nocny rytuał, by nie czuć skrępowania. Od tamtej pierwszej nocy zawsze szybko gasiła świecę. Mimo ciemności poznał jej ciało lepiej, niż myślała. Dotyk wiele zdradzał, a światło księżycy jeszcze więcej. Ona może wolą skrywający wszystko mrok, być może nawet zapomniała twarz mężczyzny, który z nią obcował, ale on nigdy nie zapomniał, że pieści właśnie Roselyn.
Uśmiechnął się, gdy pomyślał o walce, którą staczał ze sobą każdej nocy. Roselyn Longworth wzbudzała pożądanie tak silne, tak wszechogarniające, że zbyt często pojawiała się w nim gwał-

towność. Ponieważ jednak miał do czynienia z Roselyn, z damą, która nadal mogła jeszcze być onieśmielona i zawstydzona, porzucenie zahamowań nie wchodziło w grę.

Zresztą nie miało to znaczenia. Koniec zawsze był wspaniały. Jej rozkoszne uniesienia i własne gwałtowne szczytowanie nadal go zdumiewały. Z żalem żegnał się z poczuciem szczęścia, którego doświadczał w jej ramionach. Czasem, jak ostatniej nocy, nie chciał od niej odchodzić przez wiele godzin, a to oznaczało więcej niż jedno zbliżenie.

Zszedł po schodach. Ten dom nadal wydawał mu się obcy. Gdy ją tu przywiózł, Rose wyglądała na zachwyconą. Zajęła się urządzaniem go wedle swoich upodobań. Zaczęła też stopniowo bywać w towarzystwie.

On spędzał czas na załatwianiu interesów, na przykład na takich jak to spotkaniach. Wybrał się do Norbury'ego konno, z płócienną torbą przytroczoną do siodła. Dzień był pogodny, w przeciwieństwie do jego nastroju. Nie rozmawiał z Rose o Norburym, ale minionej nocy powracające pragnienie, by ją posiąść, miało związek z czekającą go dziś nieprzyjemną wizytą.

Prawdę mówiąc, Norbury zbyt często zaprzątał teraz jego myśli. Nie tylko z powodu Rose, choć Kyle musiał się bardzo starać, by zapomnieć o jej romansie. Nieraz miał ochotę stłuc tego łajdaka do nieprzytomności.

Stale powracało też wspomnienie z przeszłości, które pojawiło się w noc poślubną i domagało się przemyślenia. Ciągle widział pobitą, posiniaczoną twarz kobiety. Prześladowały go jej oczy. Poniżenie, które z nich wyczytał, zobaczył też u Rose w noc licytacji.

Gdy tamtego dnia natknął się na swoją ciotkę, poturbowaną wskutek szamotania się z zaczepiającymi ją paniczykami, walczył jak oszalały. Miał tylko dwanaście lat i było ich trzech, ale nie nosili oni w kopalni przez ostatnie cztery lata koszów z węglem.

Myślał, że zjawił się w samą porę. Dopiero teraz, gdy szczegóły nieubłagania pojawiały mu się w głowie, zaczął się zastanawiać. Może trafił nie na początek napaści, ale na jej koniec.

To wspomnienie wskrzesiły myśli o Rose w ich noc poślubną. Zastanawiał się, jak do niej podejść, żeby jej nie przerazić. Zaczęło go wtedy prześladować widmo jej poprzedniego kochanka.

Wstrzymał konia przed domem Norbury'ego. Spojrzał na wspaniałą fasadę w stylu palladiańskim, która czyniła budynek niezwykle pięknym. Uważał ten dom za jeden z najlepszych w Londynie, którego doskonałości większość ludzi nie zauważała w natłoku klasycystycznych naśladownictw. Nie robił on wrażenia na Norburym, który był ślepy na kwestie estetyki.

Proporcje architektury nie pochłonęły, jak zwykle, uwagi Ky-le'a. Nowy znak zapytania co do tamtej walki przed laty nie tylko zmienił perspektywę historii z jego chłopięcych lat. Sprawił też, że zastanawiał się nad romanssem Rose częściej, niż miał na to ochotę. Ciążył również nad dzisiejszym spotkaniem, bo Norbu-ry był jednym z chłopców, których wtedy pobił.

Jego ciotka powiedziała, że zjawił się w samą porę, i on jej uwierzył. Jednak po tamtym wydarzeniu nocne, intymne szepty w pokoju na dole na długo zamilkły, a jego wuj nigdy nie patrzył na patronat Cottingtona łaskawym okiem. Podkreślał, że Kyle nie może zostać jego niewolnikiem. Powinien dobrze wykorzystać pieniądze Cottingtona, tak jak oni wykorzystują ludzi, ale w żadnym wypadku nie upodobnić się do nich.

Lokaj uśmiechnął się, biorąc jego bilet wizytowy. Ta poufałość nie była pozbawiona szacunku. Służba w tym domu, a także w wielu innych wykwinnych domach w Londynie, szybko polubiła biednego chłopca, któremu się powiodło w życiu, mężczyznę, który stał na pograniczu dwóch różnych światów.

- Milord jest zajęty, ale przyjmie pana w ciągu godziny -oznajmił lokaj, gdy wrócił. Kyle poszedł za nim do biblioteki, domyślając się, że „w ciągu godziny” oznacza czekanie przynajmniej pięćdziesiąt dziewięć minut.

Jak tylko drzwi biblioteki się zamknęły, Kyle znów je otworzył. Zszedł na dół, do kuchni. Norbury przypuszczalnie wcale nie był zajęty. To zmuszanie do czekania było tylko sposobem wicehrabiego na okazywanie własnej ważności. Kyle mógł jednak dobrze spożytkować czas, który dał mu Norbury.

Robiąca ciasto kucharka odwróciła się zdumiona, słysząc dźwięk jego kroków na schodach.

- Pan Bradwell! A to ci zaszczyt. No, no, ależ pan pięknie wygląda. Stan małżeński chyba panu służy.

- Witaj, Lizzy. Ty też dobrze wyglądasz. Tylko trochę bardziej umączona niż zwykle.

Przygładziła włosy. Uniosła się z nich chmura białego pyłu. Lizzy była jedną z kilkorga służących w tym domu, którzy mieli rodziny w Teeslow. Jako młoda dziewczyna najęła się na służbę u Cottingtona i przeniosła się do Londynu, gdy Norbury kupił tutaj dom.

Kucharz, surowy człowiek, kiwnął Kyle'owi głową na powitanie i wymamrotał powinszowania z okazji ślubu. Zdjął ze stołu duży garnek, przysunął nogą stół i wrócił do łajania pomy-waczki. Kyle usiadł przy stole.

- Przyszedłeś się zobaczyć z milordem, co? - Lizzy podzieliła dużą porcję ciasta chlebowego na cztery części. - Omówić te wasze sprawy finansowe, których nikt nie rozumie?

- Tak.

- Niektórzy mówią, że to hazard.

- Trochę jak hazard, tyle że to ja decyduję, gdzie znajdzie się większość kart z talii.

- Jednak jedno nieudane rozdanie i...

- Całkiem możliwe.

- Zawsze byłeś bystrzejszy od innych, więc pewnie też lepiej niż inni tasujesz karty.

Zazwyczaj tak. Jednak ryzyko istniało zawsze. Sekret każdego hazardu polegał na tym, że graczom nie powinno za bardzo

zależać, by wygrać. Człowiek zdenerwowany, zdesperowany zawsze gra źle.

Jego sukces był oparty na mocnym przekonaniu, że jeśli nawet wszystko wezmą diabli, to znów stanie na nogach, a kilka lat niepowodzeń nie będzie miało większego wpływu na jego życie.

Małżeństwo to zmieniło. Zdał sobie z tego sprawę, gdy tylko wypowiedział słowa przysięgi. Jego odpowiedzialność za Rose znaczyła, że być może już nigdy nie będzie w stanie zagrać *va banque*, a inni to wyczują, bez względu na to, za jaką maską ukryje prawdę.

To dlatego dwa dni temu utworzył dla żony fundusz powierniczy.

Gdy wrócili z Oxfordshire do Londynu, czekały na niego dwa weksle. Jeden był prezentem ślubnym od Cottingtona. Drugi opiewał na o wiele większą sumę. Do dziesięciu tysięcy od Easterbrooka nie dołączono żadnej notki, żadnego listu.

Gdyby Rose dowiedziała się o tych pieniądzach, pomyślałaby, że ktoś zapłacił mu za to, by się z nią ożenił. Co w jakimś sensie było prawdą. Patrząc na ten weksel, Kyle zdał sobie sprawę, że nie chce, by ona tak myślała. Nie chciała siebie okłamywać i tworzyć romantycznych iluzji co do tego małżeństwa, ale niedobrze by się stało, gdyby nie pozostały jej już żadne złudzenia.

Ponieważ prezent od Cottingtona postawił go z powrotem na nogi, część pieniędzy Easterbrooka wpłacił na wdowie dożywocie dla Rose, a resztę umieścił w funduszu powierniczym na jej rzecz. Będzie miała zapewniony byt, jeśli kiedykolwiek w przyszłości karty odwrócą się przeciw niemu.

- Jakież wieści z Teeslow, Lizzy?

Uwielbiała poplotkować i właśnie dlatego Kyle chętnie do niej wpadał. Wiedziała z listów od rodziny, co się dzieje

w Teeslow, znała o wiele więcej szczegółów, niż on się dowiadywał od ciotki.

- Dziewczyna Hazlettów będzie miała dziecko, a ojca jakoś nie widać. Zmarł też Peter Jenkins. To właściwie łaska boska, bo był bardzo chory. Powiadają, że w kopalni mają znów otworzyć ten chodnik. Wie pan który.

Wiedział. Słyszał te pogłoski podczas wizyty w grudniu. Wyglądało na to, że nie ucichły, co na pewno by się stało, gdyby były nieprawdziwe.

- Jak się ma Cottington? - spytał.

- Obawiam się, że nie najlepiej. Mówię panu, wszyscy w jego domu będą opłakiwać hrabiego, gdy odejdzie. Wraz z jego śmiercią wiele się zmieni.

- Nie tylko w domu będą się smucić. W okolicy też będą ubolewać, że syn i dziedzic zajął jego miejsce.

Lizzy sprawdziła, jak daleko stoi kucharz, zanim miną potwierdziła to, co powiedział o dziedzicu.

- Nie sądzę, by wicehrabia był na pana ślubie.

- Bynajmniej.

Spojrzała na niego wymownie. Oczywiście Norbury i tak by się nie pofatygował, nawet jeśli zostałby zaproszony, a narzeczona Kyle'a i tak nie chciałaby, żeby na jej ślubie był obecny jej dawny kochanek.

- Panie Bradwell, to miłe z pana strony. To, jak pan pomógł tej biednej kobiecie i co pan teraz dla niej robi. Wszyscy to mówią.

- Niestety nie mogłem znów spuścić mu lania, tak jak poprzednio, choć bardzo świerzbiła mnie ręka.

Obserwował jej reakcję. Lizzy była już wtedy na służbie u Cottingtona. W takim domu służący często wiedzą o wszystkim.

Wydawała się zdumiona tą aluzją. Dłuższą chwilę patrzyła mu w oczy, potem spuściła wzrok na ciasto i zaczęła je z zapalem ugniatać.

Zachowała się tak, jakby tamto wydarzenie było bulwersującym incydentem, którego szczegóły należało zachować w tajemnicy.

Zwykle zaczepki ze strony jakichś szczeniaków, czyli wersja, którą znał, bynajmniej nie zostałyby skwitowane w ten sposób.

- Nadal uważam, że w tych domach jest za mało pomieszczeń dla służby - rzucił Norbury po dziesięciu minutach studiowania rysunków.

Aż do tej chwili wszystko szło gładko. Gospodarz przywitał go z chłodną obojętnością. Skupili się na projekcie. Norbury na pozór zachowywał się jak dżentelmen, jednak Kyle wyczuwał, że wicehrabia ledwie powstrzymuje się przed mniej cywilizowaną reakcją.

- Te domy zostaną kupione przez rodziny o dochodach rzędu kilku tysięcy funtów rocznie. Pięć pokoi dla służby oraz miejsce w stajni dla stajennego i stangreta powinny wystarczyć aż nadto.

- Kilka tysięcy! Jak im się udaje za to przeżyć!

Ta głupia uwaga miała podkreślić, że on jest ponad takie problemy finansowe. Norbury znów pochylił głowę nad rysunkami.

- Mój prawnik mówi, że ojciec zamierza podpisać papiery dotyczące ziemi. - Dolna warga Norbury'ego zadrżała. - Nie bierze w tym wszystkim udziału, nie widział tych rysunków, a jednak się wtrąca.

Oznaczało to, że mogą kontynuować inwestycję, ale to wybór tego starca, nie jego. Norbury będzie miał z tego niezłe zyski, ale nie chce mieć z Kyle'em nic wspólnego.

Kyle czuł teraz niechęć do tego projektu zwłaszcza dlatego, że musiał znosić towarzystwo Norbury'ego. Jeśli hrabia nie wyzdrowieje i nie obejmie kontroli nad swoimi sprawami, to będzie jego ostatni interes z tą rodziną.

- Odwiedzę pańskiego prawnika jutro. - Zebrał rysunki. -Wkrótce zaczniemy prace przy budowie dróg i zamówimy mate-

riały budowlane. Pierwsze domy będą chyba gotowe pod koniec czerwca.

Norbury przyglądał mu się, jak zbiera się do odejścia. W jego oczach pojawił się lodowaty błysk.

- Podobno należą ci się powinszowania.

- Dziękuję.

- Nie zostałem zaproszony.

- Ślub odbył się na wsi, nie w Londynie.

- Czytałem, że był obecny Easterbrook. - Ta myśl rozdrażniła Norbury'ego być może dlatego, że wobec przyjazdu Easter-brooka jego nieobecność przestawała mieć znaczenie.

- Jego wiejska rezydencja znajduje się w pobliżu, a moja żona jest z nim spokrewniona przez małżeństwo.

Norbury zmrużył oczy.

- Nieźle sobie dogodziłeś, Kyle, żeniąc się z moją dziwką. Kyle zmusił się, by skończyć pakowanie rysunków. Z trudem

powstrzymał się, by się nie udusić Norbury'ego. W ten sposób dochodziło do pojedynków. Głupi ludzie mówili głupie rzeczy, bo duma czy uraza wzięła w nich górę. Mówili rzeczy, których żaden mężczyzna nie puści płazem.

- Nazwij ją pan takjeszcze raz lub choćby podobnie, a spuszczę ci porządne lanie. Jeśli usłyszę, że choćby tylko napomykasz o swoim haniebnym zachowaniu wobec niej, to gdy z tobą skończę, nie będziesz mógł się ruszać przez dwa tygodnie.

Norbury poczerwieniał na twarzy. Kyle spodziewał się, że z miejsca rzuci się na niego z pięściami. Pragnął aż do bólu, by tak się stało.

- Nie będzie żadnego lania. Boksuję się dwa razy w tygodniu.

- To może pomóc tylko wtedy, jeśli twój przeciwnik stosuje się do zasad Queensberry'ego. Ty jednak będziesz walczył z synem górnika, a twoje delikatne, słabe pięstki nic mi nie zrobią.

Kyle podszedł do drzwi. Dogoniły go słowa Norbury'ego:

- Mój prawnik powiedział, że ojciec wysłał ci prezent ślubny.
- Owszem. Hrabia był bardzo hojny.
- Jak bardzo? Ile ci dał? - Norbury'ego jeszcze bardziej to rozwścieczyło.

Może patronat Cottingtona zawsze był Norbury'emu solą w oku. Niedobrze, że przed laty doszło do tamtej bójki. Jeszcze gorzej, że ten patronat oznaczał, iż hrabia dowiedział się o haniebnym zachowaniu swego syna.

- Ile? Tysiąc bez pięćdziesięciu funtów.

Wychodząc, Kyle czuł satysfakcję na widok miny Norbury'ego. Ten człowiek był głupcem, ale nie idiotą. Za chwilę Norbury uświadomi sobie, że prezent od Cottingtona pochodzi z majątku, który on wkrótce odziedziczy.

To znaczyło, że Norbury pośrednio zwrócił Kyle'owi kwotę z licytacji. A także, że jego ojciec dowiedział się o tym wydarzeniu.

Henrietta wyglądała dziś inaczej. Roselyn siedziała w salonie na Grosvenor Square i próbowała ustalić dlaczego. Na pewno miało na to wpływ nakrycie głowy. Lekki kapturek włożony na koronkowy czepeczek wyglądał o wiele skromniej i gustowniej niż jej dotychczasowe kapelusze. Rose zauważyła też, że jej jasne włosy zostały inaczej uczesane, w stylu bardziej odpowiednim do jej delikatnych rysów.

Jednak największa zmiana zaszła w wyrazie twarzy Henrietty. Dzisiejszego popołudnia jej rozmarzone spojrzenie sprawiało, że wyglądała po prostu młodziej, a nie, jak dawniej, na nieco pomyloną. Lekceważenie już nie wykrzywiało jej rysów, które w tym świetle wydawały się niemal dziewczęce.

Rozmawiały o modzie i towarzystwie, spekulowały na temat nadchodzącego sezonu. Alexia siedziała razem z nimi, podobnie jak trzy inne życzliwe, wysoko postawione damy. W zeszłym tygodniu Alexia poszła je odwiedzić i zapewne za ich zgodą

zabrała ze sobą Rose. Teraz one z kolei przyszły z rewizytą do Henrietty w dzień tak wybrany przez Alexię, by Rose też była obecna.

To wszystko było częścią kampanii, w której, co najdziwniejsze, zgodziła się uczestniczyć Henrietta. Gdyby Hen tak dobrze nie odgrywała swojej roli, gdyby nie była tak przyjazna i pomocna, Rose zaczęłyby się zastanawiać, czy Alexia nie zaszantażowała czymś ciotki swego męża.

Panie nie zostały długo, ale i to wystarczyło. Być może nigdy nie odwiedzą samej Rose, ale dzięki ich wizycie udało się zrobić kolejny krok ku akceptacji przez towarzystwo.

Droga do tego będzie kręta. Wybór takiego, a nie innego męża pociągnie za sobą konieczność korzystania z bocznych ścieżek, a niektóre drogi pozostaną zamknięte. Wywołany przez nią skandal spowoduje kolejne utrudnienia. Jednak wyglądało na to, że kampania Alexii zaczyna przynosić efekty szybciej, niż można się było spodziewać.

- Dobrze poszło - skomentowała Hen, gdy pozostały już tylko we trzy. - Roselyn, być może pani Vaughn wkrótce zaprosi cię, byś wybrała się z nią do teatru. Pomyślałam tak, gdy zaczęła z tobą rozmawiać o ulubionych sztukach. Odkąd jej ciotka wyszła za kupca, nie przywiązuje większej wagi do tego, że ktoś trudni się pracą zarobkową, więc być może zaprosi nawet twojego męża.

Rose ugryzła się w język. Hen nie chciała jej przecież urazić tym komentarzem. Nie było też sensu oburzać się na prawdę.

A jednak była oburzona. O wiele bardziej, niż się spodziewała. Kyle pogodził się z porządkiem rzeczy, jednak ona coraz bardziej się przeciw niemu buntowała.

Nie rozumiała, jak ludzie, którzy go poznali, mogli mieć coś przeciw jego obecności w swoim salonie. Nawet jego zawód nie był banalny, bo łączył finanse, sztukę i inwestycje. Gdy jej bracia zostali bankierami, zamknęła się przed nimi część drzwi, ale tylko część.

Oczywiście wszystko sprowadzało się do pochodzenia. Do rodzinnych koligacji i przodków. Do rodziny, której Kyle nigdy się nie wyrzeknie. Ostrzegając ją co do tego.

W drodze do biblioteki Alexia nakreśliła kolejny etap kampanii, którym będzie proszona kolacja w jej domu. Zostaną zaproszone te trzy damy, a także dwie inne, które się z nimi przyjaźnią. Liczyła na to, że obecne dzisiaj panie przekonają pozostałe, by przyszły. Mężowie ich byli znani z tego, że zgadzali się z decyzjami swoich żon. Gdy kilku dżentelmenów pozwoli swoim żonom utrzymywać znajomość z Rose, inni mężowie zapewne pójdą w ich ślady. Gdy omawiały szczegóły strategii, do biblioteki wszedł Easterbrook. Przeprosił, że przeszkadza, stanął przy regałach i zaczął oglądać grzbiety książek. Jego obecność odwracała uwagę Henrietty, która w końcu nie wytrzymała z ciekawości.

- Easterbrook, czyżbyś zamierzał wybrać się za granicę? Na tej półce są wspomnienia z podróży.

Markiz wyjął jakąś książkę i szybko przerzucił kartki.

- Nigdzie nie wyjeżdżam. Zbieram informacje z myślą o mojej młodej kuzynce.

- Ojej, czyżbyś zamierzał wysłać Caroline w podróż po Europie? Miałam ogromną nadzieję, że... Oczywiście musi pojechać do Paryża i...

- Nie, nie w podróż po Europie - mruknął. - Potrzebuję informacji o miejscach szczególnego rodzaju, do których czasem udają się młode dziewczęta, jednak wygląda na to, że żaden z tych autorów nie podaje na ten temat bliższych informacji.

Hen zmarszczyła brwi.

- Co to za miejsca?

Wstawił książkę na miejsce i wyjął następną.

- Klasztory.

- Klasztory?!

Rose pomyślała, że Hen będzie potrzebować soli trzeźwiących. Alexia uspokoiła ją i zwróciła się do markiza.

- Jestem pewna, że to żart. Proszę, powiedz swojej ciotce, że znów się z nią drażnisz.
 - Chciałbym, żeby tak było. Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby Hayden znów zaczął pełnić rolę opiekuna, żebym nie musiał borykać się ze sprawami, które mnie nie interesują i w których się nie orientuję.
 - Widzicie, on nadal nie wybaczył Caroline tego flirtu z lordem Suttony zeszłego lata! - zawołała Hen. - Easterbrook, Caroline podporządkowała się twoim nakazom w tej kwestii. Nie wspomina jego imienia już od wielu tygodni.
 - Henrietto, ostatniego lata już było źle, jednak z żalem stwierdzam, że oto mamy kolejną katastrofę. Perspektywa jednego pojedynku rocznie to jak dla mnie już za wiele. A tym bardziej dwóch. - Markiz zmarszczył brwi i zdjął kolejną książkę. - Spełnię szybko ten przykry obowiązek. Stanę do pojedynku z tym gościem, porządnie go zranię, wyślę Caroline do klasztoru i będę miał spokój na przynajmniej kilka lat.
- Hen załkała. Easterbrook dalej spokojnie przeglądał książki. Alexia odezwała się dyplomatycznie:
- Ani twoja ciotka, ani ja, nic nie wiemy o żadnym zalotniku, który mógłby się obecnie starać o Caroline. Chyba się mylisz.
- Markiz z trzaskiem zamknął książkę.
- Ten mężczyzna to nie jest zwykły zalotnik, lecz uwodziciel. Alexio, ja się nie mylę. Przykro mi to mówić, ale jestem przekonany, że Caroline już straciła cnotę.
- Wywołało to ogólne poruszenie. Zszokowana Hen siedziała bez tchu, z otwartymi ustami. Po chwili zaniósła się szlochem.
- Za pozwoleniem, kim jest ten mężczyzna? - spytała Alexia.
 - Ten francuski chemik. Przyjaciół Bradwella. Henrietta nagle przestała płakać. Otworzyła szeroko oczy.
 - Jestem pewna, że się mylisz - powiedziała Alexia.
 - Widziałem go dzisiejszego ranka. O świcie, gdy stałem przy oknie wychodzącym na ogród, zobaczyłem go. Wymykał się z domu. - Easterbrook rzucił ciotce rozdrażnione spojrzenie.

- Ciociu Hen, czy teraz też mam się bawić w niańkę? To, że nie upilnowałaś Caroline, wstrząsnęło mną, chociaż zwykle nie przejmuję się takimi sprawami.

Hen znieruchomiała. Easterbrook stał za jej plecami, więc nie widział tego, co widziały Rose i Alexia. Jej twarz robiła się coraz bardziej czerwona.

Rose napotkała wzrok Alexii. Potem obie popatrzyły na Henriette.

- Easterbrook, nadal uważam, że się mylisz - powiedziała Alexia. - Skoro dopiero świtało, nie możesz mieć całkowitej pewności, kogo widziałeś. Może to był tylko któryś z ogrodników.

- Nie, Alexio. To był on. - Markiz dał sobie spokój z książkami. - Niestety nie znajduję tu żadnych informacji o klasztorach. Poproszę mojego prawnika, by dyskretnie czegoś poszukał. Chyba najlepiej we Francji, by Hen mogła tam jeździć raz do roku.

Easterbrook ruszył do drzwi. Alexia zagroziła mu drogę.

- Nawet jeśli masz rację i to on był w ogrodzie, wcale to nie dowodzi, że był w domu. Ani że odwiedzał Caroline. W końcu mogło chodzić o którąś ze służących.

- Widziałem, jak flirtował z nią na weselu twojej kuzynki. To zaniedbanie z mojej strony, że go nie ostrzegłem, ale była z nimi Hen, więc uznałem...

Jego słowa zawisły w powietrzu. Rose niemal czuła, jak markiz przypomina sobie wydarzenia, zastanawia się, analizuje... i dochodzi do nowych wniosków.

Easterbrook odwrócił się i spojrzał na ciotkę. Przekrzywił głowę i przyglądał się jej dłuższą chwilę. Wierciła się niespokojnie pod jego spojrzeniem, gdy taksował wzrokiem jej nowy kapturek, uczesanie i bijący od niej młodzieńczy blask.

- Alexio, twój godny podziwu zdrowy rozsądek oszczędzi mi kłopotów. Zdaje się, że zbyt pochopnie pomyślałem o Caro-

line wszystko, co najgorsze. Prawdopodobnie tym człowiekiem w ogrodzie wcale nie był monsieur Lacroix.

Zanim wyszedł, odezwał się od drzwi:

- Aczkolwiek, na wypadek gdyby to jednak był on... Henrietto, pomów ze służącymi. Jeśli któraś z nich przyjmuje wizyty mężczyzny, to życzę jej wszystkiego najlepszego. Jednak lepiej by było, gdyby wychodził przed świtem, by uniknąć dalszych nieporozumień.

Rose przeszła przez swoją gotowalnię i stanęła przy drzwiach, prowadzących do pokoi Kyle'a. Nie przyjdzie do niej dzisiejszej nocy, bo zaczął jej się okres. Znalezienie słów, by mu o tym delikatnie powiedzieć, wymagało od niej nie lada pomysłowości. Kyle wydawał się rozbawiony jej eufemizmami, ale zrozumiał.

Słyszała dźwięki, świadczące o zdejmowaniu ubrania, potem stłumiony głos Jordana. W końcu zapadła cisza.

Otworzyła drzwi. Gotowalnię nie były duże ani wykwintnie urządzone. Drzwi do jego sypialni znajdowały się niecałe trzy jardy od niej. Kyle nie zgasił jeszcze lampy. W smudze światła przy podłodze widziała zarysy komody, szczotek i lustro.

Podeszła do drzwi i zajrzała do środka. Zasłony na łóżku nie zostały zaciągnięte. Kyle leżał na nim w rozpiętej koszuli nocnej, ukazującej jego pierś.

Przyglądała mu się dłuższą chwilę. Nie widziała go choćby częściowo rozebranego od nocy poślubnej. Zawsze gasiła świece i lampy, nawet gdy przychodziła do jego sypialni w Oxfordshire. Mrok sprawiał, że łóżko wydawało się tajemnicze, jakby z innego świata, usuwał skrepowanie i pomagał jej otworzyć się na rozkosz.

Kyle leżał z rękami pod głową. Wydawał się bardzo poważny, jakby zauważył na baldachimie jakiś skomplikowany wzór, który wymagał analizy. A może już spał, bo w ogóle się nie ruszał.

- Kyle, śpisz? - szepnęła.

143

Usiadł. Obrzucił spojrzeniem jej czepek i szlafrok, które nie były ani nowe, ani ładne.

- Obudziłam cię? - spytała.

- Nie. Myślałem o pewnych sprawach, z którymi musiałem się dzisiaj uporać.

- Ziemia, spółki i temu podobne?

- Tak.

Weszła do sypialni.

- Alexia tak zaaranżowała sytuację, że odwiedziło mnie dziś kilka dam. Właściwie nie mnie, tylko Henriette.

Wiedziały, że będę obecna, a jednak przyszły z wizytą.

- Chodź tu i opowiedz mi o tym.

Rose usiadła na łóżku i opisała swoje małe zwycięstwo. Wydawał się bardzo zaciekawiony.

- Lady Alexia nie próżnuje.

- Chyba wierzy, że jest jeszcze szansa dla Irene w tym sezonie.

Jej siostra nadal mieszkała na Hill Street. Wszyscy zgodnie uznali, że jedyną dla niej nadzieją jest prezentacja w towarzystwie przez Alexię.

- Na tę kolację, którą ma zamiar urządzić, musisz sobie sprawić nową suknię - powiedział. - Wyprawię cię z domu jako najpiękniej ubraną kobietę spośród zasiadających przy stole.

- Może nie będziesz mnie wyprawiał, tylko mi towarzyszył - odparła.

- To mało prawdopodobne. Lady Alexia jest zbyt mądra, by prowadzić wojnę na dwóch frontach jednocześnie.

- W takim razie nie wiem, czy będę chciała pójść.

Wyraz jego twarzy nieco się zmienił, stał się nieprzenikniony.

- Chcesz usłyszeć plotkę? - spytała. - O kimś, kogo znasz.

- Każdy chce słuchać plotek, zwłaszcza o kimś, kogo zna.

- Poszlaki wskazują na to, że twój przyjaciel, pan Lacroix, . ma romans z... Henriettą!

- Jakie poszlaki?

- Easterbrook widział go, jak wychodził nad ranem z jego domu. Uwierzyłbyś?
- To bardzo nieostrożne ze strony Jean Pierre'a. Czy mam go stanowczo upomnieć?
- Dopóki nie zacznie uwodzić Caroline, nie sądzę, by Easter-brook obchodziło, jak sobie poczyna z resztą kobiet w jego domu. Jeśli chodzi o Henriette, markiz wydawał się zachwycony, że będzie mógł stroić sobie z niej żarty przez następne kilka lat.

Zaśmiali się oboje. Przyjemnie było tak siedzieć w nocy i rozmawiać o codziennych sprawach. Gdy jednak omówili już wszystkie szczegóły, wyczuła, że znów pograżył się w myślach. Spojrzenie Kyle'a stało się nieobecne, jak wtedy, zanim weszła do jego sypialni.

- Zatem dobranoc. Zaczęła zsuwać się z łóżka. Chwycił ją za rękę.
- Zostań.

Być może jej eufemizmy były jednak zbyt ogólnikowe.

- Ja... To znaczy, dziś...
- Nieważne, zostań.

Dziwne uczucie zrodziło się w jej sercu, gdy niezgrabnie wsuwała się pod kołdrę. Kyle zgasił lampę. Ciemność otuliła ich pełną spokoju bliskością. Przyciągnął ją bliżej i objął.

Zamyśliła się nad tym, jak miłe było to wrażenie ciepła i zażyłości.

- Muszę znów pojechać na północ - powiedział cicho. - Za jakieś dwa tygodnie. Nie będzie mnie najwyżej tydzień.
- Zabierzesz mnie ze sobą? Mówiłeś, że pojedziemy na wiosnę, ale jeśli wracasz tam teraz, to ja też chciałabym pojechać.
- Zmarzniesz po drodze. Poza tym masz w planach tę kolację.
- Alexia tak wybierze termin, by nie kolidował z podróżą. Nie obawiam się też chłodu.

Dwa tygodnie temu nie domagałaby się, żeby wziął ją ze sobą. Jeszcze w zeszłym tygodniu dałaby sobie z tym spokój. Jednak teraz pragnęła zobaczyć to jego dawne życie. Czowała wyraźnie, że mimo całej łączącej ich rozkoszy była w ich małżeństwie pustka, której nie potrafiła nazwać.

Nie wiedziała, czy kiedykolwiek uda się ją wypełnić. Być może on na zawsze pozostanie po części obcy. Może wręcz wolał, by tak było. Ta pusta przestrzeń między nimi dzisiejszej nocy wydawała się ogromną przepaścią, pewnie dlatego, że w jej tle pojawiło się nowe uczucie. Niemal czuła ból w sercu, próbując sięgnąć po coś, co było poza jej zasięgiem.

- Zobaczymy - powiedział. - Poza tym jutro wyjeżdżam na parę dni do Kent. Nie możesz ze mną jechać, bo zaczynam budowę nowych domów i będzie tam tylko niewielu robotników, pracujących w zimnie i błocie. Nowe domy. W Kent. To na pewno ten interes, w związku z którym odwiedził Norbury'ego w tamten wieczór licytacji.

Nagle zrozumiała, o czym rozmyślał Kyle, gdy weszła do jego sypialni. Musiał się niedawno widzieć z Norburym. Być może nawet dzisiaj.

Nigdy się od niego nie dowie, czy Norbury zachował się obraźliwie. Kyle nigdy nie okaże, co myśli o jej romansie. Była jednak pewna, że nieraz do tego powracał. Może nawet teraz, gdy błądził myślami gdzieś daleko w mroku. Może dowie się o nim czegoś więcej i zacznie wypełniać tę pustkę. Będzie pewnie jeszcze wiele nocy takich jak ta, gdy rozmawiali jak przyjaciele, nie jak kochankowie.

Jednak bez względu na to, co się stanie, ile lat przeżyją razem, Norbury będzie rzucił ponury cień na wszystko między nimi, jeśli nawet żadne z nich nie wspomni jego imienia.

Norbury opanował jej myśli. Jego złowroga obecność stała się tak przytłaczająca, że Rose wręcz zapagnęła uciec z tego łóżka.

Kyle obrócił się we śnie na bok. Objął ją, kładąc jej dłoń na piersi w uspokajającym, a zarazem zaborczym geście.

Trzymał ją

150

tak przez całą noc, sprawiając, że nie mogła się wymknąć z powrotem do siebie.

12

Dwa dni po wyjeździe Kyle'a do Kent Roselyn dostała list. Został przekierowany z Watlington. Choć na kopercie było nazwisko Goddard, poznała po charakterze pisma, że to Timothy znów się do niej odezwał.

Tym razem pisał nie z Dijon, lecz z włoskiego miasta Prato.

Wreszcie przekroczyłem Alpy i zatrzymałem się w tym miasteczku, bo jest tu taniej niż we Florencji. Jest też mniej prawdopodobne, że zostanę rozpoznany. Podróż była uciążliwa, a pogoda podła. Bałem się, że zginę, chorowałem przez większą część drogi. Teraz błąkam się wśród obcych, których języka nie znam, i cierpię melancholię tak głęboką, że niemal nie do zniesienia.

Zamierzam pozostać tutaj aż do chwili, kiedy do mnie przyjedziesz. Proszę, odpisz natychmiast i obiecaj, że przyjedziesz. Nie ucieszy mnie słońce ze oknem, dopóki cię nie zobaczę. Musisz do mnie napisać i opowiedzieć o swoich planach, bym miał czego wyczekiwać.

Rose, mój portfel mocno ucierpiał wskutek długiego pobytu w Dijon, a także wydatków na lekarzy, którzy okazali się bezużyteczni, a kosztowali krocie. Chcę, byś sprzedała dom i majątek w Oxfordshire i przywiozła uzyskane pieniądze. Ten list jest pozwoleniem, byś zrobiła to w moim imieniu. Zanieś go do Yardleya, naszego starego prawnika. On zna moje pismo i może ci doradzić. Niniejszym upoważniam go do działania w moim imieniu przy sprzedaży domu, gdyby upoważnienie ciebie było niemożliwe ze względu na to, że jesteś kobietą. Jeśli pojawią się jakieś dodatkowe warunki, musisz do mnie o tym natychmiast napisać, byśmy mogli sfinalizować tę sprawę jak najszybciej.

147

Wiem, że upłynie jeszcze wiele miesięcy, zanim się spotkamy, ale będę liczył dni, ufając, że jak zawsze pozostajesz moją kochającą siostrą, z której wsparcia korzystałem przez większą część mego życia. Obiecuję, że wszystko się dobrze ułoży, gdy znów będziemy razem.

Timothy

Nadal wydawał się zagubiony i samotny. Wzmianka o chorobie jeszcze pogarszała obraz. Rose nie wiedziała, czy to tylko skutki nadużywania alkoholu, do czego Tim miał wielką skłonność, czy też coś innego.

Nie mogła do niego pojechać, bez względu na to, jak bardzo był chory. On się nigdy nie dowie, że była zdecydowana na wyjazd przez kilka beztrudnych i szczęśliwych godzin spędzonych na wzgórzu.

Nie mogła też oszukiwać siebie, co naprawdę oznaczał jej wybór. Przyjmując oświadczenia Kyle'a, zamknęła oczy na kłopoty swego brata, by spróbować odbudować życie w Anglii dla siebie i Irenę.

Pisał, że jego portfel szybko chudnie. To zdanie wzbudziło w niej gniew. Ona przez te miesiące odmawiała sobie niemal wszystkiego. Mógł wykazać się większym rozsądkiem przy wydawaniu ukradzionych pieniędzy.

Wyrwało się jej głębokie westchnienie, które niemal przygniotło ją do ziemi. Timothy po prostu taki już był. Bez jej kontroli ujawniały się jego najgorsze cechy. Nie mogła go ocalić. Nie teraz. Nie po tym, jak Kyle tak dobitnie oświadczył, że nigdy nie pozwoli jej do niego pojechać. Jednak nie mogła go też zostawić na pastwę losu, jak tego oczekiwał Kyle.

Zawołała pokojówkę i zmieniła poranną suknię na strój podróżny. Miała się dziś spotkać z Alexią u jej krawcowej, by zamówić parę sztuk garderoby. Najpierw jednak pojedzie do prawnika. Musiała się dowiedzieć, czy istnieje możliwość, by mimo wszystko pomóc bratu.

Kyle przyglądał się, jak robotnik wierci świdrem twardą ziemię, by jeszcze raz sprawdzić grunt, zanim zaczną kłaść fundamenty.

Dwieście jardów dalej inny człowiek znakował drzewa przeznaczone do wycięcia przy budowie nowej drogi. Kyle wyobraził sobie dom, który stanie przy zagajniku.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za dwa lata na tych polach zamieszkają rodziny, a nowymi drogami będą jeździć powozy. Majątek Cottingtona wzrośnie, a spółka inwestorów osiągnie niezłe zyski.

On też. Kyle nadal balansował na cienkiej linii. Myśl o ryzyku nie spędzała mu snu z powiek. Mimo to, jak każdy człowiek, wolałby stać mocno nogami na solidnym finansowym gruncie.

Robotnik przy drzewach zawołał i wskazał na południe. Kyle skierował spojrzenie na biegnącą tamtędy drogę. Za wozem, który przywiózł potrzebne dzisiaj narzędzia, zatrzymał się powóz.

Kyle go rozpoznał. Ruszył drogą i dotarł na miejsce akurat wtedy, gdy Norbury wysiadł z powozu.

- Mam nadzieję, że nie przyjechał pan z Londynu tylko po to, by obejrzeć postępy robót - powiedział Kyle. - Niewiele na razie widać.

Norbury rozejrzył się.

- Urządzam u siebie przyjęcie. Postanowiłem przyjechać wcześniej, zanim zjawią się goście.

Spojrzał na Kyle'a, by zobaczyć jego reakcję. Kyle zachował kamienny wyraz twarzy. Nie potrzebował aluzji Norbury'ego do wcześniejszego spotkania, by o nim pamiętać. Obraz upokorzenia Rose i tak nawiedzał go zbyt często.

To wspomnienie za każdym razem budziło w nim szalony gniew i głębokie, bezlitosne pragnienie, by dotkliwie pobić wicehrabiego.

- Spodziewam się, że to przyjęcie odbędzie się bez żadnych skandali. Jeśli rozejdą się wieści, że odbywają się tu orgie, możemy mieć kłopoty ze sprzedażą domów.

- Śmiem twierdzić, że sprzedadzą się tym szybciej. - Nor-bury skinął, by Kyle odszedł z nim na bok. - Przyjechałem porozmawiać o innej sprawie, która nas obu dotyczy. Dostałem wieści z Kirtonlow Hall. Mój ojciec miał kolejny, lekki atak apopleksji. Lekarz mówi, że to już niedługo potrwa.

- Hrabia jest bardzo silny. To może trwać dłużej, niż lekarz myśli.

Dłużej niż sobie tego życzył Norbury. Syn był całkiem inny niż ojciec, nigdy nie było między nimi cieplejszych uczuć. Hrabia nie ukrywał przed swoim potomkiem, pod jak wieloma względami go zawiódł.

Nie chodziło tylko o to, że Norbury'emu brakowało błyskotliwości. Brakowało mu czegoś bardziej istotnego.

Naturalnego współczucia w stosunku do innych ludzi. Norbury po prostu nie miał kręgosłupa moralnego, który pomaga człowiekowi wybierać dobro w sprawach małych i wielkich.

- Możemy tylko mieć nadzieję, że będzie żył wiecznie, ale nie zależy to od nas - powiedział Norbury z dramatycznym patosem. - Druga kwestia dotyczy rzeczy, na które mamy wpływ. Myślę o twoim małżeństwie.

Kyle zerknął do tyłu, by ocenić odległość od robotników. Co będą w stanie zobaczyć i usłyszeć, jeżeli ciosem pięści złamie Norbury'emu szczękę?

- Daruj sobie postawę boksera szykującego się do walki na ringu - powiedział Norbury. - Decyzja, by ożenić się z taką kobietą, to kwestia twojej głupoty. Mnie bardziej interesuje jej brat i to jak twoje małżeństwo wpływa na nasze plany wobec niego. Po otrząśnięciu się z szoku, że tak się z nią związałeś, dostrzegłem, że ta sytuacja ma też dobre strony.

- Nie ma innych dobrych stron niż moje szczęście płynące z wyboru żony. Timothy Longworth zniknął. Ani moja żona, ani ja nie mamy z nim kontaktu.

- Czy on do niej pisze? To chyba dosyć prawdopodobne.

- Nie ma powodu tego robić.

150

- Jest jego siostrą. Musisz sprawdzić jej korespondencję, czy są w niej listy od niego pod nazwiskiem Goddard, albo też jego własnym. Do diabła, szukaj jakichkolwiek listów z Europy, a zwłaszcza z Włoch.

- Nie.

- To nam oszczędzi wiele czasu. Jeśli on do niej pisze, będziemy mieli...

- Nie. Wycofałem się z tej sprawy. Nie chcę mieć w niej udziału i nie pomogę panu.

Norbury chwycił go za ramię, by go zatrzymać. Kyle spojrzał na niego z góry. Z twarzy Norbury'ego znikły resztki uprzejmości.

- No, no, jak prędko szlachetny rycerz został okręcony dookoła palca. Już zapomniałeś swoich pięknych haseł o sprawiedliwości, Kyle.

- Nie będę szpiegował własnej żony.

- Nie szpieguj. Skłoń ją, by sama ci powiedziała.

- Ona z własnej woli nie założy stryczka na szyję swego brata. A ja nie będę tego od niej wymagał.

- Nie gadaj bzdur! Nie ma w tym nic zdrożnego. Do diabła, jeszcze ją ochronisz! - W oczach Norbury'ego pojawiła się przebiegłość. - Doprawdy, jeśli tego nie zrobisz, to możesz ją wręcz wystawić na niebezpieczeństwo. Ona pewnie od początku była współniczką.

- Oczywiście, że nie.

- Do licha, powinienem był zauważyć to wcześniej. To wyjaśnia, dlaczego Rothwell zwrócił pieniądze. Nie chronił człowieka, który już wymknął nam się z rąk, ale pozostawioną tu współniczkę. Może ona ma większość pieniędzy tu, w Anglii. Cała ta jej skromna egzystencja była bez wątpienia pozorem, który miał odwrócić podejrzenia. Longworth wcale nie był taki bystry. Być może od początku to był jej pomysł...

- Mówi pan bzdury.

155

- Nawet ta sprawa ze mną. Myślałem, że to ja ją uwodzę, a może to ona chciała zbliżyć się do mnie, by dowiedzieć się, czy okradzione ofiary nie wpadły na jej trop. Cóż by to była za ironia losu, gdyby ona przez cały czas...

- Jeszcze słowo, a cię zabiję.

- Tak jesteś otumaniony jej urodą, że zaryzykujesz dla niej wszystko? Wątpię. Za kilka miesięcy minie ci to zauroczenie. Wtedy zobaczysz, co kryje się pod pozłotą. Jej brat jest złodziejem, a ona sama okazała słabość charakteru i brak moralności.

Kyle chwycił Norbury'ego za surdut tuż przy szyi. Przyciągnął bliżej i uniósł do góry, aż wicehrabia stanął na palcach.

- Ostrzegłem cię.

Norbury'emu oczy wyszły z orbit. Cofnął głowę.

- Uderz mnie choć raz, a nic mnie nie powstrzyma. Myślę, że sędzia bacznie mnie wysłucha i poważnie się zastanowi, zanim uzna, że się mylę. Zdaje się, że z moich domysłów można zbudować całkiem niezłą podstawę do wszczęcia śledztwa. Przy odrobinie wysiłku może nawet uda się znaleźć jakieś dowody.

Groźba była wyraźna. Fałszywe oskarżenie było drwiną z wymiaru sprawiedliwości, ale jako lord Norbury miał wiele możliwości, by do niego doprowadzić.

Kyle z trudem opanował furię. Rozluźnił chwyt. Norbury doprowadził się do porządku, wygładził ubranie i poprawił krawat. Potem wyprostował się i spojrzał ze spokojnym zadowoleniem, jak człowiek, który podczas partii wista nagle odkrył, że ma w ręce asa.

- Kyle, dowiedz się, gdzie jest ten drań. - Norbury ruszył z powrotem do powozu. - Możesz poświęcić część tego honoru, który jakoby posiadasz.

Jak tylko Kyle wrócił z Kent, Rose domyśliła się, że znów widział się z Norburym. Wniósł do domu jego cień. Zauważyła to też w wyrazie jego twarzy, która stała się bardziej surowa niż zwykle.

Gdy zasiedli tego wieczoru do kolacji, nie zachowywał się wobec niej inaczej niż zwykle. Słuchał z zainteresowaniem jej opowieści, jak spędziła czas podczas jego nieobecności. A jednak w myślach Kyle'a ciągle wyczuwała obecność Norbury'ego.

Gdy odesłał lokaja, podjęła decyzję. Najlepiej od razu wyjaśnić, co wywołało ten posepny nastrój.

- Rose, gdy byłaś w Oxfordshire, czy twój brat pisał do ciebie? To znaczy oprócz listu, który dostałaś, gdy byłem u ciebie pierwszy raz z wizytą.

Nie spodziewała się tego pytania. Gdyby nie wyczuła jego złości, pewnie wyznałaby całą prawdę. Zastanowiła się jednak, dlaczego o to spytał, jakie skutki może mieć jej odpowiedź.

- Myślę, że pisał, przynajmniej jeszcze jeden raz - dodał Kyle.

- Tak. Jeden. - Była to prawda, ale nie cała. Otrzymała tylko jeden list, gdy była w Oxfordshire.

- Zatem miałem rację. Gdy mówiłaś, że wyjedziesz na zawsze, miałaś zamiar pojechać do niego.

Przytaknęła.

To, że miał rację bynajmniej nie poprawiło mu nastroju.

- Rose, nie chcę, byś w przyszłości utrzymywała z nim jakiegokolwiek kontakty. Jeśli on do ciebie napisze, masz natychmiast, bez czytania, spalić jego listy. Nie zachowuj ich. Nie patrz nawet, z jakiego miasta zostały wysłane.

Szok na dłuższą chwilę pozbawił ją zdolności myślenia. Potem w jego miejsce pojawił się gniew.

- Zanim pobraliśmy się, powiedziałaś, że nigdy nie będę mogła do niego pojechać, nawet z krótką wizytą. Nie mówiłaś, że nie będę mogła do niego pisać ani otrzymywać od niego listów.

- Mówiłem. Jeśli nie było to dla ciebie jasne, to mówię wyraźnie teraz.

- Powiedziałam ci, że nie uznaję go za umarłego, a ty teraz żądasz, bym właśnie w ten sposób go potraktowała.

- Tak. - Rozkaz był widoczny bardziej w jego spojrzeniu niż w głosie.

Rose wstała z krzesła i wyszła z jadalni. Poszła szukać spokoju w bibliotece. Ku jej zdumieniu Kyle ruszył jej śladem.

- Lepiej, żebyś zostawił mnie samą, bym mogła się oswoić z tym, czego wymagasz w stosunku do niego - powiedziała.

- Muszę wiedzieć, że się do tego zastosujesz. Chcę, byś dała mi na to swoje słowo.

- Moje słowo? A co z twoim słowem? Jeśli moje słowo może się zmienić tak szybko jak twoje, to z chęcią je dam. Tamtego dnia pozwoliłeś mi wierzyć, że zrezygnowałeś z tego wymagania.

Myślała, że poczucie winy go uspokoi. A tymczasem tylko rozpaliło jego gniew.

- Wymagam tego nie bez powodu. Chciałbym, żebyś w to uwierzyła, ale jeśli nie wierzysz, to trudno. Wiesz, kim on jest. Sama mi powiedziałaś, jakie stwarza dla ciebie zagrożenie. Nie wolno ci się z nim kontaktować.

- To mój brat.

- To tchórzliwy złodziej. Przestępca.

Furia w odpowiedzi Kyle'a wstrząsnęła nią. Rose wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, zdumiona mocą, która z niego biła. Widziała i czuła, że tym razem nic nie powstrzymało jego wewnętrznej energii.

Opanował się. Uspokoił burzę, ale nadal wisiała nad nimi.

- Rose, czy ty w pełni rozumiesz, co on zrobił? Ilu ludzi okradł?

- Ale lord Hayden...

- Lord Hayden uchronił ofiary od nędzy. Jak myślisz, ile pieniędzy na to wyłożył?

Czuła się jak uczennica, desperacko szukająca rozwiązania zadania.

- Dostyc dużo. Przynajmniej dwadzieścia tysięcy. Nawet jego cichy, krótki śmiech był zabarwiony gniewem.

- Przy dwudziestu tysiącach Rothwell nawet by nie mrugnął okiem. Zastanów się, jak mieszka twoja kuzynka. Jakie nowe klejnoty ci ostatnio pokazywała. Nawet jej nowe stroje... Przypomnij sobie ich krój, z jakich materiałów są uszyte, jakie mają ozdoby.

Żołądek ścisnął jej się w węzeł. Nigdy przedtem nie analizowała dowodów, częściowo dlatego, że zauważyła dość, by podejrzewać, że ostateczna suma na pewno ją zaszokuje.

- Ile? - szepnęła.

- Gdy wszystko wyszło na jaw i zostało podsumowane, zebrało się przynajmniej sto tysięcy, ale prawdopodobnie było tego o wiele więcej.

Jęknęła głośno. Tyle pieniędzy!

Kyle podszedł do niej. W jego oczach pojawiło się nikłe współczucie.

- Twój brat nie wiedział, że Rothwell zwróci choćby jeden grosz. Uznał, że pokrzywdzeni będą po prostu musieli jakoś to znieść. Tak jak klienci banku, gdy nastąpi jego bankructwo. Okradł nie tylko bogatych, ale także stare kobiety, bezbronne sieroty i rentierów, którzy potrzebują pieniędzy z funduszy, by przeżyć.

- Jestem pewna, że on nie rozumiał w pełni... nie mógł z wyrachowaniem...

- Oczywiście, że rozumiał. W całej pełni. I na pewno zrobił to z wyrachowaniem. - Kyle z wyraźnym wysiłkiem się opanował. - Czy to cię dziwi, że rozkazuję ci zerwać wszelkie związki z takim łotrem?

Obraz Kyle'a zamazał się jej przed oczami. Odwróciła się, próbując powstrzymać dławiący ją bolesny szloch. Sto tysięcy funtów. Dobry Boże! A Alexia i Hayden...

Otarła oczy i odetchnęła głęboko.

- Mówiłeś, że znasz ludzi, którzy stracili z tego powodu pieniądze. Kim oni są?

Przez chwilę myślała, że nie odpowie.

- Moja ciotka i wuj.

Poczuła się, jakby uderzono ją w twarz. Nie przyjaciele, lecz rodzina.

- Ale odzyskali pieniądze, prawda?

- Tak, odzyskali. Czy właśnie to sobie powtarzasz, gdy o nim myślisz? Przecież ci ludzie odzyskali pieniądze.

Przecież był tylko jeden pokrzywdzony, który słono zapłacił, zamiast dziesiątków, które straciły wszystko. Czy to jest twoje usprawiedliwienie dla niego?

- Nie szukam dla niego usprawiedliwień.

- A ja myślę, że tak. To twój brat i usiłujesz znaleźć powody, które pozwolą zmniejszyć jego winę. Ale on nie jest moim bratem, Rose.

Nie. Kyle nie przyjmie żadnych usprawiedliwień. Nie będzie żadnego współczucia ani pragnienia, by go uratować. Jeśli Tim zostanie schwytany, Kyle uzna za sprawiedliwe, gdy pošłą go na szubienicę.

Nie miała słów, by dyskutować. Została jej tylko miłość do brata, który kiedyś, jako chłopiec, był o wiele lepszym człowiekiem.

Myślała, że Kyle przynajmniej zrozumie, nawet jeśli nie będzie tego pochwalał. Jednak pozostał nieprzejednany, niewzruszony i zdecydowany, by zmusić ją do potępienia Tima tak samo jak wszyscy.

- Musisz zaprzestać jakichkolwiek kontaktów - powtórzył. - Jeśli masz jakieś listy, spal je. Jeśli otrzymasz następny, zniszcz go natychmiast.

Wyszedł z biblioteki. Nie poprosił już, by złożyła obietnicę. Wydał rozkaz, a ona powinna go wykonać.

Rose zastanawiała się tego wieczoru, czy zamknąć na klucz drzwi do swej gotowalni.

W trakcie krótkiego małżeństwa jeszcze nigdy tego nie zrobiła. Nie miała nic przeciwko temu, że Kyle przychodzi do niej co

noc. Była jego żoną, miał do tego prawo. Nigdy nie wychodził, dopóki nie upewnił się, że doświadczyła cudownego wyzwolenia, które dawała rozkosz.

Ta noc była inna. Rose nie wiedziała, czy zareaguje na jego dotyk. Po ich kłótni w domu zapadła cisza. Nadal wisiała w powietrzu i przepelniała jej serce.

Powinna była się domyślić, jak bardzo Kyle wierzy w siebie, we własne decyzje. Bez tego nie dałby sobie rady na ścieżce, którą szedł. Mało kto dotarłby z wioski górniczej na salony Londynu w ciągu zaledwie dziesięciu lat.

Niewielu mężczyzn urodzonych w takich wioskach oświadczyłoby się Roselyn Longworth, bez względu na pozycję, finanse i reputację jej rodziny.

Stała przy drzwiach i patrzyła na zasuwę. Nie po raz pierwszy podejrzewała, że wobec tego mężczyzny nie powinna działać pochopnie. Nie sądziła, że wyważyłby drzwi, gdyby je zamknęła. Nie wierzyła nawet, że to by go rozgniewało.

Pomyślała, że zapewne odbyłaby się jeszcze jedna rozmowa podobna do dzisiejszej, w której Kyle wyjaśniłby, co będzie, a czego nie będzie tolerował w jej zachowaniu. Albo też podczas następnego ich zbliżenia pojawiłby się między nimi w łóżku lodowaty chłód i pozostał na długi czas. Być może na zawsze.

Odwróciła się od drzwi i podeszła do łóżka. Zgasła lampy, tak jak każdej nocy. Ogarnęła ją ciemność.

Może on w ogóle nie będzie chciał przyjść, choć z powodu jej okresu i jego wyjazdu do Kent od ostatniego razu minęło sporo dni. Kyle z pewnością też czuł, że ich kłótnia nadal wisi w powietrzu. Poszedł do swego gabinetu i zajął się pracą, ale może podobnie jak ona myśli o tym, co zostało wypowiedziane.

Serce waliło jej jak młotem, gdy przypominała sobie, jak przedstawił winę Tima. Sto tysięcy funtów. Często snuła marzenia, że zwróci pieniądze Alexii i Haydenowi, ale takiej sumy spłacić nie zdoła. Nigdy. Nic dziwnego, że Alexia z taką determinacją odradzała jej wyjazd do Włoch, do Tima.

11 - Tajniki uległości

161

Wyszła za człowieka, który, jak podejrzewała, chętnie powiesiłby Tima własnymi rękami. Nie była w stanie bronić swego brata. Nie mogła powiedzieć, że Kyle nie ma racji. Ale siostra w swych ocenach nie kieruje się takimi rzeczami, jak racja czy sprawiedliwość.

Sto tysięcy funtów. Jak to możliwe, że już prawie wszystko wydał? Tim twierdził, że potrzebuje więcej. Wierzyła mu.

Leciutkie poruszenie powietrza wyrwało ją z rozmyślań. Otworzyła oczy w ciemności. Kyle stał przy łóżku. Był zaledwie mglistym zarysem w pogrążonym w mroku pokoju.

Jednak przyszedł. To ją zdumiało. Podobnie jak jej reakcja. Poczowała ulgę, zanim umysł nadażył za instynktem.

Wyglądało na to, że Kyle na coś czeka albo zastanawia się nad jakąś decyzją. Nie miała pojęcia, o co chodzi. Zrobiła mu miejsce na łóżku, którego sprężyny zaskrzypiały.

Niemal nic nie widziała. Usłyszała ciche dźwięki. Szmer zrzucanego szlafroka. Poczowała przysuwające się do niej ciepło, dotyk skóry. Odetchnęła głęboko. Kyle był razem z nią, jego obecność odmieniła noc.

Rozwiązał tasemki jej koszuli nocnej i zaczął ją zsuwać z jej ramion.

- Dziękuję, że nie zamknęłaś drzwi na klucz.

Czy słyszał, że stała przy nich i zastanawiała się? To dla niego takie typowe, że o tym mówił, że nie skwitował jej wyboru milczeniem. Miała nadzieję, że nie będą mówić o przyczynie, dla której w ogóle się nad tym zastanawiała.

Pieszczotą i pocałunkiem potwierdził, że nie będą.

- A gdybym zamknęła? - Właściwie było jej już wszystko jedno, co jej odpowie. Zaczęło ją ogarniać silnie pulsujące podniecenie.

- Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałem, gdy już nacisnąłem kłamekę.

Nie zastanawiała się nad jego odpowiedzią, zauważyła tylko, że w tym niedopowiedzeniu tkwiło pewne niebezpieczeństwo.

Rozkosz już odwracała jej uwagę. Uwodziła. To też było groźne. Rozkosz zaciemniała jasność myślenia i kusila, by na wszystko patrzeć z jak najlepszej perspektywy, nawet za dnia.

Kyle postarał się, by było jej dobrze. Zaborczymi pieszczotami i pocałunkami pociągał ją ku zatraceniu, które stało się teraz tak porywające. Uświadomiła sobie, że rozkosz wymusza coś na kształt kapitulacji. Oznaczała utratę własnej woli, własnej osobowości. Dopiero teraz w pełni to zrozumiała.

Wkrótce nie rozumiała już nic, nawet ich kłótni. Obłok wrażeń przesłonił wszystko z wyjątkiem pragnienia, by Kyle muskał językiem jej piersi, całował brzuch i dotykał miejsca, które błagało, by je wypełnił.

Uniósł ją i opuścił tak, że usiadła mu okrakiem na udach. Przyciągnął jej biodra bliżej i wszedł w nią tak głęboko, że aż jęknęła z cudownego, długo wyczekiwanego wrażenia pełni.

Pogłaskał jej sutki. Cała ożyła w miejscu, gdzie byli połączeni. Wyraziście. Cudownie. Podniecenie spłynęło w dół i skupiło się wokół wypełniającego ją rdzenia.

- Chodź tu.

W ciemności pociągnął ją do przodu, aż musiała się oprzeć na rękach. Jej piersi zawisły nad jego twarzą. Przesunął usta na jej dłonie. Rozkosz stała się tak intensywna, że Rose aż westchnęła głośno. Kyle podniecał ją tak silnie, że doznanie było zbyt dojmujące, zbyt nieodparte i tak wszechogarniające, iż nie była w stanie zachować choćby odrobiny opanowania.

Zatraciła się w szaleństwie. Krzyczała i jęczała, poruszając się tak, by odczuwać go pełniej, głębiej i silniej. Chwycił ją za biodra i zaczął się wsuwać długimi, mocnymi ruchami, idąc ku szczytowi. Poddawała się całym ciałem, gdy brał ją w posiadanie.

Gdy skończył, była nadal podniecona. Mimo powracających na przemian fal rozkoszy i omdlenia w całym ciele czuła głód. On najwyraźniej to zauważył. Położył ją na plecach i znów zaczął pieścić, tym razem wrażliwe, pulsujące punkty ciała.

Omam nie umarła. Gorączkowo szarpała go palcami, by uciec przed niemal bolesną rozkoszą. Usłyszała, że mówi jej, tak jak pierwszej nocy, żeby się poddała i otworzyła.

Tym razem czekało na nią cudowne zatracenie. Najpierw uderzyło w nią gwałtowną falą, a potem opadło w pulsujących, krętych strumykach, które rozbiegły się po całym jej ciele. Zanurzyła się w nich, w zdumieniu wstrzymując oddech, by trwały wiecznie.

Oczywiście po pewnym czasie znikły, choć jej oszołomione ciało jeszcze przez długą chwilę nie mogło się z tym pogodzić.

Gdy odzyskała świadomość czasu i miejsca, powróciły wydarzenia tego wieczoru. Może wcześniej znikły również z jego myśli, przesłonięte pożądaniem.

Kyle nie został długo. Podejrzewała, że nie zapomniał o ich kłótni, nawet w chwili zaspokojenia. Przyszedł dziś do niej chyba także z powodu tej konfrontacji. Jasno dał do zrozumienia, że takie rzeczy nie staną między nimi w tej najbardziej zasadniczej części ich małżeństwa. Postarał się też, by ona to zaakceptowała.

Ta chłodna kalkulacja nie zmieniała jednak prawdy o tym, jak Kyle się do niej odnosił. Jeśli przychodząc do jej łóżka, czuł gniew, to go nie okazał. Jak zawsze był bardzo delikatny i oczekiwał od niej tylko tego, by odczuwała rozkosz.

Nie wiadomo skąd w jej głowie pojawiła się zaskakująca myśl. To, kim była, kim był on, jak się poznali, skandal i ocalenie miały wpływ na wszystko. Zwłaszcza na to, co działo się między nimi w łóżku, w dobrych i złych chwilach ich małżeństwa.

13

Kyle nie przesadzał. Pod koniec stycznia podczas podróży na północ można było porządnie zmarznąć. Gdy wjechali do hrabstwa Durham, na niebie zebrały się ciężkie, czarne chmury.

Im dalej na północ, tym krajobraz stawał się bardziej górzysty, posepny. Przejeżdżali przez mniejsze i większe wsie. Rose zaczęła rozpoznawać te, w których mieszkali górnicy. Wszystko pokrywał pył węglowy, wyniesiony z kopalni na ciałach i ubraniach robotników.

Gdy już byli blisko Teeslow, zaczęła się denerwować. Kyle próbował ją zniechęcić do wyjazdu, ale ustąpił, gdy wyłożyła swoje argumenty. Chciała zobaczyć jego dom, poznać ciotkę i wuja, choć istniało ryzyko, że nie spotka się z serdecznym przyjęciem.

- Czy oprócz nich masz jeszcze jakichś krewnych? - spytała.

- Już nie żyją. Wujostwo mieli dwie córki, młodsze ode mnie. Obie umarły na cholere, gdy byłem w Paryżu.

- Zawsze z nimi mieszkałeś?

Nie miał nic przeciw rozmowie, ale odpowiadał zdawkowo.

- Ojciec zginął w wypadku w kopalni, gdy miałem dziewięć lat. Matka zmarła kilka lat wcześniej. Jej brat wziął mnie do siebie.

Wkrótce ich powóz wjechał do wioski. Rose przyglądała się uliczkom i sklepikom, skupiskom domów. Parapety i progi pokrywał pył węglowy, widoczny też na ubraniach niektórych mieszkańców.

Nie zatrzymali się we wsi, tylko pojechali dalej i skręcili na drogę wiodącą na północ. Na jej końcu stał ładny dom z kamienia. Dwupiętrowy, podobny do spotykanych w majątkach na południu domów, w jakich mógłby mieszkać rządca lub dzierżawca.

- Spodziewałam się czegoś innego - powiedziała.

- Myślałaś, że to będzie mały domek o kilku izbach? Przedtem mieszkali w takim we wsi. Ten zbudowałem dla nich pięć lat temu.

Kyle wysiadł z powozu.

- Wejść sam, a ty tu poczekaj. Nie spodziewają się mnie, a ty będziesz już zupełną niespodzianką.

Podszedł do drzwi, otworzył je i zniknął w środku. Rose obserwowała dom. W oknie mignęła twarz kobiety. To na pewno jego ciotka zerknęła, chcąc obejrzeć, kto przyjechał.

Gdy Rose się z nimi spotka, ich myśli będą ukryte pod maską, tak jak to często było w przypadku Kyle'a. Jeśli ją potępiali lub uważali za złą partię dla ich wychowanka, nie okażą tego.

Kyle wrócił i pomógł jej wysiąść. W progu pojawiła się kobieta i uśmiechnęła się na powitanie.

- Rose, to jest moja ciotka, Prudence Miller.

Prudence miała przygotowane przyjazną minę i miłe słowa.

- Bardzo się cieszymy, że przyjechałaś.

Szczupła, o ciemnych włosach i błyszczących oczach Prudence w wieku średnim zachowała jeszcze sporo urody.

Rose wyobraziła ją sobie w wieku dwudziestu, trzydziestu lat: ciemno-oką, o jasnej cerze.

Ponieważ Prudence przywitała ją sama, Rose uznała, że wuj Kyle'a jest w kopalni. Jak tylko weszli do salonu, zorientowała się, że się myliła.

Wuj Harold siedział na krześle przy ogniu, ciemnowłosy jak jego żona i niemal równie szczupły. Mimo wychudzonej twarzy Rose dostrzegła podobieństwo do Kyle'a w żywo niebieskich oczach i twardym zarysie szczęki.

Przyglądał się jej uważnie podczas prezentacji. Rose zauważyła jego bladość i koc, okrywający mu nogi. Na niskim stoliku obok stała spluwaczka. Wuj Harold był chyba bardzo chory.

Powitanie wywołało u niego atak kaszlu. Odwrócił głowę i splunął.

- Pru, będziesz musiała zrobić placek. Wizyta Kyle'a nie może się obejść bez placeka - powiedział.

- Zjemy placek po kolacji - odparła Pru. - Zostańcie tu na chwilę, a ja pójdę na górę i trochę przewietrzę pokój.

Wyglądało na to, że zanocują tutaj. Kyle wyszedł, posłał woźnicę do stajni przy domu i wrócił z bagażem.

Ruszył po schodach w ślad za ciotką, by zanieść bagaże na górę. Rose usiadła na krześle blisko Harolda, który nadal badawczo jej się przyglądał.

- Pani Bradwell, jest pani piękną kobietą. Teraz trochę lepiej rozumiem ten ożenek.

- Mam nadzieję, że będzie pan do mnie mówił po imieniu: Rose.

Zaśmiał się.

- No, no, to będzie rzadkie doświadczenie, zwracać się tak poufale do damy takiej jak ty.

Czy usłyszała nutkę dezaprobaty w jego tonie? Jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, które doprowadziły do jej małżeństwa, wyrażenie „dama taka jak ty” mogło być dwuznaczne.

Nie sądziła, że wieści o skandalu dotrą do Teeslow, ale może była w błędzie. A może Kyle wyjaśnił im wszystko ze szczegółami, gdy odwiedził ich w grudniu?

Ma okazję ożenić się z damą. Tak bardzo zniszczyła swoją reputację, że nie może liczyć na nic lepszego. On będzie musiał jakoś znieść jej hańbę, ale w następnym pokoleniu już nikt o tym nie wspomni.

Rose szukała neutralnego tematu do rozmowy. Ta potrzeba znikła, gdy Harold zaczął kasłać. Okropne spazmy wstrząsały jego ciałem. Wstała, by jakoś mu pomóc, choć nie miała pojęcia jak. Powstrzymał ją gestem. Kaszel w końcu osłabł, a Harold znów skorzystał ze sopluchaczki.

- Jak widzisz, nie jestem zdrowy. To choroba górników. Myślałem, że pożyję jeszcze z dziesięć lat, zanim mnie dopadnie w ten sposób.

- Bardzo mi przykro. Wzruszył ramionami.

- Nie można wydobyć węgla, nie wzbijając pyłu.

W tym momencie wrócił Kyle, oszczędzając jej próby znalezienia odpowiedzi.

- Wujku, muszę ci ją wykraść. Pokój jest już gotowy, a Rose powinna odpocząć i ogrzać się po podróży.

Rose zdjęła pelerynę i przysunęła się blisko ognia.

- Twój wuj jest bardzo chory, prawda?

- Umierający.

Kiwnęła głową, jakby to było dla niej oczywiste.

- Powiedział, że to choroba górników. Od pyłu węglowego.

- Wielu z nich choruje na płuca. Spodziewają się tego, więc w rezultacie żyją bardzo skromnie. Zarobki muszą zapewnić utrzymanie rodzinom po ich śmierci.

- To smutne. A jednak ty mówisz o tym bez emocji.

- Rose, takie jest życie. To tak naturalne dla tych ludzi, jak podagra dla arystokracji. Górnik idzie do kopalni, wiedząc, co go czeka, tak jak żeglarz wie, że może utonąć.

Kyle zajął się rozpakowywaniem. Nigdy nie zabierał tu Jor-dana, z tego samego powodu, z którego wahał się przywieźć Rose. Dom był obszerny, ale jego ciotka i wuj nie wiedzieliby, co począć ze służbą.

Wiedział, że Rose poradzi sobie sama. Gdyby tak nie było, należałoby, żeby zatrzymali się w gospodzie, a do najbliższej musieliby sporo zboczyć z drogi. Jego ciotce byłoby też pewnie przykro, że jego małżeństwo tak szybko zmieniło zwyczaje między nimi.

Mimo to...

- Czy będzie ci tu wygodnie?

Rozejrzała się po pokoju, zerknęła na łóżko bez draperii oraz zasłony, z których ciotka Pru była pewnie bardzo dumna.

- Tu jest o wiele przyjemniej niż w gospodzie. Będziemy tu mieszkać razem?

- Tak.

Nie wyglądało na to, żeby Rose miała coś przeciw temu. Usiadła na łóżku, potem się położyła.

- Chyba odpocznę chwilę. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że kilkudniowa podróż powozem może być tak męcząca.

Gdy się obudziła, Kyle'a nie było. Zeszła po schodach na dół, by go odnaleźć.

Harold drzemał na krześle przy ogniu w salonie. Poszła za odgłosami dobiegającymi z kuchni na tyłach domu.

Prudence wałkowała ciasto. Uśmiechnęła się i wskazała głową w kierunku paleniska.

- Jeśli masz ochotę, tam w garnku na kamieniu jest ciepły cydr, kubek stoi na stole.

Rose napiła się i wyjrzała przez okno wychodzące na sad na tyłach domu, pełny młodych drzewek, targanych zimowym wiatrem. Od zachodu graniczył z nim duży ogród, czekający na wiosenne zasiewy.

- To bardzo przyjemny dom - powiedziała. - Z każdego okna jest piękny widok.

- Kyle go dla nas zbudował, jak tylko wrócił z Francji. Pojechał do Londynu, by zdobyć majątek, a potem kazał go zbudować. Harold oczywiście nie chciał tego przyjąć, ale ja widziałam, że on już zaczyna chorować. Zobaczysz, że będzie się trochę drażnił z Kyle'em, wypominając mu te jego wykwintne stroje i wielkopańskie maniery, ale tak naprawdę wprost pęka z dumy, co osiągnął jego siostrzeniec.

Rose podeszła bliżej, by przyjrzeć się pracy Prudence.

- Ja też piekę placki.

- Naprawdę? Myślałam, że damy nie zajmują się pieczeniem.

- Większość nie. Ale ja to lubię. Mogę pomóc, jeśli chcesz. Prudence podsunęła jej jabłko i miskę.

- Mogłabyś obrać i pokroić je na plasterki? Rose wzięła się do pracy.

- Gdzie Kyle?

- Poszedł do wioski. Przypuszczam, że odwiedzi pastora, a potem wypije kufelek z mężczyznami w gospodzie. Zabrałby powozem Harolda, ale on akurat zasnął. Może jutro. Harold tęskni za piwem z chłopakami. Rose wyobraziła sobie, jak Kyle idzie prawie milę z powrotem do Teeslow. Wraca do swego dawnego życia. Czy zdejmie po drodze surdut? Czy porzuci maniery, które przyswoił, by osiągnąć sukces w Londynie? Czy wróci do akcentu, który zauważyła w mowie Harolda?

W tej gospodzie nie będzie już Kyle'a, którego znała.

- Kyle przyjaźni się z pastorem? Prudence się roześmiała.

- Przyjaźń to niewłaściwe słowo. Hrabia polecił pastorowi, by nauczył Kyle'a pisać, rachować, łaciny i francuskiego. Surowy był to nauczyciel. Czasem traktował tyłki swoich uczniów kijem. To akurat się Kyle'owi nie bardzo podobało, ale wiedział, że lekcje mogą oznaczać dla niego lepsze życie, więc nie rezygnował.

- Hrabia? Masz na myśli hrabiego Cottington? To on był dobroczyńcą Kyle'a?

- Nie kto inny.

Kyle nigdy jej tego nie powiedział. Słyszała, że był jakiś dobroczyńca, ale nie miała pojęcia, że to Cottington, ojciec Nor-bury'ego.

To tak wiele wyjaśniało. Spółkę przy tych nowych osiedlach. Jego obecność na tamtej kolacji.

- Dlaczego hrabia to zrobił?

Prudence zaczęła skrobać nożem głowę cukru.

- Hrabia poznał Kyle'a przypadkiem. Od razu zobaczył, co jest wart. Zobaczył, że jest bystry, odważny. Wiedział, że Kyle zmarnuje się w kopalni, choć już jako chłopiec mógł wykonywać pracę dorosłego mężczyzny. Powiedział więc pastorowi, by tak go wyuczył, żeby mógł pójść do szkół i dalej, gdy dorośnie.

- Zebrała cukier do miseczki. - Dobry i prawy człowiek z tego hrabiego. Czasem się tacy zdarzają.

Po tej krótkiej historii w głowie Rose pojawiło się wiele pytań. Tak wiele, że nie mogła ich zadać Prudence, bo zabrzmiałoby to jak przesłuchanie w areszcie.

Tak niewiele wiedziała o życiu swojego męża. Była go bardzo ciekawa, ale nigdy nie poprosiła Kyle'a o informacje, choć byłby ich najlepszym źródłem.

Nigdy nie spytała, a on sam nic nie mówił.

Oboje unikali tego tematu, ponieważ rozmowa o jego przeszłości oznaczałaby mówienie o Norburym.

Cień tamtego romansu kładł się nawet na to, co wiedzieli o sobie nawzajem.

- Będą kłopoty. Bez dwóch zdań - powiedział Jon. Przełknął łyk piwa, by podkreślić swoje słowa.

Kyle też się napił. Jonathan był górnikiem mniej więcej w jego wieku. Zeszli do kopalni jako chłopcy prawie w tym samym momencie i razem wynosili kosze po drabinie.

Jon był odważny, więc mówił bez skrępowania z ubranym wykwintnie człowiekiem, który kiedyś tu mieszkał.

Reszta górników była przyjazna, wręcz serdeczna w stosunku do Kyle'a. Unieśli kufle na powitanie, gdy wszedł do gospody

1 zasypali go pytaniami o Londyn. Jednak niechętnie rozmawiali o tym, co się naprawdę dzieje w wiosce.

Nieopatrznie rzucone słowo mogło zaciążyć na ich zarobkach.

- Trzy razy komitet był u właścicieli, protestował przeciwko ponownemu otwarciu tego chodnika i tłumaczył niebezpieczeństwo - powiedział Jon. - Jednak taniej jest stracić kilku ludzi, niż zrobić to, co należy. Nieraz to już widzieliśmy i znów zobaczymy.

Kyle też już to kiedyś widział. Kości jego ojca nadal leżały w tamtym zamkniętym chodniku. Odkopanie ofiar było zbyt niebezpieczne. Pierwsza próba spowodowała kolejne tapnięcie.

- Byliście u Cottingtona? - spytał. - Sprzedał większość udziałów wiele lat temu, ale nadal ma wpływy. Ziemia dookoła wciąż należy do niego.
- Dwóch z nas próbowało. Jest tak chory, że nie dopuszczają do niego nikogo. Nawet tobie się to nie udało, gdy byłeś tu ostatnim razem. A jeśli chodzi o zwrócenie się do jego dziedzica... - Mina Jona świadczyła wymownie o tym, co sądzi o owym dziedzicu.
- Jon zerknął przez ramię, przecesał ręką jasne loki i pochylił się nad stołem, by mówić przyciszonym głosem.
- Organizujemy się, by działać razem. Nie tylko tutaj. Spotkaliśmy się z ludźmi, którzy pracują dla innych właścicieli. Jeśli staniemy ramię w ramię i będziemy mówić jednym głosem, to nas posłuchają.
- Jon, bądź ostrożny.
- Diabła tam, ostrożny. Zakaz zrzeszania wreszcie został zniesiony i mamy prawo się organizować. Co mogą nam zrobić? Zabić nas? Nie zabiją wszystkich. Nie mogą wszystkich wyrzucić. Sam to mówiłeś wiele lat temu, zanim... - Odwrócił wzrok i łyknął piwa.
- Zanim wyjechałeś i stałeś się jednym z nich.
- Gdy staniecie ramię w ramię, w tym szeregu muszą znaleźć się wszyscy. Każdy musi być gotowy cierpieć głód. Zawsze znajdą się tacy, którzy się wyłamiają.
- Jeśli wszyscy wyjdziemy z kopalni, nikt tam nie wróci. Już my tego dopilnujemy.
- Zawsze znajdą się inni, którzy potrzebują pracy.
- Jeśli staniemy szeregiem przed kopalnią, nie będzie to mieć znaczenia.
- Wezwą kawalerię. Będziecie tu mieli kolejne Peterloo. Jon uderzył pięścią w stół.
- Przestań gadać jak moja żona. Zapomniałeś, jak tam jest? Wróć do tego pałacu, który zbudowałeś dla Harolda, i pożycz

jego buty i ubranie. Zjedź ze mną na dół jutro rano, jeśli zapomniałeś, dlaczego niebezpieczeństwo dla takich jak my nie ma znaczenia.

„Takich jak my” już nie obejmowało Kyle'a. To był jego dom, ale odjechał od niego tak daleko, że za każdym razem, gdy tu wracał, coraz bardziej czuł się obco.

Nie mógł tego zmienić. Jego więzi z tym miejscem były jak piasek przesypujący się między palcami, bez względu na to, jak mocno je zaciskał.

Ile czasu musi upłynąć, żeby już nikt nie rozpoznał go na ulicy? Nadejdzie kiedyś taki dzień, gdy wejdzie do gospody, a wszyscy ucichną i będą obserwować obcego dżentelmena.

- Wybiorę się do Kirtonlow, skoro już tu jestem - powiedział. - Pomówię z Cottingtonem o tym chodniku.

Jon wzruszył ramionami, by okazać brak wiary, że to cokolwiek zmieni. Zawołał o kolejne piwo i odsunął tę rozmowę na bok wraz z pustym kuflem.

Kyle wrócił do domu akurat na kolację. Rose pomogła Prudence podać jedzenie na stół. Rozmowa krążyła wokół błażych rzeczy, jak to zwykle między obcymi. W końcu wuj Harold nie mógł już tego wytrzymać. Koniecznie chciał się dowiedzieć, co Kyle usłyszał w gospodzie.

- Nie przychodzą tu za często. To zbyt długa droga po całym dniu pracy - wyjaśnił.

Ciotka Pru uśmiechnęła się lekko, by przeprosić za słowa, które wyglądały na brak wdzięczności. Kyle pominął je milczeniem. Harold wiedział, że nie przychodziliby częściej nawet gdyby nadal mieszkał w wiosce. Człowiek zbyt słaby, by dojsć do gospody, był pozostawiony sam sobie.

- Podobno mają znów otworzyć ten chodnik - powiedział Kyle. - Słyszałem o tym w grudniu, ale teraz wygląda na to, że rzeczywiście do tego dojdzie.

- Durnie! Chciwe durnie! - Wiadomość o tym tak poruszyła Harolda, że aż dostał ataku kaszlu.

- Może przynajmniej twój ojciec i reszta będą mieli chrześcijański pogrzeb - powiedziała cicho Pru.

Rose spojrzała zdumiona. W jej oczach pojawiło się coś, co Kyle widział już kilkakrotnie dzisiejszego wieczoru. Ciekawość. Może próba oceny. Coś nie dawało jej spokoju, a wzmianka o chodniku jeszcze bardziej ją zaintrygowała.

Ciotka Pru postawiła na stole placek. Jego zapach od razu rozładował atmosferę. Pru słynęła z doskonałych wypieków. Nawet jeśli owoce leżały w piwnicy przez całą zimę, zawsze udawało się jej wyczarować z nich coś wspaniałego.

Kyle znów poczuł się jak chłopiec, który czeka na deser. To zdarzało się tylko w dzień wypłaty, gdy można było sobie pozwolić na kupienie cukru.

Prudence pokroiła placek na kawałki.

- Rose pomogła mi go zrobić.

- Naprawdę?

- Przy wspólnej robocie w kuchni kobiety najlepiej mogą się poznać - powiedział Harold. - Kyle, cieszę się, że twoja żona lubi piec, chłopcze. Dobrze jest wiedzieć, że tam, w Londynie, będzie ci ktoś dogadzał.

- Rose piecze wspaniałe ciasta - powiedział. Rozpromieniła się na ten komplement. Spojrzał na leżący przed nim kawałek placka. - Kochanie, więc to tobie mam za to podziękować?

- Nie zrobiłam zbyt wiele. Tylko pokroiłam jabłka. Ugryzł kęs. Nie, nie zrobiła wiele. Ciasto smakowało wybornie. Rose przyglądała się, jak przetyka każdy kęs. W jej oczach znów pojawił się ten znany mu już wyraz. Znów o czymś rozmyślała.

Rose chciała porozmawiać z mężem. Zirykowało ją, że nie położył się spać razem z nią, tylko wysłał ją na górę do sypialni samą.

Jak tylko się tam znalazła, zrozumiała, dlaczego jej nie towarzyszył. Wspólny pokój oznaczał brak prywatności.

Zwykle przygotowywała się do snu w samotności, a teraz musiałyby to robić w jego obecności.

Myślała o tym, gdy zdejmowała suknię, gorset, halkę i pończochy. Włożyła koszulę nocną i usiadła na łóżku, by rozczesać włosy. Wyobraziła go sobie, że on tu jest i też się rozbiera.

Spojrzała na łóżko. Prudence i Harold spali w jednym łóżku każdą noc, przez wiele lat. Nie rozstawali się po spełnieniu małżeńskich obowiązków. Jak to jest, gdy twoje życie jest tak całkowicie splecione z czyimś innym? Pewnie całkiem przyjemnie, jeśli jest miłość. Okropnie, jeśli ludzie się nienawidzą. Nieznośnie, gdy panuje obojętność.

Wkrótce usłyszała na schodach odgłos jego kroków. Zrozumiała, że rzeczywiście poczekał, chcąc uszanować jej prywatność. W ich małżeństwie często się to zdarzało.

Zostawiła zapaloną lampę i położyła się do łóżka, które zresztą nie było zbyt duże. Pobyt tutaj będzie wymagał, by pod wieloma względami byli bliżej siebie.

Kyle zapukał, zanim wszedł. Rose wątpiła, czy Harold kiedykolwiek to robił, żeby sprawdzić czy Prudence go wpuści.

Walczyła z odruchem, by położyć się na boku plecami do niego, zapewnić mu trochę prywatności. Kyle jednak nie był nieśmiałą panienką, a ona przecież chciała porozmawiać.

Zdjął surdut i powiesił go w szafie.

- Smakował ci placek? - spytała. Usiadł na krześle i zaczął zdejmować buty.

- Tak, bardzo. Był niemal tak dobry jak twój.

Zaniemówiła. Serce jej wezbrało słodkim wzruszeniem.

Prawda była taka, że piekła kiepskie placki. Nikt jej nigdy nie uczył, jak je robić. Gdy była młodsza, z konieczności zaczęła eksperymentować w kuchni, aż wyszło jej coś, co jej bracia uznali za mniej lub bardziej nadające się do jedzenia. Jednak efekty jej pracy absolutnie nie dorównywały smakołykom Prudence.

Obserwowała dzisiaj Prudence i zobaczyła, czego przez te wszystkie lata brakowało w jej wypiekach. Czuła też różnicę w smaku.

A oto Kyle kłamał, by nie było jej przykro. Mógł w ogóle nie wspominać jej placków. Tak jak mógł zjeść tylko jeden mały kawałek tamtego ranka po ich ślubie.

Pewnie dławił się wtedy każdym kęsem.

- Prudence mówiła, że chyba poszedłeś dziś odwiedzić pastora. Mówiła, że to on udzielił ci pierwszych lekcji. - Zastanawiała się, czy mówić dalej. Mogliby przeżyć całe życie, nie poruszając spraw, które dzisiaj nasunęły się jej na myśl. Pewnie tak byłoby najlepiej.

Ale nie będzie mogła zasnąć, jeśli o nie nie zapyta. Jego odpowiedzi pomogą jej lepiej poznać Kyle'a, który jeszcze był jej obcy, ale także zrozumieć Kyle'a, którego już знаła.

- Powiedziała, że to Cottington polecił pastorowi, by udzielał ci lekcji. Ze to hrabia był twoim dobroczyńcą. Nigdy mi tego nie mówiłeś.

Zdjął krawat.

- Nigdy nie pytałaś.

- To prawda. Nigdy nie spytałam. Ale teraz pytam. Chcę się o tym dowiedzieć więcej.

- Chcesz się dowiedzieć z niewłaściwych powodów. Co to niby miało znaczyć?

- Chcę wiedzieć, bo jesteś moim mężem, a to nadzwyczajne zdarzenie zmieniło twoje życie, uczyniło z ciebie człowieka, za którego wyszłam za mąż.

Usiadł na krześle i spojrzął na nią.

176

- Dobrze. Hrabia zwrócił na mnie uwagę, gdy miałem dwanaście lat. Doszedł do wniosku, że mam talenty, które należy rozwinąć. Załatwił, by pastor udzielał mi lekcji, potem zapłacił, bym przez dwa lata mógł się uczyć u inżyniera w Durham. Postarał się, bym przystąpił do egzaminów wstępnych na Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu, potem wysłał mnie tam, bym studiował architekturę. Gdy wróciłem, wręczył mi sto funtów i na tym skończyła się jego dobroczynność, choć nadal był moim przyjacielem i od czasu do czasu współnikiem w interesach.

A te sto funtów przyniosło tysiąc, a potem jeszcze więcej.

- To zdumiewająca historia. Dlaczego hrabia wziął cię pod swoje skrzydła? Dlatego że twój ojciec zginął w tym chodniku?

- On nie miał pojęcia, że jestem synem jednego z zabitych górników. Ten wypadek wydarzył się trzy lata wcześniej.

- Rozpiął mankiety koszuli. - Nie jestem pewien, dlaczego to zrobił. Przypuszczam, że przede wszystkim dlatego, że sprawiłem lanie jego synowi. Być może spodobała mu się moja zuchwałość. A może po prostu uważał, że synowi należało się lanie, i cieszył się, że ktoś inny zrobił to za niego.

- Sprawileś lanie Norbury'emu? Cudownie. Szkoda tylko, że on też się pojawia w tej pięknej historii.

- Szkoda, ale to było nieuniknione, Rose. Nie udawaj, że nie wiedziałaś, dokąd ta historia zaprowadzi, gdy zaczęłaś zadawać pytania.

Zdjął koszulę. Nalał wody do miednicy i zaczął się myć.

Nie widziała go bez ubrania od nocy poślubnej. Potem był zaledwie cieniem w mroku. Czowała uścisk jego ramion, obejmowała jego nagość, ale jej nie widziała.

Słabe światło lampy podkreślało jego sylwetkę, jednak robiłaby ona wrażenie nawet w ostrym, letnim słońcu. Żadnej niedoskonałości ciała. Żadnych śladów tuszy spowodowanej wygodnym życiem. Mięśnie nie były zbyt przesadne, pasowały akurat do jego postury. Tak jak twarz, jego ciało zdradzało okiełznaną energię, która tylko czekała, by się wyzwolić. Rose zastanawiała

12 - Tajniki uległości

177

się, czy ta moc kiedykolwiek przycicha. Może gdy spał, na chwilę znikala.

Tak bardzo pochłonał jej uwagę, że zapomniala o rozmowie. Jej milczenie go zdziwilo. Odwrócił się i zobaczył, że go obserwuje. Po chwili na powrót zajął się myciem.

- Chyba wiedzialam, dokąd zaprowadzi ta historia - powiedziala. - To, że tak dobrze znasz Norbury'ego, zawsze mnie zdumiewalo. To, że jesteś teraz z nim w spólce, że budujesz na jego ziemi...

- Prowadzilem interesy z Cottingtonem. Norbury włączyl się w nie teraz tylko dlatego, że hrabia jest bardzo chory. Rozmowa zaczynala wchodzic na niebezpieczny grunt, pełen rozpadlin i dołów. Jego ton sugerowal, że próba wejścia nań byłaby nierozsadna.

- Skoro hrabia jest tak chory, Norbury może być przez dlugi czas obecny w twoim zyciu - powiedziala. - Mam wrazenie, że już jest, zarówno w twoim, jak i w moim zyciu.

Rzucil rącznik na podłoge.

- Widuje się z nim, gdy musze. Potem przestaje o nim myslec. Nie ma go w naszym zyciu.

- Jak może go nie być, wiazwszy pod uwagę, jak się poznalismy? Czuję go, jest jak mroczne widmo. Sądze tez, że jest stale obecny w twoich mysłach. Zapewne bardzo się starasz zapomniec o moim romansie, ale...

- Tak, do diabla, bardzo się staram. Bo inaczej bym go zabil. Za to, jak haniebnie cie potraktowal podczas tamtej kolacji. I za to, jak traktowal cie wczesniej. Wyobrazam go sobie z toba... -Zacisnal pięści. - Jednak nie ma go w moich mysłach, gdy jestem z toba. Nie kladzie się cieniem na to, co jest między nami.

- Jak to możliwe? On ma wpływ na wszystko. Nawet na to, jak mnie traktujesz.

- Jeśli chodzi ci o mój zakaz, dotyczący twojego brata...

. - Mojego brata? Dobry Boze, mój brat to jedyny temat, który nie ma związku z Norburym. Tamta kłótnia była nieprzy-

jemna, ale przynajmniej rozmawiałam z mężczyzną, za którego wyszłam. Żywym, prawdziwym mężczyzną. Nie z tym ugrzecznionym, który odpowiednio się ubiera, odpowiednio wysławia i daje mi rozkosz w stosowny sposób, z pełną kurtuazją.

Nigdy dotąd nie widziała go równie zaskoczonego. Trwało to tylko kilka sekund. Potem spojrzał na nią tak przenikliwie, że aż serce podeszło jej do gardła.

- Traktuję cię z szacunkiem, jak damę, a ty masz mi to za złe?

- Nie mam. Wiem, jakie to szczęście mieć takiego troskliwego kochanka. Myślę tylko, że jesteś taki troskliwy i pełen kurtuazji z powodów, które mnie smućą.

Nie spodobała mu się ta krytyka. Żaden mężczyzna by jej nie przełknął.

- Rose, wygląda na to, że znasz moje myśli i moje powody lepiej ode mnie.

Powinna się wycofać, przeprosić, zamilknąć i być wdzięczna. Jeśli jednak to zrobi, Kyle zapamięta tylko pretensje, które nie były jej intencją.

- Kyle, być może tak właśnie jest. A może tak mało znam twoje myśli, że źle cię zrozumiałam. Powiedz mi jedno.

Gdyby nie tamta okropna noc, gdyby nie mój romans, czy czułbyś, że musisz traktować mnie z taką delikatnością i szacunkiem? Gdybyś ożenił się z niewinną panną z tej wioski lub z kobietą, której nigdy nie nazwano ladaczną, czy w ogóle byś o tym pomyślał? Gdybyś urodził się nie w tej wiosce, ale w pańskim domu i zaproponował mi małżeństwo w innych okolicznościach, czy uważałbyś, że to takie ważne, by traktować mnie jak damę?

Przynajmniej nie wydawał się jeszcze bardziej zagniewany jej wynurzeniami. Skupiony i poważny, ale nie wściekły.

Czas mijał tak powoli, w takim milczeniu, że jednak pożałowała swoich słów.

- Przepraszam. Nie powinnam była... Kyle, ja tylko mam wrażenie, że gdy jesteśmy razem... ty niemal zawsze masz na

sobie ten swój doskonale skrojony surdut. Nawet w łóżku, gdy jesteś nagi.

Jeszcze pogorszyła i tak nie najlepszą sytuację. Opadła na plecy i podciągnęła wyżej kołdrę, by ukryć się przed sypiącym się rumowiskiem, w które niewątpliwie obróciła ich małżeństwo.

Żałowała, że nie jest pisarką lub poetką, by móc wyjaśnić,

o co jej chodzi. Znaleźć słowa, aby wyrazić, co czuje. Że pochodzenie ich obojga, jej upadek i jego ratunek, to, że myślał o jej romansie, to, że ona pragnęła, żeby nie traktował jej jak ladacznicy, to wszystko zbudowało między nimi niewidzialny mur.

Pewnie nic już nie da się z tym zrobić. Powinna zaakceptować to, co jest. Powinna upomnieć swoje serce, by przestało się tak niespokojnie, boleśnie wyrywać ku czemuś nieznanemu. Powinna...

- Rose, gdy jestem tutaj, surdut nie leży zbyt dobrze. Gdy wracam do domu, staje się za ciasny, mimo kunsztu krawca. -Jego cichy głos przerwał pełną napięcia ciszę.

- Domyślam się, że trochę cię uwiera.

- Okropnie.

- W takim razie może twój surdut zawsze jest za ciasny, a tylko zauważasz to, gdy wracasz do domu.

- Chyba masz rację.

Usiadła na łóżku. Kyle stał z ręką opartą na gzymsie kominka

1 wpatrywał się w płomień. Ich blask pięknie go oświetlał.

Ten widok ją zahipnotyzował. Żar z paleniska zdawał się rozjaśniać całą sypialnię i rozgrzewać jej ciało.

- Kyle, zauważyłam, że odkąd tu przyjechałam, mój strój wydaje mi się za ciasny. Może za dużo jem.

Uśmiechnął się.

- W takim razie powinnaś go zdjąć.

- Nie mam doświadczenia w jego zdejmowaniu. Zostałam zasznurowana w gorset w dniu narodzin.

Spojrzał na nią. Serce w niej drgnęło i zaczęło gwałtownie •bić. Nawet w dniu oświadczyń tak otwarcie nie okazał swego pożądanja.

Podszedł do niej.

- Rose, potraktuję twoje słowa jako zaproszenie.

Chwycił ją w ramiona i pociągnął do siebie tak mocno, że aż oderwała się od łóżka. Pocałował ją głęboko, zaborczo, żądając wszystkiego. Tym razem nie powstrzymał swego pożądania. Pociągnął ją w otchłań nieokiełznanej namiętności.

Opętał ją pocałunkami i błyskawicznie podniecił. W niepojęty sposób zawładnął nią. Nie mogła mu się oprzeć, nawet gdyby chciała. Sama przecież o to prosiła. Pozwoliła, by doszły do głosu jej pierwotne instynkty. Pokonały jej początkową obawę i zaskoczenie.

Gorące pocałunki, mocne i głębokie. Całował ją gwałtownie i zachłannie. Przytrzymał ją twardymi jak stal rękami i przylgnął ustami do jej ust i szyi w gorączkowym szaleństwie. Kolejne cudowne doznania przeszywały jej ciało jak ogniste błyskawice. Wzbudził w niej najbardziej prymitywne pragnienia, aż jęknęła w rozkoszonym zapamiętaniu i pozbyła się wszelkich zahamowań.

Puścił ją. Klęczała teraz na krawędzi łóżka. Pieścił jej uda pod materiałem koszuli. Przesunął dłonią po jej biodrach i pośladkach. I niżej, intymnie. Niesamowity dreszcz spłynął do miejsca, które drażnił palcami.

Odchyliła nogę, by zachęcić go, żeby nie przerywał tej cudownej udręki. Pieścił ją nadal, ale nagle przerwał pocałunek. Drugą ręką uniósł jej koszulę do góry, zdjął ją przez głowę i rzucił na podłogę u swych stóp.

Spojrzał na jej nagość. Pożądanie wyostrzyło wyraz jego twarzy. Gładził jej piersi. A drugą ręką cały czas muskał i drażnił niżej. Podwójne doznanie sprawiło, że zadrzała, osłabła z rozkoszy. Zachwiała się na kolanach. Pochyliła się ku niemu i oparła czołem o jego pierś.

Położył jej dłoń na karku i przysunął bliżej, aż dotknęła policzkiem napiętej skóry.

- Rose, mogę zdjąć twoją koszulę, ale resztę musisz zdjąć sama.

Zrozumiała. Jego zachęta dodała jej śmiałości. Oparła dłonie na jego piersi, teraz czując i widząc go jednocześnie. Wystarczył jej dotyk, aby wzbudzić w nim jeszcze większe pożądanie. Sprawił, że całe jego ciało napięło się pragnieniem.

Pieściła go z większą śmiałością. Patrzyła, jak jej dłonie przesuwają się po jego piersi, twardych wypukłościach mięśni i żeber. On też patrzył, a jego dotyk i pieszczoty naśladowały ruch jej dłoni na jego ciele. Łączyli się ustami w coraz bardziej zdyszanych pocałunkach, a cudowne doznania popychały ich oboje w otchłań szaleństwa.

Cofnął dłoń z jej ud i zaczął rozpinąć spodnie. Mimo woli wyrwał się jej niecierpliwy jęk. Odsunęła jego ręce i sama zaczęła odpinać guziki. Omal nie zemdląła, gdy poczuła, że znów ją pieści.

Szarpała się z jego ubraniem, a on dotykał jej coraz pewniej. Pochylił głowę do jej szyi i ucha. Delikatnie wsunął w nią palec.

- Rose, chcesz właśnie tak?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Nie mogła mówić. Ze wszystkich sił starała się nie osunąć bezwładnie. Niezdarnie, na oślep chwyciła jego spodnie i zsunęła poniżej bioder, cicho jęcząc pod lekkimi dotknięciami na jej piersi i między udami.

- A może tak?

Przesunął dłonią po jej biodrze i dotknął ją od przodu. Jeden długi, niesamowity, powolny ruch ręki przeszył jej ciało lawiną rozkosznych dreszczy.

Była świadoma, że Kyle widzi, jak bardzo jest wobec niego bezbronna. Kurczowo chwyciła go za ramiona, szukając w nim oparcia.

Uwolnił jedną jej dłoń, pocałował i przesunął w dół swego ciała. Odzyskała zmysły na tyle, by zrozumieć, co on robi, czego chce. To nie miało znaczenia, zbyt się zatraciła, by czuć skrępowanie. Pozwoliła, by zacisnął jej palce na swoim członku.

Kolejne diaboliczne dotknięcie dłoni tam niżej ośmieliło ją. -Rozkosz przepłynęła przez nią wzburzoną falą. W odpowiedzi zaczęła go pieścić tak samo jak on ją.

Znikła resztką jego opanowania. Pocałował ją z nową dzikością. Czowała energię w całym jego ciele, jego ruchach i pocałunkach, nawet w tym, jak ją dotykał. Teraz już pewnie, zdecydowanie, by zmusić ją do pełnego poddania. Duma przestała mieć znaczenie. Rose zachwiała się na kolanach i wygięła w łuk pod jego zaborczymi pocałunkami. Jęknęła z pragnienia.

Kyle obrócił ją. Klęczała teraz plecami do niego, a on swobodnie pieścił jej piersi. Oparła się o niego, wyginając plecy. Jej sutki uniosły się do góry, napięte i twarde, jakby błagały o więcej, cokolwiek, wszystko.

Znow się poruszył. Pochylił ją mocno do przodu. Klęczała na brzegu łóżka, nisko przygięta na kolanach. Poczowała w lędźwiach niesamowity, zmysłowy dreszcz.

Unióś jej biodra. Czekala bez tchu, podniecona nie do wytrzymania. Drżała na całym ciele w oczekiwaniu i pragnieniu. Wyobraziła sobie to, co on widzi, jej pośladki uniesione ku niemu, odsłonięte zwykle ukryte zakamarki ciała. Ta skandaliczna wizja tym bardziej ją podnieciła.

Nie wszedł w nią od razu. Kazał jej czekać, zawieszony na granicy szaleństwa. Pieścił jej pośladki, mocno ugniatał jędrne krągłości i patrzył na nią, była tego pewna. Obserwował jej chętnie poddanie i rosnącą desperację.

Krzyknęła. Tym razem czuła to inaczej. Była odsłonięta i otwarta. Wiedziała, że na nią patrzy, wiedziała, że widzi jej nagość. Pochyliła plecy niżej i wyżej uniosła biodra.

Wkrótce zaczęła go błagać. Błagała, jęczała i tłumila własny krzyk w poduszce. W końcu wszedł w nią długim, pewnym, powolnym ruchem. Poprzez własny jęk ulgi usłyszała także jego jęk.

Potem zupełnie się zatraciła. Czowała tylko rozkoszną udrękę pragnienia i gwałtowne spełnienie.

- Przyjechałeś tu, by zobaczyć się z Cottingtonem przed jego śmiercią? - Rose leżała w ramionach Kyle'a, przykryta kołdrą.

Minęło trochę czasu od chwili, gdy Kyle usiadł oparty o wezglowie i uniósł ją tak, że leżała ciasno przytulona do jego boku. Świeca nadal rzucała na nich ciepły blask.

- To był jeden z powodów. Spróbuję jutro.

- Spróbujesz? Czy on cię teraz nie chce przyjąć?

- Nie wie, że przyjechałem. Jego sekretarz i lekarz nie mówią mu, że ma gości. Tak to teraz wygląda.

Pomyślała, że pewnie zawsze tak było. Hrabia zwykle miał przy sobie ludzi, którzy dbali o to, by nikt mu nie przeszkadzał. Teraz, gdy Cottington był chory, ktoś inny decydował za niego, kogo ma przyjąć. Tylko to się zmieniło.

- Jeśli nie może się z tobą zobaczyć teraz, to może będzie mógł na wiosnę, gdy planowałeś przyjechać.

- Nie sądzę, by dożył wiosny.

Zrozumiała, że musiała dotrzeć do niego wieść o złym stanie zdrowia hrabiego. To dlatego przyjechał tutaj właśnie teraz.

- To byłoby bardzo smutne, gdyby nie udało ci się z nim pożegnać po tym wszystkim, co dla ciebie zrobił. Jego sekretarz z pewnością zdaje sobie z tego sprawę.

- Dla jego sekretarza jestem chłopakiem z Teeslow. - Przywarł ustami do jej włosów w lekkim pocałunku. - Nie chodzi tylko o pożegnanie. Muszę sprawdzić, czy nadal jest przy zdrowych zmysłach. Chciałbym go poprosić o ostatnią przysługę dla górników.

- Chodzi o otwarcie tego chodnika?

- Tak. Niektórzy górnicy chcą to uniemożliwić w sposób, który tylko im zaszkodzi.

- To mogłoby się udać, gdyby wszyscy...

- Oni nie będą działać razem. Rodziny, które straciły bliskich w tamtym tapnięciu, będą chciały pochować swoich zmarłych.

- Mówiłeś, że twój ojciec zginął w wypadku w kopalni. Władnie w tym, prawda?

Kiwnął głową.

- Też chciałbym go pochować. Jednak wiem, że ten chodnik nigdy nie będzie bezpieczny. Jego ściany są niestabilne.

- Przecież to skała. Skała jest stabilna.

- Rose, ziemia to jak żywa istota. Zanim zacznę budować, zawsze muszę sprawdzić wytrzymałość gruntu. Ta kopalnia znajduje się na niestabilnym gruncie, a ten chodnik jest najgorszy. Już jako chłopiec, przekonałem się o tym na własne oczy.

Usiadła i zwróciła się ku niemu. Gdy spojrzała mu w twarz, poczuła lekkie drżenie, echo tego, co czuła wcześniej tej nocy. Gdy kobieta pozwoli mężczyźnie na takie rzeczy, musi się pogodzić z tym, że będzie miał nad nią pewną przewagę. Rose w pewnym sensie dała Kyle'owi władzę nad sobą, tworząc więź, która wzbudzała w niej teraz owo pulsowanie.

- Kyle, jak długo pracowałeś w kopalni?

- Po raz pierwszy zszedłem na dół, gdy miałem osiem lat. Dzieci wynoszą węgiel w koszykach. Zwykle zaczynają, gdy mają dziewięć czy dziesięć lat, aleja byłem duży jak na swój wiek. Choć jeszcze nie tak duży jak mężczyźni. Widziałem więc to, czego nie widzieli dorośli, bo znajdowało się ponad ich pochylonymi głowami. U góry ścian i na sklepieniu były pęknięcia. Przez parę miesięcy widziałem, jak się powiększają. Powiedziałem o tym ojcu. On i inni nie widzieli zagrożenia, bo nie obserwowali tych rys. A potem pewnego dnia... wszystko się zawaliło. Dziesięciu mężczyzn zostało pogrzebanych żywcem po drugiej stronie tego osuwiska.

- I tak po prostu tam zostali?

- Nigdy nikogo się nie zostawia, jeśli można pomóc. Ludzie zaczęli kopać. Osunęła się kolejna ściana, zabijając człowieka. Wtedy skończyło się kopanie. Odprawiono mszę, odmówiono modlitwy. Dwa dni później górnicy wrócili do kopalni. Z wyjątkiem rodzin tych zasypanych ludzi. Oni czekali tydzień. Wtedy już było wiadomo, że tamci na pewno umarli z braku powietrza albo wody.

Wyobraziła go sobie, jak czuwa wraz ciotką i wujem. Widziała dziecko, które myśli o ojcu za skalną ścianą, być może jeszcze żywym, dla którego nie ma ratunku.

- Powiedziałem górnikom, że powinni kopać od góry. Wydrążyć dziurę w dół, aż do osuwiska, by dostarczyć powietrze, dopóki nie wymyślimy, jak ich wydostać. Nikt nie słuchał dzieciaka, a już zwłaszcza ludzie, którzy zarządzali kopalnią z ramienia właścicieli. Teraz wiem, że to by się udało. Teraz sam byłbym w stanie to zrobić, gdyby nastąpiło tąpnięcie w poziomym chodniku.

Tak, pewnie byłby w stanie, nawet gdyby grunt nie był stabilny. Pomyślała, że gdyby było trzeba, zrobiłby to gołymi rękami. Gdyby postanowił to zrobić, nie powstrzymałaby go ani skała, ani ziemia.

Opowiedział jej tę historię, odpowiedział na jej pytania. Czowała, że jego myśli zwracają się teraz ku czemuś innemu. Pozostawił świecę zapaloną nie bez powodu.

Ujął ją za rękę i pociągnął do siebie. Posadził sobie na udach, zwróconą twarzą do niego. Objęła nogami jego biodra. Patrzył na swoje dłonie ujmujące jej piersi, na kciuki muskające duże, ciemne sutki.

- Widziałem cię nawet w ciemności, oczami wyobraźni. Tak bardziej mi się podoba.

Innymi słowy, nie chciał, by w nocy gasiła lampę i. świece. Nie miała nic przeciwko temu. Ona też mogła widzieć jego ciało. Minie pewnie jednak trochę czasu, zanim przestanie czuć zawstydzenie, gdy on będzie tak otwarcie patrzył na jej ciało.

Uniósł ją i posadził wyżej. Zaczął drażnić jej pierś ustami. Muskiał językiem i kąsał w zniewalającej pieszczocie.

W tej pozycji ona też mogła go swobodnie dotykać. Poglaskała go po ramionach.

- Myślę, że powinienes zabrać mnie ze sobą, gdy wybierzesz się do Kirtonlow, aby spróbować zobaczyć się z Cottingtonem.

- Nie.

182

Zastanawiała się, czy nie chce dlatego, by nie widziała, jak go odprawiają.

- Jeśli pójdę z tobą, sekretarz nam nie odmówi.

- Owszem, odmówi. Nie pozwolę, by cię poniżył.

- Kyle, damę dużo trudniej odesłać z kwitkiem. Spróbujemy dać mu do zrozumienia, że nie powinien tego robić, że hrabia będzie bardzo niezadowolony, jeśli on ośmieli się ciebie zbyć.

- Nie.

Przesunęła rękę w dół, pomiędzy ich ciała, by spróbować odwrócić jego uwagę. Zamknęła dłoń na jego stwardniałym członku i zaczęła drażnić czubek kciukiem.

- Kyle, ożeniłeś się ze mną dla mojej pozycji w towarzystwie. Powinieneś pozwolić mi otworzyć dla ciebie drzwi. Może mi się uda.

Uśmiechnął się, jednak nie potrafił ukryć zmysłowego podniecenia, który wzbudziła jej pieszczota.

- Rose, czyżbyś próbowała kobiecych sztuczek, by mnie zmiękczyć?

Spojrzała w dół na to, co robiła jej ręka.

- Wygląda na to, że uzyskuję wręcz przeciwny efekt. Bynajmniej nie jesteś miękkki. Może z wyjątkiem tego miejsca tu. - Delikatnie ścisnęła członek na samym czubku.

Chwycił ją dłońmi za pośladki i lekko uniósł. Instynktownie wiedziała, co zrobić. Przesunęła się i przysiadła, by przyjąć go w siebie.

Pierwszy kontakt przeszył całe jej ciało rozkosznym dreszczem. To wrażenie zachwyciło ją. Zabrakło jej tchu. Nie ruszała się, by przyjąć go głębiej, tylko trwała w bezruchu, zaledwie z nim połączona, by cudowne dreszcze nie ustawały.

Pozwolił jej zwlekać, choć pożądanie narastało w nim tak gwałtownie, że aż zacisnął szczęki. Opuściła się trochę niżej, by poczuć go głębiej.

- Rose, pripravisz mnie o śmierć. - Chwycił ją za biodra. - Będiesz mogła mnie dręczyć przez wiele godzin innej

nocy, ale teraz... - Przyciągnął ją bliżej, opuścił i wszedł w nią do końca.

Poprowadził ją, silnymi rękami, wprawiając jej biodra w rytmiczny ruch, którego tempo mogła kontrolować.

Odkryła nowe rozkosze, lekko przesuwając i pochylając ciało. Zamknęła oczy i zaciskała się wokół niego raz po raz.

Wszedł w nią jeszcze dalej, tak głęboko, że aż westchnęła. Rozchyliła powieki. Spojrzała mu w oczy i już nie mogła

odwrócić wzroku. Nie widziała, by się ruszał, ale czuła, jak ją wypełnia, wsuwa się i łączy z nią, a głębia jego

spojrzenia kusiła ją, by utonęła w niebieskiej otchłani. Pod koniec przytrzymał ją mocno, unieruchamiając jej biodra.

Nagle uwięziona, otworzyła się na niego ciałem i duszą.

Gwałtowne szczytowanie było przejmujące do bólu. Opadła na niego. Przycisnęła twarz do jego piersi. Otoczona

mocnym uściskiem jego ramion przeżywała ostatnie, powolne drgania rozkoszy.

- O której godzinie wybierasz się jutro do Kirtonlow Hall? - spytała, gdy rytm serc i oddechów już im się uspokoił.

Sięgnął po kołdrę, naciągnął na nich oboje i dobrze ją przykrył.

- Chyba w południe.

- Chcę pojechać z tobą. Będę gotowa na dwunastą. Czekala, że powie: „nie”. On jednak milczał. Objął ją tylko i mocniej przytulił. Poczula na skroni jego ciepły oddech i pocałunek.

15

Niecałe siedem mil przed Kirtonlow Hall posępne wzgórza znikły i z każdą chwilą krajobraz nabierał piękna. Duży, okazały dwór stał nad wielkim stawem, którego połyskliwa toń odbijała fasadę z szarego kamienia.

Gdy ich powóz skręcał na podjazd, Rose uważnie zlustrowała wygląd Kyle'a i własny. Jego krawat był pięknie zawiązany, a surdut dobrze leżał na ramionach. Nawet łańcuszek od zegarka zwisał idealnym łukiem błyszczących ogniów. Doskonały w każdym szczególe wzór eleganta.

Włożyła najlepszy strój, jaki przywiozła tu ze sobą, niedawno uszytą lawendową suknię podróżną z peleryną obszytą i podbitą futrem szarych wiewiórek. Zabrała to okrycie z czysto praktycznych powodów, jednak jego modny krój i dyskretna elegancja posłuży dzisiaj innym celom. Nadgorliwy sekretarz nigdy się nie dowie, że futro zostało odprute z jednego z jej starych ubrań, które już dawno wyszły z mody.

Lokaj wziął wizytówkę Kyle'a. Po jakimś czasie dały się słyszeć kroki, tym razem dwóch osób. Służący, stukając obcasami, zszedł po schodach w towarzystwie niskiego, łysego mężczyzny.

- No, no, przynajmniej tym razem Conway odprawi mnie osobiście - mruknął Kyle. - Miałaś rację. Nie ośmieli się odesłać damy bez wyjaśnienia.

Pan Conway zbliżył się do nich z przymilnym uśmiechem.

- Witam pana, panie Bradwell, witam panią. Niestety hrabia jest zbyt słaby, by mógł przyjąć gości. Panie Bradwell, z przykrością muszę przyznać, że jego stan bardzo się pogorszył od pana ostatniej wizyty. Oczywiście przekażę mu każdą wiadomość, którą państwo pozostawią, choć nie ma pewności, że hrabia rozumie wszystko, co się do niego mówi.

- Moja wiadomość jest przeznaczona tylko dla jego uszu, nieważne, ile są w stanie teraz usłyszeć - powiedział Kyle.

- Ponieważ hrabia słabnie coraz bardziej, muszę się z nim zobaczyć.

Uśmiech pana Conwaya stał się bardziej wymuszony.

- Ja też mam wiadomość, która musi być przekazana osobiście - powiedziała Rose. - Lord Easterbrook bardzo wyraźnie poinstruował mnie, by powtórzyć jego słowa bezpośrednio hrabiemu Cottington.

- Lord Easterbrook!

- Jestem z nim skoligacona przez małżeństwo. Regularnie odwiedzam jego dom, a on łaskawie raczy włączać mnie i mojego męża do kręgu swojej rodziny.

Na tę informację pan Conway zmarszczył brwi.

- Obawiam się gniewu Easterbrooka, jeśli wrócę do Londynu i oznajmię mu, że go zawiodłam. Panie Conway, wydaje się pan oddanym sekretarzem i wiem, że chce pan tylko zapewnić swemu panu spokój, jednak wątpię, czy zdołam pominąć pańskie nazwisko w mojej przykrej relacji z tej wizyty. Jak pan zapewne słyszał, Easterbrook uchodzi za ekscentryka. Nigdy nie wiadomo, co robi, gdy ktoś zyska jego łaski lub je straci.

Conway zamrugął szybko powiekami na zawartą w jej słowach groźbę. Rose uśmiechnęła się słodko. Kyle milczał, jednak głęboko w jego oczach dostrzegła iskry, które świadczyły, że jej przemowa go zdumiała.

Conway zagryzł wargę, bijąc się z myślami.

- Madame, proszę mi wybaczyć. Nie byłem świadom pani koligacji z markizem. Jednak lord Norbury nalegał, by jego ojciec nie był niepokojony przez nikogo.

- Niepokojony? Dobry człowieku, czy pana obecność go niepokoi?

- Oczywiście, że nie. Hrabia zna mnie tak dobrze, że...

- W takim razie obecność pana Bradwella również go nie zaniepokoi. Hrabia zna mojego męża tak dobrze jak pana. Chyba nawet lepiej. Przekażę hrabiemu słowa Easterbrooka i natychmiast zostawię ich samych, by uniknąć jakiegokolwiek zaniepokojenia. Jeśli chodzi o lorda Norbury, to skoro nie ma go w domu, nigdy nie dowie się o tej wizycie, chyba że pan sam mu o niej powie. Nie będzie też musiał tracić czasu na ocenę, czy w świetle jego zalecenia należało nas uznać za uciążliwych gości.

Miną i postawą dała do zrozumienia, że oczekuje, by spełniono jej prośbę. Pan Conway najwyraźniej poczuł ulgę, że jej zachowanie dało mu pretekst do wyrażenia zgody.

- W tych okolicznościach... tak, zaprowadzę państwa do hrabiego. W przypadku gości takich jak państwo kwestię niepokojenia można pominąć. Proszę za mną.

Ruszyli dostojnym krokiem za panem Conwayem w kierunku głównych schodów. Kyle ujął ją pod rękę i pochylił głowę do jej ucha.

- Nie wiedziałem, że przywiozłaś wiadomość od Easterbrooka - mruknął. - Powinnaś była mnie uprzedzić.

- Jestem pewna, że chciałby, bym przekazała od niego pozdrowienia.

- A my należymy do najbliższego kręgu Easterbrooka, tak?

- Nie jest jasne, czy poza najbliższą rodziną on ma jakiś krąg znajomych. Ja widuję się z Henriettą. A on żywi wiele ciepłych uczuć do Alexii. Nie sądzę, żebym bardzo minęła się z prawdą.

- Byłaś cudowna.

- Powinieneś mieć jakieś korzyści z tego małżeństwa. Moi krewni to jedyny posag, jaki ci wniosłam.

Uścisnął jej dłoń.

- Twój wpływowi krewni to ostatnia rzecz, o której dzisiaj myślę.

Sugestia w jego słowach wzbudziła w niej falę gorąca. Echa przejmującego drżenia z minionej nocy odezwały się w niej cicho, ale z ogromną siłą. W jej pamięci pojawiły się cudowne, szokujące obrazy, jak oswajał ją z różnymi zmysłowymi doznaniem.

Ostatnie kilka jardów do apartamentu hrabiego przeszła niezbyt pewnym krokiem.

- Proszę tu poczekać. Muszę państwa zapowiedzieć i upewnić się, czy hrabia czuje się na siłach przyjąć gości. Jeśli nie, musimy spróbować jutro - powiedział pan Conway.

Wszedł do pokoju sam, ale szybko wrócił. Otworzył białe drzwi i stanął z boku.

Hrabia siedział koło buzującego ognia w dużym fotelu z zielonym obiciem. Nogi wsparte na podnóżku miał przykryte

kocem. Wiek i choroba zatarły jakiegokolwiek podobieństwo do jego syna.

Białe włosy hrabiego były doskonale ostrzyżone, twarz gładko ogolona. Mimo słabości ciała został wystrojony w kolorową, jedwabną kamizelkę i kunsztownie zawiązany krawat. Zapewne okryta kocem dolna połowa ciała prezentowała się równie elegancko, choć dzisiejszego dnia ten człowiek raczej nie spodziewał się, że opuści swój fotel.

Oczy, o wiele bardziej bystre niż Norbury'ego, przyglądały się im uważnie. Na twarzy pojawił się nikły uśmiech, który jednak uniósł tylko jeden kącik ust. Druga połowa twarzy pozostała nieruchoma, niewątpliwie wskutek kolejnych apopleksji.

- Bradwell, podejdź no bliżej. I przyprowadź tu żonę, bym mógł ją poznać. - Mimo choroby mówił rozkazującym tonem, choć nieco bełkotliwie.

Kyle podprowadził Rose bliżej i dokonał formalnej prezentacji. Hrabia obejrzał ją od stóp do głów.

- Pani Bradwell, Conway mówił, że ma pani dla mnie wiadomość od Easterbrooka.

- Tak jest. Markiz przesyła panu najlepsze życzenia. Nie traci nadziei, że wkrótce odzyska pan zdrowie.

- Doprawdy? Nie widziałem się z Easterbrookiem parę ładnych lat. Od kiedy wrócił z tej podróży, Bóg jeden wie dokąd, taki dziwnie odmieniony. Nie jeżdżę często do Londynu. Jakie to uprzejme z jego strony, że mnie pamięta i przesyła tak miłe pozdrowienia.

W jego głosie brzmiała ironia. Patrzył na nią wymownie. Rose starała się nie zarumienić, widząc, że tak łatwo przejrzał jej wybieg.

- Pani Bradwell, może pani zawieźć markizowi odpowiedź. Zrobi to pani dla starego, umierającego człowieka?

- Oczywiście.

- Niech mu pani powie, że bezwstydnie zaniedbuje swoje obowiązki. Ze już czas, by zaczął się obracać w świecie i przestał

folgować swym skłonnościom do ekscentryzmu. Musi się ożenić, spłodzić dziedzica i zająć należne mu miejsce w rządzie. Ta rodzina ma zbyt wiele inteligencji, by ją trwonić, a jego życie nie należy tylko do niego, by mógł robić, co mu się podoba. Taka jest przekłeta prawda.

- Obiecuję przekazać pańskie opinie.

- Diabła tam, opinie. Słowo w słowo, tak masz to powtórzyć, nie w upiększony sposób, jak to zwykle robią kobiety.

-Z ust hrabiego wyrwał się zduszony chichot. - Ale poczekaj, aż umrę. Niech wyładuje złość na moim synu, a nie na mnie.

- Jeśli mam wstrzymać się aż do pana śmierci, to jestem pewna, że będę musiała długo czekać. Wybacz pan, że teraz zostawię mego męża, by mógł z panem porozmawiać na osobności.

Cottington przyglądał się, jak Rose wychodzi z pokoju. Potem skinął na swego sekretarza.

- Idź sobie. Jeśli będziesz potrzebny, pan Bradwell cię wezwie.

Jak tylko Conway wyszedł, Cottington wydał kolejny rozkaz.

- W tamtej szafce jest brandy. Kyle, nalej mi trochę. Sobie też, jeśli masz ochotę. Oni mi nie dają ani jednej kropli.

Według nich powinienem spojrzeć śmierci w oczy kompletnie trzeźwy.

Kyle znalazł brandy, kieliszki i nalał im obu po trochu. Hrabia sączył alkohol, jakby to był życiodajny eliksir.

- To okropne, gdy traktują człowieka jak dziecko. Teraz jest już lepiej niż dwa tygodnie temu. Przez tydzień potrzebowałem służby, by poradzić sobie z nawet najbardziej podstawową higieną.

- Wygląda więc na to, że wraca pan do zdrowia.

- Umrę do lata, jeśli nie wcześniej. Nie potrzebuję lekarza, żeby mi to powiedział. Ja to czuję. Dziwne, to się po prostu wie. - Odstawił kieliszek i chusteczką starł brandy, która wysączyła się z bezwładnego kącika ust. - Piękna ta twoja żona. Tak piękna, że, jak sędzę, reszta przestaje mieć znaczenie. Jej brat i tak dalej.

- Jeśli chodzi o „i tak dalej”, dziękuję panu za prezent ślubny. Hrabia wybuchnął śmiechem.
 - Mój syn się wścieknie. Niedobrze, że znów stanąłeś mu na drodze. To pech. Szkoda, że to właśnie ty już po raz drugi zmusiłeś go, by uzmysłowił sobie jak haniebne było jego zachowanie. Mimo śmiechu hrabia miał w oczach głęboki smutek. Nor-bury zapewne był jednym z wielu rozczarowań w jego życiu.
 - Odbyłeś więc taką podróż, by się pożegnać? Cieszę się, że przyjechałeś.
 - Przyjechałem właśnie z tego powodu. Jednak okazuje się, że jest też sprawa, o której nie wiedziałem, dopóki nie zjawiłem się w Teeslow.
 - Niewiele już mogę zrobić dla kogokolwiek.
- Kyle powiedział mu o kopalni. Hrabia słuchał z poważną miną.
- Tam były bogate pokłady węgla - rzucił. - Kilka lat temu chcieli do nich wrócić, ale powiedziałem: nie. Sprzedałem już większość akcji reszcie udziałowców, ale mój głos ma jeszcze znaczenie. Bycie hrabią czasem się przydaje. Mój syn nie będzie się sprzeciwiał. Tak czy inaczej, napiszę i użyję swoich wpływów, ale gdy umrę...
- Gdy umrze, w rachunku, w którym życie ludzkie miało niewielką wartość, zwycięży chęć zysku.
- Nawet jeśli otwarcie chodnika opóźni się o kilka miesięcy, da to ludziom czas, by ochłonęli - powiedział Kyle. - Nastroje wśród górników nie są dobre. Jeden stanowczy głos, jeden przywódca i będą kłopoty.
- Hrabia westchnął i przymknął powieki. Siedział z zamkniętymi oczami tak długo, że wyglądało na to, iż zasnął. Kyle już miał się wymknąć, gdy hrabia znów się odezwał:
- Panie Bradwell, już się więcej nie zobaczymy. Jeśli ma pan . jakieś pytania, teraz jest pora, by je zadać. - Otworzył oczy i spojrzał na Kyle'a przenikliwie. - Masz pytania, prawda?

Kyle miał kilka. Jednak tego, które ostatnio pojawiło się w jego głowie, nie mógł zadać. Mimo że nieustannie zaprzętało jego myśli. Nie mógł umierającego człowieka zapytać, czyjego syn jako chłopiec zachowywał się jeszcze bardziej haniebnie niż jako mężczyzna.

- Owszem, mam pytania.

- No, to strzelaj.

- Dlaczego?

- Dlaczego co?

- Skąd to wszystko?

- Ach, tak. - Hrabia pomyślał chwilę. - Po części impuls. Po części przecucie. - Znów ten połowiczny uśmiech. - Zdawałem sobie sprawę, że jeśli zostaniesz w Teeslow, za kilka lat, gdy wydoroslejesz, górnicy zyskają przywódcę. Kyle przyglądał się hrabiemu i zastanawiał, czy mówi poważnie. Przez te wszystkie lata, gdy łączyła ich hojność dobroczyńcy i wdzięczność obdarowanego, nigdy nie przyszło mu do głowy, że hrabia miał jakieś ukryte pobudki. Nie był w stanie wymyślić, jakie korzyści mógł mieć Cottington ze swojej hojności.

- Do diabła, nie chodziło tylko o to. Marnowałeś się tutaj. Od razu to zauważyłem. Widziałem to w twoich oczach. Przyszedłeś tutaj tamtego dnia, wypucowany i uczesany, a ja już wiedziałem, jakim będziesz mężczyzną. Wiesz, słyszałem o tobie już wcześniej. Ktoś mi wspomniał o dzieciaku, który mówił, że powinniśmy kopać w dół do tego zawałonego chodnika.

- To by się udało.

- Nie wiem, czy by pomogło, czy nie. Jednak ponieważ wymyśliło to dziecko i ośmieliło się zaproponować...

Zostałeś do mnie przyprowadzony następnego dnia po tym, jak sprawiłeś lanie memu synowi. Od razu wiedziałem, że to ty byłeś tamtym dzieckiem, ale na wszelki wypadek i tak się upewniłem.

Otarł usta ze śliny, która pojawiła się w kąciuku.

- A potem jeszcze ta sprawa z moim synem. Znów ty. Ośmieliłeś się zrobić coś, na co nie powazyłaby się większość

mężczyzn. Po części zrobiłem to więc, byś się nie zmarnował. A po części dlatego, byś nie wyrósł na przywódcę, który by poprowadził górników. - Hrabia się zawahał. - Przyznam, że po części również dlatego, by ukarać mojego syna, faworyzując chłopca, który go pokonał. Niewiele to pomogło. Lepiej niż inni wiesz, że jego haniebne zachowanie wobec kobiet nie zmieniło się do dzisiejszego dnia.

Tak zatem sprawy stały. Większość z tego Kyle już wiedział. Hojność nie była tak zupełnie bezinteresowna, ale też mało który ludzki czyn do takich należy.

Twarz hrabiego zapadła się, jakby sparaliżowana strona promieniowała na żywą.

- Pan jest zmęczony, powinien pan odpocząć. Pójdę już. Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

Zanim Kyle zdążył odejść, hrabia wyciągnął do niego rękę. Kyle ujął ją i po raz pierwszy poczuł, że ten człowiek ściska mu dłoń jak przyjaciel.

- Nic na tym nie straciłeś, nieważne jakie były powody - rzucił hrabia, z trudem wypowiadając słowa. - Choć sądzę, że są chwile, gdy wolałbyś, żebym się nie wtrącił.

- W ogólnym rachunku zysków i strat stanowczo wychodzę na plus. Jakiegokolwiek były pana powody, jestem mu wdzięczny. Nigdy pana nie zapomnę. Ani moje dzieci, ani ich dzieci.

Hrabia mocniej ścisnął go za rękę. Oczy starca zaszyły łzami. Przymknął powieki. Cofnął dłoń, a potem uniósł ją w geście błogosławieństwa i pożegnania.

Kyle był bardzo poważny, opuszczając apartament Cottingto-na. Rose pozostawiła go jego myślom, gdy schodzili po schodach i wyszli na dwór.

Nie wszedł od razu do powozu, tylko obszedł go i spojrzał na • staw. Stała przy nim i czekała. Żegnał się dzisiaj nie tylko z hrabią. Wraz ze śmiercią Cottingtona zamknie się cały etap jego życia.

- Często tu bywałeś? - spytała.
- Niezbyt często. Jednak za każdym razem wzywał mnie, gdy przyjeżdżałem na wakacje w przerwach między semestrami. Za pierwszym razem w ślad za jego posłańcem do domu wuja przyszło pół wsi, by dowiedzieć się, co się stało.
- Zatem widywał się z tobą regularnie.
- Tak. Być może było to częścią nauki.
- Bardziej prawdopodobne, że chciał usłyszeć o twoich postępach. Przywoziłeś mu też wieści z Durham, a potem z Paryża i Londynu. Śmiem twierdzić, że rozmowa z tobą była o wiele ciekawsza niż to, co słyszał tutaj.
- Być może.

Kyle poszedł w stronę domu. Dotrzymywała mu kroku.

- Rozmawiałeś z nim o kopalni? Przytaknął.
- Zrobi, co będzie mógł, jednak może co najwyżej opóźnić sprawę. To prawdopodobnie da im czas, by lepiej zabezpieczyć chodnik. Są na to sposoby.

W jego słowach nie było nadziei, że te sposoby zostaną wykorzystane.

- Chyba zrobiłeś wszystko, co mogłeś.
- Czyżby?

Zawrócili w stronę powozu.

- Kyle, jesteś dziwnie milczący. Czy to spotkanie się nie udało? Nie mogłeś mówić o wszystkim?
- Spotkanie udało się nadzwyczajnie. Zachęcił mnie do zadawania pytań i odpowiedział na wszystkie, które z czystym sumieniem mogłem mu zadać.
- Były takie, których nie mogłeś?
- Tylko jedno. Zamierzałem je zadać, bo hrabia jest chyba jedyną osobą, która odpowiedziałaby szczerze. Jednak gdy go zobaczyłem... Ten temat wzbudziłby w nim smutek, a odpowiedź tylko zaspokoiłaby moją ciekawość.

- Jeśli zostało tylko to jedno pytanie, to rzeczywiście spotkanie bardzo się udało. Na świecie jest chyba niewielu ludzi, którzy znają się nawzajem tak dobrze, że pozostaje między nimi tylko jedno niezadane pytanie.

Spojrzał na nią. Nie mówili już o Cottingtonie, tylko o sobie nawzajem.

- Rose, on jest umierający. Odpowiadając na pytania, człowiek nie ma wtedy nic do stracenia. Żadnych konsekwencji na przyszłość i utraty godności. Ani dla tego, kto zadaje pytania, ani dla tego, kto na nie odpowiada.

Doszli do powozu. Gdy ruszyli w drogę powrotną do Teeslow, powiedział:

- Rose, ty też wyglądasz na zamyśloną. Czy masz jakieś pytanie?

- Mam ich wiele, ale nie są powodem zatroskania, które zapewne widzisz na mej twarzy. Zastanawiam się, czy przeżyję spotkanie z Easterbrookiem, gdy zbesztam go w imieniu Cot-tingtona.

Powóz już niemal minął Teeslow, gdy Kyle zauważył dziwny bezruch. Był tak pogrążony w myślach, że początkowo nienaturalna cisza nie zwróciła jego uwagi.

Kazał zatrzymać powóz. Wyjrzał przez okno.

- O co chodzi? - zapytała Rose. - Jest całkiem spokojnie.

- Aż za spokojnie. O tej porze dnia ta uliczka powinna tętnić życiem. Powinny się tu kręcić kobiety.

Przechylił głowę i nasłuchiwał. Spojrzał po dachach domów. Gdzie oni wszyscy są? W kopalni? Było za wcześnie na jakąś akcję. Pozostawała gospoda lub kościół.

Otworzył drzwi i wysiadł. Rose zebrała spódnice i wyciągnęła do niego rękę.

- Nie, Rose. Powóz zabierze cię z powrotem do Pru. Ja niedługo wrócę.

- Spodziewasz się jakichś kłopotów?

- Nie, ale...

- Jeśli nie ma zagrożenia, nie widzę powodu, byś mnie odsyłał. Jestem ciekawa tej wioski. Jeśli ty tu zostajesz, to ja razem z tobą.

Oparł ramię o drzwi, blokując jej drogę.

- Mnóstwo rzeczy cię ostatnio ciekawi.

- To leży w kobiecej naturze. Nie zauważyłam, by sprawiało ci to przykrość.

Miała na myśli ostatnią noc. Napiął się cały z pożądania. Powróciły wspomnienia. Jej krzyki pełne błagania, nieśmiały, ale pewny dotyk. Jej pochylone plecy i uniesione biodra. Jej nogi oplatające go, gdy wsuwał się w ciasne ciepło, gdy kołysali się mocno przytuleni, patrząc sobie w oczy.

Te myśli sprawiły, że chciał ją pocałować i posiąść tu, na ulicy. Zapominał o powodach, dla których powinien odesłać ją do domu.

Wjednej chwili sprawiła, że zupełnie stracił głowę.

- Kyle, zamierzasz mi rozkazać, bym wróciła do domu? Jeśli tak, to chciałabym ci uświadomić, że w każdym małżeństwie mąż ma ograniczoną liczbę rozkazów i nierozsądnie byłoby marnować je na rzeczy nieistotne.

A więc taka jest jego słodka, potulna żonka. Ostatnia noc sprawiła, że dystans widoczny w ich małżeństwie szybko zniknął. W jej oczach zobaczył wyraźne wyzwanie.

- Rose, możesz mi towarzyszyć, jednak pod warunkiem, że natychmiast wyjdiesz, gdy ci powiem. Nie spodziewam się kłopotów, ale mogę się mylić. Byłoby lepiej, gdybyś po prostu wróciła...

Przymknęła powieki. Niech to diabli.

Powiedział woźnicy, gdzie ma czekać, i pomógł Rose wysiąść.

Cała wioska zebrała się w kościele. Słyszał głosy, gdy wraz z Rose zbliżali się do kamiennego budynku z wieżą nad wejściem.

Wiele wieków temu była to część starego klasztoru, zbudowanego na ziemiach nadanych przodkowi Cottingtona. Zanim w okolicy został odkryty węgiel, Teeslow było zwykłą wioską rolniczą.

- Czy mężczyźni nie powinni być teraz w kopalni? - spytała Rose.

- Mężczyźni, starsze dzieci, a nawet niektóre kobiety. -Otworzył ciężkie, drewniane drzwi. Usłyszeli wrzawę. Wśliznęli się do środka i stanęli tuż przy wejściu. Mało kto zauważył ich przybycie. Cała uwaga skupiała się na mężczyznach stojących przy ołtarzu. Był wśród nich Jon. Próbował zapanować nad całym zgromadzeniem. Okazało się to niemożliwe. Głosy zlewały się, przerywały sobie nawzajem. Emocje szalały, rozlegały się ostre krzyki.

- Nie mogę nawet zrozumieć, o czym oni dyskutują - szepnęła Rose.

- Kazano im dzisiaj uprzętać zawalisko z tamtego tąpnięcia. Górnicy porzucili pracę i wyszli z kopalni. Teraz muszą zdecydować, co zrobić jutro.

- Powiedziałeś, że gdy próbowali to zrobić ostatnim razem, osunęła się kolejna ściana.

- Właściciele przysłali inżyniera, który twierdzi, że tym razem do tego nie dojdzie.

Jon zebrał nieco głosów za tym, by nie schodzić do kopalni. Jednak zbyt mało, co oznaczało, że niczego to nie rozwiąże.

Kyle się przysłuchiwał. Rozpoznawał większość głosów. Znał niemal wszystkich tych ludzi. Z niektórymi bawił się na ulicach jako chłopiec.

Przyjrzał się rodzinom i zatrzymał spojrzenie na bladej, ładnej kobiecie o rudych włosach, która trzymała za rękę dwoje dzieci. Gdy miał czternaście lat, pocałował ją. Był to pierwszy pocałunek w jego życiu.

Teraz przy jego boku stała o wiele piękniejsza kobieta. Nikt jej jeszcze nie zauważył, ale stanie się to już wkrótce.

Suknia

podróżna, która zrobiła wrażenie na Conwayu, tu wydawała się jeszcze bardziej strojna, z całym tym futrem i ozdobnymi haftami. Jej kapturek wyróżniał się wśród chustek na głowach innych kobiet. Zdawała się skupiać całe światło w tym starym, mrocznym budynku i promieniować jasnowłosą urodą.

- Powinniśmy stąd wyjść - powiedział.

- Wyszędłbyś, gdyby mnie tu nie było?

Nie wiedział. To już nie był jego świat. Nie jego sprawy.

- Jeśli moja obecność krępuje cię, jeśli symbolizuję dla nich tylko to, jak bardzo oddaliłeś się od tej wioski, to wyjdę - powiedziała. - Nie jesteś jeszcze dla nich obcy, jeśli nawet oni coraz bardziej obcy ci się wydają.

Poruszyła go jej przenikliwość. To, że w ogóle próbowała zrozumieć, wzruszyło go do głębi.

Zostawił ją i ruszył w kierunku Jona. Górował wzrostem nad innymi, więc jego głos był wyraźnie słyszalny.

- Jon, nie jesteście jeszcze gotowi do takiego działania i dobrze o tym wiesz. Powiedziałeś, że staniecie ramię w ramię. Wygląda na to, że sporo ramion przy tobie zabraknie.

Gwar przycichł. Jon spojrzał na niego.

- Mamy tu dżentelmena, który nam doradzi. Przyprowadził też swoją żonę. Jakie to szczęście, że możemy skorzystać z jego rad.

Kyle nie obejrzał się, ale ze szmeru szeptów i okrzyków wywnioskował, że Rose została zauważona w tłumie.

- Jon, przyprowadziłem swoją żonę, by poznała moich dawnych przyjaciół. Bardzo się zdumiałem, gdy natrafiłem na takie politykowanie w kościele. Co chcecie osiągnąć, nie schodząc do kopalni, poza tym, że wiele kobiet i dzieci będzie głodować?

- Będzie mniej trupów do pogrzebania.

- Rozmawiałem dziś z Cottingtonem. Napisze do swoich współników. Nie otworzą tego chodnika za jego życia.

- Zyskałeś dla nas kilka dni, może tygodni, to wszystko.

- To wystarczy, by się upewnić, czy ten chodnik jest bezpieczny.

Jon zaśmiał się szyderczo.

- Bezpieczny! Nakazano nam dzisiaj wziąć się za to osypi-sko. Znaleźli inżyniera, który mówi, że tam jest już bezpiecznie.

- Musicie więc znaleźć innego, który udowodni, że tamten się myli. Takiego, który nie jest wynajęty przez właścicieli i ma odpowiednią wiedzę, by dowieść swoich racji. - Kyle doszedł do początku nawy. - Takiego jak ja. Jon naradził się z czterema mężczyznami, zebranymi wokół niego. Gdy debatowali, w kościele zapadła pełna napięcia cisza.

- Zejdiesz tam na dół? - odezwał się z lekką drwiną najstarszy z nich. Nazywał się Peter MacLaran, dawny działacz, który teraz przekazał przywództwo Jonowi. - Milordzie, uwala pan sobie surdut. To zresztą może potrwać kilka dni. Ominą pana bale w Londynie.

Sarkastyczne uwagi Petera zostały skwitowane kilkoma chichotami.

- Mogę zejść nawet w tej chwili. Byłem w tej kopalni nie raz. Surdut może zostać tutaj. Znajdźcie człowieka, który pożyczy mi buty, a także pięciu najlepszych górników, by zeszli razem ze mną. Możemy zacząć już dziś. Nie wyjadę z Teeslow, dopóki nie dowiem się tego, co trzeba. Jeśli tam nie jest bezpiecznie, uzasadnię to w raporcie. Jeśli można ten chodnik zabezpieczyć, napiszę jak. Jeśli właściciele mimo to rozpoczną prace i dojdzie do kolejnego tąpnięcia, ten raport zaprowadzi ich wprost na szubienicę.

- Nie wpuszczą cię, byś zbadał teren.

- Nazwisko Cottingtona otworzy mi wszystkie drzwi. On jeszcze żyje.

Nie czekał, by Jon i Peter się z nim zgodzili. Rozbrzmiewające wokół niego krzyki powiedziały mu, że wygrał. Wrócił do Rose.

- Powinnaś teraz wrócić do Pru. Odprowadzę cię do powozu.

- Dam sobie radę sama. Rób to, co do ciebie należy. Rozpiął surdut, zdjął i podał jej. Jakiś chłopiec przyniósł mu buty. Kyle usiadł i je włożył. Pięciu najbardziej doświadczonych górników czekało z lampami przy drzwiach kościoła.

Rose, przyciskając jego surdut do piersi, obserwowała przygotowania. Wydawała się zafascynowana, jakby obserwowała jakiś rytuał w egzotycznym kraju.

- Powiedz Pru, że po powrocie będę potrzebował dużo gorącej wody - powiedział.

Wspięła się na palce, by szepnąć mu do ucha:

- Zapewne będziesz tak zmęczony, że będę musiała ci pomóc przy kąpieli.

Natychmiast poczuł napięcie w lędźwiach. Obrazy z ostatniej nocy jeszcze pogorszyły sprawę.

Zacisnął zęby, usiłując opanować pożądanie.

- Rose, kochanie. Czeka mnie wiele godzin w ciemnej dziurze. Po prostu nie masz litości.

Nawet nie próbowała udawać skruchy. Gdy od niej odchodził, wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie.

16

Mężczyźni opuścili kościół razem z Kyle'em. Górnicy zdecydowali, że ich inżynier zejdzie dziś do kopalni i niech Bóg ma w swej opiece dyrektora, jeśli spróbuje go powstrzymać.

Dzieci wybiegły na dwór, ale wiele kobiet jeszcze zwlekało z wyjściem z kościoła. Przyglądały się bacznie, jak Rose składa surdut Kyle'a. W końcu podeszła do niej jakaś kobieta w średnim wieku, w prostej sukni z marszczoną spódnicą, w białej, bawełnianej chusteczce na głowie.

- Nie wróćą przed nocą, to niemal pewne. Wyślę któregoś z chłopców po ten wasz powóz.

- Chyba zostawię powóz Kyle'owi, a sama się przejdę. Byłabym wdzięczna, gdyby ktoś powiedział o tym woźnicy, by mógł się odpowiednio zająć końmi.

Kobieta zawołała chłopca w wieku około sześciu lat i wysłała go z wiadomością. Potem uważnie obejrzała strój Rose.

- Powinno być w tym ciepło, więc Kyle nie będzie miał do nas pretensji, że pozwoliliśmy ci wracać pieszo. Pod spodem jest futro, prawda?

Rose uniosła połę peleryny i pokazała podbicie z futra.

- Odprułam je ze starego płaszcza i kazałam przyszyć tutaj. Kilka kobiet podeszło bliżej, by posłuchać i popatrzeć. Jedna

z nich wyciągnęła rękę i pogłaskała futro.

- Nie wiedziałam, że damy robią takie rzeczy.

- Wiele dam tak robi. Tylko nikomu nie mówią.

Kobiety się roześmiały. Podeszły kolejne, żeby przyjrzeć się jej sukni.

Rose została jakiś czas i gawędziła z nimi. Kobiety w Teeslow były takie same jak te w Londynie czy gdziekolwiek indziej. Chciały się czegoś dowiedzieć na temat najświeższej mody, nawet jeśli nie było ich na nią stać, chciały też słuchać ploteczek z towarzystwa.

Gdy Rose ruszyła z powrotem do domu Harolda, pierwsza z nich, Ellie, pojawiła się u jej boku.

- Pójdę z tobą, jeśli nie masz nic przeciw temu. Mam ochotę zobaczyć się z Prudence. Nie było jej we wsi kilka dni. Od dawna się przyjaźnimy. Gdy byłyśmy małe, mieszkaliśmy obok siebie.

Rose ucieszyła się z towarzystwa. Gdy wyszły poza Teeslow, Ellie znów się odezwała:

- Prudence była zaskoczona małżeństwem Kyle'a. Bardzo się tym martwiła. Powiedziała mi o tym, ale nikomu więcej.

- Mam nadzieję, że teraz już się tak nie martwi, gdy mnie poznała.

- Nie chodziło o ciebie. - Biała chusteczka Ellie chwiała się w rytm jej ciężkich kroków. - Oczywiście Pru chce dla Kyle'a

wszystkiego, co najlepsze. Rozumie, że małżeństwo z tobą może mu się przysłużyć w przyszłości.

- To czym się martwiła?

Ellie zmarszczyła brwi, jakby się zastanawiała, czy odpowiedzieć.

- Z początku nie wiedziałam. A potem we wsi zaczęły krążyć plotki. O tobie i Norburym.

W Rose serce zamarło. Cała wieś wiedziała. Być może interesowała ich jako dobrze urodzona żona Kyle'a, ale ciekawiła ich też jako dziwka Norbury'ego.

Czy powiedzą coś Kyle'owi, mimo że próbował im pomóc? Czy któryś z mężczyzn, któremu nie spodobał się zaproponowany w kościele kompromis, zrobi jakąś aluzję do jej przeszłości?

Rose nigdy nie żałowała swojej lekkomyślności z Norburym tak bardzo jak w tej chwili, gdy szła obok prostodusznej Ellie drogą uczęszczaną przez tak wielu ludzi, których Kyle znał od dziecka.

- Nie sądziłam, że ta historia dotrze aż do Teeslow - powiedziała. - Nie myślałam, że moja obecność u jego boku będzie dla niego krępująca. Żałuję, że nie posłuchałam jego polecenia, by od razu wrócić do Prudence.

- Ożenił się z tobą, prawda? Więc nie jesteś dla niego aż takim ambarasem. A jeśli chodzi o to, że ta historia dotarła aż tutaj... Hm, pojawiła się parę tygodni temu, po przyjeździe syna hrabiego. Wszyscy zauważyli ten zbieg okoliczności. Nie jesteśmy głupi, znamy powód.

- Chodzi ci o lanie, które sprawił Norbury'emu, gdy był mały. Tak, rozumiem, że to mogło wywołać niechęć między nimi.

Wyglądało na to, że Norbury nie przestał być smarkaczem, rozpuszczał plotki, by odegrać się na kimś, kto go pokonał. Ellie spojrzała na nią z dziwną miną.

- Nie chodziło o samo lanie. Nawet gdyby Kyle przegrał tamtą walkę, to i tak byłby górą. Dowiódł, że są rzeczy, których

nie wolno robić, niezależnie od tego, jak wysoko jest się urodzonym. Ze wszystkich obowiązują zasady, iż zło jest złem. Sądzę, że to upokarzające, jeśli przypomina ci o tym ktoś gorszy od ciebie. Teraz już po raz drugi.

- Ten pierwszy raz też był z powodu kobiety?

Znalazły się w miejscu, gdzie odchodziła w bok ścieżka do domu Harolda. Ellie spojrzała w tym kierunku, jakby mogła zobaczyć ludzi, którzy tam mieszkali.

- Nie powiedział ci, dlaczego rzucił się na syna hrabiego i innych chłopców? Nie dziwię się. To było tak dawno temu.

- Wskazała podbródkiem w stronę domu. - Pru nigdy o tym nie mówi, jakby milczenie mogło sprawić, że pójdzie to w zapomnienie. Kiedyś jednak opowiedziała o tym mnie i paru innym. Byśmy wiedziały, co nas tu czeka, gdy stary hrabia umrze, a jego syn obejmie Kirtonlow Hall. Poprzestaśmy na tym, że syn to nie ojciec i źle traktuje kobiety. Zawsze tak było.

Ruszyły w kierunku domu. Prudence bardzo się ucieszyła na widok przyjaciółki. Rose zostawiła je razem w kuchni i poszła na górę powiesić surdut Kyle'a.

Ellie nie wyraziła się zbyt jasno, krytykując Norbury'ego, ale powiedziała dość, by zaniepokoić Rose. Wyglądało na to, że Kyle już w przeszłości kwestionował moralność Norbury'ego. W pewnym sensie zrobił to również dzisiaj, biorąc się do zbadania tego chodnika w kopalni.

Według Ellie tylko kilka osób znało prawdziwy powód lania, które Kyle sprawił Norbury'emu wiele lat temu. I to Prudence im o tym powiedziała.

A to znaczyło, że od początku chodziło o Prudence.

Kyle z trudem wysiadł z powozu. Wyprostował się i przeciągnął w mroku nocy.

Zapomniał, jak niski jest ten chodnik. Nawet niżsi od niego mężczyźni musieli się schylać, żeby przejść. Spędził ostatnie pięć godzin, przyjmując różne dziwne pozycje, by zbadać skalne ściany.

Był wdzięczny Rose, że zostawiła powóz. Brud pokrywał jego koszulę, włosy, wszystko. Brud i czarny pył. Nawet w świetle księżyca widział szerokie, ciemne smugi na rękach.

Dom tonął w mroku. Wszyscy chyba poszli spać. To i dobrze. Nie chciał, by Rose zobaczyła go w tym stanie.

Wysłać go, by zrobił dobry uczynek, to jedno. Ale zobaczyć go, jak wraca, umorusany jak górnik, to coś zupełnie innego.

Z kuchni sączyło się słabe światło. W salonie gasnący ogień rzucał słaby blask. W fotelu Harolda siedziała skulona postać, ale nie był to wuj. To Rose tam spała, w nocnej koszuli, owinięta dużym szalem. Podciągnęła nogi na poduszkę. Jej bose stopy zaróżowiły się w ciepłe ognia.

Rozpuściła i wyszczotkowała włosy, aż spłynęły jak złocista, połyskliwa rzeka. W słabym świetle jej wargi i rzęsy wydawały się bardzo ciemne.

Musiał coś zjeść i umyć się w gorącej wodzie. Był tak zmęczony, że z trudem trzymał się na nogach, jednak Rose sprawiła, że gapił się na nią w niemym zachwycie. Zawsze tak było i zawsze będzie.

Teraz działała na niego jeszcze silniej. Nie była już tylko pięknnością, którą widział w teatrze czy w świetle księżyca. Nie była już nawet zmysłową kobietą, z którą przeżywał wstrząsające zbliżenia. Poznawał ją coraz lepiej, do głębi, i to poznanie zmieniało jego świadomość.

Szal zsunął się jej z ramienia zwróconego ku ogniu. Delikatnie podciągnął go do góry, by nie zmarzła. Zostawił ją, by spała, i poszedł do kuchni.

Czekała tam kąpiel, którą obiecała mu Rose. Cynowa balia stała do połowy napełniona wodą. Wiadra z wodą grzały się przy ogniu. Na stole stał talerz, przykryty odwróconą fajansową miską.

Podniósł miskę i znalazł pod nią zimny drób, ser i chleb. Wziął kubek, poszedł do spiżarki i nalał sobie piwa z antańka, który trzymał tam Harold. Zaniósł do kuchni, usiadł i zaczął jeść.

Jedzenie go pokrzepiło, jednak siedząc, znów poczuł, jak jest obolały na całym ciele. Wstał i wlał jedno wiadro wody do balii. Gdy sięgał po następne, ręka w białej koszuli chwyciła trzecie wiadro.

Rose wlała wodę z utrzymanego wiadra i odwróciła się do niego. Widział, jak patrzy na ten brud, pył. Była zbyt miła, by okazać niesmak, jednak nie mogła ukryć zdziwienia.

- Miałam rację. Potrzebujesz kąpieli. Sięgnęła po następne wiadro. Wyjął je z jej ręki.

- Ja to zrobię.

- Kyle, w swoim życiu przygotowałam niejedną kąpiel.

- Teraz, gdy jesteś moją żoną, nie powinnaś już wykonywać tego rodzaju prac.

- Nie pamiętam, by to było częścią naszej umowy. Gdyby Prudence zgodziła się mieć w domu służącą, chętnie przekazałabym jej ten obowiązek. Powinieneś zdjąć to ubranie i dobrze się wymoczyć.

Nie czekała na jego zgodę, tylko wzięła się do pozostałych wiader. Zrzucił ubranie, wszedł do balii i zanurzył się w parującej wodzie.

Podniosła jego koszulę i spodnie.

- Czy da się to wyczyścić?

- Nie do końca. Połóż je na dworze, przy drzwiach kuchennych. Pru będzie wiedziała, co z tym zrobić.

Wykonała jego polecenie, a potem uklękła za nim i zaczęła mu myć plecy. Jej pomoc sprawiła mu przyjemność, poczuł się jak w zżytej rodzinie. Pewnie robiła to nieraz, gdy była młodsza, zanim jej bracia zostali bankierami. To musiały być trudne lata. Rose miała chyba sporo doświadczenia w dbaniu o czystość i porządek w domu.

Ta kąpiel nie miała żadnych erotycznych podtekstów. Rose pewnie wystarczyło jedno spojrzenie na niego, pokrytego pyłem węglowym, z oczami zaczerwienionymi od marnego światła

i braku powietrza, by odechciało się jej uwodzenia. A może domyśliła się, że on zdecydowanie stracił na to ochotę.

- Czy dużo udało ci się dzisiaj zrobić? Myślisz, że możesz im pomóc? - spytała,

- Niewiele dziś zdołałem, jednak dość, bym wiedział, co mam zrobić jutro. I pojutrze. Potrzebuję narzędzi.

Powiedziałem dyrektorowi, że jeśli mi ich nie pożyczą, to pójdę do hrabiego i wrócę z jego pisemnym pozwoleniem.

Powoływał się dziś na Cottingtona aż nazbyt często. Wykorzystywał ich znajomość, ile się dało, choć życie hrabiego dobiegało już kresu. Miał nadzieję, że Cottington to zrozumie, jeśli kiedyś się o tym dowie.

Rose wypłukała myjkę, namydliła ją i podała mu, by szorował się dalej. Usiadła na podłodze obok balii.

- Gdy wyszedłeś, zawarłam znajomość z kilkoma kobietami z wioski. Rozmawialiśmy trochę.

- O czym? Wzruszyła ramionami.

- O kobiecych sprawach.

Umoczyła palec w małej kałuży wody przy swej stopie i zaczęła coś rysować.

- Oni wszyscy wiedzą o mnie. Norbury postarał się, by wszyscy wiedzieli, że ożeniłeś się z jego dziewczyną.

- Kto ci o tym powiedział?

- Ellie. Jedna z przyjaciółek Pru z dzieciństwa. Odprowadziła mnie i została tu jakąś godzinę.

- Niezbyt taktowne z jej strony, że ci o tym powiedziała. Rose, nie jesteś pierwszą kobietą, która zbłądziła. Jeśli dobrze pamiętam, Ellie urodziła swoje pierwsze dziecko zaledwie siedem miesięcy po ślubie. I było to duże, dorodne niemowlę.

Uśmiechnęła się i rysowała palcem dalej.

- Jesteś kochany, że starasz się, bym nie czuła się tym tak skrepowana. Ellie powiedziała też coś, co mnie zaintrygowało.

Wspomniała, że gdy w dzieciństwie sprawiłś lanie Norbu-ry'emu, zrobiłś to dlatego, bo źle potraktował kobietę. Domyśliłam się, że chodziło o twoją ciotkę.

- To prawda. On i paru jego kompanów zaczepiali ją i robili sobie z niej nieprzystojne żarty, jak to czasem sobie pozwalają rozbestwione paniczyki. - Nie przerywał mycia. - Co jeszcze powiedziała Ellie?

- Mnóstwo miłych rzeczy o tobie. Była nieco tajemnicza, jeśli chodzi o to lanie. Napomknęła, że kilka kobiet zna prawdę. Prudence powiedziała im, że powinny wiedzieć, jaki jest Norbu-ry i co je tu czeka, gdy odziedziczy on majątek.

Kyle się mył. Nasłuchiwał dźwięków z góry, z izby, gdzie spali Pru i Harold. Domyślał się, że Pru milczała na temat tego dnia przez długi czas. Być może przez wiele lat. Chyba wiedział, dlaczego w końcu wyjawiała to Ellie i paru innym kobietom.

Nie czuł się już zmęczony. Jedzenie i zmycie z siebie brudu przywróciło mu nieco energii. Ciepła kąpiel podziałała jak długi sen.

Ożywiał go też gniew. Gniew z powodu własnej nieświadomości przez te wszystkie lata. Gdyby znał prawdę, wątpliwe czy uznałby dobroczynność hrabiego za coś innego niż zapłatę za zachowanie milczenia.

Rose wstała.

- Już bardzo późno. Jutro czeka cię kolejny ciężki dzień. Powinieneś się trochę przespać.

Boso podeszła do paleniska. Płomienie jasnym blaskiem przeświecały przez jej nocną koszulę, ukazując kuszący zarys ciała. Przyglądał się, jak poruszają się jej pośladki i piersi, gdy sięgała po duży ręcznik, grzejący się na obmurowaniu paleniska.

Przyniosła mu ręcznik. Wstał i wytarł się. Przypatrywała mu się tak samo jak ostatniej nocy, gdy siedziała w łóżku, zdecydowana przeprowadzić rozmowę, której mogliby unikać do końca życia.

Przesunęła wzrok niżej.

- Wygląda na to, że odzyskałeś wigor po trudach całego dnia. - Wyciągnęła rękę i lekko pogłaskała widoczny tego dowód. - To zdumiewające, jakie cuda może zdziałać jedzenie i trochę piwa. Mam nadzieję, że dasz radę wejść po schodach?

- Do diabła z tym.

Rzucił ręcznik i pochwycił ją. Pożądanie wybuchło w nim z piekielną furją. Uwięził jej usta w mocnym pocałunku. Musiał ją mieć. Teraz, natychmiast. Musiał się zanurzyć w jej rozkosznym cieple. Odwrócił ją twarzą do ściany i uniósł jej koszulę, by odsłonić nogi i pośladki.

Całował jej szyję i kark. Przysunął się bliżej i przylgnął do niej całym ciałem. Wsunął się członkiem między jej nogi i umościł w ciepłej wilgoci. Dotyk jej ciała sprawił, że stał się jeszcze bardziej podniecony i niecierpliwy. Zaczął się kołysać i przyciskać do niej. Sięgnął do przodu, by pieścić jej piersi. Ona też zaczęła go pieścić, lekkim kołysaniem bioder i pulsowaniem tam w dole.

Ogarnęło ich szaleństwo. Ogień i żar pożądania. Odwrócił ją do siebie, uniósł i wszedł w nią jednym szybkim pchnięciem. Owinęła mu nogi wokół bioder i przylgnęła do niego całym ciałem, chłonąc jego dzikie, nieokiełznane pragnienie.

Kyle kończył trzecią kopię raportu. W sumie będzie ich cztery, obszernych, dokładnych, pełnych szczegółów, ze szkicami pokazującymi, jak zabezpieczyć chodnik. Zamierzał dać jeden dyrektorowi i jeden górnikom, ale wysłał też po jednym Cotting-tonowi i właścicielom kopalni. Oryginał zawiezie do Londynu, żeby można było z niego zrobić kolejne kopie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Rose spała na górze. Sprawdził na zegarku kieszonkowym godzinę. Wkrótce nastanie świt. Odda te dokumenty, a potem około południa wyruszą z Rose do Londynu.

Przez pięć dni schodził do kopalni. Dostatecznie długo, by znów stała się znajoma. Dziś nie potrzebowałby nawet lampy,

aby odnaleźć drogę. Gdy obserwował rysy i stemple w pobliżu chodnika, słyszał odgłos kilofów kujących skałę, odbijający się złowrogim echem, niczym żałobne dzwony.

- Kyle, nie spałeś całą noc? To niezdrowe.

Spojrzał w kierunku drzwi. Stała w nich Prudence, zawiązując fartuch.

- Już prawie skończyłem. Mogę się przespać w powozie. Podeszła bliżej i stanęła nad nim, patrząc na stos papierów.

- Dziękuję, że to zrobiłeś. Wszyscy są ci wdzięczni.

Wzięła wiadro i wyszła na dwór, by zaczerpnąć wody ze studni, którą wykopał w ogrodzie. Skończył ostatnią stronę i odłożył pióro.

Pru wróciła i zaczęła przestawiać garnki bliżej paleniska. Nie musiała już tak wcześnie wstawać, ale trudno jej było pozbyć się nawyku z całego życia.

- Ciociu Pru, zanim wyjadę, chciałbym z tobą o czymś porozmawiać. Jesteśmy tylko my dwoje, więc teraz jest najlepszy moment.

Znieruchomiała z ręką na uchwycie garnka. Może podziałał tak na nią jego ton. A może po prostu wiedziała, o co chodzi, tak jak niektórzy ludzie wyczuwają zbliżającą się letnią burzę.

Wróciła do pracy.

- Oczywiście, Kyle.

- Ellie powiedziała Rose, że wyjawiałaś kilku kobietom prawdę o Norburym. Ja też chciałbym ją poznać.

- Sądzę, że znasz tę prawdę lepiej niż inni.

- Jednak nie lepiej niż ty. Jestem tego pewien.

Uklękła i zaczęła układać drwa w palenisku. Nie zareagowała, jakby go nie usłyszała.

- Pru, co powiedziałaś Ellie i tym kobietom?

- Gdyby to było coś dla twoich uszu, to też bym ci powiedziała - parsknęła. Poczzerwieniała na twarzy. - Ellie to stara plotkara. Już ja jej natrę uszu, gdy się z nią zobaczę następnym razem. Opowiadać twojej żonie...

- Powiedziała bardzo niewiele, tylko tyle, by uspokoić Rose co do tego, jak w wiosce widzą jej historię z Norburym. Inna kobieta przyjęłaby to jako wyraz życzliwości i na tym by poprzestała, jednak Rose jest... dociekliwa.

To właściwie dziwne, że analizowała szczegóły jego dawnego życia.

- Powiedziałam, że jest łajdakiem i że kobiety powinny na niego uważać. To nie nowina ani dla ciebie, ani tym bardziej dla Rose - odparła krótko, tonem, który ucinał dalszą rozmowę.

Nie miał do niej pretensji, że nie chce o tym mówić. Zastanawiał się, czy nie porzucić tej kwestii. Dać Pru spokój. Podeszedł do paleniska. Oparł się o ścianę tak, by widzieć jej twarz. Zerknęła na niego szybko, a potem zaczęła się uporczywie wpatrywać w wodę, którą postawiła do zagotowania.

- Pru, myślałem o tamtym dniu, gdy znalazłem cię z nim i jego dwoma kompanami, wśród drzew przy drodze do Kirton-low Hall. Myślałem o krzykach, które mnie tam doprowadziły, o tym, co zobaczyłem. Byłem mały. Zastanawiam się, czy nie pojąłem opacznie całej sytuacji. Być może chciałem ją opacznie zrozumieć.

Spojrzała na niego smutnymi oczami, w których czaił się gniew. Zerknęła w górę, w kierunku izby, gdzie spał Harold. Nagle podeszła do drzwi i wyszła do ogrodu.

Ruszył za nią. Przeszła energicznym krokiem między bezlistnymi drzewami, aż na sam koniec sadu. Odwróciła się do niego

i skrzyżowała ręce na piersi.

- Dlaczego pytasz o to teraz, po tylu latach?

- Nie wiem. Może to, co przydarzyło się Rose, sprawiło, że zacząłem się zastanawiać.

- Kyle, lepiej, żebyś przestał się zastanawiać. To było dawno temu. Ojciec wkrótce umrze, a ty będziesz musiał prowadzić interesy z synem.

- Pozwól, że sam się zatroszczę o te interesy. Pru, nie myłę się? Zjawiłem się tam za późno?

- Po co chcesz to wiedzieć? Teraz już nic nie można zrobić.

- Będę wiedział, z kim prowadzę interesy. Skoro przerwałaś milczenie i powiedziałaś tym kobietom, to chyba rozumiesz, że ja też powinienem wiedzieć.

Patrzyła na drzewa owocowe, powoli rysujące się w szarym świetle poranka. Niemal niezauważalnie kiwnęła głową.

- Hrabia wiedział - powiedziała. - Syn go okłamał, ale jego przyjaciele zbyt się bali, by też łąć. Więc hrabia się dowiedział. Zaproponował mi pieniądze. Poważną sumę, to fakt. Odmówiłam. Powiedziałam, że wyślę jego syna do więzienia, a nawet jeśli w końcu puszczą go wolno, to i tak wszyscy się dowiedzą, że jest tylko dobrze urodzoną świnią.

- Kiedy złożył tę ofertę?

- Dzień wcześniej, nim przysłał po ciebie. Gdy cię szorowałam i ubierałam, wiedziałam, o co chodzi. Że znalazł inny sposób, by zapłacić za moje milczenie. Nie wspomniał o tym ani słowem. Nigdy nie zagroził, że odeśle cię z powrotem do kopalni, jeśli pisnę choć słowo, aleja wiedziałam.

A Cottington wiedział, że ona to zrozumie. Hrabia zorientował się, że nigdy nie będzie musiał wymieniać swoich warunków, by zrozumiała, skąd się bierze jego hojność.

A zatem to kolejna odpowiedź na jego pytanie „dlaczego?“, obok tych, które podał hrabia. Cottington nie był jednak głupcem. Wiedział, że niektórych krzywd nie można wynagrodzić ani naprawić.

- Nie żałuję - powiedziała. - On oczywiście nigdy nie zostałby skazany. Tak jest lepiej. Lepiej, że tobie się udało.

Wyobrażam sobie, jak się czuje Norbury, widząc cię w Londynie. Wie, że jesteś tam tylko z powodu tamtego dnia.

Widzi, że dzięki jego ojcu chłopiec z Teeslow wyrósł na mężczyznę, któremu on nigdy nie sięgnie do pięt. Jest w tym jakaś satysfakcja. Powtarzam sobie, że o wiele większa, niż gdybym go oskarżyła w sądzie.

- Pru, przykro mi, że nigdy nie było ci dane oskarżyć go w sądzie.

- Dla kobiety to niełatwa sprawa. Zawsze znajdują się tacy, którzy powiedzą, że sama się o to prosiła? On by na pewno to powiedział i wielu by mu uwierzyło. Kobiety wiedzą, jak to jest, jeśli oskarżą o to mężczyznę. - Wyciągnęła rękę i poklepała go po twarzy, jakby był dzieckiem. - Teraz już wiesz, choć niewiele to pomoże.

- Czy Harold wie?

- Nigdy mnie wprost nie zapytał, a ja mu sama nie powiedziałam. Jednak domyślił się. Czułam to. Trzeba było kilku lat, żebyśmy mogli o tym zapomnieć. Gdybym mu powiedziała, pewnie zabiłby Norbury'ego. I zawisłby na szubienicy. Więc trzymałam język za zębami. Ale teraz, gdy hrabia umiera... Norbury będzie w tej okolicy częściej. Nie zmienił się, jak sam dobrze wiesz. Więc powiedziałam niektórym starszym kobietom w wiosce, by ostrzegły młodsze dziewczęta.

Ruszyła w kierunku domu. Kyle dotrzymywał jej kroku.

- Jak sam dobrze wiem? Jeśli masz na myśli Rose, to nie było to samo.

- Z tego, co słyszałam, niewiele brakowało, ale mu przeszkodziłeś. - Pru pokręciła głową. - Biedactwo, myślała, że on ją kocha, a przekonała się, że chce ją tylko wykorzystać. Odmówiła mu i co się wtedy stało? Próbował ją sprzedać innemu, który zamiast niego wziąłby ją wbrew jej woli. Ci wysoko urodzeni panowie są prawie wszyscy tacy sami. To zdumiewające, że historyjka Easterbrooka wraz z nowym finałem tamtej licytacji dotarła aż do Teeslow i rozeszła się po wiosce, w ślad za wersją Norbury'ego.

Kyle wszedł za ciotką do kuchni. Teraz już wiedział. Miał nadzieję, że zdoła się powstrzymać i nie zabije Norbury'ego.

Wszyscy przyjęli zaproszenia. Ta kolacja zapowiada się na wielki towarzyski sukces. - Alexia przekazała jej wieści, gdy wyszły razem z domu na Hill Street. - Będiesz wyglądać oszalamiająco w tej sukni w kolorze pelargonii, którą sobie zamówiłaś. Zmierzamy do kolejnego drobnego, ale ważnego zwycięstwa.

Rose z wdzięcznością uścisnęła dłoń Alexii. Trzymając się za ręce, ruszyły w stronę Hyde Parku.

Niezależnie od rysującej się perspektywy powrotu do towarzystwa Rose i tak była w doskonałym humorze. Od jej powrotu do Londynu upłynęły trzy dni. Trzy szczęśliwe dni i trzy cudowne noce.

Jej obawa, że nowo odkryta bliskość w małżeństwie może się skończyć wraz z powrotem do miasta, okazała się nieuzasadniona. Pierwszej nocy oboje byli tak spragnieni, by dalej poznawać się nawzajem, że wyszli sobie naprzeciw i zderzyli się po ciemku w jej gotowni.

Już zawsze, ilekroć otworzy szafę, Rose będzie wspominała, jak Kyle odwrócił ją nagą twarzą do drzwi, rozsunął jej nogi, przylgnął do niej całym ciałem i wziął ją od tyłu.

Niestety dziś rano ciemna chmura przesłoniła radosne, pełne rozkoszy wspomnienie nocy. Przyszedł list od prawnika rodziny z prośbą o spotkanie w kwestii majątku w Oxfordshire.

Gdy była na północy, w ogóle nie myślała o losie Timothy'ego. Nie martwiąc się o brata, zakosztowała wolności.

Teraz znów jego żądania nękały jej sumienie.

Czekające ją spotkanie z prawnikiem bardzo ją rozstroiło. Wyciągnęła Alexię na spacer po części dlatego, by odwlec je przynajmniej o kilka godzin.

- Byliście na północy dłużej, niż się spodziewałam - powiedziała Alexia. - Bałam się, że pani Vaughn pomyśli, że zrezygnowałam z wydania tej kolacji albo postanowiłam jej nie zapraszać.

Takie nieporozumienie byłoby niefortunne. Czy wizyta u rodziny twego męża dobrze wypadła?

- Chyba tak. Polubiłam ich. To uczciwi, dobrzy ludzie. Mam nadzieję, że oni też myślą teraz o mnie lepiej.

- Każdy, kto cię pozna, nie może myśleć o tobie źle. To dlatego czynimy takie postępy w naszych planach. A także dlatego, że coraz szerzej rozchodzi się powtarzana po cichu poprawiona wersja tamtej licytacji. Ta, w której ty jesteś uciśnioną cnotą, a Norbury skończonym łajdakiem. Przyznaję, nie czuję się w obowiązku, by kogokolwiek wyprowadzać z błędu co do tej nowej wersji wypadków.

- W przypadku takiego skandalu ludzie zwykle są skłonni myśleć o kobiecie wszystko, co najgorsze, a nie starać się znaleźć dla niej usprawiedliwienie.

- Towarzystwo zna wicehrabiego i niezbyt za nim przepada. To nie jest miły człowiek, a plotki o jego ekscesach krążą od lat. Ty natomiast wiodłaś przykładne życie. Nie wyprowadzajmy nikogo z błędu. Zachowanie Norbury'ego wobec ciebie było tak haniebne, że nie zasługuje na to, by tę omyłkę prostować.

Weszły do pustego parku. Na ścieżkach widać było parę osób, jednak pogoda, pora dnia i roku zapewniały im odosobnienie.

- Alexio, doceniam wszystko, co dla mnie robisz. Mimo to wolałabym, żeby Kyle też mógł być na tej kolacji. On mówi, że nie powinno się prowadzić wojny na dwóch frontach jednocześnie. Dziwię się jednak, że pani Vaughn i jej mąż są skłonni przymknąć oko na to, że przypięto mi etykietkę ladacznicy, ale nie na fakt, że mój mąż urodził się w wiosce górniczej.

- To, że ta niesprawiedliwość cię uwiera, dobrze świadczy o twoim małżeństwie. Pokazuje, że rodzi się między wami wzajemna więź.

Rose wątpiła, czy Alexia jest w stanie choćby w części zrozumieć tę więź. Chciała opowiedzieć swej kuzynce o mężczyźnie, za którego wyszła. Próbowiła znaleźć słowa, by opisać, jak bezpieczna i wyzwolona czuje się w jego ramionach.

Przynajmniej powinna powiedzieć, że nie będzie chodzić na żadne przyjęcia, z których on jest z góry wykluczany. Alexia odezwała się pierwsza.

- Co do Irene mam pewną propozycję.

Wzmianka o Irene powstrzymała słowa cisnące się Rose na usta. W tej wojnie chodziło przede wszystkim o Irene, a nie o nią. Nawet jej małżeństwo w głównej mierze zostało zawarte ze względu na Irene.

- Ten sezon to dla niej za wcześnie - powiedziała Rose. - Jeśli sądzisz inaczej, to chyba zbyt optymistycznie oceniasz sytuację.

- Najpierw mnie wysłuchaj. Od początku zdawałam sobie sprawę, że Irene pokrzyżuje nam szyki, tak samo jak ten twój skandal. - Alexia bezwiednie położyła dłoń na wyraźnie zaokrąglonym brzuchu, rysującym się pod ciemnoniebieską pelisą. - Wspomniałam o tym, gdy dwa tygodnie temu byliśmy z mężem na kolacji w domu jego brata. Hayden bardzo się przejmuje losem Irene, jednak stanowczo zakazuje mi brać na moje, jego zdaniem, wątle barki więcej, niż mogą unieść.

- Twój mąż ma rację. Termin narodzin waszego dziecka jest najmocniejszym argumentem. Irene może poczekać jeszcze jeden rok.

- Zdaje się, że takie jest ogólne przekonanie i po tej kolacji sama się ku niemu skłaniałam. Wyobraź sobie moje zdumienie, gdy kilka dni temu odwiedziła mnie Henrietta i zaproponowała, że w kwietniu urządzi bal, na którym Irene zostanie zaprezentowana w towarzystwie.

- Henrietta? Dziwne.

- Sama jestem zaskoczona. A ona zaskakuje mnie jeszcze bardziej. Jeśli romans może spowodować taką zmianę w kobiecie, to tylko należy życzyć, by każda matrona z towarzystwa znalazła sobie kochanka przed końcem sezonu.

- Może nasza kampania powinna się skupić na aranżowaniu takich romansów. Zmienia to spojrzenie na większość spraw.

Alexia uniosła pytająco brwi.

- Roselyn, a jak tam z twoim spojrzeniem na większość spraw? Zaproponowałaś spacer po parku mimo chłodu i ciężkich chmur na niebie. Czyżbyś dzisiejszego ranka nie zwróciła uwagi na brzydką pogodę i widziała tylko słoneczny dzień?

Rose poczuła, że twarz jej płonie. Alexia roześmiała się, pochyliła do niej i pocałowała w zarumieniony policzek.

- Ponieważ namawiałam cię na to małżeństwo, czuję ulgę, że chociaż pod tym względem odpowiada ci ono. Nie ma chyba nic bardziej przykrego niż przekonanie, że to, co się dzieje w łóżku, to tylko i wyłącznie małżeński obowiązek. Nie obowiązek. Nigdy. Kyle zawsze był troskliwym kochankiem, wiedział, że ich małżeństwo ułoży się lepiej, jeśli ona zazna rozkoszy.

A ostatnio, od tamtej nocy w Teeslow, chwile wspólnie spędzane w łóżku były najcudowniejsze ze wszystkich.

Właściwie tylko wtedy czuła się wolna i pewna, że decydując się na to małżeństwo, nie popełniła błędu.

Mogłaby na tym poprzestać. Jego słowa szeptane jej do ucha, jego oddech w jej włosach, na jej piersi, przejmująca do głębi pieśczość, której zawsze chętnie ulegała. Sama rozkosz mogłaby wystarczyć, jednak ślady, które Kyle odciskał na jej duszy, sprawiały, że z każdym zbliżeniem czuła się coraz bardziej zależna od niego.

Tamtego dnia, gdy przyjęła jego oświadczenia, opisał cielesną rozkosz jako dobry posiłek. Zaiste, bardzo dobrze ostatnio jadal. Być może Kyle widział tylko to. Urozmaicone menu z mnóstwem przysmaków.

Dlaczego więc z każdym dniem coraz mniej słuchała głosu rozsądku w tym małżeństwie zawartym z racjonalnych powodów? Kyle zapewne powiedziałby, że doznając rozkoszy, patrzy na rzeczywistość przez pryzmat emocji.

Zażyłość, która pojawiła się w efekcie cielesnego zaspokojenia, była zapewne czymś naturalnym. Mężczyźni chyba reagowali tak samo, obcując z doświadczonymi kurtyzanami w domach rozpusty.

Tak czy inaczej, rodziła się między nimi więź, która komplikowała pewne sprawy. Takie jak spotkanie z prawnikiem, które ją dzisiaj czeka.

- Alexio, czy kiedykolwiek okłamałaś Haydena? Postąpiłaś wbrew jego poleceniu?

Alexia szła w milczeniu, rozważając pytanie.

- Kilka razy. Usprawiedliwiałam się potem sama przed sobą, że to żadne kłamstwa. - Uśmiechnęła się do jakichś wspomnień. - Raz przyłapał mnie na okropnym oszustwie.

- Czułaś się winna?

- Owszem. Mężowie nie muszą jednak wiedzieć o pewnych rzeczach. W ogólnym rachunku uczciwości popełniłam parę grzechów niedomówienia, bo sprawa była dla mnie ważna ze względów, których on by wtedy nie zrozumiał. - Zamyśliła się chwilę nad własną odpowiedzią. - Teraz już nie byłoby z tym problemu, ale na takie porozumienie trzeba dłuższego czasu, nawet w małżeństwie zawartym w najlepszych okolicznościach, a nasze takie nie było. Typowa dla Alexii, szczerą, rozsądną odpowiedź na trudne i osobiste pytanie. Rose domyśliła się, o czym jej kuzynka nie powiedziała mężowi. Te oszustwa dotyczyły Rose, Irene i Tima, i pragnienia Alexii, by pomóc rodzinie, która nienawidziła jej męża.

- Rose, dlaczego o to pytasz? Okoliczności sprawiły, że ja musiałam sama dokonać wyboru, ale ty nie jesteś sama. Rose zastanawiała się, czy nie zwierzyć się kuzynce. Alexia zachowa wszystko w sekrecie. Nie powie nawet Haydenowi, jeśli poprosiłaby ją o dyskrecję.

Jednak Alexia była przeciwna temu, by pomóc Timowi. Stanowczo odradzała Rose wyjazd do niego.

Dla Alexii Tim był jak umarły. Poznała całą aferę ze szczegółami. "Widziała, jak Tim ucieka, zostawiając Haydena, który zaryzykował własną fortunę, żeby ocalić resztę reputacji rodziny "Longworthów Poza tym pewnie od dawna wiedziała, ile pieniędzy zostało ukradzione.

Alexia nigdy nie pochwali tego drobnego oszustwa, przed którym stała teraz Rose. Tym bardziej że miałby na tym skorzystać Tim.

- Alexio, kocham cię. Jestem ci wdzięczna, że cierpliwie mnie wysłuchałaś. Niestety okoliczności zmuszają mnie, bym sama podjęła decyzję, tak jak ty musiałaś to zrobić.

Pan Yardley był uosobieniem rzetelności i profesjonalizmu. Przywitał Rose w swej kancelarii niedaleko Lincoln's Inn uprzejmymi słowami, stosownymi przy spotkaniu w interesach. Posadził ją na krześle, a sam wziął plik dokumentów i zajął miejsce naprzeciw niej. Uśmiechnął się, by dodać jej otuchy. Za pulpitem w pobliżu siedział milczący, niepozorny kancelista z piórem w pogotowiu, by robić notatki.

Wysoki kołnierzyk zachodził panu Yardleyowi aż na pulchne policzki, krawat ścisnął podwójny podbródek.

Posiwiące włosy miał dobrze ostrzyżone, jednak były zbyt rzadkie, by dało się je ufryzować w modny sposób.

Doświadczony prawnik, który od dawna obsługiwał rodzinę Longworthów, najpierw ojca, a potem synów, już od roku nie prowadził dla nich żadnej poważnej sprawy.

Rose czekała, by poruszył interesującą ją kwestię. Pan Yardley najwyraźniej się wahał. Niewątpliwie jego reputacja została nadszarpnięta z powodu afery jej brata. Być może zajmowanie się sprawą Timothy'ego było teraz dla pana Yardleya tak krępujące, że nie zechce mieć nic wspólnego ze sprzedażą posiadłości. To spotkanie mogło być ostatecznym pożegnaniem.

Odchrząknął.

- Pani Bradwell, zbadalem przepisy prawa i doszedłem do wniosku, że pełnomocnictwo pani brata spełnia wymagania. Na podstawie tego listu mógłbym sprzedać posiadłość w jego imieniu.

- Doskonale. Kiedy możemy to zrobić? Jak długo potrwa sfinalizowanie tej sprzedaży?

Pan Yardley znów odchrząknął.

- Jest pewna komplikacja. Przykro mi to mówić, ale ta posiadłość nie może być sprzedana.

Przechyliła pytająco głowę.

- Nie rozumiem. Proszę wyjaśnić dlaczego.

- Może gdybym się spotkał z pani mężem...

- Posiadłość należy nie do mnie, tylko do mojego brata. Mój mąż nie ma do niej żadnych praw. Może zechce mi pan jasno przedstawić sytuację.

Pan Yardley wydał wargi. Najwyraźniej nie lubił wyjaśniać spraw finansowych kobietom.

- Pani Bradwell, gdy pani brat uciekł, pozostawiając długi, ta posiadłość mogła stać się łatwym łupem dla wierzycieli. - Słowo „długi” wypowiedział z wymownym naciskiem, sugerując, że wie o przestępstwach kryjących się za tymi długami. - Lord Hayden Rothwell ustanowił wtedy na nią prawo zastawne. Mam tu ten dokument. Tylko to powstrzymało innych wierzycieli przed przejęciem jej na pokrycie ich strat.

- Wiedziałałam, że lord Hayden coś zrobił, by uchronić posiadłość. Jestem mu za to wdzięczna. Nie wiedziałałam, że ten zastaw nadal obowiązuje.

Powinna była to przewidzieć. Nie mogła mieć pretensji do lorda Hayden, że zastaw nadal ciąży na majątku, nawet gdy wszyscy wierzyciele zostali spłaćeni. Przecież to właśnie on ich spłacił. Jeśli nawet zabrałby tę posiadłość jako rekompensatę, nie mogłaby protestować.

- Jego prawo zastawne zostało zdjęte pod koniec zeszłego lata.

- Zatem jeśli ten zastaw został zdjęty, posiadłość jest własnością mego brata, a jego upoważnienie jest prawomocne, to co uniemożliwia sprzedaż?

- Inny zastaw.

218

- Zatem były dwa? Nie wierzę, że lord Hayden zdjął swój, który miał chronić nasz rodzinny majątek, zostawiając go na łasce innego wierzyciela.

- Ten drugi zastaw nie istniał, gdy lord Hayden zdejmował swój. Został ustanowiony zaledwie kilka miesięcy temu.

- Panie Yardley, to bardzo niepokojące. Dlaczego pan mnie nie poinformował, gdy do tego doszło?

- Służyłem pomocą prawną pani bratu. Wygląda na to, że już jej nie potrzebuje, jeśli wziąć pod uwagę zeszłoroczny rozwój wypadków, dotyczących jego majątku, długów i wyjazdu za granicę. Krótko mówiąc, uznałem, że nasza współpraca się skończyła, przestałem się więc zajmować sprawami pani rodziny. Pani pytanie w kwestii tego upoważnienia zaskoczyło mnie tak samo, jak moja informacja zaskakuje dzisiaj panią.

Rose wstała i odeszła kilka kroków do okna, które wychodziło na ulicę. Na dworze zaczęła padać mżawka. Jej woźnica odjechał trochę dalej, by rozgrzać ciągnące powóz konie.

Nowy zastaw. Wyglądało na to, że lord Hayden przeoczył któryś z długów. Oszustwo stworzyło tak splątaną sieć, że odnalezienie wszystkich wierzycieli mogło być niemożliwe.

- Panie Yardley, jak daleko posunęło się to roszczenie do posiadłości?

Ziemia może wkrótce zostać zabrana. Ona i Irenę stracą dom, w którym mieszkały od urodzenia. Zostaną z tego miejsca wyrwane z korzeniami jak rośliny. Rose nie dopuszczała do siebie tej myśli, wiedząc, że sprzedaż majątku pomoże Timowi, jednak teraz świadomość skutków tego kroku sprawiła jej ból.

Opadły ją wspomnienia. Dziesiątki smutnych i szczęśliwych chwil. Jak jej starszy brat Ben oświadczył, że kupuje udziały w banku, w którym będzie też pracował, by im wszystkim żyło się lepiej. Jak Tim wdrapał się jako dziecko na jabłoń w ogrodzie i obrzucał ją niedojrzałymi jabłkami, gdy próbowała wspiąć się za nim. Jak leżała na wzgórzu i przez godzinę czuła się szczęśliwa, wolna.

Jak Kyle niespodziewanie po raz pierwszy ją pocałował, śmiało łamiąc zasady etykiety i bariery, które ich dzieliły.

- Wygląda na to, że poza zgłoszeniem prawa zastawnego nie podjęto żadnych innych kroków. Ten zastaw po prostu jest, tak samo jak poprzednio zastaw lorda Hayden. Uniemożliwia jednak sprzedaż.

Odwróciła się twarzą do pana Yardleya, który wstał, tak samo jak kancelista.

- Jeśli ten, kto ustanowił ten zastaw, nie korzysta z niego, być może dałoby się go przekonać, by go cofnął. Widzi pan z listu mojego brata, że jeśli nie wyślemy mu tych funduszy, jego sytuacja może stać się trudna.

Pan Yardley był zbyt grzeczny, by odpowiedzieć, jednak jego spojrzenie wymownie świadczyło, co myśli. Trudna sytuacja Tima nie zasmuci nikogo, poza jego najbliższą rodziną.

- Jest raczej mało prawdopodobne, że ten zastaw zostanie cofnięty. Nie ustanowiono go dla kaprysu.

- Niemniej jednak muszę spróbować. Rozumiem, że nie chce pan zająć się tą sprawą. Spróbuję zrobić to sama.

Proszę mi podać imię i nazwisko wierzyciela. Napiszę do niego lub poproszę, by lord Hayden zrobił to w moim imieniu.

Pan Yardley zawahał się, potem spojrzał na kancelistę i kiwnął głową. Tamten ujął pióro, pochylił się nad pulpitem i napisał parę słów.

Złożył kartkę na pół, podszedł i podał Rose. Schowała ją do torebki i pożegnała się.

Gdy już znalazła się w zaciszu powozu, wyjęła papier. Odsunęła zasłonę na oknie, żeby było jaśniej i rozwinęła kartkę.

Od razu zrozumiała skrepowanie pana Yardleya i jego pokrętne wyjaśnienia.

Patrzyła oniemiała na nazwisko osoby, której prawo zastawne na posiadłości uniemożliwiało sprzedaż.

Kyle Bradwell.

Kontrahent Kyle'a wyszedł z podpisaną umową w ręce, ale nie był zbyt zadowolony z jej warunków. Od początku było pewne, że tę umowę podpiszą, jednak w trakcie negocjacji Kyle'a niespodziewanie ogarnęła determinacja. Zwykle zrezygnowałby z kilku funtów, by mogli się rozstać w przyjemnej atmosferze. Dziś jednak uparł się przy swoim. Negocjacje stały się rozgrywką, w której Kyle chciał zwyciężyć, a nie osiągnąć kompromisu.

Patrzył, jak zamykają się drzwi jego biura. Umowa, którą właśnie zawarł, opiewała na bardzo dużą kwotę. Drewno przyjedzie z Norwegii. Mimo wszystko może jednak był to remis.

Kyle zdjął surdut i powiesił go na krześle. Teraz trudniej mu było ukrywać się na obrzeżach tego świata, w którym żył i pracował. Obudziła się w nim energia, która ukazywała mu, jak bardzo zniewolił swoją prawdziwą naturę.

To ożywienie zawdzięczał Rose. Gdy z nią był, znów czuł się sobą. Ostatnimi laty ciągle się w czymś ograniczał.

Próbując ukryć fakt, że pochodzi znikąd, stracił rozeznanie, kim jest.

Stanął przy biurku i spojrzął na kartkę, na której nakreślił zarys nowej umowy. Odsunął ją na bok i zerknął na notatki zrobione dziś rano. Dotyczyły niezwykle, śmiałych, wręcz zuchwałych pomysłów. Takie pomysły napływały mu do głowy falami, gdy był młodszy. Od powrotu z Francji nie dopuszczał ich do siebie.

Rose najwyraźniej lubiła go takim, jaki jest. Chyba zaakceptowała tego złożonego mężczyznę, ukształtowanego przez przeszłość i teraźniejszość.

Notatki znikły, widział już tylko ją. Przypomniawszy sobie, jak wyglądała dziś rano, gdy wstawał świt. Jej jedwabiste włosy spływały mu na ramię, jej ciepło pulsowało przy nim w rytm serca. Jak zawsze zachwycił się jej urodą. Widok

Rose zapierał mu dech

15 - Tajniki uległości

w piersiach, jednak teraz patrzył na nią inaczej. Nie była już podziwianą z daleka, nieznaną piękną ani elegancką damą, która oddała swoje dotychczasowe życie i prawo do własnej osoby w zamian za możliwość odzyskania reputacji.

Napłynęły kolejne obrazy. Zmysłowe i podniecające, ale także takie, w których pożądanie grało niewielką rolę. Zapadły mu w pamięć drobne szczegóły. Zarys jej policzka w świetle słońca w ogrodzie w Oxfordshire. Jej dłoń unosząca widelec. Obrazki jej piękna i wdzięku po kolei przesuwały mu się przed oczami. Może dlatego z taką determinacją naciskał na dostawcę drewna, bo przy spokojniejszej rozmowie pograżyliby się w marzeniach o Roselyn.

Ciągle go zaskakiwała. Nie tylko w łóżku. Jej zachowanie było odbiciem zmian zachodzących między nimi. Niewiele się spodziewał po tym małżeństwie, a już najmniej z jej strony. Na pewno nie przewidział radości, którą dawało mu jej towarzystwo.

Miała dzisiaj odwiedzić Alexię. Zastanawiał się, czy już wróciła do domu.

Gdyby przyszedł do niej teraz, nie okazałaby, że w czymś jej przeszkodził. Być może wręcz odłożyłaby swoje plany na bok

i znów pograżyliby się w rozszalałym, gwałtownym pożądaniu, w którym się zatracal i odnajdywał na nowo.

A może...

Dźwięk z holu przerwał jego radosne rozmyślenia. Podeszedł do drzwi i otworzył je.

Zobaczył Roselyn. Chodziła po przedpokoju tam i z powrotem, jakby przywołanego myślami. Jej kroki stukały rytmicznie o deski podłogi. Zerknęła na pulpit do pisania, potem na niego, stojącego w drzwiach. Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy.

Coś było nie tak. Widział to w jej postawie i przechyleniu głowy. Słyszał to w jej krokach. Gniewne błyski w jej oczach świadczyły, że jego uroczą, słodką żoną jest wściekła.

- Jeszcze nigdy tu nie byłam - oznajmiła, jakby w odpowiedzi na pytanie, którego nie zamierzał zadać. - Byłam w mieście i pomyślałam, że cię odwiedzę.

- Cieszę się, że przyszłaś. Gdybym wiedział, że cię to interesuje, zaprosiłbym cię tu wcześniej.

- Gdzie jest twój kancelista? W biurze?

- Nie mam kancelisty. Sam piszę listy. Mój prawnik pilnuje tylko, by umowy były właściwie sformułowane. Jej usta ułożyły się w coś, co trudno było nazwać prawdziwym uśmiechem.

- Prawnicy przydają się pod wieloma względami - powiedziała.

- Nie wejdiesz? Tu są krzesła.

Zawahała się, potem pozwoliła, by wprowadził ją do biura.

Obeszła je dookoła, oceniając widoki z okien i urządzenie pokoju. Powoli, uważnie przyjrzała się ciemnoczerwonemu dywanowi, mahoniowym meblom, wysokim regałom na książki i dużym, płytkim szufladom na mapy.

- Bardzo gustowne wnętrze. Pewnie jak w klubie dla dżentelmenów. Albo w bibliotece w Mayfair. Bez zarzutu. Jak twój surdut.

Nie słyszał w jej ocenie życzliwości. To nie była ta kobieta, która w Teeslow rozumiała lepiej niż on sam rolę, jaką gra. Rose sugerowała teraz, że jego wyważone, przemyślane decyzje były kalkulacją i oszustwem. Nie czuł się urażony, ponieważ w jakimś sensie faktycznie tym były.

Dorzucił trochę drewna do ognia.

- Na dworze jest zimno, powinnaś się ogrzać. Widziałaś się dziś z Alexią przed przyjazdem tutaj?

Rose przysunęła się do ognia.

- Tak. Alexia ma mnóstwo planów dotyczących mnie i Irene. Jest kochana.

Ogień oświetlił jej twarz złocistym blaskiem. Przez chwilę, gdy patrzył, jak ciepłe światło rozjaśnia jej oczy i różowi gładką

skórę, Kyle zapomniał, że zjawiła się tu niespodziewanie i jest czymś rozgniewana.

Odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

- Nie przyszedłam tutaj dlatego, że byłam ciekawa twojego biura i interesów. A powinnam była. Tak jak powinnam była bardziej zainteresować się twoją rodziną i przeszłością. To z mojej strony nie w porządku, że ostatnio tak całkowicie skupiam się na sobie, zawsze patrzę na wszystko przez pryzmat siebie, a nie innych. Prawda jest taka, że nic nie znaczę. Tak zupełnie nic, że nawet w sprawach, które na pozór mnie dotyczą, tak naprawdę chodzi o inne, o wiele ważniejsze rzeczy.

- Żadne działanie czy wydarzenie nie jest niezależne od swoich przyczyn czy skutków. Jednak mylisz się, mówiąc, że nic nie znacysz.

- Nie jestem pewna.

Rzeczywiście. Widział w jej wzroku powątpiewanie.

- Kyle, zawsze mi się wydawało, że wszyscy pokrzywdzeni przez Tima klienci banku, którzy ponieśli straty, zostali spłaceni. Sam tak mówiłeś. Nawet twoja ciotka i wuj.

- To prawda. Wszyscy.

- Jednak nie wszyscy zostali spłaceni przez lorda Hayden, prawda?

- Nie, nie wszyscy upuścili mu krwi.

- Upuścili krwi? Nikt nie żądał od niego pieniędzy.

- Tak czy inaczej stracił ich sporo.

Zamyśliła się na chwilę. Kyle wiedział, że nie będą o tym mówić. Koszty poniesione przez lorda Hayden były niezaprzeczalną, przykrą prawdą.

- Kyle, przypuszczam, że większość tych ludzi była bardzo zła na Tima. Przyjęcie pieniędzy od lorda Hayden wymagało od nich, by zapomnieli o gniewie. Nie mieli do niego podstaw, z chwilą gdy zostali spłaceni. Czy właśnie dlatego nie przyjąłeś pieniędzy?

Ach, więc o to chodziło.

- Czy to Alexia ci o tym powiedziała? Że nie chciałem przyjąć pieniędzy jej męża?

- Nie.

Ktoś jednak powiedział. Albo też Rose sama się tego domyśliła. Ciekawe jak.

- To Pru i Harold zostali pokrzywdzeni, nie ja. Ale to ja ulokowałem ich fundusze w banku. Nie mogłem przyjąć propozycji lorda Hayden. Nie rozumiem, dlaczego inni się na nią zgodzili. To przecież nie on popełnił przestępstwo.

- Zgodzili się, bo chcieli odzyskać pieniądze. Jedynym warunkiem było puszczenie w niepamięć przestępstwa. A co ty zrobiłeś? Sam zwróciłeś pieniądze? Wpłaciłeś własne pieniądze na ten fundusz powierniczy?

- Wobec wujostwa to ja byłem winny. Moja niewłaściwa ocena banku spowodowała ich stratę. Oczywiście, że postarałem się, by nie stracili pieniędzy.

- Nie straciliby ich, gdybyś pozwolił lordowi Hayden spłacić tę kwotę. Myślę, że nie zrobiłeś tego, bo wtedy nie miałbyś podstaw do zemsty.

W jej słowach było sporo prawdy. Teraz to zobaczył. Dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy. Rose dotykała jednak kwestii, których nigdy nie potrafiłby jej wyjaśnić tak, by je zrozumiała i zaakceptowała.

Podeszła do niego i stanęła bardzo blisko. Spojrzała mu w oczy dziwnym, pytającym wzrokiem. Jakby patrzyła na kogoś obcego.

- Ty nie jesteś Haydenem Rothwellem. Śmiem twierdzić, że dla ciebie dwadzieścia tysięcy to suma, której brak odczułeś dotkliwie. Przypuszczam, że byłoby tak, nawet przy dużo mniejszej sumie.

- Tak, odczułem bardzo dotkliwie. Nadal odczuwam.

- Jednak chyba znalazłeś sposób, by powetować sobie stratę. Jeśli nie dzisiaj, to już wkrótce.

229

Jej naturalny wdzięk i opanowanie z trudem maskowały kipiącą w niej furję, widoczną w napiętym wyrazie jej twarzy i ostrym, przenikliwym spojrzeniu.

Było coś jeszcze. Powrócił tamten ledwo uchwytny dystans, który zauważył, gdy spotkał się z Rose po raz pierwszy. Znowu przywdziała zbroję dumy, która pomogła jej przetrwać ruinę rodziny oraz jej przymusowe odosobnienie i ubóstwo.

Chciał przyciągnąć ją bliżej. Objąć ją, by nie odsunęła się od niego zbyt daleko, bez względu na to, dokąd zaprowadzi ta kłótnia.

Odwróciła się na pięcie i cofnęła poza zasięg jego rąk.

- Kyle, szczerze cię podziwiam. Nic dziwnego, że osiągnąłeś sukces. Do niczego się nie przyznajesz. W ogóle się nie odzywasz, na wypadek gdyby mogło to pogorszyć twoją pozycję.

- Zakładam, że wyjaśnisz mi, co cię tak rozstroiło. Czekam, żebyś mi powiedziała.

- Rozstroiło? Ciekawe słowo - syknęła. Zamknęła na chwilę oczy i spróbowała się opanować. - Dowiedziałam się dzisiaj czegoś o mojej rodzinnej posiadłości w Oxfordshire. Wiem, że zgłosiłeś do niej roszczenia.

- Jak się o tym dowiedziałas?

- Jak? Ja odkrywam obłudę, której się po tobie nie spodziewałam, a ty tylko pytasz, jak się o tym dowiedziałam? -

Zaczęła chodzić tam i z powrotem. Biła od niej wściekłość. Kyle poczuł, że w nim również zaczyna narastać gniew.

- Kyle, kiedy to zrobiłeś? Po swojej pierwszej wizycie? Tamtego dnia bardzo dokładnie obejrzałeś dom i oszacowałeś wartość majątku. Spytałeś, czy grunt jest naszą własnością. ^{A ja} głupia, myślałam, że pytasz jak zatroskany przyjaciel. Mój rycerz w lśniącej zbroi. Tymczasem ty kalkulowałeś potencjalny zysk.

- Do diabła, to nieprawda.

- Wiedziałeś, że posiadłość należy do mojego brata. Ja natomiast nie wiedziałam, że ty jesteś jedynym wierzycielem, który

nigdy nie został splanowany. Boże, nawet sprawdziłeś ziemię, by zobaczyć, czy ma większą wartość jako grunt rolny, czy też jako teren pod zabudowę...

- Jak się o tym dowiedziałas?

Zignorowała go. Wstrząśnięta szerzej otworzyła oczy.

- O Boże, nawet podałam ci wtedy nazwisko człowieka, który kupi to wszystko, jeśli sam nie chciałbyś budować tam domów! Podle mnie oszukałeś. Wykorzystałeś mnie.

Miał już tego dość. Podeszedł do niej i chwycił ją w ramiona. Szarpała się i opierała, ale przytrzymał ją mocno.

- Kyle, puść mnie.

- Za chwilę. Najpierw musisz mnie posłuchać. Tak, zgłosiłem roszczenia wobec tej posiadłości.

Jego przyznanie się bynajmniej jej nie uspokoiło. Szarpała się, by się uwolnić, rozdrażniona jak kotka. Unieruchomił ją w uścisku.

- Nie zamierzam go przejąć. Nigdy nie miałem takiego zamiaru. Zgłosiłem roszczenia, by nie zrobił tego ktoś inny. A także po to, by majątek nie został sprzedany.

Zmartwiała. Spojrzała mu w oczy.

- Rose, jak się dowiedziałas o moim prawie zastawnym?

- Od prawnika rodziny.

- Mógł zająć się tą sprawą tylko na twoją prośbę. Musiałaś więc go poprosić. Dlaczego? Chciałaś sprzedać majątek i jednak wyjechać do Tima?

Na samą myśl o tym chciał głośno wyć w dzikim, gwałtownym proteście, że przecież Roselyn na zawsze należy do niego.

- Oczywiście że nie. Dlatego to zrobiłeś? By mieć pewność, że do niego nie pojedę? Ostrzegalesz, że powstrzymasz mnie przed wyjazdem, bez względu na to, czy się pobierzemy, czy nie.

- Poza poproszeniem o pieniądze swej kuzynki to był jedyny sposób znalezienia funduszy na taką podróż.

- Powiedziałam, że do niego nie pojedę. Przecież wyszłam za ciebie. Nie jestem tak podła i głupia, by złożyć obietnicę,

zawrzeć małżeństwo, a potem wybrać niepewną przyszłość z moim bratem.

Logika tego wyjaśnienia najwyraźniej przywróciła jej wewnętrzny spokój.

W jego przypadku podziałała wręcz odwrotnie. Jeśli nie próbowała sprzedać ziemi na własne potrzeby, to oznaczało, że myślała o potrzebach kogoś innego.

Spojrzeli sobie w oczy i przekonali się, że już nigdy nie będą razem tak swobodni, jak ostatnio. Wiedział, że ona się spodziewa tego pytania, jeszcze zanim je zadał. Czuł, jak znieruchomiała w jego ramionach.

- Dostałaś od niego kolejny list, prawda? Poprosił cię, byś sprzedała posiadłość. To dlatego rozmawiałaś z prawnikiem.

Kiwnęła głową. W jej oczach nadal płonął ogień.

Postąpiła wbrew jego poleceniom. Jednak w tej chwili to był najmniej ważny z oczywistych wniosków, jakie pojawiały się w jego głowie z przeraźliwą jasnością.

Rose nie tylko kontaktowała się z bratem, ale również podjęła w jego imieniu pewne kroki, które można było wyśledzić. Jeśli ktoś chciałby ją wskazać jako współniczkę, właśnie dostarczyła dowodu, który uczyniłby to oskarżenie bardziej wiarygodnym.

Kyle przerwał gorączkowe rozmyślenia i zobaczył, że Rose patrzy na niego z miną pełną zdumienia i obawy. W reakcji na potencjalne zagrożenie instynktownie przytulił ją mocno do siebie.

Zle go zrozumiała. Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie, jakby jego uścisk nagle przestał być bezpieczny.

Kyle puścił ją i się odsunął. Wyjrzał przez okno. Nie chciał, by zobaczyła coś jeszcze, co ją przerazi.

- Rose, podjechał twój powóz. Powinnaś wracać teraz, póki jest jeszcze jasno. Odprowadzę cię na dół.

Nie rozmawiali w drodze do powozu. Rose szła obok niego wyprostowana jak królowa, postawą demonstrując swą pozy-

cję i dumę. Gdy pomagał jej wsiąść do powozu, zauważył w jej oczach łzy, jednak bardziej widoczny był gniew. Wkrótce spróbuje ukoić i jedno, i drugie. Teraz musiał się zorientować, czy Rose swoim nieposłuszeństwem nie sprowadziła na siebie zagrożenia.

Zamknął drzwi powozu i zajrzał przez okno.

- Spal ten list, gdy dojedziesz do domu. Nie mów już nikomu, że go dostałaś. Jeśli ktoś cię spyta, skłam. Nigdy go nie widziałaś. Nie wiesz, gdzie jest twój brat. Rozumiesz? Tym razem mi się nie sprzeciwiaj.

Duma zniknęła z twarzy Rose. Wyglądała na przerażoną.

- Nie mogę go spalić. Zawiera upoważnienie dla prawnika, więc on go zatrzymał.

Do diabła! Kyle dał woźnicy znak, by ruszał. Sam poszedł w kierunku biura prawnika Longworthów. Zastanawiał się, co musi teraz zrobić, czego musi się dowiedzieć. Czy nadejdzie taki dzień, gdy będzie musiał poświęcić głowę Timothy'ego Long-wortha w zamian za wolność Roselyn?

19

Tego dnia Rose nie zobaczyła się już z Kyle'em. Gdy kładła się spać, nie wrócił jeszcze do domu. Przez wiele godzin leżała samotnie w łóżku, starając się nie nasłuchiwać jego kroków w korytarzu lub w gotowni obok.

Nadal była tak zła, że z całą pewnością nie chciała, by Kyle do niej przyszedł. Jednak na tyle ochłonęła, że martwiła się też ich kłótnią i gwałtowną reakcją Kyle'a na list od Timothy'ego.

Jak na tak drobne nieposłuszeństwo, gniew Kyle'a był zbyt silny, zbyt przesycony determinacją. Po kilku godzinach rozmyślań Rose doszła do wniosku, że Kyle wcale nie rozgniewał się z powodu jej nieposłuszeństwa. Jego ostatnie polecenie,

zdecydowanie, z jakim odszedł... Jego gniew zrodził się nie z męskiej dumy, urażonej nieposłuszeństwem żony, tylko z lęku.

A jeśli tak, to czego się obawiał? Czegoś poważnego. Kyle nie marnował energii na błahe sprawy. Dotąd widziała w nim taką determinację tylko wtedy, gdy chodziło o jej brata. Jeśli jednak Kyle szukał zemsty, nie kazałby jej spalić listu, zawierającego informację o obecnym miejscu pobytu Tima, tylko zażądałby, aby go oddała.

Nie zrobił tego. Nawet nie spytał o nazwę miasta, z którego list został wysłany.

W końcu zasnęła, ale często się budziła. Gdy wstała rano, dowiedziała się, że Kyle wrócił do domu późno i już zdążył wyjść. Niezdolna zająć się czymkolwiek, co mogłoby odwrócić jej uwagę, chodziła po całym domu tam i z powrotem. Około południa kazała zaprząć powóz. Poleciała woźnicy zawieźć się do Hyde Parku. Tam poszła na długi spacer.

Pomogło to nieco rozładować napięcie, jednak nadal czuła wzbierającą w niej trwogę. Podświadomie wyczekiwała złych wieści. Obawiała się, że ich następne spotkanie będzie bardzo formalne, jak nigdy dotąd. Zastanawiała się, czy będzie mogła żyć w małżeństwie pełnym przyziemnych spraw i chłodnej rezerwy, gdy przez krótki czas dane jej było zaznać więcej.

Po godzinie chodzenia bez celu zawróciła i ruszyła z powrotem tą samą drogą. Zobaczyła zmierzającego ku niej jeźdźca. Mężczyzna w siodle był wysoki, wyprostowany. Jego strój, postawa, panowanie nad wierzchowcem, wszystko wydawało się bez zarzutu.

Gdy się do niej zbliżył, dostrzegła niebieskie oczy, które zawsze przyciągały jej uwagę, pełne głębi, gdy w nie spojrzała. Czuła wibrującą w powietrzu energię.

Żołądek podszedł jej do gardła. Obawiała się tego spotkania, a jednocześnie niecierpliwie go pragnęła. Tak okropnie się wczoraj rozstali.

Kyle zatrzymał się obok niej i spojrzał na nią. Zsiadł z konia.

- Roselyn, musimy porozmawiać o wczorajszym dniu. Myślała, że jego obecność podniesie ją na duchu, jednak tak się nie stało. Przypomniała sobie, jak szli razem drogą w Watlington, gdy odwiedził ją za pierwszym razem. Tak jak wtedy ruszył u jej boku, prowadząc konia za uzdę.

Tamten spacer był bardzo przyjemny w porównaniu z tym. Echa wczorajszej rozmowy kłuły ich jak setki niewidzialnych cierni.

- Zamierzasz mnie zbesztać? - spytała. Niemal chciała, by tak się stało, jeśli pomogłoby to zmniejszyć dystans między nimi.

- Być może. Najpierw jednak wszystko wyjaśnię. - Spojrzał na nią tymi swoimi niebieskimi oczami. - Powiniennem był to zrobić wcześniej.

- Dlaczego zwlekałeś?

- Gdybym opowiedział ci wszystko na początku, odrzuciłabyś moje oświadczenia. Bardzo tego chciałaś. Szukałaś pretekstu. Okłamałabyś siebie, że ucieczka stąd i nowe życie w Europie to jedyna przyszłość, jaką masz do wyboru. Chciałaś w to wierzyć.

- Jakie to z twojej strony wspaniałomyślne, że uratowałeś mnie przede mną samą.

- Roselyn, bardzo cię pragnąłem. Uratowałem cię dla siebie. Pragnął jej. Chciał mieć piękną rzecz, niedostępną dla niego,

ponieważ urodził się w górniczej wiosce. Nie mogła mieć o to do niego pretensji. Znała powody jego oświadczeń.

- Miałaś wczoraj rację - powiedział Kyle. - Nie przyjąłem zwrotu pieniędzy od lorda Hayden głównie dlatego, że odmowa pozwoliła mi trwać w gniewie i usprawiedliwiła moje pragnienie zemsty. Nazywałem to sprawiedliwością, jednak przyznaję, że gniew uczynił zeń coś innego. Powtarzałem sobie, że owszem, szukam zemsty, aleja przynajmniej nie przyjąłem pieniędzy. Nie tak jak inni.

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Modliła się, by zobaczyć w jego oczach coś, co zaprzeczy znaczeniu jego ostatnich słów.

- Inni?

- Wiem, że jest ich przynajmniej ośmiu. Grupka ludzi, którym nie podoba się sprawiedliwość w wydaniu lorda Hayden. Wysłali detektywa, by wyszedł twojego brata w Europie i przywiózł go z powrotem do Anglii.

Ogarnęło ją straszne przeczucie. Przerazenie ścisnęło jej serce.

- Nie rozumiem, dlaczego to czynią. Angażować się w takie poszukiwania, gdy strata została powetowana... - Nagle dotarło do niej znaczenie jego słów. Detektyw... Tim mu nie umknie. Brakuje mu sprytu.

Gorączkowo analizowała myśli, zbyt smutne i rozpaczliwe, by je wypowiedzieć.

- Miałaś rację. Gdybym o tym wiedziała, nie mogłabym tu zostać. Na pewno próbowałabym mu pomóc się ukryć. Znalazłabym mu jakieś bezpieczne miejsce. Sam sobie nie poradzi.

- W takim razie bardzo się cieszę, że ci nie powiedziałem. Zmarnowałabyś sobie życie, a być może straciłabyś również wolność.

Rozejrzała się po parku, o tej porze roku pustym i przejmująco zimnym. Uspokoila się na tyle, by zacząć porządkować myśli.

- Co to za ludzie, którzy z taką determinacją chcą dopaść mojego brata?

- Jednym z nich jest Norbury.

Boże! No tak, przecież to, że ją wykorzystał, też było próbą zemsty. Powiedział coś podobnego podczas tamtej licytacji.

- Kto jeszcze?

- Lordowie, finansisci, kupcy... Ludzie, którzy mogli wiele stracić. Tacy, którzy nie chcą pogodzić się z tym, że Timothy zrobił z nich głupców.

Jego poważne, stanowcze słowa sprawiły, że serce zaczęło jej mocno bić.

- Ludzie, dla których strata dwudziestu tysięcy może być dotkliwa. Tacy jak ty.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Ludzie tacy jak ja.

- Zdziwiasz mnie. Zaproponowałeś mi małżeństwo, mimo że chciałeś posłać mego brata na szubienicę? Czy zamierzałeś mnie obserwować, by dowiedzieć się miejsca jego pobytu z moich listów i...

- Ktoś mi to sugerował. Mówiłem ci, byś zniszczyła całą swoją korespondencję, nie pamiętasz? Po naszym ślubie wycofałem się z tej inicjatywy. Być może to był błąd.

- Błąd? - Wśród rosnącego przerażenia pojawiła się w jej głowie okropna myśl. - Poszedłeś wczoraj do tego prawnika, gdy odjechałam, prawda? Przeczytałeś list, poznałeś jego przybrane nazwisko, nazwę miasta i przekazałeś je Norbury'emu...

Kyle chwycił ją za ramiona i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Nie, nie zrobiłem tego. Wszystko, co uczyniłem od chwili, gdy wyszłaś wczoraj z mego biura służyło temu, by cię chronić. Ciebie. Nie jego. Rose, nie chcę jego głowy. Nie chcę już zemsty, czy nawet sprawiedliwości, bo sprawiłyby ci ból. Ale jeśli będę musiał kiedykolwiek wybierać między tobą i nim, to nie pozwolę ci cierpieć, gdy ty jesteś niewinna, a on nie.

Zabrakło jej słów. Nie wiedziała, czy łkać, czy krzyczeć.

Wziął ją w ramiona. Zbyt była zagubiona, by się opierać. Czują płynące od niego ciepło, zrozumienie i smutek, który napełnił ją jeszcze większym lękiem.

- To nie wszystko, prawda? - wyszeptwała. - Nie przyszedłeś tu tylko po to, aby się przyznać. Chcesz mnie przed czymś ostrzec.

Ruszyli przed siebie. Kyle ją objął.

- Kochanie, proszę, byś mnie wysłuchała. Wszystko ci wyjaśnię.

Rose drżała w jego uścisku. Twarz miała martwą, gdy słuchała opowieści o ludziach, którzy ścigali jej brata. Kyle nie oszczędzał siebie. Gdyby na samym początku nie przyłączył się do Norbury'ego i reszty, uniknąłby dylematu, który być może wkrótce go czeka.

- Gdybym się nie wycofał, przynajmniej wiedziałbym, jak stoją sprawy - wyjaśnił. - Wczoraj jednak odszukałem jednego z nich i łatwo się tego dowiedziałem.

Przymknęła oczy, jakby kolejny cios nie mógł jej już zaskoczyć.

Nie chciał jej tego mówić. Po prostu nienawidził siebie za to, że musi to zrobić.

- Dostali wiadomość od Roydsa, tego detektywa. List został napisany kilka tygodni temu. Royds był wtedy w Toskanii. Wie, że Timothy tam jest i posługuje się nazwiskiem Goddard.

- Chcesz powiedzieć, że na pewno go znajdzie? A może już znalazł?

Być może. Miałoby to jedną, jedyną dobrą stronę. Nikt nie mógłby wtedy żądać, aby Rose sama udzieliła informacji albo żeby jej mąż ją do tego zmusił, takjak chciał Norbury.

Jednak nadal wisiała nad nią groźba oskarżenia o współudział. Właściwie byłoby to teraz bezcelowe, chyba że Royds miałby trudności z wytropieniem Longwortha w licznych tokańskich miasteczkach.

- Dlaczego tak się przejąłeś tym prawnikiem i listem Tima? - Była bardzo przygnębiona, jednak zachowała jasność myśli. - Skoro wycofałeś się z tej sprawy, skoro nie chciałeś znać jego nazwiska i nazwy miasta, dlaczego zareagowałeś tak gwałtownie, gdy dowiedziałeś się o tym liście?

Przyszedł, by wszystko jej powiedzieć. Być z nią absolutnie szczery, jak prosiła tamtego dnia, gdy spotkali się w Regent's Park. Patrzył na jej rozpacz i rozważał, co naprawdę oznaczała absolutna szczerość w sytuacji takiej jak ta. Może niebezpieczeństwo już minęło. Jeśli Royds sam znajdzie Longwortha, nikt nie będzie grozić, że wskaże Rose jako współniczkę.

- Rose, chodzi o ciebie. Widziałem się z prawnikiem i zażądałem, by spalił list. Powiedziałem, że nie cofnę zastawu, więc upoważnienie jest bezwartościowe. Najlepiej je zniszczyć, żeby

nikt nie wiedział, że dostałaś wiadomości o miejscu pobytu twego brata.

- Czy on spalił list?

- Widziałem, jak wrzucił go w ogień.

To ją najwyraźniej uspokoiło. Chyba bardziej niż powinno. Była jednak zbyt smutna i rozstrojona, aby analizować jego słowa i zauważyć niedomówienia.

Yardley rzeczywiście spalił list, jednak najpierw Kyle go przeczytał. Zresztą, mimo że list był już zniszczony, Yardley wiedział, że został napisany i wysłany do Roselyn Longworth. Prawnicy byli zobowiązani do dyskrecji w sprawach swoich klientów, jednak nie wiadomo, czy pod presją Yardley zachowałby milczenie na temat bieżącej korespondencji pomiędzy Roselyn a jej bratem przestępcą.

Rose miała wrażenie, że wisi nad nią miecz. Niemal widziała jego skierowane ku sobie ostrze.

Każdy jej dzień zaczynał się od smutnego rytuału. Kyle wstawał tuż przed świtem, pozbawiając ją ciepła swych ramion. Nie mogła już potem zasnąć. W końcu schodziła na dół do jadalni, gdzie Kyle czytał korespondencję i poranne gazety. Z każdym kolejnym krokiem szykowała się na najgorsze.

W ten sam sposób zaczął się też dzień, w którym Rose miała iść na kolację u Alexii. Myśl o ubieraniu się na to przyjęcie, o udawaniu spokoju i wesołości, przyprawiała ją o mdłości.

Nie chciała pić kawy, ani jeść. Kyle podsunął jej gazety.

- Nic - powiedział.

Omal nie zemdląca z ulgi. Spojrzała na stos jego listów. Uznała, że tam pewnie też nic nie ma.

- Któregoś dnia coś w końcu będzie - rzuciła.

- Nie mamy co do tego pewności. Oczywiście, że mieli.

Rose wyobraziła sobie Tima, włóczącego się po włoskim miasteczku. Jego jasne włosy demaskowały go jako Anglika, tak

samo jak jego język. Zupełnie bez sensu posługiwał się tym samym nazwiskiem, które przyjął po ucieczce z Anglii. Sprawdziła na mapie, że Prato to niewielkie miasto położone dosyć blisko Florencji.

Royds zapewne znajdzie Tima bez żadnych problemów. Gdy go aresztuje i przywiezie z powrotem do Anglii, Tim zostanie publicznie nazwany złodziejem, osądzony i skazany...

- Kochanie, nie zadrezczaj się tym.

Spojrzała na Kyle'a. On wiedział, wokół czego krążą jej myśli.

Ta sprawa dotknie również jego. Jego pozycja, może również budowa domów w Kent zostaną zagrożone przez jego związek z tak poważnym oszustwem. Nigdy o tym nie mówił. Zachowywał się, jakby to nie miało znaczenia, że jego piękna, splamiona skandalami żona może cofnąć jego karierę o kilka ładnych lat.

Ta myśl sprawiała jej ból. Martwiła się przede wszystkim tym, że zamiast pomóc Kyle'owi, małżeństwo z nią bardzo mu zaszkodzi.

- Kiedy wyruszysz do Alexii? - spytał.

- Mniej więcej o dziewiątej. Tak naprawdę nie chcę iść.

- Jak już pójdziesz, będziesz się dobrze bawić. Rose, nie możesz tylko siedzieć w domu i wyczekiwać. Nie wiemy, co się stanie, więc powinniśmy żyć normalnie i z nadzieją patrzeć w przyszłość.

W tych słowach było trochę racji. Rose jednak niezbyt już pragnęła życia, które symbolizowało to przyjęcie.

- Postaram się, by Alexia była ze mnie dumna. - Pomyślała, że Kyle też nie miał dotąd zbyt wielu powodów do dumy.

- A jeśli mamy z nadzieją patrzeć w przyszłość, to może wkrótce sami urządzimy u nas kolację. Moglibyśmy na nią zaprosić twoich przyjaciół. Nie chcę, byśmy wiecznie obracali się w odrębnych kręgach, żyli w różnych światach.

Coś drgnęło w jego twarzy. Przez chwilę Rose zdawało się, że zauważyła na niej zaskoczenie, a nawet konsternację.

- Jeśli chcesz, możemy tak zrobić - powiedział. Wstał i pochylił się, żeby ją pocałować. - Postaram się wrócić, zanim wyjdiesz. Rose, zachwycisz ich wszystkich. Tak jak nieodmiennie zachwycasz mnie.

- Ach, więc wreszcie jesteś wolny, by spotkać się ze swym starym przyjacielem Jean Pierre'em. Twoja pani idzie swoją drogą, a ty swoją. Tak powinno wyglądać małżeńskie życie - rzucił nieco wstawiony Jean Pierre i leniwie spojrzął na karty, leżące przed nim na stole.

Jean Pierre wolał oczko od innych gier oferowanych w klubie, do którego czasem chodzili. Nie gustował w grach zależnych tylko od ślepego przypadku.

Kyle w ogóle nie przepadał za grami hazardowymi w żadnej postaci, ale od czasu do czasu był skłonny pograć za kilkaset funtów. Odwiedzał takie miejsca z innych powodów.

W tej chwili obserwował grę i rozmawiał z przyjacielem. Nie interesowały go przegrane i wygrane, tylko gracze. Nie ci, którzy tracili wszelki rozsądek i grali lekkomyślnie. Zwracał uwagę na mężczyzn, na których twarzach widział skupienie, ważenie szans, śmiałe decyzje. Szczególnie uważnie przypatrywał się tym, których stroje i maniery wskazywały, że są dobrze sytuowanymi dżentelmenami.

Kyle poznał wielu przyszłych udziałowców swoich spółek właśnie w domach gry.

- Jestem wolny, bo moja żona je kolację ze swoją kuzynką - wyjaśnił.

- Zatem jutro znów będę sam jak palec. To zawsze bardzo przykre, gdy przyjaciel zostaje wzięty na smycz.

- Nie jestem na smyczy. Nie możesz się ze mną włóczyć po mieście tylko dlatego, że wolę spędzać wieczory ze swoją żoną.

- Chyba zaraz zacznę się uzalać nad sobą. Cieszę się jednak, że znajdujesz przyjemność w jej towarzystwie i... - Jean Pierre

16 - Tajniki uległości

241

machnął od niechcienia ręką na określenie innych rzeczy, w których mąż może z żoną znaleźć przyjemność.

- Z tego, co słyszę, nie masz powodów do uzalania się nad sobą. Nie wydaje mi się, byś przez większość wieczorów miał ochotę włożyć się po mieście.

- Ach, chodzi ci o Henriette. - Jean Pierre zmarszczył brwi.

- Mówią na nią: Hen. Ze niby taka oderwana od rzeczywistości. Co za głupie zdrobnienie. Tylko dlatego, że nie chce im się wymawiać całego imienia. Czasami nie rozumiem was, Anglików. - Wymownie wzruszył ramionami. - Jest słodka, jeśli zbyt wiele nie gada, ale... - Znow zmarszczył brwi.

- Czyżby zapach tego kwiatu zaczynał już słabnąć, *mon ami*?

- spytał Kyle. Jean Pierre rzadko bawił dłużej w jakimkolwiek ogrodzie.

- Nie. Tylko... Mam wrażenie, że jestem sprytnie wykorzystywany.

Kyle nie mógł się nie roześmiać.

- Poznałem tę kobietę. Nie jest zbyt sprytna - rzucił.

- Nie rozumiesz. Ona też jest wykorzystywana. - Jean Pierre gestem odprawił rozdającego karty krupiera i przerwał grę. Wypił trochę wina. - Dwa tygodnie temu zjawił się u mnie posłaniec z krótkim liścikiem, w którym wspomniano, że pewna loża w pewnym teatrze będzie wolna i mogę z niej skorzystać, jeśli zabiorę ze sobą Henriette i jej córkę. Jak głupiec poczułem się zaszczycony tą propozycją i samym liścikiem. Jakiż to piękny papier. Jaki imponujący herb. Co za wysoko postawiony człowiek. Wprawdzie liścik ten zdradzał, że markiz wie o moim romansiku, ale nie przejąłem się. On jest człowiekiem bywałem w świecie, jego ciotka jest dojrzałą kobietą, a ja nikomu nie zagrażam. Wszystko w porządku.

- Zatem poszedłeś, jak przypuszczam.

- Siedzę tam sobie jak król. Odgrywam swoją rolę. Piorunuję wzrokiem młodzików, którzy przychodzą poplirtować z panną. Wiem, czego się ode mnie oczekuje.

- Doskonale. I jaki piękny gest ze strony Easterbrooka.

- Znam ten twój ton. Masz rację. Połknąłem haczyk. Już pięć razy publicznie towarzyszyłem memu kwiatuśkowi i jej córce w tych ekskluzywnych rozrywkach. Świat już teraz wie, że jestem kochankiem Henrietty. Niezręcznie będzie zakończyć ten romans, więc oczywiście potrwa on dłużej, niżbym chciał. Pomyślałem sobie, że markiz jest bardzo nieostrożny albo chce uniknąć obowiązku zabawiania jej. Teraz jednak dochodzę do wniosku, że złowił mnie na wędkę z innego powodu.

- Easterbrook ma opinię dziwaka. Może po prostu chce, by jego ciotka cieszyła się swym romansiem przez długi czas. Jean Pierre pokręcił głową.

- Jeśli tak, to po co córka? Zawsze jest z nami. To część umowy. Ciekawe, dlaczego jestem tak wykorzystywany. Co ty na to? Jaki jest powód?

Kyle się zamyślił. Mimo to zauważył przybycie kilku mężczyzn. Zaczerwienieniem na twarzach, podpici i weseli weszli, robiąc sporo hałasu. Czterech arystokratów, należących do grupy ścigającej Longwortha. Był wśród nich Norbury. Zachowywał się jak młodzieniaszek, choć powinien mieć dość rozsądku, by porzucić tę manierę parę lat temu.

Ten klub przyjmował wszystkich, których stać było na to, by grać o duże stawki. Oczywiście często bywali tu też ludzie z arystokracji. Kyle nie pierwszy raz widział tu Norbury'ego.

Skupił całą uwagę na przyjacielu, ignorując nowo przybyłych, by nie ściągnąć spojrzenia Norbury'ego.

- Wygląda na to, że Easterbrook faktycznie cię wykorzystuje - powiedział. - Znalazł sposób, by na jakiś czas pozbyć się ciotki i kuzynki z własnego domu.

- Bystry jesteś. Ja potrzebowałem dużo czasu, by dojść do tego. Czy cię to jednak nie dziwi?

- Nie.

- Pomyśl. To bardzo duży dom. Jeśli on nie chce ich towarzystwa, wystarczy, że uda się do innego pokoju, na inne piętro, do innego skrzydła. Jeśli chce, by wyszły z domu...

Kyle wzruszył ramionami. Jean Pierre cmoknął z irytacją.

- On chce, by ten wielki dom był pusty nie bez powodu. Coś tam kombinuje, gdy ich nie ma. Nie chce, żeby przypadkiem to zobaczyły. Kryje się w tym jakaś tajemnica. Ja to wiem.

Nie było żadnej tajemnicy, po prostu Easterbrook wolał samotność. Ktoś z towarzystwa Norbury'ego zauważył Kyle'a. Cała grupa podeszła do nich, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Mamy go - oznajmił sir Robert Lillingston.

- Kogo? - spytał Kyle, choć znał odpowiedź. Widział ją wypisaną na zadowolonej twarzy Norbury'ego. Niezależnie od tego, jak się dziś odbędzie kolacja u Alexii, Rose wkrótce czekają ciężkie chwile.

Chętnie dałby w pysk tym ludziom, którzy czerpali tyle satysfakcji z czegoś, co sprawi ból Rose. Nienawidził tego, że kiedyś był jednym z nich, nieważne, czy z powodu dumy, czy z poczucia sprawiedliwości.

Udało mu się ukryć swoją reakcję przed wszystkimi z wyjątkiem Jean Pierre'a, który przyglądał mu się uważnie.

- Longwortha - wyjaśnił Norbury z satysfakcją. - Pamiętasz go, prawda? Brat twojej żony.

Kyle nawet nie drgnął. Mimo to Jean Pierre położył mu dłoń na ramieniu.

- Royds znalazł go w Toskanii. To nie było trudne. Głupiec myślał, że zdoła się ukryć w małym mieście, a tylko jeszcze bardziej wyróżniał się jako cudzoziemiec - ciągnął Lillingston.

- Kiedy zostanie przywieziony? - spytał Kyle.

Ile czasu zostało, zanim zacznie się to, co najgorsze?

- Już tu jest - powiedział Norbury. - Royds go znalazł, zaciągnął do najbliższego portu i w tej chwili trzyma go pod kluczem na przedmieściach Londynu. Dziś po południu złożymy we czterech zeznania przed sędzią. Wkrótce osadzą go w Newgate.

Już złożyli zeznania. Byli pijani, bo świętowali zwycięstwo.

- Bradwell, chodź, przyłącz się do nas - powiedział Lillingston.

- Tak, przyłącz się - rzucił Norbury. - Tak jak my wszyscy byłeś oburzony złodziejstwem tego łobuza. Wypij z nami za to, że wreszcie za nie zapłaci, tak jak zapłaciłby każdy biedny górnik, gdyby ośmielił się coś ukraść.

Dłoń zacisnęła się Kyle'owi w pięść, jednak Jean Pierre przytrzymał mu rękę.

- Mój przyjaciel nie jest takim barbarzyńcą, by świętować zbliżający się kres życia jakiegokolwiek człowieka, a zwłaszcza brata swej żony - powiedział Jean Pierre z pogardą. - Idźcie już, zanim przestanę go powstrzymywać przed obiciem wam pijanych pysków.

- Kim ty jesteś, do diabła? - warknął Norbury. - Francuz, co? Pewnie francuski wieśniak, skoro Bradwell jest twoim przyjacielem.

Kyle wstał, gotując się do walki. Czekał na nią niecierpliwie, zadowolony, że ma pretekst do wyładowania swej złości.

Jean Pierre stanął przed nim i zwrócił się do Norbury'ego.

- Kim jestem? Powiedzmy, że człowiekiem, który sporo wie o chemikaliach. Mógłbym na przykład opowiedzieć o truciznach, których nie można wykryć. Ludziom takim jak wy ten temat zawsze wydaje się fascynujący.

Norbury powoli pojął ociążałym umysłem, że właśnie usłyszał groźbę. Próbował okazać pogardę i wyższość, co nie bardzo mu się udało, bo był pijany. W końcu odwrócił się na pięcie i chwiejąc się, odszedł. Jego kompani pociągnęli za nim.

Jean Pierre odwrócił się do Kyle'a, ale nadal zagradzał mu drogę.

- **Merde.** Czy straciłeś rozsądek? Ich było czterech na jednego. Po odejściu Norbury'ego Kyle'a opanował gniew.

- Czterech na jednego? Niezły z ciebie przyjaciel.

- Twój niezły przyjaciel powstrzymał cię właśnie przed niewyobrażalną głupotą. Ten przyjaciel nie nadstawi głowy,

by

bronić imienia człowieka, który jest złodziejem. Zgoda, jego siostra jest twoją żoną, ale jeśli ukradł on pieniądze, nie zmaże to jego winy.

Nie, nie zmaże. Ani w oczach Jean Pierre'a, ani nikogo innego. Nawet Kyle'a Bradwella, jak się nad tym dobrze zastanowić.

20

Rose wiedziała, jaki jest cel tej kolacji. Jednak sama miała też własne cele i wychodząc z domu Alexii, była przekonana, że prawdopodobnie uda się je zrealizować.

Goście przy stole należeli do najbardziej liberalnych w towarzystwie. Tak umyśliła Alexia. W trakcie rozmów z nimi Rose sprawdzała, na ile właściwe w ich przypadku jest to określenie.

Chętnie mówiła o Kyle'u. W kwiecistych słowach chwaliła jego najlepsze cechy i prawy charakter. Dwóch z obecnych dżentelmenów słyszało o spółkach Kyle'a i wyraziło chęć, by go poznać. Jeden z wielkim podziwem wspominał o honorowym zachowaniu Kyle'a wobec niej.

Trzy damy napomknęły o tym, że jest on na swój sposób przystojny, ma nieodparty urok i emanuje z niego niesamowita energia. Jedna z nich wyraziła żal, że Kyle nie mógł być obecny na tej kolacji.

Jadąc powozem do domu, Rose analizowała sukces dzisiejszego wieczoru. Niezaprzeczalnie odniosła zwycięstwo. Była jednak przekonana, że obecność Kyle'a u jej boku bynajmniej nie przeszkadzałyby w odbudowie jej pozycji w towarzystwie. Podejrzewała wręcz, że jeszcze by pomogła.

Przecież on też był aktorem w tym skandalu. Kilka osób opuściło oczy, gdy jeden z dżentelmenów nieopatrznie wspominał Norbury'ego przy okazji opowiadania jakiejś anegdoty.

Rose poszła do sypialni, zastanawiając się, kto z gości obecnych na tej kolacji zgodziłby się na bardziej bezpośredni kontakt. Gdyby sama urządziła kolację, na którą zaprosiłaby towarzystwo z różnych kręgów, kto przyjąłby zaproszenie? Pokojówka pomogła jej się rozebrać. Rose układała w głowie wstępną listę gości. Monsieur Lacrok to interesujący, inteligentny mężczyzna, nikt nie będzie protestował przeciw jego obecności. Lord Elliot i lady Phaedra zapewne też przyjdą.

Usiadła przy toaletce. Pokojówka rozczesała jej włosy. Rose przyjrzała się sobie w lustrze. Zobaczyła na swej twarzy lekki rumieniec wywołany emocjami wieczoru.

Doskonale się bawiła. Śmiała się, rozmawiała i ani przez chwilę nie czuła się jak osoba tolerowana tylko ze względu na Alexię.

Ta kampania ma szanse powodzenia. Całkiem realne szanse. Aż do dzisiejszego wieczoru do końca w to nie wierzyła.

Nie wierzyła, że zasługuje na wybawienie.

Ta myśl pojawiła się jej w głowie niespodziewanie, nie wiadomo skąd. Pogodziła się z tym, że grzechy jej rodziny wymagają kary, i to właśnie ona musi za nie odpokutować. Za grzechy wszystkich, nie tylko swoje.

Powoli ocknęła się z zadumy. Pokojówki nie było, szczotka leżała na toaletce.

- Rose, co cię tak pochłoneło, gdy patrzyłaś na swoje odbicie w lustrze?

Odwróciła się zaskoczona. Kyle stał przy drzwiach do swej gotowni. Widziała po jego stroju, że wychodził wieczorem, ale teraz był bez krawata, a koszulę miał rozpiętą pod szyją.

- Rozmawiałam sama ze sobą - odparła. - Zastanawiałam się, co widzę w swojej twarzy.

- Mam nadzieję, że coś dobrego. Wyglądasz na zadowoloną. Pewną siebie.

- Tak, coś dobrego.

- To chyba oznacza, że kolacja się udała. - Wyciągnął do niej rękę. - Chodź, opowiedz mi o tym.

Ujęła jego dłoń i poszła za nim do jego sypialni. Usiadła na łóżku i zaczęła opowiadać. Kyle leżał na boku i słuchał. Patrzył na nią w skupieniu, pochłonięty jej relacją.

Wzruszyła się, że Kyle dzieli z nią radość tego wieczoru. Od kłótni w jego biurze utrzymywał się między nimi nieuchwytny dystans. Teraz, skupieni na jej opowiadaniu, znów stali się sobie bliscy.

To ją skłoniło do dalszych zwierzeń.

- Naprawdę nie spodziewałam się takiej wielkoduszności ze strony tych ludzi. Nie wierzyłam, że będą dla mnie mili. Mimo planu Alexii, mimo że nasze małżeństwo uciszyło plotki o tamtej licytacji, naprawdę nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę mogła znów z dumą podnieść czoło.

- Cieszę się, że zrozumiałaś, jak bardzo się myliłaś. Czy właśnie to wyczytałaś ze swego odbicia w lustrze, gdy się u ciebie zjawilem?

- Tak. I nie tylko to. Uświadomiłam sobie, że przestałam wierzyć, że mam prawo chodzić z podniesionym czołem. Moja duma była tylko stalową zbroją, skrywającą poczucie winy z powodu grzechów całej mojej rodziny. Nawet ten romans... Gdy patrzę wstecz, z trudem poznaję kobietę, która tak się oszukiwała. To nie była Roselyn Longworth. To nie ja. Ta kobieta widziała tylko ponure perspektywy, wierzyła, że nie zasługuje na nic lepszego.

Kyle się zamyślił. Palcami bawił się rozpostartym na narzucie rąbkiem jej koszuli.

- Wykorzystałem cię, gdy oświadczyłem ci się, zanim odzyskałaś poczucie własnej wartości.

- To nieprawda. Nie mów tak. Zaczęłam odzyskiwać wiarę w siebie, jeszcze zanim mi się oświadczyłeś.

- Tak czy inaczej nie żałuję, że wykorzystałem odpowiedni moment, by się z tobą ożenić. Nigdy nie będę tego żałował, Roselyn.

Dziwna deklaracja. Tak szczerza, że wzbudziła w niej niepokój. Postanowiła odłożyć na później analizowanie jego słów.

Widziała w jego spojrzeniu ciepło. Płynęło z głębi serca, podobne do radości i spokoju, które sama czuła w tej chwili. Zobaczyła też płonące w jego oczach pożądanie, które przejęło drzeniem całe jej ciało. Kyle zaczął przesuwać dłonią po jej nodze, jeszcze bardziej wzmacniając to wrażenia. Rose zauważyła jednak w jego spojrzeniu coś jeszcze.

Dumę. Nie z siebie, tylko z niej. Nigdy dotąd jej nie zauważyła. Albo jej tam nie było, albo była na nią ślepa.

- Kyle, cieszę się, że nie żałujesz. Zawsze uważałam twoją propozycję za nierozsądną, bo poza ładną buzią niewiele dostałeś w zamian.

- Nie będę kłamał i mówić ci, że twoja uroda nie miała wpływu na to, iż ciebie zapragnąłem. Jednak nie jest już najważniejsza. - Pociągnął koniec tasiemki wiążącej przy szyi jej koszulę. - Co nie znaczy, że twoja uroda już na mnie nie działa.

Zachichotała i odepchnęła jego rękę. Roześmiała się i przesunął dłonią po jej nodze aż do pośladków. Odsunęła się poza zasięgię jego ręki i ukłękła.

Radość ją oszołomiła, dodała odwagi. Czuła się, jakby przez cały rok ciągnęła ciężki wóz i nagle została uwolniona z uprzęży.

Wrażenie było zupełnie inne niż tamtego dnia na wzgórzu. Nie uciekała przed ciężarem trosk w fantazję, w której stawała się kimś innym. Była sobą, Roselyn Longworth, a ten intrygujący, inteligentny mężczyzna, ten jej niezwykle mąż, uznał, że może być z niej dumny.

Kyle leżał na boku i patrzył na nią, z ręką wyciągniętą, by ją pochwycić, gdy tylko znajdzie się bliżej. Wśród radości nagle ogarnęło ją wzruszenie. Łzy napłynęły jej do oczu.

Sama pewnie nie zdołałaby odnaleźć siebie. Mogłaby nigdy nie uwolnić się od tego ciężkiego wozu. Los okazał się dla niej łaskawy, zsyłając tego mężczyznę, by zmienił jej życie.

Uniosła koszulę nocną do góry i zdjęła przez głowę. Klęczała przed nim naga. Wpatrywał się w nią długo. Usiadł i wyciągnął do niej rękę.

Ujefejego dłoń i przysunęła się bliżej. Popchnęła go, by się położył. Przełożyła nogę ponad jego biodrami i usiadła mu na udach.

- Kyle, wiele od ciebie otrzymałam. Wiele mi dałeś, nie tylko wybawienie, które przyrzekłeś. Zobaczysz, że kobieta, którą się na powrót stałam, nie jest tak samolubna i skupiona na sobie jak ta, której się oświadczyłeś.

Powoli przesunął dłońmi w dół jej ciała.

- Nie rób ze mnie świętego. Zapewniam cię, że biorę przynajmniej tyle samo, ile daję - powiedział.

- Zastanawiam się, czy to prawda. Dziś w nocy chyba będę miała okazję się przekonać. - Zaczęła rozpinąć mu spodnie.

Nie pomagał jej, gdy go rozbierała. Pozwolił, by ściągnęła mu koszulę, zanim rozpięła mankiety, i tylko uśmiechnął się, gdy próbowała się uporać z problemem.

- Przypuszczam, że z czasem dochodzi się do wprawy - powiedziała.

- Rose, możesz ćwiczyć tak często, jak zechcesz.

Nie musiał jej tego mówić. To szamotanie się z ubraniem bardzo mu się podobało, mimo jej niezdarności.

Podniecało go. I to bardzo, sądząc po wybrzuszeniu w jego spodniach, które czuła między nogami.

Ten dotyk ją ekscytował i trochę spowalniał jej ruchy. Gdy przesunęła się na bok, by zdjąć Kyle'owi spodnie i bieliznę, czuła tam w dole, między udami, gorące, wyraźne pulsowanie.

Gdy był już nagi, usiadła mu na nogach bliżej kolan. Spojrzał w dół swego ciała, na nią i na nabrzmiąły członek wzniesiony między nimi.

- Co teraz, Roselyn?

Desperacko go pragnęła. Chciała przesunąć się do przodu, unieść się i przyjąć go w siebie. Poczuć wypełniające ją rozkoszne ciepło i wspiąć się ku cudownemu spełnieniu.

- Ty mi powiedz, Kyle.

Zobaczyła, jak cały napina się z pożądania. Oczy mu pociemniały, lekki uśmiech był pełen wyczekiwania.

- Dotknij mnie. Pocałuj - szepnął.

Nie miał na myśli swoich ust ani torsu. Rose nagle zabrakło śmiałości, poczuła, że brak jej doświadczenia.

Kyle zrozumiał jej wahanie. W jego uśmiechu nie było rozczarowania. Sięgnął, by przysunąć ją bliżej siebie.

Przesunęła palcem wzdłuż jego członka.

Dotykała go już wcześniej. Nie było to niczym nowym, tyle że teraz siedziała i patrzyła, jak on na to reaguje. To ją niesamowicie podnieciło. Czowała pod pośladkami lekkie ruchy jego nóg, widziała zdumiewającą wrażliwość jego skóry na jej dotyk. Rozkosz popłynęła spiralnie w dół jej ciała. Zadrżała, a przecież nawet jej nie dotknął.

To pokonało jej nieśmiałość przed pieszczotami. Kyle miał rację, że dając rozkosz, również ją otrzymywał. Nie do wiary, jak wiele teraz otrzymywała. Tak wiele, że było czymś zupełnie naturalnym, wręcz koniecznym, by ofiarować mu jeszcze więcej. Nie zastanawiała się już ani chwili. Pochyliła się i pocałowała go.

Nie wiedziała, co ma dalej robić. W tej pozycji było jej trochę niewygodnie. Uklękła obok niego, by łatwiej jej było sięgać ustami. Ciche „tak” szeptałe przez zaciśnięte zęby mówiło jej, kiedy te pieszczoty sprawiały mu szczególną rozkosz.

Prawie doszła do szczytu, podniecana silnym drżeniem, które czuła głęboko w sobie. Gdy Kyle uniósł ją do góry, myślała, że wreszcie się połączą, tak jak tego pragnęła.

On jednak przesunął ją w górę łóżka.

- Uklęknij tutaj - powiedział.

Znalazła się przy jego ramionach. Głaskał ją palcami tam, gdzie go najbardziej pragnęła. Chwyciła się wezglowia, gdy Kyle zsunął się niżej. Zaczął ją całować jak nigdy dotąd, pieścił ustami i językiem. Przeszyły ją niesamowite, cudowne dreszcze.

Spłynęła na nią rozkosz i pełne krzyku pragnienie. Przejmujące doznania odebrały jej siły i wolę. Słyszała siebie, jak błaga go na jednym oddechu, by nie przestawał.

Posłuchał jej. Kurczowo chwyciła się wezgięcia, gdy doprowadził ją do gwałtownego zaspokojenia. Począł, aż na powrót odzyskała zmysły, i znów doprowadził ją do szaleństwa.

I tak trzy razy. Za ostatnim Rose myślała, że zemdleje. Nie miała już siły. Nie czuła już nic. Zatracała się w rozkoszy.

Kyle przesunął ją w dół, uniósł delikatnie i wsunął się w jedyne miejsce, które jeszcze pulsowało w niej życiem.

Położył sobie Rose na piersi, przytulił i wszedł w nią do końca. Ocknęła się z pełnego zachwyty rozmarzenia, gdy się w niej poruszył. Westchnęła. Przysunął ciepłe usta do jej ucha.

- Za wcześnie? - spytał.

- Nie. Myślałam, że już umarłam. Myliłam się. - Ugięła nogi w kolanach, by poczuć go głębiej.

Poruszał się powoli, do końca, na nowo budząc pragnienie i głód. Tym razem silniejsze, bardziej przejmujące i skupione. Mgła spowiała jej świadomość, jednak czuła go wyraźnie, w pełni, do głębi. Zacisnęła się wokół niego i kołysała w zgodnym rytmie, zachwycona, gdy jego ruchy stały się szybsze.

Tym razem było inaczej. Drgania skupiały się w miejscu, gdzie ją wypełniał. Pulsowały silnie w dole brzucha, coraz mocniej i szybciej, jednak cały czas koncentrowały się tam, gdzie byli złączeni. Nie mogła tego znieść, nie mogła uwierzyć, że rozkosz może być tak potężna. Kyle chwycił ją za biodra i unieruchomił, jakby chciał ich zespolić ciałem i duszą.

Koniec był ciemnością pełną wrażeń. Nawet gdy Rose już osunęła się na niego wyczerpana, rozkosz nadal przepływała niepowstrzymaną falą, przynosząc przesyconą spokojem bliskość.

Następnego ranka Rose obudziła się późno. Około dziewiątej, sądząc po świetle sączącym się przez zasłony.

Usiadła na łóżku i zobaczyła, że Kyle siedzi w fotelu przy oknie i przygląda się jej. Był już ubrany, jednak w sypialni nie zauważyła śladów obecności służby. Żadnej kawy, śladów sprzątanego kominka, dokładania do ognia.

Kyle siedział w półmroku. Wyprostował się, ale nie odezwał ani słowem.

- Dlaczego tam siedzisz? - spytała.

- Czekalem, aż się obudzisz. Przyjemnie było patrzeć, jak śpisz.

- Wygląda na to, że długo patrzyłeś. Przespałam chyba pół dnia. To do mnie niepodobne, ale tym razem chyba jestem usprawiedliwiona.

- Nie tak długo. Sam wstałem zaledwie godzinę temu.

- Ty też jesteś usprawiedliwiony.

Nie podchwycił jej figlarnych uwag co do ostatniej nocy. Wstał z miejsca.

- Niewiele spałem.

Podszedł do łóżka. Rose zobaczyła to, co skrywał półmrok. Po radości ostatniej nocy nie zostało śladu. Teraz nie było w nim beztroski. Jego poważna mina przejęła ją trwogą.

Usiadł na łóżku i zwrócił się twarzą do niej.

- Muszę ci coś powiedzieć. Wolałbym tego nie robić, ale nie chcę, żebyś się tego dowiedziała gdzie indziej.

Lodowaty strach ścisnął ją za gardło.

- Chodzi o mojego brata, prawda? Kiwnął głową.

- Został już przywieziony do Anglii. Złożono przeciwko niemu zeznania.

Podciągnęła wyżej prześcieradło.

- To pierwszy ranek, gdy nie obudziłam się z obawą, że usłyszę na powitanie takie wieści. I właśnie dziś je usłyszałam.

Pogłaskał ją po policzku. Pieszczota dodała jej otuchy, jednak lęk nie ustępował.

- Piszą już o tym w gazetach?

- Nie. Jeszcze nie.

- To jak ty się o tym dowiedziałeś?

- Usłyszałem wczoraj wieczorem.

Wczoraj wieczorem. Przywitał ją uśmiechem i wysłuchał jej opowieści o udanej kolacji u Alexii. Doskonale wiedział, że ten sukces przestanie mieć znaczenie, gdy wyjdzie na jaw aresztowanie jej brata.

- Ukryłeś to przede mną.

- Gdybyś dowiedziała się o tym zeszłej nocy, nic by to nie dało, poza tym, że byłabyś nieszczęśliwa o kilka godzin dłużej.

- Rozumiem. Chciałeś, bym przez chwilę cieszyła się swobodą, zanim wrócę do więzienia stworzonego przez skandal. Posadziłeś mnie przy suto zastawionym stole, wiedząc, że wkrótce rozpacz odbierze mi apetyt nawet na najprostszy posiłek.

- Coś w tym stylu - mruknął i wstał. W jego niebieskich oczach zobaczyła współczucie, ale też determinację. - Rose, wiedzieliśmy, że ten dzień nadejdzie. Jakoś go przeżyjesz. Już ja się o to postaram. Na razie jednak powinnaś zerwać kontakty towarzyskie, dopóki nie dowiem się, jak stoją sprawy. Jeśli odwiedzi cię ktoś spoza rodziny, nie przyjmuj go. Daj do zrozumienia, że jesteś chora.

- Wcale nie skłamię. Już jestem chora ze strachu. Biedny Tim. Spowaźniał. Jak zawsze, gdy padało imię jej brata.

- Roselyn, obiecywałem ci, że dzięki naszemu małżeństwu zostanie ci oszczędzone to, co najgorsze. Postaram się cię ochronić. Cokolwiek się stanie, pamiętaj, to mój jedyny obowiązek i jedyna troska.

Jego zdecydowanie napełniło ją spokojem i dodało otuchy. Ogarnęły ją emanujące z Kyle'a siła i pewność. Troska o brata na chwilę w niej przycichła.

Napłynęły wspomnienia ostatniej nocy. Echa radości i rozkoszy pulsowały bezgłośnie. On jednak je usłyszał. W sypialni, w przestrzeni między nimi, odżyła intymność, mimo że Kyle szykował się, by w imieniu Rose stawić czoło światu.

- Kyle, ostatniej nocy pewnie trudno ci było udawać, że wszystko jest w porządku. Zwłaszcza że ta sprawa dotknie poważnie również ciebie. Cieszę się, że zataiłeś przede mną prawdę. To dobrze, że podarowałeś mi tych kilka godzin spokoju.

- Wcale to nie było trudne. Uległem czarowi kobiety, która odnalazła własne szczęście. Nie zastanawiałem się nad tym, co mnie czeka, gdy opuszczę łóżko. - Ujął jej podbródek i spojrzał jej w oczy. - Kochanie, ucztą, którą wspólnie cieszyliśmy się, nasyciła nie tylko moje ciało.

Pochylił się, pocałował ją i wyszedł z sypialni.

Kyle zatrzymał się na chwilę pod drzwiami sypialni. Nasłuchiwał dźwięków dochodzących z wewnątrz.

Nie słyszał łkania, którego się spodziewał po swoim wyjściu. Rose zmobilizowała się, usłyszawszy, że miecz wreszcie spadł.

Łzy jednak wkrótce się pojawią. Starał się nie myśleć o cierpieniu, które ją czeka. Odczuwał je tak samo jak ona, jakby jej udręka płynęła wprost do jego serca.

Nie mógł jej oszczędzić smutku związanego z Timothyem. Mógł tylko starać się jak najlepiej odizolować ją od wydarzeń, by miała szansę zacząć życie od nowa, gdy jej brat zawiśnie już na szubienicy.

Kyle zszedł na dół i kazał osiodłać konia. Przed wyjściem z domu wysłał wiadomość do lorda Hayden, że Longworth został aresztowany. Jeśli lord Hayden miałby składać przed sędzią zeznania na temat kradzieży i spłat, lepiej, żeby się do nich przygotował.

Godzinę później Kyle wszedł do kawiarni na Strandzie. Stał przy drzwiach i czekał, aż zauważy go mężczyzna grający w szachy przy stole. Tamten lekko kiwnął mu głową i na powrót zajął się grą.

Kyle usiadł na krześle w pobliżu dużego okna i czekał. Pół godziny później Norbury przegrał partię. Niezbyt zadowolony wstał i podszedł do Kyle'a. Usiadł na krześle obok, zamówił kawę, rozparł się wygodnie i poddał Kyle'a dłuższej obserwacji.

- Przyszedeś. To bardzo rozsądne - powiedział Norbury.

Wezwanie czekało na Kyle'a dziś rano, gdy się obudził. Zapewne zostało napisane w nocy. Gdy w jednym z domów na Mayfair dwoje ludzi łączyło się w rozkosznym spełnieniu, w innym pewien człowiek, niewątpliwie nadal pijany i wściekły po scysji w klubie, knuł nikczemne plany.

Kyle nie powiedział Rose o liściku od Norbury'ego. Bywały chwile, gdy absolutna szczerłość okazywała się nie najlepszym rozwiązaniem.

- Powinieneś przeprosić - oświadczył Norbury.

- Pana? Obraził pan mnie i moją żonę. W przyszłości powinniśmy ograniczyć kontakty do ściśle formalnych i nie spotykać się towarzysko w kawiarniach.

- Umówiłem się na partię szachów. Nie jestem skłonny zmieniać planów dla takich jak ty. - Norbury powoli zamieszał kawę. - Musimy omówić sprawę jej brata. Gdyby nie to, rozmawiałbym z tobą tylko za pośrednictwem prawnika.

- Nie mam nic do powiedzenia na temat jej brata.

- Nie masz? Będziemy naciskać, by rozprawa odbyła się jak najszybciej. Musisz na niej zeznawać.

Kyle rozejrzał się po kawiarni. Na ogół były to lokale dostępne dla różnorodnej klienteli, jednak akurat ten chciał przyciągnąć ludzi bogatych, wysoko postawionych. Widać to było po wyściełanych kanapach i fotelach, a także oferowanych kosztownych cygarach. Kyle wołał kawiarnię Kendala na Fleet Street, gdzie umawiali się na spotkania kupcy i inżynierowie.

- Nie będę zeznawał. Powiedziałem, że się wycofuję i nie chcę mieć z tym absolutnie nic wspólnego.

- Zrobisz, co ci mówię, chyba że chcesz, by twoja żona również znalazła się w więzieniu.

Kyle nie zażądał wyjaśnień. Norbury wydawał się zbyt zadowolony z siebie, by mogła to być czcza pogróżka.

- W zeszłym tygodniu dotarła do mnie bardzo ciekawa pogłoska - powiedział Norbury. - Lillingston widział się ze swoim

prawnikiem i wspomniał o Longworcie. Prawnik powiedział, że Yardley, prawnik Longwortha, otrzymał od niego list i upoważnienie, by sprzedać posiadłość, którą uchronił Rothwell. Chciałem odkryć, gdzie się zaszły Longworth, więc odwiedziłem Yard-leya.

Norbury czekał, by Kyle zaczął go wypytywać, on jednak nie chciał mu dać tej satysfakcji.

- Powiedział mi o tym liście i co on zawierał. Był zaadresowany do twojej żony. Przeczytałeś go, zanim kazałeś go spalić, więc wiesz, że zamierzała do niego pojechać. „Przywieź mi pieniądze”. Tak właśnie napisał.

- Pieniądze ze sprzedaży posiadłości. Zresztą Roselyn nigdzie nie wyjechała.

- A któż to wie, czy chodziło tylko o pieniądze ze sprzedaży? Yardley nie pamięta dokładnie, a twoim słowom nie można wierzyć.

Czy to by wystarczyło? Ludzie są skłonni przypisywać innym wszystko, co najgorsze. Jeśli wziąć pod uwagę zwrot pieniędzy przez lorda Hayden w imieniu człowieka, który uciekł przed wymiarem sprawiedliwości, a także niefortunny romans Rose z jednym z okradzionych przez jej brata... I ten ostatni element, ten list... To mogłoby wystarczyć.

- Tylko ty nie zostałeś spleciony - powiedział Norbury. - Niby nie powinno to mieć znaczenia. Samo fałszerstwo wystarczy, by wysłać go na szubienicę, ale czasami ława przysięgłych zachowuje się dziwnie. A lord Hayden ma na tyle wysoką pozycję, że może wpłynąć na ławę przysięgłych. Ty jesteś jedynym pokrzywdzonym, który nie został spleciony. Obrona nie może użyć argumentu, że otrzymałeś zadośćuczynienie. Musisz zeznawać. Będziesz zeznawał albo już ja się postaram, by tę twoją Rose osądzono razem z nim.

- Na Boga, pan chyba musi być bękartem. To niemożliwe, by człowiek taki jak pański ojciec spłodził kogoś takiego jak pan.

17 - Tajniki uległości

257

- Pamiętaj, że mój ojciec powoli żegna się z życiem. Nie zapominaj, gdzie twoje miejsce, nie waż się mnie więcej otwarcie obrażać. - Norbury walnął pięścią w stół. - Jesteś zbyt otumaniony przez tę zbrukaną turkawkę, by widzieć prawdę. W porządku, chcesz być zamroczonym durniem, to proszę bardzo. Ale będziesz zeznawał na procesie Longwortha.

Tak, chyba będzie do tego zmuszony. Norbury zdołał zastawić całkiem sprytną pułapkę.

- Pańska nieustępliwość wobec rodziny mojej żony zakrawa na obsesję. Prześladowanie brata Rose jest nieuzasadnione, mimo wszystkich jego przestępstw. Przecież otrzymał pan zwrot pieniędzy. A jeśli chodzi o Roselyn, nie dość, że zachował się pan wobec niej haniebnie, to jeszcze teraz grozi pan kobiecie, która jest niewinna, o czym pan wie.

- Nic takiego nie wiem. A jeśli chodzi o moje zainteresowanie tą rodziną... Nikomu, kto robi ze mnie głupca, nie ujdzie to na sucho. Nikomu.

Kyle wyszedł bez słowa. Stał na zewnątrz i głęboko odetchnął świeżym powietrzem. Właśnie usłyszał ostrzeżenie. Czy Norbury zdawał sobie sprawę z tego, że zdradził swoje zamiary?

Wiele lat temu syn górnika zrobił z Norbury'ego głupca. W grudniu zeszłego roku zrobił to ponownie. A wkrótce ochronna tarcza hrabiego Cottington zniknie.

21

Tej nocy Kyle przyszedł do Rose, jednak nie połączyła ich namiętność. Nie było rozkoszy, zaspokojenia, radości i zabawy. Leżał tylko przy niej, obejmując ją ramieniem. Rose przycisnęła głowę do jego piersi, wsłuchując się w rytm jego serca, odmierzający kolejne minuty nocy.

Ofiarował jej spokój, jakby wiedział, że właśnie tego teraz potrzebowała. Przez cały dzień próbowała odsunąć od siebie obrazy Timothy'ego na szubienicy. Bezskutecznie. Drobne, codzienne sprawy na chwilę odwracały jej uwagę, a potem na nowo ogarniała ją panika.

Nie wiedziała, jak długo ją tak tulił w kojącej ciszy i ciepłe. Zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie chciał przy niej trwać.

W tej chwili współczuł jej w smutku. Ale za tydzień, za miesiąc, czy nadal będzie jej ofiarowywał pociechę? I czy ona nadal będzie wierzyć, że Kyle zrezygnuje z dochodzenia sprawiedliwości, jeśli w ten sposób będzie mógł oszczędzić jej bólu?

W swej rozterce poddała się jego sile. Tej nocy wyczuwała ją bardzo wyraźnie. To ona sprawiała, że w sypialni panował spokój, odsuwała na bok okropne obrazy przyszłości Tima.

To jednak oznaczało, że w ich miejsce pojawiały się przed oczami Rose inne. Wizje Kyle'a, który cierpi pogardę towarzystwa z powodu swych koligacji z nikczemnym złodziejem. Do tej pory nie dotknął go żaden skandal. Jego udział w tamtej licytacji nie splamił jego honoru.

Kyle nie wiedział, jakie to będzie okropne. Nie wiedział, jak to jest, gdy porzucają cię starzy przyjaciele, a wszystkie głowy odwracają się w drugą stronę, gdy wchodzisz.

To nie w porządku. Jedynym jego przestępstwem było to, że się z nią ożenił. Będzie musiał jednak zapłacić za ten związek.

Powinna była bardziej zdecydowanie ostrzec go, gdy proponował jej tę drogę wybawienia. Powinna była przewidzieć, że sprawy mogą się ułożyć inaczej, niż przewidywał. Ze ratując ją, sam zostanie pogrążony przez jej przekłętą rodzinę. Zbyt chętnie przyjęła jego optymistyczny punkt widzenia.

Objęła go mocniej w reakcji na emocje, które ścisnęły jej serce. W odpowiedzi pocałował ją w czubek głowy.

- To bardzo przyjemne - powiedziała. - Ciemność i cisza. Ciepło twego ciała.

- Tak.

Położył się na niej. Wsunął się biodrami między jej uda i podparł na łokciach. Pochylił nad nią głowę i opuszkami palców obrysował jej twarz, podbródek i nos, oczy i wargi.

- Widziałem się po południu z lordem Hayden. Dowiedział się już więcej, niż ja bym zdołał w ciągu tygodnia. Dziś rano Timothy stanął przed sędzią. Został osadzony w więzieniu Newgate. Proces odbędzie się wkrótce. Pewne osoby naciskają na szybką rozprawę.

Wkrótce. Szybko. Może tak będzie najlepiej. Dla wszystkich z wyjątkiem Timothy'ego.

- Czy już powszechnie wiadomo, że został schwytany? - spytała.

- Jutro gazety będą pełne sensacyjnych doniesień.

- Pojutrze też. I następnego dnia. I tak dzień po dniu, dopóki to się nie skończy. Kyle, zostałam dziś w domu, tak jak mi kazałeś. Chyba jednak nie wytrzymam tego zbyt długo. Zresztą nie sądzę, że powinnam siedzieć w domu. Będzie wyglądało na to, że się ukrywam. Albo że się wstydzę. Czyny Tima są godne potępienia, jednak nie powinnam zachowywać się tak, jakbym to ja popełniła przestępstwo.

Wyczuła, że Kyle patrzy na nią w ciemności.

- Rose, jesteś pewna, że chcesz się z tym zmierzyć? Dasz radę? Czy była pewna? Cztery miesiące temu nie odważyłaby się

stawić czoło światu. Jak owca prowadzona na rzeź wzięła na siebie grzechy Tima.

Teraz już patrzyła z innej perspektywy. Przede wszystkim była panią Bradwell, a nie siostrą Longwortha. Jest podziwiana przez prawego człowieka, który obdarzył ją uczuciem. Lęk o Tima na pewno będzie ją dręczył w nadchodzących dniach, na pewno będzie odczuwała smutek, ale Kyle miał rację. Jakoś to przeżyje. Nie pozwoli, by jej brat znów zrobił z niej ofiarę.

A co najważniejsze, nie pozwoli, by Tim zaszkodził Kyle'owi. A może się tak stać, jeśli ona się ukryje, nie stanie wobec świata z podniesionym czołem.

- Oczywiście nie chcę przez to przechodzić. Jednak w tym przypadku, nawet bardziej niż przy poprzednim skandalu, myślę, że powinnam.

- Nie jesteś w stanie go uratować. Nie ma nic na swoją obronę - powiedział.

- Wiem.

- Może nie będzie tak źle. Alexia stanie przy twoim boku. Lady Phaedra też. I ich mężowie.

O, na pewno będzie źle. Nie był w stanie sobie wyobrazić, jak bardzo źle. Nie będzie mu jednak co noc opowiadać o swoim cierpieniu.

- Najważniejsze, że i ty będziesz przy mnie.

Czuła, że wpatruje się w nią z napięciem. Pocałował ją. W delikatnym dotyku ust na jej wargach nie było oczekiwania ani pożądania. A i tak ją poruszył. Serce zabiło jej mocniej.

- Rose, musisz o czymś wiedzieć. Lord Hayden będzie zeznawał na procesie. Opowie, jak spłacił pokrzywdzonych, ale tym samym w pełni potwierdzi zarzuty. On nie ma wyboru. Zostanie wezwany i będzie musiał się stawić. - Zawahał się. - Ja też będę wezwany, jako jeden z tych, którzy ponieśli straty.

- Straty, które w twoim przypadku nie zostały spłacone.

- Tak.

Czuła, jak Kyle zbiera siły, by stawić czoło jej reakcji. Być może spodziewał się wybuchu pełnego łez i emocji. Może myślał, że odepchnie go w gniewie.

Nie zrobi tego. Nie mogłaby. Musiała jednak przyznać, że w sercu buntowała się przeciw konsekwencjom jego „tak”. Ze wszystkich zeznań na procesie jego będą najbardziej obciążające.

- Musisz? - szepnęła.

- Obawiam się, że tak. Jeśli nawet ma to popsuć stosunki między nami.

Chciała powiedzieć, że to niczego nie zmieni. Bała się jednak, że może być inaczej. W jej sercu już zamykały się drzwi, by uchronić ją przed rozczarowaniem. Choć wiedziała, że Kyle jest

szlachetnym człowiekiem, trudno będzie nie czuć się zdradzoną, jeśli to jej mąż pošle jej brata na szubienicę.

- Dlaczego musisz? Bo nakazuje ci to honor? Poczucie sprawiedliwości? - rzuciła te słowa ostrzej, niż zamierzała. -

Możemy wyjechać z Londynu. Jeśli znajdziesz się poza obszarem jurysdykcji sądu, nie będziesz musiał zeznawać.

- W tej sprawie nie obchodzi mnie już sprawiedliwość. Nie przejmuję się mym honorem. Po prostu muszę to zrobić.

Proszę, byś się z tym pogodziła i wybaczyła mi, choć wiem, że zapewne nie będziesz w stanie.

Położył się na powrót u jej boku, jednak jego uścisk nie był już taki kojący. Rose mimo wszystko cieszyła się, że

Kyle z nią został. Czerpała spokój z jego obecności. Starła się nie myśleć

o ich uścisku z ostatniej nocy, który obiecywał o wiele więcej.

W wieczór przed rozprawą Timothy'ego Longwortha Kyle stał się uczestnikiem dziwnej sceny, która rozegrała się na oczach całego towarzystwa w teatrze Drury Lane.

Zaczął się dosyć zwyczajnie. Jean Pierre znów otrzymał liścik od Easterbrooka z zaproszeniem, by skorzystał z łoża w teatrze. Jean Pierre zaproponował, by Kyle też się wybrał i zabrał ze sobą Roselyn. Rose uznała, że będzie to doskonała okazja, by stanąć przed światem z podniesionym czołem. O wyznaczonej godzinie Kyle zaprowadził ją do rezerwowanej przez Easterbrooka łoża.

Na pewno zostali zauważeni. Rose uśmiechała się z miną pełną godności. Udowodniła, że potrafi dzielnie stawić

czoło towarzystwu. Kyle jednak widział po jej oczach, że spojrzenia

i szeptu sprawiały jej ból.

Wkrótce tłum przestał zwracać uwagę na Rose. Drzwi łoża otworzyły się i wszedł lord Elliot ze swą ekscentryczną żoną, lady Phaedrą.

- Bradwell, ciociu Hen, witam - powiedział lord Elliot. -Mój brat polecił nam sztukę, graną dzisiejszego wieczoru.

Nie

262

wiedziałem, że widowia będzie też miała możliwość przy tej okazji zobaczyć trzy z najpiękniejszych kobiet w Londynie.

- A przy tym wszystkie trzy cieszą się skandaliczną sławą - szepnęła Rose Kyle'owi do ucha. - Podobno romans Hen z twoim przyjacielem jest cały czas na ustach towarzystwa, a lady Phaedra co rusz budzi zgorzienie.

- Tym lepiej, jeśli one ściągną na siebie część uwagi ludzi. Decyzja Rose, by wybrać się z nim dziś do teatru, podniosła

Kyle'a na duchu. W ostatnim tygodniu, z wyjątkiem chwil, gdy byli tylko we dwoje, zachowywała się tak, jakby przyszłość przestała się liczyć.

A może tylko tak to sobie wyobrażał. Żadne słowa czy gesty nie potwierdzały, że znika ich wzajemna bliskość.

Jednak wyczuwał w niej rezerwę, której zresztą się spodziewał od chwili, gdy uprzedził Rose, że będzie zeznawał. Byłoby nawet dziwne, gdyby nie miała mu za złe, że odegra taką rolę na procesie.

Pozostawało niejasne, czy w przyszłości, gdy cała ta afera już się skończy, uda się im znów przełamać dzielące ich bariery i zgłębić tajemnice, kryjące się we wzajemnym oddaniu, które zaczęli odkrywać tamtej nocy w Teeslow.

Jean Pierre zza pleców Henrietty spojrział na Kyle'a.

- To ciekawe, że lord Elliot jest z nami, prawda? Nie ma ryzyka, że odwiedzi markiza. - W cichym głosie Jean Pierre'a pobrzmiwały dramatyczne tony.

- Oszalałeś, przyjacielu. To na pewno wpływ tych wszystkich chemikaliów.

- Oszalał? Kto oszalał? - spytała Henrietta, próbując włączyć się w rozmowę.

- *C'est moi* - powiedział Jean Pierre. - Twoja uroda zawsze tak na mnie działa.

Henrietta rozpromieniła się na ten komplement i odwróciła się, by obserwować inne łoże.

Drzwi do ich łoża znów się otworzyły. Wszedł lord Hayden ze swoją żoną i Irene.

Caroline nalegała, by Irene usiadła z nią z przodu, aby mogły razem plotkować i obserwować widowie. Wszyscy musieli się poprzesiadać. Tym razem Kyle znalazł się wraz z Jean Pierre'em w ostatnim rzędzie.

- Łoża jest już prawie pełna - zauważył jego przyjaciel, wymownie spoglądając na głowy osób siedzących przed nimi.

- Każdy szuka rozrywki. Jutro czeka nas ciężka przeprawa. Wiemy, że Rzym spłonie, ale dziś wieczór się bawimy.

- Spłonie tylko dla twojej żony. Lord Hayden poczuje zaledwie słabe ciepłko. Mimo to wszyscy są tutaj.

Easterbrook to zaaranżował. Znowu został w domu tylko ze służbą.

Być może Easterbrook faktycznie zaaranżował całą sytuację. Jeśli tak, to pewnie poświęcił temu tylko kilka minut uwagi, zanim na powrót zajął się swymi sprawami. Kyle był mu wdzięczny, bez względu na to, jak do tego doszło.

Wyglądało na to, że Rose dobrze się bawi. Towarzystwo nie zwracało na nią szczególnej uwagi, gdy obok niej znajdowało się tyle znamienitych osób.

W połowie drugiego aktu drzwi łoży otworzyły się jeszcze raz. Kyle usłyszał szelest, a potem Jean Pierre dał mu kuksańca w bok.

Obejrzał się za siebie. Swoją obecnością raczył ich zaszczyścić sam markiz. Nienagannie ubrany i uczesany stanął przy drzwiach.

- Jeśli chciał zgromadzić swoją rodzinę w teatrze, dlaczego po prostu osobiście ich wszystkich nie zaprosił? - wyszeptał Jean Pierre z irytacją. Przybycie Easterbrooka przekreśliło wszelkie spekulacje i nadzieje na jakąś interesującą zagadkę.

- Nie sędę, że chciał przyjść. Wcale nie wygląda na zadowolonego, że tu jest.

Markiz rozejrzał się po innych łożach niczym jastrząb. Jeśli szukał konkretnej osoby, to chyba się rozczarował.

Wynurzył się z mroku i zbliżył do rzędów krzesel.

Zauważyli go jego bracia. Zdziwienie w ich oczach było aż nadto widoczne. Panie wstały, okazując szacunek dla jego tytułu.

Wysoka pozycja miała swoje prawa. Usadowienie Easterbrooka z przodu łoży wywołało pewne zamieszanie. Markiz objął dowodzenie.

- Caroline, ty i twoja przyjaciółka usiądziecie z tyłu, bym nie musiał słuchać waszych chichotów. Pan Bradwell sprawi lanie każdemu młodzieńcowi, który spróbuje się tu wśliznąć, by z wami flirtować. Panowie, jestem pewien, że nie macie nic przeciw temu, bym dzisiejszego wieczoru otoczył się tymi pięknymi damami. Gdy sztuka się skończy, znów będą należeć do was.

Przez resztę przedstawienia markiz siedział w środku pierwszego rzędu, ostentacyjnie skupiony na tym, co działo się na scenie. Alexia zajmowała honorowe miejsce po jego prawej stronie, na znak jego sympatii, a także jako żona pierwszego z jego młodszych braci. Lady Phaerze przypadło miejsce po jego lewej ręce. Na końcach rzędu siedziały Henrietta i Roselyn.

- Masz rację, w tym człowieku nie ma żadnej tajemnicy ani wyrachowania. On jest po prostu dziwakiem - mruknął Jean Pierre.

Kyle'a nie obchodziły kaprysy markiza. Interesowała go tylko jasnowłosa kobieta siedząca w pierwszym rzędzie, która zapewne przyprawiała o żywsze bicie serca młodych mężczyzn na parterze.

Bez względu na intencje Easterbrooka efekt został osiągnięty. Markiz publicznie przywitał się z panią Bradwell, której brat miał następnego dnia stanąć przed sądem, oskarżony o fałszerstwo i kradzież. Siedział blisko niej. W oczach towarzystwa, któremu stawiała dziś czoło, tylko to miało znaczenie.

22

Hayden nie zgodził się, by Alexia tu przyszła. Obawiał się, że ze względu na swój stan może nie wytrzymać tak silnych emocji.

261

Alexia przesyła pozdrowienia i modli się za ciebie. - Lady Phaedra usiadła obok Rose na sali sądu Old Bailey. Lord Elliot zajął miejsce obok niej i ofiarował słowa pociechy, które niewiele mogły pomóc, o czym wszyscy wiedzieli.

Sytuacja Tima wyglądała beznadziejnie. Zostały już złożone zeznania, więc gazety rozpisywały się o jego przestępstwach. Nazwiska, kwoty, zuchwałość czynów... Rose dowiadywała się coraz więcej o przestępstwach swego brata.

Proces potoczy się szybko. Wyrok był z góry wiadomy. Gdyby sama zasiadała w ławie przysięgłych, też musiałaby skazać Tima.

Nie siedziała jednak w ławie przysięgłych, tylko na sali, i zbierała siły, by wszystko to jakoś przeżyć. Czekwała, aż brat pojawi się przed publicznością, jak tylko skończy się bieżąca rozprawa.

Nie mogła go wytłumaczyć ani obronić, a mimo to w duchu płakała nad nim z żalu.

- Przychodząc tu, okazałaś wiele odwagi - powiedział lord Elliot. - Jestem pewien, że on będzie ci wdzięczny.

Kto? Timothy? Czyjej widok doda mu otuchy? Jeszcze się z nim nie widziała. Miała prawo tylko do jednej wizyty i zachowała ją na czas po procesie. Wtedy będzie mu bardziej potrzebna, choć spotkanie i straszne rozstanie będzie koszmarem dla obojga.

Zerknęła na mężczyzn siedzących niżej i zatrzymała wzrok na Kyle'u. Może lord Elliot miał na myśli jego, a nie Tima. Wątpiła jednak, czy Kyle będzie jej wdzięczny za to, że wysłucha jego zeznań na rozprawie.

Powoli, nieubłaganie zbliżali się do tego dnia, mimo że starali się nie myśleć o jego konsekwencjach. Kyle znów stał się powściągliwy. Ona na powrót nabrała rezerwy. Z każdym dniem oddzielała ich coraz gęstsza mgła obcości. Rose musiała się bardzo starać, by widzieć w nim człowieka, który kiedyś był jej bliski.

Ostatnie trzy noce spali oddzielnie. Kyle wiedział, że Rose nie może zapanować nad strasznym, pełnym lęku oczekiwaniem. Rozumiał, gdy kładła się spać wcześniej, twierdząc, że jest zmęczona.

- O, jest Hayden - zauważyła lady Phaedra.

Rose zobaczyła, że lord Hayden zatrzymał się na chwilę przy drzwiach, potem ruszył do przodu. Usiadł obok Kyle'a. Lord Elliot wyciągnął rękę i przykrył jej dłoń w rękawicze.

- Mój brat polecił mi, żebym ci powiedział, że zrobi, co się da, aby oszczędzić twego brata. Zezna prawdę, ale będzie mówił tak, by osiągnąć swój cel.

- Lord Hayden okazał mojej rodzinie wiele dobroci. Nie będę teraz rozstrząsać jego pobudek. Dziękuję jednak, że mnie pan uprzedził.

Lord Elliot zmarszczył brwi i spojrzał pytająco na Phaedrę. Ta wzruszyła ramionami. Rose nie miała ochoty im wyjaśniać. I tak wkrótce dowiedzą się wszystkiego.

Lord Hayden mógł powiedzieć tylko jedną rzecz, która umniejszałaby winę jej brata. Mógł oznajmić, że Timothy zagarnął te wszystkie pieniądze nie sam i że to nie on wymyślił całe to oszustwo.

- Był pan już kiedyś w takiej sytuacji? - spytał lord Hayden.

- Nigdy - odparł Kyle.

- W zeznaniach niech pan mówi tylko o faktach. Prosto i jasno, by zrozumiała pana ława przysięgłych. Mogą się pojawić pytania. W odpowiedzi proszę mówić tylko to, o co pytają, nic więcej. - Lord Hayden spojrzał na niego ostro. - Udzielając tych rad, oczywiście zakładam, że wolałby pan nie zobaczyć go na szubienicy.

- Jest jakaś szansa, że tam nie skończy?

- Nie wiadomo. Ten sędzia już kiedyś okazał łaskę. Być może znów ją okaże, jeśli będzie miał po temu powody.

Nie byli sami w oczekiwaniu na zakończenie jednego procesu i rozpoczęcie następnego. Na sali zbudowano prowizoryczną galerię, bynajmniej nie z powodu złodzieja kieszonkowego, stojącego w tej chwili przed sądem. Na głowach siedzących tam osób widać było wytworne kapelusze. Jeden z nich przykrywał

rozwichrzone, ogniste włosy lady Phaedry. Zgrabny kapturek osłaniał jasne włosy i twarz Roselyn.

Pojawiło się więcej mężczyzn i wcisnęło do rzędu, w którym siedzieli Kyle i lord Hayden. Kyle zauważył Norbury'ego i innych ludzi z grupy ścigającej Longwortha.

- Jest wielu świadków - powiedział.

- I wielu pokrzywdzonych - odparł lord Hayden.

- Czy to coś pomoże, że zwrócił pan pieniądze?

- Zadośćuczynienie jest często warunkiem aktu łaski. Jednak nie zawsze. Ostatnio na przykład stracono bankiera z powodu tylko jednego fałszerstwa.

Kyle zrozumiał ironię zawartą w tych słowach.

- Powinienem był wziąć pańskie pieniądze. Nie byłbym dzisiaj jedynym pokrzywdzonym, który nie został spłacony.

- Zapewniam pana, gdyby je pan wziął, to i tak niczego by dzisiaj nie zmieniło.

Na sali zrobiło się zamieszanie. Poprzedni proces się skończył, część ludzi wyszła, inni zajęli ich miejsce. Lord Hayden pochylił się do niego tak, by nikt nie słyszał.

- Niech pan mówi krótko, bez przypuszczeń i upiększeń. Proszę powiedzieć tylko to, co pan wie na pewno, że się wydarzyło.

Rose omal się nie rozplakała, gdy wprowadzono Tima. Jasne włosy miał potargane. Wydawał się chory, był blady i okropnie przestraszony. Nie miał nawet dwudziestu pięciu lat. Wyglądał jak chłopiec, niepozorny przy mężczyznach, którzy mieli go sądzić.

Nie zdołał zachować opanowania. Spojrzał na zgromadzonych świadków i podbródek mu zadrżał. Przemknął wzrokiem po galerii i zauważył Rose. Z wysiłkiem uśmiechnęła się, uniosła rękę, by mu pomachać. Skrzywił się jak do płaczu. Pochylił głowę, próbując się uspokoić.

Świadkowie po kolei składali zeznania. Mówili o funduszu, który znikł, choć dywidenda nadal była wypłacana, o wyzna-

niu Timothy'ego i propozycji spłaty. Każdy z nich wyjaśniał, że zadośćuczynienie tak naprawdę pochodziło od lorda Hayden Rothwella, który ożenił się z kuzynką Timothy'ego, Alexią.

Rose widziała, że powetowanie strat miało dla ławy przysięgłych znaczenie, jednak nie na tyle, by mogli uniewinnić Tima. Obserwowała sędziego, by ocenić, jak reaguje na tę litanię finansowych wykroczeń.

- Idzie lepiej, niż się spodziewałam - szepnęła lady Phaedra. - Skoro wszyscy zostali spłaceni...

- Nie wszyscy - powiedziała Rose. - Kyle nie przyjął pieniędzy.

Lady Phaedra posmutniała, szepnęła coś do męża. Lord Elliot spoważniał.

Phaedra położyła dłoń na ręce Rose.

- Roselyn, wiedziałam, że będzie to dla ciebie ciężka przeprawa, że będziesz cierpieć, jednak nie zdawałam sobie sprawy, jak okropny będzie dla ciebie ten dzień.

Rose podziękowała za tę próbę pocieszenia. Serce się w niej ścisnęło, gdy wypowiedziano głośno nazwisko Kyle'a.

Kyle spojrzał jej w oczy. Zobaczyła w nich żal i przeprosiny. Potem podszedł do miejsca dla świadków i złożył przysięgę.

Mówił nadzwyczaj krótko. Jego zeznanie było podobne do innych. Opowiedział o pieniądzach zainwestowanych w fundusz powierniczy, o odkryciu, że fundusz jest bez pokrycia wskutek fałszerstwa i malwersacji.

Tym razem brakowało informacji o zwrocie pieniędzy.

Prokurator postanowił to podkreślić.

- Panie Bradwell, czy utracone pieniądze zostały z powrotem wpłacone na fundusz?

- Tak, fundusz ma teraz pełne pokrycie.

Odpowiedź Kyle'a wzbudziła wśród świadków sporą konsternację. Rose widziała, jak Norbury się wścieka. Z tamtej strony sali dały się słyszeć pomruki o krzywoprzysięstwie.

Prokurator przemówił surowym tonem:

- Panie Bradwell, czy chce pan powiedzieć, że lord Hayden pokrył stratę w funduszu? Zwracam panu uwagę, że będzie on zeznawał zaraz po panu i jeśli złoży pan fałszywe zeznania, zostanie to szybko ujawnione.

Kyle nie dał się zbić z tropu.

- Nie pytał pan, jak został sflacony fundusz ani przez kogo, tylko czy w ogóle został sflacony. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Fundusz ma teraz pełne pokrycie do takiej samej kwoty jak przed kradzieżą.

- Widzę, że jest pan człowiekiem bardzo dokładnym. Pytam więc pana teraz, jak został sflacony ten fundusz.

- Ja sam zwróciłem pieniądze.

- Zatem to pana okradł pan Longworth.

- Fundusz nie był na moje nazwisko. Pan Longworth okradł moją ciotkę i wuja, ale pieniądze zostały im zwrócone.

Tak brzmiało pana pytanie i ja odpowiedziałem na nie. Nie mogę z czystym sumieniem uznać, że jest on winny mojej lekkomyślnej decyzji, by zastąpić utracone fundusze moimi.

Ławie przysięgłych wydało się to zabawne. Sędzia też omal się nie uśmiechnął. Prokurator warknął:

- To, czy pan uważa go za winnego, nie ma znaczenia. Prawo uznaje go winnym.

- Doprawdy? Na poprzedniej rozprawie kobieta zeznała, że oskarżony ukradł jej pieniądze. Bardzo prawdopodobne, że mąż dał jej pieniądze, by mimo wszystko mogła kupić dzieciom jedzenie. Jednak on nie zeznawał, choć ostatecznie to właśnie on poniósł stratę. W przypadku tego funduszu odegrałem taką samą rolę, jak mąż tej kobiety, lub lord Hayden w historiach, które opowiedziano do tej pory.

- Ma rację - mruknął lord Elliot.

Istotnie. Wprawiło to prokuratora w konsternację.

- Panie Bradwell, pańskie opinie na temat prawa nas nie interesują. Pozwoli pan, że spytam jeszcze raz, bardziej szczegółowo. Czy lord Hayden, pan Longworth lub ktokolwiek związany

z tą rodziną powetował panu stratę, którą pan poniósł, gdy po kradzieży sam wpłacił pan pieniądze na fundusz?

- Tak.

Prokurator z irytacją uniósł ręce do góry i zwrócił się do sędziego:

- Wysoki Sądzie, wiemy, że tak nie było. Świadek kłamie.

- Panie Bradwell, czy pan kłamie?

- Odpowiedziałem na pytanie zgodnie z prawdą.

- Lord Hayden zeznał wcześniej przed sędzią, że nie przyjął pan od niego zwrotu pieniędzy.

- Nie pytano mnie, czy otrzymałem zwrot pieniędzy. Pytanie brzmiało: czy ktokolwiek z rodziny Longworthów powetował mi stratę. Owa strata to dwadzieścia tysięcy funtów. Zgłosiłem prawo zastawne na posiadłości Longworthów, wartej przynajmniej pięć tysięcy funtów.

- A pozostałe piętnaście tysięcy?

- Siostra pana Longwortha zgodziła się zostać moją żoną. Uważam rachunek za wyrównany.

Rose uśmiechnęła się, choć łzy napłynęły jej do oczu. Kyle próbował pomóc Timowi i całkiem nieźle sobie radził.

Na sali rozległy się rozmowy i okrzyki. Prokurator poczekał, aż ucichną, a potem uśmiechnął się szeroko.

- Pan chyba uważa nas wszystkich za głupców. Zeni się pan z kobietą bez majątku i chce pan, byśmy uwierzyli, że to wyrównuje rachunki i umarza dług jej brata wobec pana?

Kyle wbił w prokuratora wzrok tak szczery i niewinny, że cała sala aż ucichła ze zdumienia.

- Może w to nie wierzyć tylko ten, kto jej nie widział. Moja żona jest tutaj, siedzi dwa miejsca od lorda Elliota Rothwella. Spójrzcie na nią i powiedzcie mi, że nie jest warta piętnaście tysięcy funtów.

Spojrzeli na nią. Wszyscy, jak jeden mąż. Setki oczu najpierw odszukały Elliota, a potem przesunęły się ku niej.

Czuła, że się rumieni.

271

- Zdejmij kapturek. W tej chwili - szepnęła do niej lady Phaedra.

Rose rozwiązała wstążki i zdjęła kapturek. Przypomniała sobie, jak niedawno inni oceniali jej wartość.

Spojrzeni sobie z Kyle'em w oczy. Patrzyła tylko na niego, by nic więcej nie widzieć. On to zrobił dla niej, żeby pomóc jej bratu przestępcy. Bez względu na dzisiejszy wyrok będzie Kyle'owi do śmierci wdzięczna, że próbował go uratować.

Wyraz jego twarzy ją oszołomił. Naprawdę patrzył na nią jak na kobietę nieocenionej wartości.

Nie ukrywał podziwu i miłości. Inni pewnie też to widzieli. To publiczne wyznanie uczucia wzruszyło ją, napełniło dumą.

Wpatrywał się w nią tak przenikliwie, że przestała słyszeć hałas sali sądowej. W ciszy, która ją otaczała, dotknęła ust w odpowiedzi na niewidzialny pocałunek i wyszeptała w sercu słowa, które już dawno była mu winna.

- On ma rację - powiedział sędzia. - Z piętnastoma tysiącami funtów mógł trafić o wiele gorzej.

Członkowie ławy przysięgłych wybuchnęli śmiechem. Tręcali się łokciami i kiwali znacząco głowami. Prokurator chciał jednak mieć ostatnie słowo.

- To prawda, jest bardzo piękna. Ale bynajmniej nie powetowano panu straty.

- Nie zgadzam się - powiedział Kyle.

- Pańska zgoda nie ma nic do rzeczy. Może pan odejść. Następnie został zaprzysiężony lord Hayden. Powstrzymał pierwsze pytanie prokuratora ostrym spojrzeniem i uniesieniem ręki.

- Zanim zacznę odpowiadać, chciałbym przedstawić informacje, które dotyczą zeznań poprzednich świadków.

Sędzia kiwnął głową. Prokurator wzruszył ramionami.

- Jako człowiek, który odkrył kradzieże i zbadał wszystkie dokumenty banku, znam daty, kiedy dokonano każdej kradzieży,

a także kwoty i nazwiska właścicieli depozytów. Wielu z poprzednich świadków nie powinno zostać wezwanych, ponieważ nie mają związku ze sprawą. Ponieśli straty, zanim Timothy Longworth został współnikiem w tym banku. Nie okradł wszystkich tych ludzi.

Na kilka sekund zapadła pełna zdumienia cisza. Potem rozległa się wrzawa, krzyki. Sędzia zaczął uciszać salę, by mógł zabrać głos prokurator.

- Lordzie Hayden, najlepiej będzie, jeśli wszystko pan wytłumaczy.

- Gdy ostatniego lata zwracałem pieniądze, spłacałem nie tylko ludzi okradzionych przez Timothy'ego Longwortha, ale także przez człowieka, po którym odziedziczył on udziały w banku, od którego nauczył się fachu i przestępczych machinacji. Mam na myśli jego brata Benjamina. Nie ujawniałem udziału Benjamina z kilku powodów. Po odzyskaniu pieniędzy nikt nie zwracał uwagi na to, kto mu je ukradł. Benjamin Longworth był moim przyjacielem i przyznam, że kierowałem się pewnym sentymentem do niego. Poza tym, jeśli rozmiar i waga tych malwersacji zostałyby ujawnione, bank by upadł i ucierpiałoby wiele innych osób.

- To bardzo szlachetne. Teraz jednak już trochę za późno na ujawnianie tych informacji.

- Miałem wobec Benjamina dług honorowy i liczyłem na to, że uda się zachować jego imię w tajemnicy.

- Oczywiście. Jednak będzie pan składał zeznania. Musiał pan wiedzieć, że wszystko się wyda.

- Zamierzałem odpowiadać tak, jak to zrobił pan Bradwell. Bez krzywoprzysięstwa, ale też bez szczegółów. Jednak Benjamin Longworth nie żyje i po dłuższych rozważaniach uznałem, że mój dług umarł wraz z nim. Jego brat z pewnością jest łotrem, ale ma dość własnych grzechów i nie musi odpowiadać za występki swego starszego brata.

- Jest pan pewien co do wcześniejszych dat kradzieży?

18 - Tajniki uległości

273

- Całkowicie. Większość pieniędzy znikła, zanim Benjamin Longworth pojechał walczyć w Grecji. Prokurator chciał się koniecznie dowiedzieć od lorda Hayden, którzy konkretnie świadkowie zostali poszkodowani przez Timothy'ego. Kyle doszedł do wniosku, że trochę to potrwa. Wyszedł z sądu, by odetchnąć świeżym powietrzem.

Na zewnątrz kręciło się sporo ludzi. Rewelacje z rozprawy rozchodziły się w tłumie, wywołując dyskusje i konsternację. Przy odrobinie szczęścia spowodują też zamieszanie wśród ławy przysięgłych. Przypuszczalnie to był prawdziwy powód, dla którego lord Hayden zwlekał z ujawnieniem całej prawdy aż do ostatniej chwili.

Pogoda jakby szydziła z ponurej sceny, rozgrywającej się w budynku. Było bardzo ciepło, niemal czuło się nadchodzącą wiosnę. Lekki wiatr niósł zapach odradzającego się życia, miło owiewał twarz.

- Myślę, że litanie lorda Hayden potrwa przynajmniej godzinę.

Kyle odwrócił się na pięcie. Rose stała za nim z kapturkiem w ręce.

- Tak przypuszczam. Wygląda na to, że nauczył się tych dokumentów na pamięć - powiedział.

- Alexia mówi, że on doskonale pamięta liczby. Chyba każdy, kto wydał ponad sto tysięcy funtów, nigdy nie zapomni, komu je zapłacił.

Rose wydawała się spokojna, opanowana. Bardziej niż w ostatnich dniach. Czekanie jest często gorsze od tego, co się potem dzieje.

- Rose, wiedziałaś, że twój starszy brat też brał w tym udział? Kiwnęła głową.

- Nie znałam szczegółów, ile kto wziął i od kogo. Alexia wyznała mi prawdę ostatniego lata, po ucieczce Tima. Lord Hayden postarał się spłacić ludziom ukradzione pieniądze, a potem

odkrył wcześniejsze kradzieże. Byłam zdruzgotana, że obaj moi bracia okazali się nikczemnikami, i nie chciałam wiedzieć, ile który ukradł.

- To dobrze, że lord Hayden zdecydował się dziś oddzielić ich przestępstwa - powiedział Kyle.

Rose uśmiechnęła się niemal niezauważalnie. Oczy miała smutne, ale pełne światła. Patrzyła na niego, jakby potrafiła czytać mu w myślach.

Objęła go, delikatnie przycisnęła usta do jego piersi, a potem cofnęła się.

- Kyle, dziękuję ci za to, jak dzisiaj zeznawałeś. Tim nie zasługuje na twoją troskę. Pewnie nie zrozumie, jak trudno jest okazać dobroć komuś, kto wyrządził nam krzywdę. Jest zbyt dziecinny, żeby wiedzieć, jakiej trzeba siły ducha, by okazać łaskę komuś, kto powinien zawisnąć na szubienicy.

- Roselyn, nie zrobiłem tego dla niego.

- Nie. Chciałeś oszczędzić, ochronić mnie. Okazać mi szacunek. Wiem o tym i do końca życia będę ci wdzięczna. - Zerknęła na budynek sądu i się wyprostowała. - Muszę wracać i wytrwać aż do końca. Nie chcę, aby był sam podczas odczytywania wyroku.

- Oczywiście.

Rose odeszła. Kyle przespacerował się przed budynkiem, zwlekając z powrotem. Wróci na ogłoszenie wyroku. Nie chciał w takiej chwili zostawiać Rose samej.

Na ulicy zrobiło się niewielkie zamieszanie. Gazeciarze biegli, wykrzykując najświeższe informacje. Większość dotyczyła procesu Longwortha. Ale była też mniej sensacyjna wiadomość.

Kyle podszedł do jednego chłopca i kupił gazetę. Przeczytał nekrolog w czarnej ramce.

Zmarł hrabia Cottington.

Rose szła obok lorda Hayden, starając się nie zwymiotować od więziennego smrodu. Niosła dla Tima koszyk z artykułami

pierwszej potrzeby i kilkoma zbyt drobiazgowymi. Tim nie zasługiwał na nie, jednak Rose przypominała sobie, jak się cieszyła, gdy Alexia przysyłała jej takie rzeczy, gdy w zeszłym roku przez wiele miesięcy musiała wieść dokuczliwie oszczędne życie.

Ze względu na swój stan Alexia nie mogła przyjść razem z nimi. Lord Hayden nie pozwolił też pójść Irene. Rose rozumiała teraz dlaczego. Newgate było okropnym miejscem. Mijali duże cele, gdzie mężczyźni i kobiety wyprawiali rzeczy, których nie powinna oglądać młoda panienka. Sądząc po surowej minie lorda Hayden, Rose domyśliła się, że uważał, iż żadna przyzwoita kobieta nie powinna tego oglądać.

Tim był w małej celi z pięcioma innymi mężczyznami. Ulokowanie go w mniejszym pomieszczeniu było zasługą lorda Hayden. Rose miała nadzieję, że to jest ostatni raz, gdy lord Hayden wyklada pieniądze na rodzinę Longworthów.

Strażnik wyprowadził innych więźniów, by Rose nie była narażona na ich zaczepki.

Tim odwrócił się do nich twarzą, gdy zostali sami. Uśmiechnął się niewesoło.

- Rose, cieszę się, że cię widzę. To miłe z twojej strony, że przysłałaś też na rozprawę.

- Timothy, jesteś moim bratem. Irene przesyła pozdrowienia. Alexia też. Wkrótce urodzi dziecko, więc nie mogła ze mną przyjść. Napisałam ci o tym nadchodzącym szczęśliwym wydarzeniu, ale wątpię, czy dostałaś mój list.

- Jak się ma Irene?

- Bardzo dobrze. Mieszka z Alexią i lordem Hayden. Została jej oszczędzona większość... większość tego wszystkiego.

Tim miał przynajmniej tyle przyzwoitości, by podziękować lordowi Hayden za opiekę nad Irene. Potem spojrzał na Rose.

- Widzę, że twój mąż nie chciał ci towarzyszyć.

- Pojechał na północ, na pogrzeb hrabiego Cottington. Ale i tak pewnie by nie przyszedł.

Tim zacisnął usta na wzmiankę o hrabim.

- Przypuszczam, że teraz Norbury odziedziczył tytuł. To dobrze, że wyrok już zapadł, bo na pewno bym zawisł na stryczku. Norbury chciał mej śmierci, chciał mnie uciszyć na zawsze, abym nie mógł mówić, ale mu się to nie udało. Chociaż to, co mnie czeka, nie jest chyba wiele lepsze od śmierci.

- Nie mów takich głupstw - warknął lord Hayden. - Deportacja na czternaście lat to nie szubienica. Przeżyjesz. Kiedyś odzyskasz wolność. Jesteś młody, możesz zacząć od początku. Powinieneś dziękować Bogu, że sędzia okazał łaskę.

- Co to za łaska. I tak umrę, tylko powoli. Tam zmuszają do niewolniczej pracy. Podobno trzeba pół roku płynąć statkiem, by dotrzeć na miejsce. Ja tylko pożyczyłem trochę pieniędzy, to wszystko. Zwróciłbym je, gdybyś mnie wcześniej nie zmusił do przyznania się. Mogłeś powiedzieć w sądzie, że to wszystko była wina Bena. Uwierzyliby ci.

Lord Hayden aż zeszywniał. Rose obawiała się, czy za chwilę nie uderzy Tima.

- Tyle że to nie była tylko jego wina. Skłamałbym - powiedział.

Tim się skrzywił.

- Cieszysz się, że tak się stało. Cieszysz się, że mnie znaleźli. Cieszysz się, że Ben nie żyje. Wiem, że tak jest.

Rose przysunęła się bliżej, by uspokoić brata.

- Mówisz głupstwa. Lord Hayden pomógł ci podczas rozprawy. Przez cały czas nam pomagał. Tim, gdyby nie pieniądze, które wyłożył zeszłego lata, teraz naprawdę zegnalibyśmy się na zawsze.

W oczach Tima pojawiły się łzy, jednak nie znikło jego rozdrażnienie. Rose spojrzała na lorda Hayden.

- Czy mogłabym zostać z nim sama? Nie dłużej niż pół godziny - poprosiła.

Lord Hayden najwyraźniej poczuł ulgę.

- Zaczekam na zewnątrz przy drzwiach. Jeśli strażnik zacznie się niecierpliwić, spróbuję go jakoś zająć.

Rose postawiła koszyk na małym stole z surowych desek, który był jedynym meblem w celi.

- Przyniosłam ci trochę rzeczy na podróż i na potem. Masz jeszcze ubrania, które nosiłeś we Włoszech?

Tim kiwnął głową i patrzył na wyjmowane przez nią rzeczy. Przyniosła drobiazgi, na które nie zwraca się uwagi, takie jak nożyczki i igły. Do tego dołożyła jeszcze puszkę herbaty, trochę cukierków i sakiewkę z pieniędzmi. A także papier i pióra, żeby pisał, jeśli będzie mógł.

- Nie ma brandy? - spytał.

- Żadnego alkoholu, Tim. Lepiej, żebyś trzymał się od niego z daleka.

Pokręcił głową z niezadowoleniem i odszedł w kąt.

- Tim, co miałeś na myśli, gdy mówiłeś o Norburym? Powiedziałeś, że chciał twej śmierci, byś nie mógł mówić.

Podrapał się w głowę, a potem machnął ręką.

- Nic. To nieważne. I tak już jakbym nie żył — odparł.

- Może to nieważne, ale mimo to chcę się dowiedzieć. Wrócił i zaczął grzebać w koszyku.

- Jakieś cztery lata temu spędziliśmy razem trochę czasu. Spotkaliśmy się w jakimś domu gry. Od czasu do czasu raczył mnie włączać do swego kręgu. - Otworzył puszkę z herbatą i powąchał. - On ma dom w Kent, niedaleko majątku ojca. Urządza tam różne imprezy.

- Słyszałam o tych jego imprezach. Brałeś w nich udział? Tim się zaczerwienił.

- Na jednej z nich Norbury pokłócił się ze swoją damą, która wyjechała. Spałem, gdy nagle usłyszałem krzyk kobiety. Tylko raz, ale to był okropny krzyk... Trochę mnie to zaniepokoiło, więc wyszedłem sprawdzić, czy nic się nikomu nie stało, i znów usłyszałem ten krzyk. Dochodził skądś z dołu, więc zszedłem i natrafiłem na niego. Był w bibliotece z pomywaczką. Młodziut-Ją dziewczynką. Związał ją i...

- Wiedział, że go widziałeś?

- Nie zwracał na nic uwagi. - Tim wzruszył ramionami. - Nieźle ją poturbował. Miała na ciele ślady uderzeń. Próbowła wypluć chustkę, którą ją zakneblował. Zauważył to i uderzył ją tak mocno, że chyba straciła przytomność. Nie zabawiłem tam długo.

Nie próbował interweniować. Zamknął drzwi, nie zwracając uwagi na cierpienie tej biednej dziewczyny.

- Jeśli się wycofałeś, a on cię nie widział, to dlaczego myślisz, że chciał cię uciszyć?

Tim się skrzywił. I znów się zaczerwienił.

- Timothy, czy byłeś tak głupi, że skontaktowałeś się z Norburym, powiedziałeś, co widziałeś, i zażądałeś pieniędzy w zamian za milczenie?

- Tylko trochę. To była niewielka kwota, której bardzo potrzebowałem ostatniej wiosny, gdy znaleźliśmy się w naprawdę kiepskiej sytuacji. Nigdy nie odpowiedział na list. Wiedział, że nie mógłbym tego zrobić.

- Może i wiedział. Ale oczywiście nie miał pewności. Wyobraziła sobie, jak Norbury rozważa, czy Timothy ma dość odwagi, by pod przysięgą złożyć zeznania przeciw niemu lub próbować szantażu. Norbury nigdy nie czułby się bezpieczny, wiedząc, że w którymś momencie przyływ odwagi lub wyrzutów sumienia może popchnąć jej brata do działania. Tim nie musiałby nawet zwracać się do sędziego. Wystarczyłoby, że napisaliby list do hrabiego Cottington. Jakie to korzystne dla Norbury'ego, że wskutek swych występków Tim sam ułatwił mu zadanie. Człowiek powieszony na pewno będzie milczał.

Włożyła rzeczy z powrotem do koszyka. Wyjęła papier, pióro i atrament.

- Timothy, spisz tę historię. Teraz, w tej chwili.

- Rose, to już nie ma znaczenia. Nikt nie uwierzy słowu skazańca. Zwłaszcza jeśli dotyczy człowieka, który pod przysięgą złożył przeciw niemu zeznanie. Będzie to wyglądało na historię wymyśloną tylko po to, by się zemścić.

- A jednak ją spisz. A potem napiszesz jeszcze jeden dokument, tak jak ci podyktuję. Tym, jeśli napiszesz dla mnie te dwa listy, zrobisz dwa dobre uczynki. Dwa szlachetne, uczciwe czyny, które będą jakimś zadośćuczynieniem za wszystkie twoje dotychczasowe występki. Bracie, to skromny początek, pierwszy krok ku odnalezieniu swej duszy i odzyskaniu szacunku dla siebie.

23

Kyle wrócił do Londynu późno w nocy. Wszedł do domu zmęczony, przygnębiony.

Wokół panowała cisza. Wszystko było takie jak zwykle. Jednak gdy stał przy drzwiach, uświadomił sobie, że robi mu się lżej na duszy, tak jak kiedyś, gdy wracał do Teeslow podczas szkolnych wakacji. Czuł się jak ktoś, kto wrócił do domu po długiej nieobecności.

Dom. Wrażenie ukojenia było nowe i bardzo przyjemne. Od wielu lat żadnego miejsca nie uważał za swój dom. Gdy wchodził po schodach, zauważył światło pod drzwiami Rose. Nie spodziewał się, że będzie czuwać o tak późnej godzinie.

Poszedł do swojej sypialni i zdjął surdut. Jordan wszystko przyszykował, na wypadek gdyby pan nieoczekiwanie wrócił. Kyle skierował się do gotowalni, jednak zatrzymał się przy łóżku. Na nocnym stoliku, w widocznym miejscu, leżał stos listów.

Rozpoznał herb. Widział go nieraz, na listach pisanych przez człowieka, który już nie żył. Te zostały wysłane przez nowego hrabiego Cottington. Jordan, jak zawsze przywiązujący wagę do pozycji i tytułu, zostawił je na wierzchu, ponieważ uznał, że będą wymagać natychmiastowej odpowiedzi.

Kyle odłożył je na biurko. Norbury może trochę poczekać. Za dzień czy dwa przeczyta te listy i zdecyduje, co z nimi zrobić.

Z gotowalni wszedł do sypialni Rose. Siedziała przy sekretarzyku w różowym peniarze i białym, koronkowym czepeczku. Patrzyła w świetle lampy na jakąś kartkę. Napisała parę słów i podrapała się piórem w podbródek.

- Rose, czyżbyś pisała wiersze?

Zdumiona aż podskoczyła na dźwięk jego głosu. Odłożyła pióro i podeszła do niego. Powitała go uściskiem, który przyniósł mu ukojenie.

Jej kobiece ciepło było najlepszym balsamem dla jego duszy i ciała. Sam jej zapach rozpraszał otaczającą go mgłę smutku.

- Przypuszczam, że pogrzeb odbył się z wielką pompą - powiedziała cicho.

- Tak. Mnóstwo szarf i wieńców, dam i lordów. Norbury przyjechał dopiero po mnie. Niewątpliwie zabawił dłużej w Londynie, by uczcić odziedziczenie majątku. Gdy już znalazł się na miejscu, doskonale odegrał rolę pogrążonego w smutku syna.

- Myślę, że przybrany syn smucił się bardziej.

Chyba tak. Bóg mu świadkiem, że smucił się, jak przystało na syna, nieważne, czy przybranego, czy nie. Kyle zdawał sobie sprawę, że oplakuje nie tylko Cottingtona, ale też swoje lata chłopięce i młodość, swoje korzenie, które tracił z każdym kolejnym rokiem.

- Chodź i opowiedz mi o tym. - Poprowadziła go do łóżka i skłoniła, by usiadł obok niej.

- Wolałbym nic nie mówić, jeśli tylko pozwolisz. - Nie chciał jej wyjaśniać, że tak naprawdę nie uczestniczył w pogrzebie. Wiedział, że nie będzie tom mile widziany. Czekala go rozprawa z nowym hrabią Cottington, a nie chciał, by animozje przyćmiły szacunek, który żywił wobec zmarłego hrabiego.

Patrzył na wszystko z pewnej odległości, stojąc na wzgórzu. Widział kondukt i nowy nagrobek na cmentarzu przy rezydencji. Tak było lepiej. Mógł zostać sam ze swoimi myślami.

- Oczywiście. Rozumiem. - Poklepała go łagodnie po ręce, niemal matczynym gestem.

Chwycił jej dłoń i podniósł do ust. Przycisnął wargi do ciepłej skóry. Dom.

- Widziałaś się z bratem? - spytał.

- Tak. Lord Hayden mi towarzyszył.

- To dobrze.

- Smutne to było spotkanie. Przykro mi to mówić, ale Tim niewiele się zmienił. Nie zmądrzał. Nadal jest dziecinny. Może nie wytrzymać tego, co go czeka.

- Wytrzyma, jeśli tak postanowi. To twój brat, więc nie może być tak zupełnie słaby. Musi tylko odnaleźć w sobie siłę, to wszystko.

- A jeśli nie... Masz rację. To jego wybór.

- Rose, pomówmy o czymś przyjemniejszym. Masz nowy kapturek? A co u Alexii? Jak się ma Henrietta?

Roześmiała się. Ten pełny życia dźwięk podziałał na niego jak wiosenny wiatr.

- Alexia ma się dobrze, jednak dosyć łatwo się męczy. Irene próbuje się uporać ze wstrząsem, który przeżyła, gdy dowiedziała się o występkach naszych braci. Tak się składa, że sprawiłam sobie nowy kapturek. Poza tym dostaliśmy zaproszenie na przyjęcie.

- Przyjęcie. To zupełnie normalne w Londynie. Kto je urządza? ^

- Lady Phaedra i lord Elliot, więc być może wcale to nie takie normalne. Odbędzie się w domu Easterbrooka. Przyjęcie na cześć malarza, pana Turnera. Okazuje się, że Phaedra go zna. Przyjdą różne wysoko postawione osoby, a poza tym ludzie z kręgu jej przyjaciół, podobno bardzo interesujący. Artyści i tym podobni. Zaznaczyła wyraźnie, że ty też masz przyjść.

- Już nie mogę się doczekać. Szacowne osoby z towarzystwa i ekscentryczni artyści zebrani w jednym miejscu.

Ciekaw jestem, czy markiz też się pojawi. Mogłoby mu się spodobać.

- Może sama go spytam. Spróbuję się z nim zobaczyć pojutrze. Muszę mu przekazać wiadomość od hrabiego. Alexia obiecała użyć swoich wpływów, bym została przyjęta.

Kyle rozejrzał się po sypialni Rose, pełnej drobiazgów i przedmiotów, które świadczyły o jej obecności w jego świecie. Objął ją i pocałował w skroń.

- Rose, tak dobrze jest wrócić. Powinienem był zatrzymać się na noc w gospodzie, ale zmusiłem woźnicę, by jechał dalej. Stałem w drzwiach i od razu ogarnął mnie spokój. Już dawno tak się nie czułem, wchodząc do jakiegoś domu.

- To przyjemny dom. Z czasem będziesz się w nim czuł coraz lepiej.

- To nie kwestia budynku, tylko twojej w nim obecności.

- Myślę, że stopniowo ludzie też zaczynają się ze sobą czuć coraz lepiej. Pewnie na tym polega małżeństwo.

Być może, jednak nie o tym myślał przez ostatnie trzydzieści mil. Narastało w nim oczekiwanie. Pragnął być tylko z nią, rozmawiać, leżeć obok i ją kochać.

Odwinęła kołdrę.

- Późno już, a ty jesteś zmęczony. Zostań tu ze mną. Chwył ją za ramię, odwrócił do siebie i objął. Zdjął koronkowy czepek z jej głowy.

Było późno, ale jeszcze niezbyt późno. Był zmęczony, ale nie aż tak bardzo.

- Mówiłam ci, że cię nie przyjmie. Zawsze tak jest. On nawet nie udaje, że nie ma go w domu. Po prostu przysyła ciągle tę samą wiadomość: „Dziękuję, nie dzisiaj”. Henrietta potrząsnęła głową, rozdrażniona grubiaństwem swego siostrzeńca. - Lepiej napisać do niego list. Ja tak robię. Piszę list, wysyłam, list wraca do tego domu i trafia do jego rąk z resztą korespondencji. Dobrze sobie, co?

- Nie mogę przekazać tego w liście. Zobowiązano mnie, by pomówić z nim osobiście.

- Henrietto, gdybyś poczekała do mojego przyjścia, może miałybyśmy więcej szczęścia - powiedziała Alexia. - Spóźniłam się tylko odrobinę.

Alexia wpadła chwilę po tym, jak Henrietta postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Teraz, gdy nadeszła odmowa, Rose będzie musiała poczekać na inny dzień.

- Zrób, jak powiedziałam. Napisz do niego list. Zdaje się, że on je nawet czyta - rzuciła Henrietta.

- Chyba tak zrobię. Wolę jednak uniknąć straty czasu na wysyłanie tego listu pocztą. Mogę? - Rose wskazała stojący w bibliotece sekretarzyk.

- Oczywiście - odparła Henrietta. - A tymczasem ty, Alexio, powiedz mi, kto przyjął zaproszenie Phaedry. Słyszałam, że ona przyjaźni się z różnymi dziwnymi ludźmi.

Podczas gdy Alexia zdawała relację, Rose napisała liścik. Złożyła kartkę i wezwała lokaja, by ją zaniósł markizowi.

- Są tacy, którzy uważają, że powinien to być bal maskowy, aby mogli przyjść ci, co umierają z chęci, by wziąć w nim udział, ale myślą, że im nie wypada - powiedziała Hen.

- Phaedra nie pochwała tak tchórzliwego postępowania - odparła Alexia.

- Jeśli chce, żeby przyszła śmietanka towarzyska...

- Ona zaprasza śmietankę towarzyską tylko ze względu na ciebie i mnie. Jeśli odrzucą zaproszenia, nie będzie to miało dla niej żadnego znaczenia.

Hen uśmiechnęła się niepewnie, próbując oswoić się z myślą, że takie sprawy mogą nie mieć dla kogoś znaczenia. Nawet dla lady Phaedry.

Wrócił lokaj.

- Pani Bradwell, markiz przyjmie panią w salonie.

Hen otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, a za chwilę zmrużyła je zagniewana. Rose poszła za lokajem do salonu. Czekala bardzo długo. Tak długo, że zaczęła się zastanawiać, czy markiz nie zmienił zdania. Może chciał pokazać, gdzie jej miejsce, każąc, by siedziała tu godzinami. Biorąc pod uwagę treść jej liściku, byłaby to należyta kara.

W końcu jednak markiz wszedł do salonu. Wydawał się roz-kojarzony, nieobecny duchem. Rose dygnęła.

- Dziękuję, że pan mnie przyjął.

- Skoro zagroziła pani, że zamieszka w mojej bibliotece, dopóki tego nie zrobię, nie miałem wyboru. W tym domu jest już dość intruzów, takich jak ciotka Hen i jej córka.

- Wiem, to bardzo niegrzeczne z mojej strony. Chciałabym jednak jak najszybciej spełnić ten obowiązek. Byłoby to niestosowne, gdybym przekazała panu słowa umierającego człowieka rok po jego śmierci.

Przechylił głowę i przyjrzał się jej uważnie.

- Dziwne, że obarczył panią tym obowiązkiem, bo ledwie go znałem, ale skoro musi pani mówić, to proszę bardzo. Słucham.

Rose zaschło w ustach.

- Nalegał, bym dokładnie powtórzyła jego słowa. Proszę o tym pamiętać...

- Proszę mówić, pani Bradwell.

Wbiła wzrok w punkt na dywanie o pięć jardów od niej.

- Powiedział, by panu przekazać, że bezwstydnie zaniedbuje pan swoje obowiązki. Już czas, by zaczął się pan obracać w świecie i przestał folgować swym skłonnościom do ekscentryzmu. Musi się pan ożenić, spłodzić dziedzica i zająć należne mu miejsce w rządzie. Powiedział, że pańska rodzina ma zbyt wiele inteligencji, by ją trwonić, a pana życie nie jest pana własnością, by mógł pan robić, co mu się podoba. Taka jest prawda.

Nie usłyszała przekleństw ani innych przejawów gniewu. Zerknęła na markiza kątem oka.

Nic. Żadnej reakcji. Właśnie został zbesztany z za grobu, skarcony jak uczeń, wręcz obrażony, a jego w ogóle to nie obchodziło.

- Teraz wiem, dlaczego kazał pani czekać, dopóki nie umrze.

- Bałam się tego zobowiązania, bo wiadomość była bardzo niegrzeczna. Uznałam jednak, że może mi pomóc zobaczyć się z panem na osobności. Mam nadzieję, że zechce mi pan poświęcić jeszcze odrobinę swojego czasu. Pomyślał chwilę i wskazał fotel.

- Odrobina chyba nie robi różnicy - powiedział.

Rose usiadła, on nie. Wolałaby, żeby usiadł. Stał o trzy jardy od niej, z rękami założonymi na plecy.

- Lordzie Easterbrook, chciałabym panu zadać dziwne pytanie. Czy pan zapłacił memu mężowi, żeby się ze mną ożenił?

Nagle zainteresował się nią bardziej.

- Dlaczego pani myśli, że ktoś musiał zapłacić? Jest pani piękną kobietą. Niewątpliwie ten powód był dla niego wystarczający.

- Dziękuję za komplement, ale dla inteligentnego mężczyzny uroda kobiety to nie wszystko.

- Jeśli sądzi pani, że były jakieś inne względy, dlaczego jego pani o to nie spyta?

- Bo to już nie ma znaczenia w sprawach między nami. Pytam z innych powodów.

Nie zapyta Kyle'a, ponieważ chciał, by wierzyła, że poza zdobyciem jej nic nie zyskał na tym małżeństwie. Bez względu na to, czego się dzisiaj dowie, zachowa tę iluzję.

- Jeśli ktoś interweniował, mógł to być tylko Hayden. Dlaczego pani pomyślała o mnie?

- Lord Hayden zaprzeczył, a on nie kłamie. Lord Elliot był zbyt zajęty świeżo poślubioną żoną, by zwracać uwagę na moją sytuację. Pańska ciotka Henrietta raczej nie nadaje się na anioła miłosierdzia upadłej kobiety. Pomyślałam, że to pan, bo nikt inny nie przychodzi mi już do głowy.

Markiz podszedł do stołu przy oknie i zaczął bawić się wieczkiem złotej szkatułki, inkrustowanej drogimi kamieniami.

- Przyznaję, że mogłem go nieco zachęcić. Nie wypada, bym ujawniał szczegóły.

- Dlaczego?
 - To nie ma żadnego związku z panią. Alexia dała mojemu bratu więcej szczęścia, niż na to zasłużył. Doceniam to i staram się, by była szczęśliwa. - Zawahał się chwilę. - Ona budzi we mnie...
 - Chęć czynienia dobra?
 - Nie, pani Bradwell. Optymizm. Nie to miała nadzieję usłyszeć. Wstała.
 - Rozumiem. Myślałam, że może... Dowidzenia. Dziękuję, że pan mnie przyjął.
- Doszła już do drzwi, gdy markiz znów się odezwał.
- Co pani myślała?
 - Ze może obchodzi pana dobro i sprawiedliwość. Ze wtrącił się pan, by naprawić zło.
- To go najwyraźniej rozbawiło.
- A jeśli tak? - spytał.
 - Poprosiłabym pana o radę w podobnej kwestii.
 - To fascynujące. Ludzie rzadko proszą mnie o radę. Nie pamiętam, kiedy mi się to ostatnio przytrafiło. - Wydawał się wręcz zachwycony jej niezwykłą sugestią. - Nie mam zatem doświadczenia w udzielaniu rad, jednak oryginalność tego pomysłu bardzo mi się podoba. Jeśli nadal chce pani, bym jej doradził, to zrobię, co będę mógł.
- Rose wyjęła z torebki list Tima.
- W obsesji Norbury'ego na punkcie mojego brata nie chodziło tylko o pieniądze, urażoną dumę czy sprawiedliwość. Tim powiedział mi prawdę, a ja kazałam mu, żeby to napisał.
- Easterbrook wziął list i przeczytał.
- Czy pani mąż to widział?
 - Nie. Po śmierci hrabiego kontakty między moim mężem i Norburym i tak będą napięte. Jeśli Kyle to zobaczy, może...
 - Może źle zrozumieć tę aferę związaną z panią? Pomyśleć, że wydarzyło się więcej, niż pani przyznała? Wyzwać Norbury'ego na pojedynek?

- Tak.

Easterbrook jeszcze raz przejrzał list.

- To słowa przestępcy. W najlepszym wypadku mało wiarygodne, w najgorszym - absolutnie bez znaczenia.

- Timothy też uważał, że są bez znaczenia, a zatem nie miał powodu, by kłamać. Jestem zresztą przekonana, że nie był to pierwszy raz, gdy Norbury skrzywdził kobietę. W wiosce, gdzie wychował się mój mąż... Gdy obaj byli chłopcami, coś się tam wydarzyło. Miało to związek z ciotką Kyle'a. A potem wszystkie te spotkania towarzyskie...

- On powie, że te kobiety same się prosiły. - Lord Easterbrook spojrzął na list z niesmakiem. - Choć są granice tego, na co każda kobieta się zgodzi. Już nie mówiąc o dziewczynce. Niestety w świetle prawa niewiele da się zrobić. Nie ma nikogo, kto złoży zeznania pod przysięgą.

- Jest ta dziewczynka, jeśli uda się ją odnaleźć. Jest ciotka Kyle'a. A także mój mąż.

- To wydarzyło się wiele lat temu. Był chłopcem. Jego ciotka wtedy nic nie powiedziała, a on nawet teraz może nie wiedzieć na pewno.

- Myślę, że wie.

- Pani Bradwell, mówimy o hrabim. Reszta parów nigdy nie skaże go w publicznej rozprawie w Izbie Lordów.

Wątpię, czy w ogóle by do niej doszło.

- Chce pan powiedzieć, że dla lordów jego słowa będą ważyć więcej niż słowa prostych kobiet, skrzywdzonych dawno temu?

Zawsze tak się działo. Nawet jako wicehrabia Norbury był nietykalny. Teraz, jako hrabia Cottington, był całkowicie bezpieczny.

Może kiedyś znajdzie się jakiś inny sposób. Rose podeszła do markiza i wyciągnęła rękę po list.

Uniósł go w górę, poza zasięg jej dłoni.

288

- Zatrzymam to, pani Bradwell. Pani i pani mężowi ten list może tylko narobić kłopotów.

- Pomyliłam się, przychodząc do pana. Źle oceniłam sytuację. Zapomniałam, że wśród parów obowiązuje specyficzne poczucie sprawiedliwości.

Markiz nie odezwał się już ani słowem. Rose nie miała teraz żadnego, nawet wątego, dostarczonego przez Tima dowodu niktzemności Norbury'ego.

Rose podziwiała swego męża z drugiego końca sali balowej. Dzisiejszego wieczoru wyglądał niesamowicie atrakcyjnie. Nowy, ciemnoniebieski surdut jeszcze podkreślał kolor jego oczu. Doskonały krój ujawniał zgrabną, muskularną sylwetkę. Najciekawsza była kamizelka. Stonowana, z materiału przetykanego srebrną nicią, z szafirowymi akcentami.

Całkiem nieźle dawał sobie radę. Rozmawiał właśnie z jakimś artystą, przyjacielem Phaedry. Dzięki pobytowi w Paryżu Kyle stał się atrakcją dla tej części gości na przyjęciu.

Nie tylko dla nich. Zwłaszcza damy były pod wrażeniem wysokiego, szerokiego w ramionach mężczyzny, o pięknych, niebieskich oczach, z którego emanowała energia. Dzisiejszego wieczoru nie tłumił swej wewnętrznej siły.

- Rose, nie musisz się o niego martwić - szepnęła jej do ucha lady Phaedra. Rose się wzdrygnęła. Nie zauważyła, kiedy Phaedra do niej podeszła.

- Nie martwię się. Czuje się tu, jak w swoim żywiole. Lady Phaedra była dziś uosobieniem idealnej pani domu.

Uczesała ogniste włosy w koronę, zgodnie z najświeższą modą. Jasnozielona suknia wieczorowa podkreślała jej śnieżnobiałą cerę. Na ten wieczór zrezygnowała z ekscentryczności. Rose podejrzewała, że zrobiła to, by gościom łatwiej było zaakceptować jej przyjaciół artystów.

- Rose, nie chodziło mi o jego talenty towarzyskie. Pomyślałam, że może jesteś zazdrosna o skierowaną na niego uwagę pań.

19 - Tajniki uległości

289

- Wiem, że o to też nie muszę się martwić. - Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby być zazdrosną. - Oczywiście jestem go pewna nie dlatego, że brakuje mu uroku.

- Wydaje się niesamowicie pociągający. Świetnie, jeśli jesteś go pewna. To pozwoli ci przyjmować zaproszenia, które zostaną wystosowane z niewłaściwych powodów. Będziesz mogła je wykorzystać, nie zwracając uwagi na intencje wysyłających je pań. Wygląda na to, że tego typu zaproszenia napłyną do was już wkrótce.

Kyle gawędził przyjaźnie z jedną z dam, zdawając się nie dostrzegać rumieńca na jej twarzy, pojawiającego się, ilekroć zwrócił na nią swe niebieskie oczy.

Zauważył, że Rose na niego patrzy. Przeprosił flirtującą damę i podszedł do niej.

- Lady Phaetro, zapewne wieści o tym przyjęciu sprawią, że wiele osób pożałuje, iż nie zdecydowały się przyjechać do Londynu wcześniej.

- Na ten termin łatwiej mi było sporządzić listę przyjaciół. Nie musiałam długo przebierać, by uniknąć tłoku. Jeśli chodzi

o resztę gości, Elliot powiedział, że skoro jego brat nigdy sam nikogo nie przyjmuje, muszę zaprosić wszystkich członków wyższych sfer, którzy są już w mieście, a także ich żony. Na szczęście nie pojawił się Norbury, choć przyjął zaproszenie.

Kyle nawet nie mrugnął okiem, słysząc wzmiankę o Norbu-rym. Rozejrzał się po tłumie.

- Gdzie jest lord Elliot? Nie widziałem go od chwili, gdy przyszliśmy - rzucił.

- Jego najstarszy brat namówił go, by poszli zapalić. Easter-brook rzadko zostaje gdzieś dłużej niż dziesięć minut i zaraz szuka pretekstu, by uciec. - Phaetra rozejrzała się i zmarszczyła brwi. - Ojej, Sarah Rowton śmiertelnie zanudza pana Turnera! Wygląda, jakby miał zaraz zasnąć na stojąco. Muszę tam pójść i go uratować.

Zostawiła Rose i Kyle'a, by pełnić obowiązki gospodyni.

- Wygląda dzisiaj wyjątkowo pięknie - powiedział Kyle. - Jednak nie tak pięknie jak ty, Rose. Przycmiewasz urodą wszystkie obecne tu damy.

Poczuła, że się rumieni pod jego spojrzeniem.

- Mam wrażenie, jakby to był mój debiut w towarzystwie. Zwłaszcza ze względu na wypadki ostatnich miesięcy i moje wcześniejsze odosobnienie.

- Nikt nie zauważył, że nie czujesz się pewnie. Zapewniam cię, że wszyscy widzą tylko twój wdzięk i wewnętrzny spokój. Jestem też przekonany, że gdy debiutowałaś w towarzystwie, nie byłaś równie piękna.

- Właściwie nigdy nie miałam oficjalnego debiutu. Gdy był na to czas, przebywaliśmy w Oxfordshire i nie mieliśmy pieniędzy. Czułam wtedy ogromny żal do losu. Mieszkaliśmy na wsi, zamiast w Londynie, i miałam wrażenie, że okradziono mnie z życia. Przez rok, albo i dłużej, nienawidziłam tego domu. A teraz pragnę go zobaczyć. Czy to nie dziwne? Jeszcze nie tak dawno było to więzienie, a teraz za nim tęsknię.

- Rose, to zawsze był twój dom. Nigdy nie był więzieniem, tylko schronieniem. Potrzebujesz wytchnienia?

- Chciałabym trochę odpocząć w zacisznym miejscu, by przeboleć utratę brata. Zapewne nigdy więcej go nie zobaczę.

Kyle ujął jej dłoń.

- Wybierzemy się tam wkrótce. A teraz przejdziemy się po tej pięknej sali balowej. Kiedyś pytałaś o moich przyjaciół. Lady Phaedra poprosiła Henriette, by wyciągnęła trochę nazwisk od Jean Pierre'a i paru z nich przyszło. Chciałbym, żebyś ich poznała.

Oczywiście Rose oczarowała ich wszystkich. Kyle wiedział, że tak będzie. Jej elegancja, spokój i życzliwość sprawiły, że taki rezultat był przesądzony. Słuchała rozmów jego przyjaciół, których widziała po raz pierwszy w życiu, i czasem dorzucała jakąś stosowną uwagę.

Rose nigdy się nie dowie, że bankier, pan Hamilton, przeklinał jej rodzinę, gdy Kyle powiedział mu o swoim małżeństwie. Hamilton znał braci Longworthów aż za dobrze.

Nigdy też nie będzie wiedziała, że pani Caldwell, której mąż projektował mosty w całej Anglii, dała do zrozumienia, że ta niemoralna Roselyn Longworth nigdy nie zasiądzie przy jej stole, nawet jako żona przyjaciela jej męża.

Wiedział, że przekonają się do niej, jak tylko ją poznają, tak jak się to stało z Pru i Haroldem. Zaproszenie na przyjęcie, na którym obecni byli lordowie, damy i sławni artyści, pomogło nieco złagodzić ich nastawienie. Picie ponczu z rodowych szklanek z herbem markiza niewątpliwie ukazało wszystko w innym świetle.

Gdyby nie Jean Pierre, który podpowiedział Hen nazwiska, spotkanie to mogłoby nie dojść do skutku. Kyle był przygotowany na to, że będzie musiał ograniczyć te przyjaźnie wyłącznie do kontaktów w interesach.

Rose najwyraźniej spodobali się jego przyjaciele. Jeśli będzie teraz chciała przyjąć zaproszenie pani Caldwell, Kyle zapomni o wcześniejszych nieprzychylnych opiniach o jego żonie, by nie przeszkodziło to w kontaktach towarzyskich. Rose przyda się jak największa liczba przyjaciół. Wojna nie została jeszcze wygrana, choć sukces wydawał się bliski.

Gdy już nawiązała nowe znajomości, Kyle poprowadził żonę na drugi koniec sali. Rose zauważyła Alexię w tej samej chwili, gdy do sali wszedł spóźniony gość.

Kyle ujrzał, jak świdruje ich na wylot wzrokiem. A więc jednak Norbury się pojawił.

- Rose, może pójdziesz porozmawiać z Alexią. Ja spróbuję znaleźć lorda Elliota. Wspominał coś o wspólnym wiosłowaniu któregoś ranka w przyszłym tygodniu.

Odeszła akurat wtedy, gdy Norbury skierował się ku niemu. Kyle odwrócił się i podszedł bliżej ściany, aby, cokolwiek się stanie, nie zdarzyło się na środku sali balowej.

Norbury był w doskonałym humorze, kiedy stanął przy swojej upatrzonej ofierze.

- Nie odpowiedziałeś na moje listy. Kazałem ci do mnie przyjechać, ale nie zrobiłeś tego - rzucił.

- Byłem zbyt zajęty, by pana odwiedzić. Poza tym nie mam ochoty spełniać pana rozkazów. Nie wiedziałem, jak odpisać na pana listy. Pierwszego z nich nie mogłem wręcz zrozumieć, oskarżenia były zupełnie pozbawione sensu.

- Zrozumiałeś je doskonale.

O, tak! Ten pierwszy list był pijanym bełkotem człowieka, wylewającego urazy do ojca, który już nie żył. Mieszanka nienawiści, żalów i smutku była zbyt szczera, zbyt wiele ujawniała, by Norbury mógł ją napisać na trzeźwo, zwłaszcza do Kyle'a Brad-wella.

Z drugiej strony, do kogo innego mógłby napisać o takich sprawach? Nie do kompanów, którzy brali udział w jego orgiach. Tych ludzi nie obchodziła krótkotrwała rozpacz syna, którego marzenia o śmierci ojca się spełniły. Nie zrozumieliby też aluzji do niepewnej kwestii, kto był ojcem obu mężczyzn, stojących teraz naprzeciw siebie.

Kyle zastanawiał się, czy Norbury w ogóle pamięta, co było w tamtym liście, zwłaszcza te niedorzeczne, pełne goryczy słowa, że tak naprawdę byli braćmi.

- Kyle, mam ci do powiedzenia to i owo. Musisz mnie wysłuchać.

- Wobec tego chyba powinniśmy przejść gdzie indziej. Zapewne w bibliotece będziemy mogli porozmawiać na osobności.

Biblioteka na szczęście była pusta. Oskarżenia zaczęły padać, zanim zamknęły się drzwi.

- Próbowałeś pomóc temu łobuzowi, by się wywinął. Mówiłeś tak, by z twoich słów wynikało, że zostałeś sponyony.

- Nie chce pan usiąść? Te fotele przy ogniu wyglądają na wygodne.

- Do diabła, wytłumacz się.

Będą zatem rozmawiać na środku pokoju, krążąc wokół siebie jak bokserzy szykujący się do zadania ciosu. Kyle nie miał nic przeciwko temu.

- Powiedziałem w sądzie prawdę. Prawdę i tylko prawdę.

- Kłamałeś. Powiedziałeś, że zostałeś sponieważony przez małżeństwo z jego siostrą. Z moją dziwką.

Kyle uderzył Norbury'ego pięścią w twarz. Tamten zachwiał się, szeroko otwierając oczy.

- Ostrzegałem cię - powiedział Kyle. Czuł, jak ogarnia go lodowaty gniew i niebezpiecznie się w nim rozrasta.

- Ostrzegałeś mnie? Mnie? - Norbury złapał się za twarz. - Jak śmiesz?! Wsadzę cię na statek obok tego złodzieja, i tę zbruka-ną turkawkę razem z tobą. Mój ojciec już cię nie ochroni. Jesteś tylko zwykłym parweniuszem, który wpełznął się na nienależne mu miejsce obok lepszych od niego.

- Nic mi nie zrobisz. Jeśli będę musiał się wytłumaczyć z tego ciosu, powiem przed sądem, jak obraziłeś moją żonę, teraz i zanim jeszcze wziąłem z nią ślub. Pokażę im ten obłąkany list, w którym kwestionujesz cnotę mojej matki.

Opowiem im o innych sprawach sprzed lat. Że nie jest to pierwsze lanie, które ci sprawiłem, i dlaczego zrobiłem to poprzednio.

Norbury znieruchomiał. Z początku miał niepewną minę, ale potem wykrzywił się złośliwie.

- Twoja rodzina otrzymała dostateczną rekompensatę.

- Akurat. Ciesz się, że cię nie zabiłem, gdy w końcu dowiedziałem się prawdy.

- Ona sama tego chciała. Twoja ciotka była kiedyś całkiem ładniutka, nie taka stara i pomarszczona jak teraz.

Flirtowała cały czas. Zaproponowała nam wszystkim...

Kyle znów go uderzył. Tym razem Norbury upadł. Z nosa pociekł mu strumyczek krwi.

Usiadł i wyjął chusteczkę. Wytarł nos i zdumiał się na widok krwi.

- Oszalałeś!

- Bynajmniej nie czuję się szalony. Norbury z trudem wstał.

- Za dużo z tobą kłopotów, pora się ciebie pozbyć. Wiem o tym raporcie, który napisałeś na temat kopalni. Jak śmiesz wtrącać się w to, co ludzie robią na swojej ziemi? Chciałem dać ci szansę, byś wycofał ten raport, ale teraz nic z tego. Cieszę się, że on już nie żyje i mogę zerwać z tobą kontakty. - Oczy Norbury'ego zaślniły złośliwie, na twarzy pojawił się brzydki grymas. - Nie pozwolę użyć tej ziemi w Kent. Teraz jest moja. Nieważne, że zostały podpisane dokumenty. Mój prawnik będzie przeciągał sprawę tak długo, że prędzej umrzesz, niż wszystko się wyjaśni. Był to cios, który powinien Kyle'a bardzo zabołeć. Poczul jednak tylko ulgę, że po dzisiejszym wieczorze nie będzie już musiał się z tym człowiekiem kontaktować.

Z jego prawej strony rozległ się cichy dźwięk. Spojrzał i zobaczył rękę, stawiającą kieliszek z winem na podłodze obok fotela.

Nie byli w bibliotece sami.

Z fotela wstał ciemnowłosy mężczyzna. Easterbrook odwrócił się do nich ze znudzoną miną.

- Norbury, powinieneś był się upewnić, że jesteś sam, zanim zacząłeś rozmawiać o prywatnych sprawach - powiedział.

- A ty powinieneś się pokazać, zanim zaczniesz podsłuchiwać!

- Nie miałem szansy się pokazać. Zacząłeś gardłować już od progu i nie przestałeś ani na chwilę.

Z drugiego fotela również podniósł się mężczyzna. Lord Elliot też wszystko słyszał.

- Norbury, chyba robi ci się siniak - rzucił lord Elliot. - Zdawało mi się, że słyszę odgłosy uderzeń, ale ponieważ nikt nie odwzajemniał ciosów, uznałem, że się mylę.

- Niewątpliwie Norbury bał się, że zrobi Bradwellowi krzywdę, jeśli odpowie ciosami pięści - wycedził markiz.

Norbury uśmiechnął się szyderczo.

- Bradwell, wygląda na to, że mam świadków. Zaatakowałeś mnie. Złożę w tej sprawie zeznania.
- Cóż to będzie za cyrk. Nie życzę sobie, by wciągnano mnie w coś tak prostackiego - powiedział Easterbrook. - Dlaczego nie rozstrzygnąć tej sprawy tu i teraz? Elliot i ja dopilnujemy, byś go nie zabił Norbury. Powstrzymamy cię, zanim posuniesz się za daleko.

Twarz Norbury'ego zastygła w grymasie. Zaczął coś w myślach kalkulować. W jego oczach lśniły zimne błyski. Lord Elliot podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

- Wezmę wasze surduty - zaproponował. Kyle zdjął swój i oddał. Norbury się zawahał.

- Powinieneś odpowiedzieć na jego atak - powiedział lord Elliot. - W takiej sytuacji dżentelmen nie ma wyboru.

Chyba nie chcesz składać zeznań w tej błahej sprawie. Musielibyśmy powtórzyć przed sędzią wszystko, co tu usłyszeliśmy. Ta afera z ciotką Bradwella może być zrozumiana jako przyznanie się do winy.

Norbury zaczerwienił się i zdjął surdut. Markiz podszedł bliżej, po drodze odsuwając na bok lżejsze meble.

Lord Elliot położył surduty na otomanie i zajął pozycję za Kyle'em.

- Oczywiście walka według zasad Queensberry'ego - powiedział.

- Muszę?

- Niestety tak.

Norbury uniósł pięści do góry i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- On nie zna zasad Queensberry'ego. Tacy jak on ich nie stosują.

- Znam je - powiedział Kyle. - Taka walka po prostu trwa dłużej i ostatecznie zadaje się w niej więcej bólu. W tych okolicznościach nie mam nic przeciwko temu.

Walka nie trwała jednak długo. Norbury'emu brakło szybkości i siły, a trening bokserski niewiele mu pomógł. Za Rose. Za Pru. Za inne, o których nie wiem. Kyle powtarzał w myślach te słowa w rytm zadawanych ciosów. Po dziesięciu minutach Norbury znów leżał na podłodze, nieprzytomny, ciężko pobity, choć nie było tego specjalnie widać.

Kyle spojrział na niego. Lodowaty gniew palił się w nim nie-ugaszonym płomieniem. Ręce miał nadal zaciśnięte w pięści.

Markiz położył mu rękę na ramieniu.

- Rozumiem, że pragniesz krwi, ale to musi wystarczyć. Elliot, oprzyj go o ścianę. Wkrótce się ocknie.

Alexia nie mogła długo stać, szybko się męczyła. Rose poszła z nią poszukać jakiegoś zacisznego miejsca na odpoczynek. Próbowały wejść do biblioteki, ale okazało się, że jest zamknięta.

- To dziwne - powiedziała Alexia i jeszcze raz poruszyła klamką.

Tym razem drzwi się otworzyły. W progu stało trzech mężczyzn. Rose po kolei spojrzała na markiza, lorda Elliota i Kyle'a, który wydawał się nieco potargany i podekscytowany.

Najwyraźniej doszło tu do jakiejś awantury.

- Drzwi były zamknięte - powiedziała Rose.

- Doprawdy? - spytał lord Elliot niewinnie.

Ze środka dobiegł jęk. Spróbowały zajrzeć do środka.

- Czy ktoś tam leży na podłodze? - spytała Alexia. - Co mu się stało? Zachorował?

- To tylko hrabia Cottington - odparł lord Elliot. - Nadal świętuje odziedziczenie majątku, więc pewnie jest nietrzeźwy. Właśnie szedłem wezwać jego stangreta, by pomógł mu wrócić do domu. Oczywiście dyskretnie, by goście nie plotkowali o jego stanie.

Rose zerknęła na Norbury'ego. Wcale nie wyglądał na pijanego, tylko...

Ktoś przesłonił jej widok. Rose przesunęła wzrok wyżej i spojrzała w niesamowicie niebieskie oczy.

- Kyle, to ty sprawiłeś mu lanie? Znów?

- Odbyliśmy tylko od dawna konieczną rozmowę.

Kyle ujął Rose pod ramię i pociągnął w stronę sali balowej. Popatrzyła na jego twarz. Nie było w niej triumfu czy dumy, ani nawet satysfakcji. Kyle wyglądał jak człowiek, który po prostu wykonał swoją pracę, tak jak wtedy, gdy naprawił furtkę w jej ogrodzie.

Easterbrook ruszył za nimi, u boku Alexii. W sali balowej jednym ostrym spojrzeniem nakazał, by zwolniono dla niej wygodny fotel.

Pomógł Alexii usiąść.

- Wydajesz się nieco blada. Może się czegoś napijesz?

- Przyniosę trochę ponczu - powiedział Kyle i odszedł do bufetu z napojami.

Rose przysunęła się bliżej markiza.

- Mocno go pobił? - spytała.

- Porządnie.

- Cieszę się. Nie przystoi to damie, ale taka jest prawda.

Easterbrook zerknął na Alexię rozmawiającą z przyjaciółką, która przed chwilą pojawiła się u jej boku. Cofnął się o parę kroków.

- Pani Bradwell, jeśli jeszcze pani tego nie zrobiła, może pani powiedzieć swemu mężowi, o czym rozmawialiśmy, gdy mnie pani odwiedziła. Jeśli zacznie się kiedyś zastanawiać, czy wymierzenie dziś kary było warte kosztów, które poniesie, opowieść pani brata może mu dodać pewności.

Kosztów?

- Obawiam się, że jeśli dowie się on o tej dziewczynce, znów sprawi Norbury'emu lanie.

Tak naprawdę obawiała się, że Kyle mógłby go zabić.

- W przyszłości ich drogi już się nie skrzyżują.

- To raczej mało prawdopodobne.

Lord Easterbrook spojrzął na Kyle'a, niosącego szklankę ponczu.

- Wczoraj rozmawiałem z grupą wpływowych parów. Przedstawiłem im długą historię nikczemnych uczynków nowego hrabiego i pokazałem list pani brata. Doszli do takich samych wniosków jak ja.
 - Jeśli ma pan na myśli to, że zgodzili się z panem, iż Norbury nigdy nie zostanie osądzony, a tym bardziej ukarany, to ścieżki mojego męża i Norbury'ego w przyszłości na pewno się skrzyżują.
 - Pani Bradwell, nie mówiłem, że nie zostanie osądzony i skazany. Powiedziałem, że nigdy nie zostanie skazany w publicznym procesie. Jednak sama groźba takiego procesu może być potężną bronią.
 - Nie rozumiem.
 - Podczas gdy Norbury będzie dochodził do siebie po dzisiejszym laniu, odwiedzi go parę osób. Przyniosą mu informacje o wyroku tajnego sądu. Spodziewam się, że Norbury wkrótce na stałe osiadzie w swej wiejskiej rezydencji w Kent. Chyba że jest głupi i będzie wymagał ostrzejszych środków perswazji. W przyszłości będzie się widywał tylko z pastorami z okolicy i ich żonami.
 - Nie wierzę, że cokolwiek go powstrzyma przed robieniem tego, na co ma ochotę.
 - Wybrano dla niego szczególnego rodzaju lokaja i ochmistrzynię. Norbury znajdzie się pod ścisłym nadzorem, niemal w areszcie domowym. Będzie mieszkał wśród luksusu, ale pozbawiony wolności. Proszę mi wierzyć, z dniem dzisiejszym jego ekscesy zostały ukrócone.
- Kyle przeszedł obok i spojrzął zaintrygowany, jakby jej długa rozmowa z Easterbrookiem wydała mu się zagadkowa.
- Czy mogę przekazać memu mężowi to, co od pana usłyszałam? - spytała Rose.
 - Oczywiście, choć myślę, że już czuje dostateczną satysfakcję. Zadawał ciosy, jakby sam zamierzał wyrównać rachunki.

Markiz skierował się ku Alexii.

- Lordzie Easterbrook, dziękuję, że zajął się pan tą sprawą -powiedziała Rose w ślad za nim.
- Pani Bradwell, to był obowiązek. Jak sama się pani wyraziła, wśród parów obowiązuje specyficzne poczucie sprawiedliwości.

24

Rose uwielbiała wiosną przebywać na wsi. W powietrzu czuć było zapach ziemi ogrzewanej słońcem i roślin budzących się do życia. Nawet chłodny wiatr niósł obietnicę ciepła w ciągu dnia.

Miło było przytulić się do Kyle'a w łóżku i leżeć pod ciepłą kołdrą. Lekki wiatr chłodził ich ciała rozpalone namiętnością.

- Jesteś taka piękna - szepnął. Delikatnie pocałował stwardniały czubek jej piersi, dziwnie wrażliwy dzisiejszego ranka na powiew wiatru, dotyk i muśnięcie języka. - Ilekroć na ciebie patrzę, czuję ból.

Figlarnie zacisnęła dłoń na jego członku. Oczy mu pociemniały, stały się niemal szafirowe.

- Jeśli czujesz ból, spróbuję go ukoić.

Nie przeszkadzał jej i sam postarał się, by ona też czuła niemal bolesną rozkosz. Dotykami ust i dłoni sprawił, że uniosła się na fali cudownego zaspokojenia. Dobrze знаła to uczucie. Gdy łączyli się ze sobą, znikwały wszelkie obawy i zmartwienia, bariery i wymówki, a w końcu wszelki dystans.

Przesunął silną, pewną dłoń w dół jej ciała. Pocałował ją w ucho i szepnął:

- Rose, uśmierzasz nie tylko ból ciała. Twoje pieszczoty dają ukojenie memu sercu. Tak samo twój uśmiech.

- Kyle, przykro mi, że odczuwasz ból w sercu. Nie chcę, byś cierpiał.

- Kochanie, źle mnie zrozumiałaś. To przyjemny ból. Spowodowany miłością i pragnieniem. Uprzedzałaś mnie, że nie jesteś już zdolna do romantycznych iluzji, ale ja nigdy nie obiecywałem, że się w tobie nie zakocham.

Dotknęła jego ręki, by powstrzymać podniecającą pieśczętę. Objęła go mocno. Czuła jego oddech na szyi i bicie jego serca przy swoim.

- Kyle, powiedziałam, że nie będę się okłamywać pod tym względem. Ale prawda to nie kłamstwo. Wiem, że nigdy byś czegoś takiego nie powiedział, gdyby nie była to prawda. Nasze małżeństwo byłoby całkiem dobre nawet bez miłości, ale to chyba lepiej, że się kochamy.

Uniół się nad nią, oparł na rękach i spojrzał przez pasemka rozwichrzonych włosów. Gdy patrzył na nią tak poważnie i przenikliwie, nieco traciła pewność siebie.

- Rose, nie spodziewałem się, że odwzajemnisz moje wyznanie. Byłem przygotowany na to, że nigdy go nie usłyszę. A jednak powiedział jej o swej miłości, nie oczekując nic w zamian. Poczula w sercu ból, o którym wspominał przed chwilą.

- Kyle, wiem, że nigdy nie mówiłbyś lekko o miłości. Wiem, że mogę ci ufać. Czułam twoją miłość i widziałam ją, więc nie potrzebowałam słów. - Obrysowała opuszką palca linię jego szczęki. - Cieszę się jednak, że ją wyznałeś. I ja też. Mam wrażenie, że to ostateczne pożegnanie z przeszłością i otwarcie się całym sercem na przyszłość. Pocałował ją mocno. Pochylił się nad nią i uniół wysoko jej kolana. Patrzył na jej odsłonięte ciało, powolną pieśczętą doprowadzając ją do szaleństwa. Rozkosz przepływała przez nią silnymi falami niesamowitych wrażeń, aż zaczęła go błagać, głośno i bezwstydnie.

Uniół się i podparł na rękach. Na chwilę zawisł nad nią, oszalała i bezbronna. Pochylił głowę, by widzieć, jak w nią wchodzi. Uniosła się lekko, by widzieć w jasnym świetle dnia jak go

w siebie raz po raz przyjmuje, gdy poruszał się w niej długimi, powolnymi pchnięciami. Rozkoszowała się tym niesamowitym, przejmującym wrażeniem. Chciała, by trwało wiecznie. Kyle zamknął oczy, uniósł głowę i zaczął się poruszać szybciej, głębiej. Siła jego pchnięć uniosła ją w mrok. Zatraciła się w pragnieniu ciała i duszy, w skupieniu na jego obecności, która odsuwała daleko wszystkie myśli i troski. Był już tylko on. Doprowadził ją do szczytu, ale wspięli się nań razem, zespoleni ciałem i duszą. Potem przytuliła go mocno do siebie, ciesząc się szczęściem i ukojeniem, o które wzajemne wyznania wzbogaciły ich zbliżenie. Rozkoszowała się cudownością każdej chwili, a za oknem wstawał dzień, wiatr przynosił oznaki i zapachy odradzającego się życia.

- Dzień jest taki ładny. Chodźmy na spacer - zaproponował Kyle.

Rose skończyła wycierać patelnię, na której usmażyła jajecznicę. Sama przygotowała jedzenie, bo przyjechali bez służby, tylko we dwoje, by odpocząć od zgiełku Londynu.

Wiosna na wsi oznaczała piękną pogodę i ciepło, ale także błoto. Rose włożyła wysokie trzewiki, wzięła szal i wyszła za Kyle'em do ogrodu.

Przez furtkę przedostali się na pole. W oddali widziała wzgórze, na którym leżała tamtego dnia, marząc o wyjeździe do Timothy'ego.

Dzisiaj, z Kyle'em u boku, nie pamiętała, jakie argumenty przekonały ją, że wyjazd do Tima będzie dobrym rozwiązaniem. Jeszcze nie tak dawno temu jej serce zbyt łatwo się okłamywało.

- Rose, muszę ci coś powiedzieć. Obawiam się, że nie są to zbyt dobre wieści - powiedział Kyle.

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Jego ton wzbudził w jej sercu złe przeczucie.

- O co chodzi?
- Wkrótce narażę cię na kolejny skandal.
- Nie wierzę, żebyś był w stanie wywołać jakikolwiek skandal.
- Owszem, tak. Kochanie, jestem zrujnowany. - Starał się mówić normalnie, jednak usłyszała w jego głosie wymuszony spokój.

Być może martwił się, jak ona zareaguje, jednak sam nie wydawał się zasmucony ani nawet szczególnie przejęty. Wyglądał, jakby spojrzął na swoje buty po spacerze przez pola i zauważył, że wdepnął w gnój. Niemiły przypadek, ale łatwy do naprawienia.

- Zrujnowany? Jak bardzo? - Omal się nie zadławiła tymi słowami, które już kiedyś sprowadziły na nią tyle nieszczęścia.

- Doszczętnie. Norbury wycofał swój wkład, czyli ziemię, na której mieliśmy budować osiedle. Jego ojciec podpisał stosowne dokumenty, jednak prawnik Norbury'ego może przeciągać sprawę w nieskończoność. A tymczasem wkrótce przyjdą dostawy drewna, za które muszę zapłacić i inne materiały budowlane, zamówione na kredyt. Pozostali inwestorzy odczują pewną stratę, ale przeżyją. Natomiast ja...

- Ty byłeś w ryzykownej sytuacji finansowej, zanim jeszcze to się stało. Czy grozi ci więzienie za długi?

- To będzie zależało od wielkoduszności moich wierzycieli. Niewiele by na tym zyskali. - Ujął palcami jej podbródek i uniósł do góry. - Nie martw się o mnie. Jakoś dam sobie radę i w końcu stanę na nogi. Jednak potrwa to kilka lat, a okazje po temu mogą być gdzie indziej niż w Londynie.

Objął ją ramieniem i skłonił, by poszli dalej.

- Masz zapewniony byt - powiedział. - Nie będziesz znów musiała oszczędzać na opale czy jedzeniu. Możesz dalej prowadzić batalię o odzyskanie pozycji w towarzystwie. Masz pewną sumę zagwarantowaną w kontrakcie małżeńskim, a także tę w funduszu powierniczym, która da ci dochód w wysokości trzystu funtów rocznie.

- W jakim funduszu?

- Wkrótce po naszym ślubie ustanowiłem fundusz powierniczy na twoją rzecz.

- Miałeś kłopoty finansowe, a mimo to umieściłeś pieniądze w funduszu powierniczym? Kyle, to nie było zbyt rozsądne. Powinieneś był je zatrzymać.

- Gdybym przewidział bieżący rozwój wypadków, pewnie bym zatrzymał, jednak nie żałuję, że tego nie zrobiłem. Jak on mógł mówić o tym tak spokojnie? Ruina to nie błahostka. To wcale nie był gnój na butach, ale raczej utrata całej nogi- A jednak nie okazywał żalu, że odruch, by przepisać na nią zbyt dużą część majątku, postawił go teraz w obliczu katastrofy.

Narastała w niej panika. Jego wierzyciele mogą nie być tak łaskawi. Nie mogła znieść myśli, że Kyle znajdzie się w więzieniu za długi. Serce zabiło jej mocno, gdy przypomniała sobie, jak mówił o jej zabezpieczonej przyszłości.

Wyglądało na to, że nie chciał mieć jej przy sobie w takich okolicznościach.

- Będziemy oboje żyli z pieniędzy, które dla mnie przeznaczyłeś, więc może jednak było to mądre posunięcie - powiedziała. - A właściwie powinniśmy znaleźć sposób, żeby wycofać środki z tego funduszu, byś dzięki nim mógł uniknąć ruiny.

- Nie. Nawet jeśli sąd by na to pozwolił, nie zrobię tego - odparł.

Pomyślała, że chyba zna powód, dla którego ustanowił ten fundusz wkrótce po ich ślubie. Te pieniądze musiały być zachętą, którą otrzymał od Easterbrooka. Przepisanie ich na nią było bardzo lekkomyślne. I romantyczne. Uczynił taki gest na długo przed tym, zanim zaczęła wierzyć, że w ich małżeństwie jest szansa na uczucie.

- Wydaje mi się, że skoro masz zamówione wszystkie te materiały, najlepiej by było je wykorzystać i coś wybudować.

- Rose, nie można budować, nie mając ziemi. Wierz mi, ta działka w Kent i sumy wpłacone już na rzecz Cottingtona będą

nieosiągalne przez długie lata, jeśli nawet pójdę do sądu i uzyskam korzystny wyrok.

- W takim razie musisz znaleźć inną ziemię.

- To też wymaga pieniędzy. Nawet jeśli układ będzie taki sam jak z Cottingtonem, należy zapłacić z góry.

- Może lord Hayden mógłby pożyczyć...

- Nie, Rose. Nie będę zaciągał długów u twoich krewnych. Oczywiście, że nie. Głupio, że w ogóle to zasugerowała. Wkrótce zostanie mu niewiele poza dumą.

Spojrzała na wzgórze, a potem dookoła, na leżące odłogiem pola. Jednym z jej najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa była wędrowka tą ścieżką, w towarzystwie jej braci. W tym krajobrazie przez całe jej życie zmieniały się tylko pory roku.

We wszystkim, co było, wśród smutku, śmierci i strat, w biedzie z powodu długów ojca i potem, po aferze Tima, ta posiadłość była świadectwem jej miejsca w świecie, niezależnie od tego, jak skromnie żyła i jadła. W salonie mogły stać zaledwie dwa krzesła i mały stół, ale było to miejsce, gdzie jej przodkowie urządzali przyjęcia dla całego hrabstwa.

Dławiły ją łzy. Zalewał żal. Jednak nie powstrzymały jej przed decyzją. Stała w pół kroku i chwyciła Kyle'a za rękę, by też się zatrzymał.

- Kyle, dlaczego nie wykorzystasz tej ziemi? Zbuduj coś tutaj z zamówionych materiałów. Nie będzie to odpowiednia rekompensata za to, co zrobili moi bracia...

- Rose, powiedziałem w sądzie, że zostałem spłacony. - Uśmiechnął się do niej czarująco, ale widziała, że go nie przekonała. - Kochanie, to twój dom rodzinny. Twoje schronienie. Zresztą nadal należy do twego brata, który kiedyś tu wróci.

Ujął ją za rękę, żeby poszli dalej, pod wiatr.

- Kyle, tak naprawdę posiadłość należy teraz do mnie, nie do mojego brata. Timothy napisał list do naszego prawnika i upoważnił go, by przeniósł prawo własności na mnie. Jeśli jego

poprzedni list, dotyczący sprzedaży majątku, nie budził zastrzeżeń, to ten też nie będzie.

Doszli do szczytu wzgórza, zanim znów się odezwał:

- Kiedy twój brat napisał ten list?

- W więzieniu, gdy poszłam zobaczyć się z nim przed deportacją. Poprosiłam lorda Hayden i strażnika, żeby byli świadkami.

- Po co miałyby robić coś takiego?

- Bo mu to nakazałam. Bałam się, że przez te lata na wygnaniu mógłby zrobić jakieś głupstwo i stracić majątek.

Pomyślałam też, że warto byłoby mieć ten list i ziemię jako zabezpieczenie. Wygląda na to, że miałam rację.

Pokręcił głową.

- Jeśli posiadłość należy do ciebie, tym bardziej nie mogę z niej korzystać - powiedział.

- Boże, ależ ty jesteś uparty. - Podeszła blisko do niego. - Jesteśmy małżeństwem. Stanowimy jedność, w rozkoszy, w miłości i w nieszczęściu. Nie zamierzam chodzić na przyjęcia, gdy ty będziesz siedział w więzieniu za długi albo przez lata walczył, by odbudować swoją fortunę. Jeśli nie wykorzystasz tej ziemi i nie zlikwidujesz funduszu powierniczego, to oddamy mój dochód pod zastaw na poczet twoich długów i będziemy żyć tutaj, jakoś wiążąc koniec z końcem.

- Nie będziesz tak żyć. Nie zgadzam się. Raz już tego doświadczyłaś i więcej na to nie pozwolę.

- Owszem, będę, nieważne, czy się na to zgodzisz. Znajdę sposób, by oddać swój dochód w zastaw. Będę oszczędzać i każdy grosz sama zaniosę wierzycielom.

Na jego twarzy pojawił się gniewny grymas, ale wkrótce zniknął. Kyle patrzył na nią długo i przenikliwie.

- Kyle, błagam cię - poprosiła. - Pomyśl o tej posiadłości jak o moim prezencie dla ciebie. Albo jak o moim wianie.

Jeśli trzeba, traktuj mnie jak jednego z inwestorów w spółce.

- Musiałbym sprzedać ziemię. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Dzierżawa nie wystarczy. Mogę na podstawie prawa za-

stawnego przejąć ziemię, dopóki jeszcze należy do twego brata. Gdy stanie się twoją własnością, będę mógł korzystać z twojej nieruchomości, ale nie będę mógł jej sprzedać.

- Więc wykorzystaj zastaw i przejmij ziemię.

Odszedł parę kroków. Zmrużył oczy i rozejrzał się dookoła.

- Chyba moglibyśmy oszczędzić dom i pole na jego tyłach. To wzgórze też. Reszta powinna wystarczyć.

Podeszła do niego i objęła go od tyłu. Przytuliła twarz do jego szerokich pleców.

- Jeśli to za mało, sprzedamy też dom i pole. Odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

- Jesteś pewna? Już nic nie będzie takie samo, nawet jeśli uda się oszczędzić dom. Poświęcasz coś, co...

- Całkowicie pewna. Proszę, nie sprzeciwiaj się ani nie mów o poświęceniu. Przestań, jeśli mnie kochasz i szanujesz.

Nie protestował. Nie odezwał się nawet słowem, tylko pocałował ją czule, jak nigdy dotąd. Ulżyło jej na sercu.

- Zatem postanowione, tak? - szepnęła.

- Porozmawiamy z dzierżawcami i spróbujemy dojść z nimi do porozumienia - powiedział.

Przytulił ją mocno. Poczła we włosach jego ciepły oddech. Pocałował ją w czubek głowy.

- Roselyn, ciągle mnie zaskakujesz - szepnął głosem szorstkim z emocji. - Od samego początku. Najpierw swoją pięknnością, potem dobrocią i namiętnością, a teraz miłością. Sprawiasz, że serce mi płonie. Z całego szczęścia, które mnie spotkało, ty jesteś najwspanialszym darem losu.

Odchyliła głowę, by mogli się spotkać ustami. Czula, jak ogarnia ją ciepło i jego miłość, której się nie spodziewała.

Nie śmiała wierzyć, że na nią zasługuje.

Oparła się o niego i ciasno objęła rękami. Stali na wzgórzu przytuleni do siebie i długo patrzyli razem na okolicę.